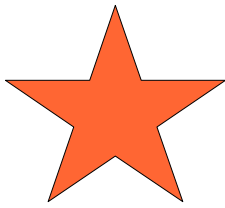
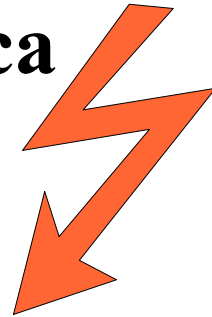


Alistair McLean



# Ostatnia granica



## Rozdział pierwszy

Wiał silny północny wiatr i nocne powietrze przejmowało chłodem do szpiku kości. Na białej, śnieżnej pustyni nie było śladu życia. Pod zimnym światłem gwiazd puste, skute mrozem pole ciągnęło się nieruchome i martwe jak okiem sięgnąć, aż po majaczący w dali horyzont. Nad wszystkim wisiała grobowa cisza..

Ale ta pustka, o czym Reynolds wiedział, była pozorna. Podobnie jak brak życia i cisza. Tylko śnieg istniał naprawdę. Śnieg, i ten dojmujący, siarczasty mróz, który spowijał 20 od stóp do głów lodowym całunem, wywołując gwałtowne, niekontrolowane dreszcze, niczym u człowieka chorego na malarię. Również senność, która zaczynała go ogarniać, ~.~2la być pozorna. Reynolds wiedział jednak, że jest pra-::ziwa i aż za dobrze rozumiał, co oznacza. Świadomie, z ::eterminacją stłumił w sobie myśli o mrozie, śniegu i śnie, Koncentrując całą uwagę na tym, jak wydobyć się z opresji. Powoli, z wysiłkiem, starając się nie robić żadnego rbędnego ruchu ani hałasu, wsunął skostniałą dłoń pod połę płaszcza, wysupłał chusteczkę z kieszonki

**garnituru, miał ją w kulkę i włożył w usta. Knebel z chusteczki ; : winien zmniejszyć widoczna na mrozie kondensację pary z oddechu i stłumić odgłos szczękania zębami, a jedno i drugie mogło go przecież zdradzić. Odwrócił się ostrożnie •»**  
**głębokim, zasypanym śniegiem rowie przydrożnym, do którego wpadł, i wyciągnął dłoń - teraz malowniczo ucęt-kowaną mrozem w biało-sine plamy - szukając kapelusza, który zgubił, gdy zawadził o niską gałąź stojącego opodal drzewa. Znalazł go i powoli przyciągnął do siebie. Najdokładniej, jak tylko pozwoliły mu na to zziębnięte i niemal bez czucia palce, pokrył wierzch i rondo grubą warstwą swegu. wepchnął kapelusz głęboko na widoczne z daleka «\*mne włosy, i groteskowo wolnym ruchem uniósł głowę i**

**6 • Alistair MacLean**

**ramiona, wysuwając najpierw kapelusz a potem oczy nad brzeg rowu.**

**Mimo gwałtownych dreszczy jego ciało było napięte jak struna, kiedy z mdlącym uczuciem strachu czekał n; i okrzyk rozpoznania, strzał lub głuchy szczęk niosący /c sobą nicłość z chwilą, gdy kula sięgnie wystawionej na cel głowy. Ale żaden okrzyk ani strzał nie nastąpiły, co tylko jeszcze wzmogło jego czujność. Dalsza szybka lustracja horyzontu potwierdziła jednak, że w pobliżu nie ma żywej duszy.**

**Poruszając się nadal wolno i ostrożnie, ale wypuściwszy długo wstrzymywany oddech. Reynolds**

uniósł się na koła na. Wciąż trzął się z zimna, lecz już tego nie czuł, a senność przeszła mu jak ręką odjął. Jeszcze raz przeczesał wzrokiem cały widnokrąg, teraz powoli i dokładnie, aby nic nie uszło jego bacznyemu wzrokowi, i jeszcze raz odpowiedź była taka sama. Ani śladu żywej duszy. Nie było widać nikogo i niczego oprócz zimnego migotania gwiazd na czarnym nieboskłonie, płaskiego białego pola, kilku rozrzuconych grup drzew i krętej drogi obok, zrytej kołami ciężarówek.

Reynolds opuścił się znów do dołu, który upadając zroził w zasypianym śniegiem rowie. Musiał chwilę odpocząć. Musiał dać sobie chwilę czasu, żeby złapać oddech, pozwolić ściśniętym płucom zaczerpnąć raz i drugi powietrza: zaledwie dziesięć minut minęło odkąd patrol drogowy zatrzymał ciężarówkę, do której się wkradł, i był zmuszony / pistoletem w garści stoczyć krótką, gwałtowną bójkę z dwoma nie podejrzewającymi milicjantami, przeszukującymi tył wozu, a potem salwować się ucieczką za opatrzościowo zakręt na drodze i biec, póki starczyło mu sił, aż do kępy drzew, gdzie leżał teraz ledwo żywy z wyczerpania. Potrzebował też czasu, żeby zastanowić się, dlaczego milicja tak łatwo zrezygnowała z pościgu - przecież zdawali sobie sprawę, że będzie: musiał trzymać się szosy: zejście / niej w dziewiczą biel ciągnącą się po obu stronach skazałoby go nie tylko na powolne brodenie w głębokim śniegu. ale i na błyskawiczne odkrycie po świeżych śladach tak dobrze widocznych tej

gwiazdzistej nocy. Przede wszy stkim jednak potrzebował czasu, żeby obmyśleć, co dalej.

Ostatnia granica • 7

U to typowe dla Michaela Reynoldsa, że nie zaprzętał (owy obwinianiem się czy zastanawianiem, co by yhy wybrał inną drogę działania. Przeszedł twardą której nie było miejsca na takie luksusy jak ile się o błędne decyzje, na bezużyteczne wyrzuty, żale i inne niekonstruktywne spekulacje i emomogłyby przyczynić się do osłabienia gotowości |. Poświęcił wszystkiego może pięć sekund na rozlie ostatnich dwunastu godzin, a potem odsunął to ł na zawsze. Po raz drugi postąpiłby tak samo. Miał i powody wierzyć swojemu informatorowi w Wied-Ipodróż samolotem do Budapesztu była na razie liwii w ciągu dni poprzedzających Międzynarodo-irt-s Naukowy na lotnisku podjęto szczególnie rygo-le środki ostrożności. To samo dotyczyło wszystkich |h stacji kolejowych, a dalekobieżne pociągi pasa-(były przeczesywane przez służbę bezpieczeństwa.

\*'i»la więc tylko szosa: najpierw nielegalne przej-! granicę - niewielki wyczyn, jeśli się miało facho-oc, a Reynolds taką miał - a potem jazda na gapę jfcnrówką zmierzającą w kierunku wschodnim. Ten |>rmator nadmienił, że na przedmieściach Budape- l/. pewnością rozstawione patrole drogowe i Rey-/. tym liczył, co jednak zaskoczyło go zupełnie i yn\ nikt go nie przestrzegł, to blokada za Komaro-| lkadziesiąt kilometrów od stolicy. Po prostu jedna fc/.y, która mogła przydarzyć się każdemu, a przy-

lit,- właśnie jemu. Reynolds wzruszył ramionami i c przestała istnieć.

\*'iueż było dla niego typowe - a może raczej typowe - urowych reguł wpajanych mu podczas długiego że jego myśli o przyszłym działaniu były ściśle kowane, biegnące jednym wytyczonym torem, Jlicym do osiągnięcia określonego celu. Przy czym Iczucia emocjonalne, które normalnie towarzyszą ulom o perspektywach sukcesu lub tragicznych •\ ach porażki, nie grały roli w jego błyskawicz- l.ulacjach, kiedy leżał w ściętym mrozem śniegu '>i>io głowę nad tym, co robić i oceniając swoje

8 • Alistair MacLean

Ostatnia granica • 9

szansę z chłodnym i bezstronnym obiektywizmem.

"Liczy się tylko powierzone zadanie" powtarzał setki razy pul l kownik. "Twój sukces lub porażka mogą być niezwykle ważne dla innych, ale dla ciebie nie powinny mieć naj mniejszego znaczenia. Dla ciebie, Reynolds, konsekwen cje twoich czynów nie istnieją i nigdy nie mogą zaistnieć, a to z dwóch powodów: myślenie o nich burzy równowagę i zakłóca osąd, to raz, a dwa każda sekunda zmarnowana na jałowe rozważania w tych destrukcyjnych kategoriach po winna zamiast tego być zużyta na wypracowanie sposobu jak się wywiązać z powierzonego zadania." Powierzone zadanie. To i nic więcej. Mimo woli Re\ nolds wykrzywił się z goryczą, leżąc w rowie i czekając, a/ oddech wróci mu do normy. Nigdy nie miał więcej ni/ jedną szansę na sto, a teraz te

**proporcje pi\*zedstawiały się wielokrotnie gorzej. Ale to nic nie zmieniało: musi dotrzeć do Jenningsa i wyciągnąć go stąd wraz z jego bezcenną wiedzą - tylko to było ważne. A jeśli on, Reynolds, wpadnie, to po prostu wpadnie, i tyle. Może nawet wpaść tej nocy, pierwszego dnia swojej misji po półtorarocznym specjał i styczonym szkoleniu, surowym i bezwzględnym, ukierunkowanym na osiągnięcie jednego celu - to nie robiło żadnej różnicy.**

**Reynolds był nadzwyczaj sprawny fizycznie - jak wszyscy ludzie pułkownika, ludzie do specjalnych poruczeń - 11 jego oddech już się niemal uspokoił. Milicjantów uczestniczących w blokadzie drogowej musiało być co najmniej kilkunastu, gdyż biorąc biegiem zakręt, kątem oka dojrzał pan. | sylwetek wysypujących się z baraku. Trudno, będzie mu się zaryzykować: nic innego mu nie pozostawało. Może zatrzymywali ciężarówki tylko w poszukiwaniu kontraband, dy i nie obchodził ich przerażony pasażer na gapę umykający w noc - chociaż zapewne ci dwaj, których pozostawili jęczących na śniegu, mogą być zainteresowani pogonią /i bardziej osobistych względów. Tak czy owak nie mógł tu leżeć bez końca, czekając aż zamrznie lub zostanie odstrzeżony przez jakiegoś bystrookiego kierowcę. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał pokonać drogi,-! do Budapesztu pieszo, w każdym razie pierwszy odcinek**

sześć kilometrów przebrnie w śniegu po po-opiuro  
potem wyjdzie na szosę - musi oddalić się Ikady,  
/anim znów spróbuje znaleźć jakiś samochód. | na  
wschód przed blokadą skręcała w lewo i jemu też 11  
wiel więcej iść na lewo, na skróty, ścinając zakręt, ale z >ny,  
czyli na północy, płynął w pobliżu Dunaj i nie miał  
najmniejszej ochoty znaleźć się w po-i wąskim pasie  
ziemi między rzeką a szosą. Nie y, musiał iść w  
bezpiecznej odległości wzdłuż szo-jzas tak jasnej  
nocy, bezpieczna odległość ozna-Ku-m spory  
dystans. Ten marsz okrężną drogą • mu godziny.  
lajiiie gwałtownie zębami - wyjął chusteczkę z ust, ać  
głęboko powietrza, którego domagały się  
przemarznięty do kości, bez czucia w rękach i |/Ktal  
niepewnie i zaczął strząsać z siebie zamarzli, patrząc  
na drogę w kierunku blokady. Sekundę ?/al już  
twarzą do ziemi płasko w rowie, z sercem j jak  
oszalałe, i rozpaczliwie usiłował wyjąć prawą ii' t •/  
kieszeni płaszcz, gdzie wetknął go po bójce lutami.  
liiual teraz, dlaczego nie było im spieszno - mogli  
Izwolić na stratę czasu. Nie potrafił jednak zrozu->J  
głupoty, która kazała mu wierzyć, że może go 1  
jedynie nieostrożny gest lub głośniejszy dźwięk. |lal, /  
e istnieje coś takiego jak zapach - zapomniał Mimo  
nocy nie było żadnych wątpliwości co do " ego pilnie  
wzdłuż szosy zwierzęcia: ogar daje /poznać nawet w  
nikłym świetle. szy nagły okrzyk jednego z  
mężczyzn, i podnie->: .losów, Reynolds zerwał się  
na nogi i w trzech l dopadł kępy drzew: trudno było  
się spodziewać, że vputr/.ą na tej wielkiej białej

przeestrzeni. On sam bka /dążył jeszcze dojrzeć czterech mężczyzn z psa-ino/y. pozostałe trzy psy były innej rasy, tego był owal się za pień drzewa, którego gałęzi zawdzięczał krótkie i zdradzieckie schronienie, wyjął pistolet z nt i przyjrzał mu się uważnie. Zrobiona na specjalne 10 « AlistairMacLean

Ostatnia granica • 11

zamówienie, pięknie wykonana belgijka kaliber 6.35, precyzyjna i śmiertelna broń, z której mógł trafić do celu j mniejszego niż ludzka dłoń, z odległości dwudziestu kroków, dziesięć razy na dziesięć.

Zdawał sobie jednak sprawę, że teraz będzie miał trudności z trafieniem w człowieka z połowy tego dystansu, gdyż jego przemarznięte i trzęsące się ręce nie były w stanie podporządkować się dyrektywom płynącym z mózgu. Wiedziony szóstym zmysłem podniósł pistolet do oczu i usta mu się zacisnęły: nawet w bladym świetle gwiazd widać było, że lufa zatkana jest zamarzniętym śniegiem.

Zdjął kapelusz i trzymając go za rondo na wysokości ramienia wysunął nieco spoza drzewa, poczekał parę sekund, potem przykucnął i wyjrzał ostrożnie z drugiej strony pnia. Czterech mężczyzn było już w odległości najwyżej pięćdziesięciu kroków, szli zwartym szeregiem, ramię w ramię, trzymając na smyczach wrywające się psy. Rey nolds wyprostował się, wyjął z wewnętrznej kieszeni długopis i szybko, ale bez paniki, zaczął wydłubywać z lufy pistoletu śnieg. Ale odrętwiałe ręce zawiodły go i



kiedy długopis wyślizgnął mu się z zeszywniałych palców, znika jąć czubkiem w wysokiej zaspie, wiedział, że nie ma go c<> szukać, że już i tak za późno.

Słyszał skrzypienie podkutych butów na twardo ubii nawierzchni drogi. Trzydzieści kroków, może nawet mnie i Zacisnął zsiniały, skostniały palec na spuście, przylegaj :> wnętrzem nadgarstka do twardej, szorstkiej kory, goto wysunąć lufę zza drzewa - musiał z całej siły przyciskać dłoń do pnia, żeby opanować jej drżenie - a lewą ręką; i sięgnął do pasa po nóż sprężynowy. Pistolet był przezna czony dla mężczyzn, nóż dla psów, szansę były więc wyrównane, gdyż milicjanci zbliżali się do niego idąc ławą prze/1 całą szerokość szosy, z karabinami dyndającymi na rami< nach - niewprawni amatorzy, nie mający pojęcia ani walce, ani o śmierci. Albo raczej szansę byłyby prawie j równe, gdyby nie pistolet: pierwszy strzał mógł oczyścić zatkaną lufę, a mógł też urwać Reynoldsowi dłoń. Pt-i l saldo więc jego szansę przedstawiały się o niebo gorzej, | ale misja taka jak ta w ogóle nie dawała mu wielkich szans

li'.| wciąż miał przed sobą określone zadanie i to 'Iliwialo wszelkie działania oprócz czysto samoty/nowy szczęknięt głośno i wysunęło się długie . iscio centymetrów, dwustronne stalowe ostrze, aielo złowrogo w świetle gwiazd, gdy Reynolds ic zza pnia wymierzając pistolet w najbliższego i Palec zacisnął mu się na spuście, znierucho-

Uklonił się i w chwilę potem Reynolds cofnął się za  
rękę znów opanowało niepoohamowane drze-  
ach poczuł nagłą suchość: dopiero teraz poznał  
it alych trzech psów.

yszkolonymi wiejskimi milicjantami, choćby i mi,  
miał szansę sobie poradzić, z ogarem rów-lylko  
szalenie mógłby się targnąć na walkę z tresowanymi  
dobermanami, najzacieklejszymi i i-js/yymi psami na  
świecie. Szybkie jak wilki, silne irki alzackie,  
nieustraszone i bezwzględne, dodawały się zwyciężyć  
jedynie śmierci. Reynolds nii- zawahał. Ryzyko,  
które chciał podjąć, już nie H'in, ale  
stuprocentowym samobójstwem. Nadal <•!\*/(> było  
zadanie, jakie miał wykonać. Pozosta-\ciit. choćby  
jako więzień, mógł żywić iskierkę ii'śli da sobie  
rozsarpać gardło przez doberma-imings, ani jego  
sekrety nigdy nie wrócą do ro-krnju.

ils oparł czubek noża o drzewo, wcisnął ostrze z  
schował nóż do skórzanej pochwy i położył na l  
kapeluszem. Sekundę później rzucił pistolet do  
"•/onych milicjantów i wyszedł na drogę i światło  
ckami wysoko podniesionymi do góry.

nl/icstu minutach doszli do milicyjnego baraku.  
ires7.towanie jak i długi marsz na mrozie przebie-  
uliiych incydentów. Reynolds spodziewał się w ni  
rn/ie brutalnej szarpaniny, a w najgorszym  
poturbowania kolbami karabinów i podkutymi f  
milicjanci byli spokojni, niemal uprzejmi i  
nie .'iiiowu ani wrogości, nawet ten z wielkim sinia-

kiem na twarzy, już podpuchniętej po wcześniej  
zadany ciosie pistoletem Reynoldsa. Oprócz  
pobieżnego przeszukania, czy nie ma przy sobie  
innej broni, nie napastowali | go więcej, nie zadawali  
żadnych pytań ani nie żądali oka zania dokumentów.  
Ta powściągliwość skonsternował;; Reynoldsa: nie  
tego się spodziewał w państwie policyjnym  
Ciężarówka, do której się wkradł, dalej stała w tym  
samym miejscu, jej kierowca gwałtownie protestował  
i gestykulował obiema rękami, przekonując dwóch  
mili cjantów o swojej niewinności -jak się Reynolds  
domyślił. podejrzewano go zapewne, że wiedział o  
obecności pasa zera na gapę. Zatrzymał się, chcąc w  
miarę możliwości oczy ścić kierowcę z zarzutu, ale nie  
pozwolono mu dojść do słowa. Dwaj konwojenci z  
wielką nadgorliwością - tera/ kiedy znaleźli się w  
obecności dowództwa i swoich bezp<> średnich  
przełożonych - chwycili go pod pachy i wepchnę 11  
do baraku.

Barak był mały, kwadratowy i prowizoryczny,  
szpary \v ścianach poutykano gazetami, a całe  
wyposażenie stanowi ły przenośny piecyk.z rurą  
sterczącą przez dach, telefon,! dwa krzesła i  
zniszczone małe biurko. Za biurkiem siedział  
[ oficer, niski tłusty człowieczek w średnim wieku, o  
czerwo nej nalanej twarzy bez wyrazu. Zapewne  
marzył, aby je<> świńskie oczka rzucały zimne,  
przewiercające na wskroś spojrzenie, lecz nie bardzo  
mu to wychodziło: nadymał sk1 rzekomym  
autorytetem jak nastroszony indor. Zero, ocenił l go

**Reynolds. Choć w pewnych okolicznościach - takich jak obecne - może okazać się niebezpieczny, przy pierwszym j kontakcie z kimś ważniejszym od siebie pęknie jak prze kłuty balonik. Mały blef nie zawadzi. Wyrwał się z rąk trzymających go milicjantów, podszedł | dwoma długimi krokami do biurka i wyrznął pięścią z tak;i siłą, że telefon na chwiejnym blacie podskoczył i jęklwir zadzwieczał.**  
**- Czy pan tu jest dowódcą? - zapytał podniesionymi tonem.**

**Człowieczek za biurkiem zamrugął z przerażeniem, od chylił się szybko w krześle i zaczął instynktownie osłaniać l się jak przed ciosem, lecz zaraz zmitygował się i opuścili**

**Ostatnia granica • 13**

**JU> wiedział, że jego ludzie to widzieli i jegoiczerwo-| i policzki spurpurowiały jeszcze bardziej. Izywiście, że jestem tu dowódcą! - Zaczął piskliwym item, wziął się w garść i głos spadł mu o oktawę. - A [łysiał?**

**• co do diabła ma znaczyć ten skandal? -Reynolds nu w słowa, wyjął z portfela przepustkę i paszport i na stół.- Niech pan to sobie obejrzy. Sprawdzi v i odciski palców, "byle szybko. Już jestem ny i nie mam czasu dyskutować z panem całą noc. J! Niech się pan pospieszy!**

**ii-c/.ek za biurkiem musiałby wykazać nadludzką ••<•. /eby tak zdecydowana pewność siebie i święte | in- nie zrobiły na nim żadnego wrażenia - jemu 1.1 k**

do takiej odporności daleko. Wolno, niechęć-.iiii)l do siebie dokumenty i wziął je do ręki.

h. i n n Buhl - przeczytał. - Urodzony w Linzu w tysiąc

• i dwudziestym trzecim, teraz zamieszkały w i>r/.i:dsiębiorca, import-eksport-hurt części za-u-st wysłane ekspresem zaproszenie waszego a Przemysłu - dodał Reynolds ze złowrogim i\v teraz rzucił na stół, był napisany na firmo-/e ministerstwa, koperta miała znaczek ostem-i Hidapeszcie cztery dni temu. Reynolds niedba-utl krzesło, usiadł i zapalił papierosa. Papie-i ;nica, zapalniczka wszystko było austriackie, a ilnncka pewność siebie musiała wyglądać na .-o. co powiedzą na to pana przełożeni w Buda-• iruknął. -Chyba nie zwiększy to pana szans na ",<<\*. nawet nadgorliwość nie jest przestę-uszym kraju.

i-ru był już opanowany, ale pulchne białe ręce i, kiedy wkładał list do koperty i zwracał doku-noldsowi. Złożył ręce na biurku, wbił w nie

14 • AlistairMacLean

wzrok, a potem z zasepionym czołem przeniósł spojrzri na Reynoldsa.

- Dlaczego pan uciekał? - spytał.

- O mój Boże! - Reynolds potrząsnął głową z udam rozpaczą: to oczywiste pytanie od tak dawna wisiało powietrzu, że miał mnóstwo czasu, aby przygoto\ui| odpowiedź. - A co by pan zrobił, gdyby w środku

not-J rzuciło się na pana dwóch zbirów wygrażając bronią? Si« działby pan spokojnie i dał się zatłuc?

- To byli milicjanci. Mógł pan...

- Teraz widzę, że to byli milicjanci - przerwał Reynolt) kwaśno. - Ale w ciężarówce było ciemno jak w grobie.

Wyciągnął się niedbale na krześle, na pozór spokojny j rozluźniony, myśląc intensywnie, co dalej. Człowieczek biurkiem był ostatecznie porucznikiem milicji lub kinij równym mu stopniem. Chyba nie jest taki głupi, na jakici wygląda, pomyślał Reynolds, i może w każdej chwili zad\* jakieś niewygodne pytanie. Zdecydował, że najwięks szansę da mu bezczelność, zarzucił więc postawę wrogos i odezwał się przyjaznym tonem:

- Niech pan posłucha, dajmy sobie z tym spokój. NI sędzę, aby to była pańska wina. Wykonywał pan tylko swd obowiązek, choć ta nadgorliwość może mieć dla pana pr/J krę konsekwencje. Ubijmy interes: pan zapewni mi środ« transportu do Budapesztu, a ja zapomnę o wszystkim. Nt ma powodu, żeby ta sprawa doszła do uszu pańskich i łożonych.

- Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy. - Propozycja / ^ stała przyjęta przez oficera z mniejszym entuzjazmem i się Reynolds spodziewał, a w jego głosie wyczuł nav j akby -cień sarkazmu. -Niech mi pan powie, Buhl, dlac/c był pan w tej ciężarówce? Dość niezwykła forma podr<> wania jak na takiego

ważnego przedsiębiorcę. I nawet i zapytał pan kierowcy.

- Zapewne by mi odmówił. Miał wywieszkę, że nie bierze przygodnych pasażerów. - Gdzieś w głębi mózgu zadźwięczał mu ostrzegawczy dzwoneczek. - A ja mam plan na spotkanie.

- Ale dlaczego...

Ostatnia granica • 15

^i«'l(0 ciężarówka? - Reynolds uśmiechnął się po-

I drogi są zdradzieckie. Tu poślizg na lodzie, i w

nawierzchni i mój borgward złamał przednią

(ha! pan samochodem? Przemysłowiec w takim

. wiem! Reynolds pozwolił sobie na nutę znie-

II irytacji. -Dlaczego nie samolotem? Miałem ci

zamiennych w bagażniku i na tylnych ! ;uluje się

takiego ciężaru na samolot. - Ze i następnego

papierosa. -To całe przesłu-

• uważne. Dowiodłem moich uczciwych za-się

spieszę. Co z tym transportem? o dwa małe pytanki

i pojedzie pan - przy-

raz wygodnie w krześle, z rękami skrzyżo-lach i

Reynolds poczuł, że jego niepokój

ni prosto z Wiednia? Główną szosą? /awołał

Reynolds. -Jakby inaczej?

iiir będzie śmieszny. - Wiedeń był oddalo-wit-ście

kilometrów od miejsca, gdzie się

. po południu.

1'iutej?

**N ładnie dziesięć po szóstej. Pamiętam, że narek podczas odprawy celnej. IIH to przysiąc? «'C/ne. v ci e głową i znak dany oczami przez ofice-  
•ynoldsa, lecz zanim zdążył uczynić naj-/y pary ramion pochwyciły go z tyłu, pond wykręconych do przodu rękach szczęk-talowe kajdanki.**

**>!a ma /naczyć? - Mimo szoku, zimna furia • n nic mogła być prawdziwsza, umiejętny kłamca nie powinien operować i 1'iiklami. - Milicjant starał się mówić nor-ilr tryumf w jego głosie i oczach był dla 16 • Alistair MacLean**

**Ostatnia granica • 1-7**

**wszystkich widoczny. - Mam dla pana wiadomość, Bm jeśli pan się tak nazywa, w co ani przez moment nie wier łem. Dziś o trzeciej po południu granica austriacka zostm zamknięta na dwadzieścia cztery godziny, jak sądzę w cd rutynowej kontroli przejścia. Dziesięć po szóstej, akurat" i Nie kryjąc już szerokiego uśmiechu, sięgnął ręką po sin chawkę telefonu. - Dostaniesz od nas środek transportu <ll Budapesztu, ty beczelny oszuście, dostaniesz, a jakże, ni licyjną więźniarkę. Już od dawna nie mieliśmy w rękiic zachodniego szpiega, jestem pewien, że z przyjemność wyślą specjalnie z tej okazji samochód z samego Buda|x sztu.**

**Przerwał nagle, zmarszczył brwi, nacisnął widelki te fonu raz i drugi, posłuchał jeszcze przez chwilę, w koni1 mruknął coś pod nosem i gniewnym ruchem odłożył s chawkę.**



- Znowu zepsuty! Ten cholerny grat jest wiecznie psuty! - Nie był w stanie ukryć rozczarowania, osób r  
złożenie tak ważnego meldunku stanowiłoby jedną z  
n piękniejszych chwil jego życia. Skinął na jednego  
ze s v ich ludzi. - Gdzie jest najbliższy telefon?

- W wiosce. Trzy kilometry stąd.

- Biegnij tam jak najszybciej. - Nagryzmolił coś z fur  
na kartce papieru. - Tu masz numer i wiadomość. Nt  
zapomnij powiedzieć, że pochodzi ode mnie. Idź już,  
ul żałuj nóg.

Milicjant złożył kartkę, wsadził do kieszeni, zapili  
płaszcz po szyję i wyszedł. Przez otwarte na moment  
cliw Reynolds zobaczył, że w tym krótkim okresie,  
który miną od jego ujęcia, niebo zdążyło się  
zachmurzyć i na ciemny^ tle pokazały się wirujące  
płatki śniegu. Mimo woli wstr/n nął się, potem  
zwrócił wzrok na oficera.

- Obawiam się, że przyjdzie panu gorzko za to zaplin  
H - powiedział spokojnie. - Robi pan wielki błąd.

- Upieranie się przy swoim jest samo w sobie rzci  
chwalebna, ale trzeba wiedzieć, kiedy dać spokój. -

(V wieczek za biurkiem wyraźnie delectował się  
sytuacją; Jedyne błąd, jaki zrobiłem, to danie choć  
przez chu wiary pańskim słowom. - Spojrzał na  
zegarek. - Za pół <"

te za dwie przy tej pogodzie, nadjedzie pański, ujął,  
środek transportu. Możemy spędzić.ten |o  
pożytecznie. Garść informacji, poproszę. Za-  
pim.skiego nazwiska, tym razem prawdziwego, i pan  
nic przeciwko temu. »n moje nazwisko. Sprawdzał

pan dokumenty. iv, Reynolds usiadł z powrotem, dyskretnie 'iajdanki: były mocne, ciasno zaciśnięte wo-A' i nie dawały żadnej nadziei. Mimo wszy-r i ;ic skrępowane ręce, mógł pozbyć się ofice-|ii' .owy nadal spoczywał pod kapeluszem, ale ni marzyć w obecności trzech uzbrojonych liii plecami. I c informacje i papiery są prawdziwe - do-> ii kłamać tylko dla pańskiej przyjemności. :i/i> panu kłamać, jedynie, powiedzmy, od:-inu'eć. Niestety, wymaga to pewnie lekkiej I N i.int odsunął krzesło, podniósł się ciężko na li • 'nurko; na stojąco był jeszcze niższy i grub-proszę.

< m już...

Ił l ;il / sykiem bólu, gdy hojnie upierścienio-i ; o dwukrotnie w twarz: wierzchem i spo-,,;isnął głową, podniósł skrępowane ręce i icika ust. Jego twarz była bez wyrazu, sk-niu pewnych spraw nabiera się zwykle r promieniał. - Sądzę, że zaczynam dost.rze-II .\ s/e oznaki rozsądku. Skończmy więc z tym lar/aniem.

Ił l icll mu w twarz niecenzuralne wyzwisko. II nnhicglo krwią jak po smagnięciu szpicru-na ręka podniosła się - i nagle mężczyzna ii biurko, wijąc się i skowycząc z bólu po ifi-ynolds wymierzył mu błyskawicznym ru-!<• w Korę nogę. Na pa"rę sekund oficer znie-,ic l dysząc, na wpół leżąc, na wpół klęcząc rku, podc/as gdy jego ludzie stali jak skali! wstrząśnięci tą nieoczekiwana, niepra-Hiuc-ji! Właśnie w tym momencie drzwi z

**18 . • Alistair MacLean**

**trzaskiem otworzyły się i do baraku wpłynął podmuch mnego powietrza.**

**Reynolds obrócił się w krześle. Mężczyzna stojący drzwiach zmierzył zimnym spojrzeniem jasnoniebieski' oczu - bardzo przenikliwych jasnoniebieskich oczu - sn nę, jaka rozgrywała się wewnątrz. Był szczupły, barczyst; tak wysoki, że jego gęste kasztanowe włosy dotykały niem. • górnej framugi; miał na sobie zielonkawą, przyprószoi śniegiem, wojskowy płaszcz z wysokim kołnierzem i epoli tami, ściągnięty paskiem i tak długi, że zakrywał górę ji-jl wysokich, lśniących oficerek. Reszta fizjonomii pasował^ do oczu: gęste brwi, delikatne nozdrza nad przystrzyżonyii wąsem, wąskie arystokratyczne usta, wszystko to nadawaj zdecydowanej, przystojnej twarzy ten nieokreślony wład czy wyraz kogoś nawykłego do natychmiastowego i IK-I względnego posłuszeństwa. Dwie sekundy wystarczyły mu na zorientowanie siv sytuacji - temu mężczyźnie zawsze wystarczą dwie sekuii dy, pomyślał Reynolds: żadnego zdziwienia, żadnych pytud "Co się tu dzieje?" czy "Co to do diabła ma znaczyć?! Przybysz wszedł prosto do^ pokoju, wyjął jeden z kciukom z za skórzanego paska, na którym wisiał rewolwer, pochyl się nad biurkiem i podniósł oficera na nogi, nie zwracajii^ uwagi na jego pobielalą twarz i urywane bolesne jęki.**

**- Idiota! - Głos był dopasowany do postaci, zimny, taniemy, matowy. - Kiedy następnym razem będziecie hm:., przesłuchiwać kogoś, pamiętajcie trzymać się z dala od jego nóg. - Wskazał ruchem głowy na Reynoldsa Kim jest ten człowiek, o co go pytaliście i dlaczego?**

**Oficer rzucił wściekle spojrzenie na więźnia, wciągnął głęboko powietrze do udreńczonych płuc i powiedział ci raj pliwie przez zaciśnięte gardło:**

**- Nazywa się rzekomo Johann Buhl i podaje za przemyślowca z Wiednia, ale ja w to nie wierzę. To szpieg, i . dzący faszystowski szpieg! - wyrzucił z furją.**

**-Naturalnie. - Wysoki mężczyzna uśmiechnął się chłodno. - Wszyscy szpiegi są śmierdzącymi faszystain^ Ale nie pytałem o wasze zdanie, pytałem o fakty. Po pii-i wsze, skąd wiecie, jak się nazywa? Ostatnia granica • 19 ifilział i ma paszport na to nazwisko. Falszy-  
' ,').**

**al na stół, starając się wyprostować.  
mruknął.**

**!o. - Polecenie zostało powtórzone dokładnie, z tą samą intonacją, riatfnnj szybko rękę, krzywiąc się z bólu Im. i podał paszport, podrobiony. Rzeczywiście doskonale. -mc przerzuczał strony. - Mógłby nawet być mc jest. Tak, to nasz ptaszek. i siał zrobić spory wysiłek, żeby przestać**

Ten człowiek był nieskończenie groźny, iszy od batalionu głupich cymbałów w ro-i oficerka. Jakakolwiek próba oszukania go u. ck? Wasz ptaszek? - Milicjant ciężko dy-ipliac oddech. - Co to znaczy? i K- pytania, człowieku. Mówicie, że jest /i'«o? r przekroczył granicę dziś wieczór. - Oficer że należy mówić zwięźle..- Granica była i1! si(? o ścianę, wyjął rosyjskiego papierosa papierośnicy - miedziane czy chromowe n'c dla tych na górze, pomyślał Reynolds 11 i popatrzył w zadumie na więźnia. W •rwa! oficer milicji. Dwadzieścia czy trzy-lalo mu czas, żeby zebrać myśli i zdobyć się, .1111 słuchać waszych rozkazów? - wybuchł. cl iiii widziałem. Ja tu jestem dowódcą. A do diabła? (l/icsieć sekund, podczas których przybysz « /rokiem twarz j ubranie Reynoldsa, za- • I MV. pośpiechu i spojrział na milicjanta, nieruchome, choć wyraz twarzy 20 • AlistairMacLean się nie zmienił: oficer zdawał się dziwnie kurczyć w mundurze i cofnął-się szybko, wpadając na kant biurka. - Zdarzają mi się, choć rzadko, momenty wspaniali myślności. Zapomnimy na razie, co powiedzieliście i tonem. - Przybysz wskazał głową na Reynoldsa i jego glfl niemal nieznacznie stwardniał. -- Temu człowiekowi k'( krew z ust. Stawiał może opór przy aresztowaniu?

- Nie odpowiadał na moje pytania i...
- Kto dał wam prawo przesłuchiwać czy bić więźniów| - Zabrzmiało to jak smagnięcie bata. - Ty cholerny, skul czony idioto, mogłeś wyrządzić nieodwracalną szkodę! .id szcze raz przekroczysz kompetencje, a osobiście dopił ni je, żebyś odpoczął od swoich męczących obowiązków. Mof nad morzem, na przykład w Konstancy? Milicjant próbował oblizać wyschnięte wargi, jego ocl były oszalałe ze strachu. Konstanca, rejon nlewolniczy obozów pracy przy budowie kanału Dunaj-Morze Czarnd była postrachem całej Europy Środkowej: wielu tam zes!^ no, ale nikt nigdy nie wrócił.
- Ja tylko... ja tylko myślałem...
- Zostaw myślenie tym, którzy potrafią sprostać trudnemu zadaniu. - Wskazał kciukiem na Reynoldsn Każcie zaprowadzić tego człowieka do mojego samochód Naturalnie, został przeszukany?
- Ależ oczywiście! - Oficer aż trząśł się z gorliwości Bardzo dokładnie, zapewniam. >
- Zapewnienie z waszych ust to najlepszy powód powtórzenia tej czynności - skwitował wysoki mężczy/.n sucho. Spojrzał na Reynoldsa, unosząc lekko jedną brew J Czy musimy znizać się do upokarzających nas obu czynn^ ści, to znaczy do tego, abym osobiście pana przeszukał?
- Mam nóż pod kapeluszem.
- Dziękuję.

Mężczyzna podniósł kapelusz, wziął nóż, uprzejmie wsłuchiwał Reynoldsowi kapelusz z powrotem na głowę, nacisnął sprężynę, obejrzał uważnie ostrze, zamknął nóż, wsunął go do kieszeni płaszcza i spojrzał na bladego jak płotu oficera.

Ostatnia granica • 21

„Czemu nie mieliście się wznieść na miłość profesji - rzekł zerkając na zegarek,

• iwnie złoty jak papierośnica. - No, muszę

• i/ę, że macie tu telefon. Połączcie mnie z szybko!

rassy! Chociaż Reynolds z każdą chwilą > do

tożsamości mężczyzny, potwierdzenie a wywołało w

nim wstrząs i czuł, jak mimo tężeje pod baczny

wzrokiem przybysza. rassy mieściła się kwatera-

główna AVO, rzędu Bezpieczeństwa, którego metody

po-ili/ily za najbardziej brutalne, bezlitosne i l q

żelazną kurtyną. Było to jedyne miejsce ,o za wszelką cenę pragnął uniknąć.

:o ta nazwa coś panu mówi. - Nieznajomy - To nie

świadczy dobrze o panu, panie skich zamiarach.

Zachodni przemysłowcy I3 się tą ulicą. - Odwrócił

się do milicjanta. m razem?

ii. - Oficer znów mówił wysokim, piskliwym ' ;ie

zacinając. Był przerażony do najwy-Mie działa.

Nie/równana sprawność pod każdym

li bogowie mają w opiece nasz nieszczęsny

wyjął z kieszeni portfel z legitymacją i

• od oczami milicjanta. -Jakwidzicie, mam 'urze, żeby przejąć więźnia.

. towarzyszu pułkowniku, oczywiście. -Itforliwości. -  
Cokolwiek każecie, towarzy-  
1'ortfel zniknął w kieszeni, nieznajomy . i-ynoldsa i  
ukłonił z ironiczną kurtuazją. -lin / Węgierskiego  
Urzędu Bezpieczeń-i l un. panie Buhl, a mój  
samochód jest do < 11 Niezwłocznie wyruszamy do  
Budape-i ja oczekiwaliśmy pana już od kilku ochotę  
przedyskutować z panem

## Rozdział drugi

Na dworze panowała teraz, kompletna ciemność, ajl  
blask z otwartych drzwi i niezasioniętego okna bara  
dawał trochę światła. Wóz pułkownika Szendró stał  
drugiej stronie drogi: czarny mercedes, który  
zdołała A pokryć gruba warstwa śniegu oprócz  
maski, gdzie topnił pod wpływem rozgrzanego  
silnika. Nastąpiła jeszcze chw| la opóźnienia, gdy  
pułkownik kazał im zwolnić kierowci "ciężarówki i  
sprawdzić, czy Buhl nie zostawił w niej jaklj goś  
bagażu. Niemal od razu znaleźli tam jego torbę,  
wsadź li do niej zabrany mu pistolet, po czym  
Szendró otwoi przednie drzwf limuzyny, zapraszając  
gestem więźnia i środka.

Reynolds mógłby przysiąc, że nikt nie jest w star  
wieźć go na siłę samochodem dłużej niż pięćdziesiąt  
kil metrów, ale jeszcze zanim ruszyli przekonał się,  
jak bar«( się mylił. Podczas gdy milicjant z  
karabinem pilnował H' lewej strony, Szendró  
nachylił się z drugiej, otworzył scl wek na rękawiczki  
przed Reynoldsem i wyciągnął <l długie cienkie  
łańcuchy, zostawiając schowek otwarty.



- Nieco nietypowe auto, drogi panie Buhl - powiecb  
przepraszająco. - Ale pan rozumie. Od czasu do c/l  
uważam, że powinienem zapewnić niektórym moim  
pal żerom poczucie, hm... bezpieczeństwa.

Rozpiął nagle jeden z kajdanków, przeciągnął p r  
niego koniec łańcucha, zamknął, przeciągnął łam-  
i przez kółko na tylnej ściance schowka i przypiął do  
dnu go kajdanka. Później owinął drugi łańcuch  
wokół nóg l(i noldsa, tuż nad kolanami, zamknął  
drzwi i nachylając przez otwarte okno zamknął go  
na kłódkę do podłokii ka. Cofnął się i obejrzał swoje  
dzieło.

- Chyba wszystko w porządku. Będzie pan miał pc\vj  
wygodę i swobodę ruchu, ale nie dostateczną, żeby ni  
dosięgnąć, zapewniam, a jednocześnie nie uda się p  
Ostatnia granica • 23

!>(••/<••/ drzwi, których tak czy owak nie można pan  
zauważy, że nie ma przy nich klamki. -i był lekki,  
nawet żartobliwy, ale Reynolds /wieść. - Niech pan  
także nie robi sobie ii- ukradkiem wytrzymałość  
łańcuchów i ich łańcuchy wytrzymują ciężar ponad  
tony, st specjalnie umocniony, a kółko w scho-ane do  
ramy... Co tam znowu, do diaska? •ii-m powiedzieć,  
towarzyszu pułkowniku, -\ bko, nerwowo. -

Przekazałem wiadomość udy w Budapeszcie, żeby  
przysłali samo-uwieka.

Ton Szendrő brzmiał ostro. - Kiedy?  
sieć, piętnaście minut temu.

'ha było powiedzieć mi od razu. W każdym .1  
późno. To nic, może nawet dobrze się Koledzy są  
równie ciężko myślący jak wy,  
mino sobie wyobrazić, długa jazda w zi-  
, iowietrzu powinna zbawczo rozjaśnić im  
nndró zatrzasnął drzwiczki, zapalił świat-s/ybą, żeby  
widzieć więźnia, i ruszył do i rodes miał szerokie  
śniegowe opony na >-<'h kołach i mimo  
zlodowaciałej nawierz-•tuil z dużą szybkością.  
Prowadził ze-swo-i mistrza, raz po raz zwracając  
zimne nie-  
i|/.ial spokojnie, patrząc przed siebie.  
iiciichy mimo przestróg pułkownika - któ-irzesadził.  
Teraz zmuszał się, aby my-nie i konstruktywnie.  
Jego sytuacja 'icjiia, a wiedział, że kiedy dotrą do  
•iipelnie beznadziejna. Cuda się zda-rcślonych  
granicach - nikt nigdy nie nej AVO, z sal tortur na  
ulicy Stalina. ni znajdzie, będzie zgubiony. Jeśli ma i  
s jazdy, w ciągu najbliższej godziny. i h nie było  
korki do otwierania okna Unie usunął wszelkie  
takie pokusy -

24 • Alistair MacLean

ale nawet przy otwartym oknie nie dosięgnąłby  
klamki zewnątrz. Jego ręce nie dosięgały także do  
kierownic sprawdził długość łańcucha i wiedział, że  
zabrakłoby d brych kilku centymetrów. Mógł  
wyciągnąć nogi na pewj odległość, ale nie mógł  
podnieść ich na tyle wysoko, ż« kopnąć w przednią  
szybę, roztrzaskać w bryzgi hartowa szkło i być  
może spowodować wypadek przy dużej predlj ści.

Mógł oprzeć nogi o tablicę rozdzielczą i znał samoci dy, w których zrzuciłby w ten sposób przednie siedzę ni j szyn. Ale w tym aucie wszystko wyglądało solidnie, a gdy) jego próby spaliły na panewce, co było niemal nieuniknne, zostałby stuknięty w głowę i dowieziony nieprzytomny na ulicę Andrassy.

Świadomie nie dopuszczał do siebie myśli, co się z nim stanie, kiedy już się tam znajdzie:! prowadziło jedynie do upadku ducha i zguby.

Kieszenie - czy ma coś w kieszeniach, co mogłoby 'przydać? Coś na tyle ciężkiego, żeby walnąć Szendni głowę i wprawić w szok na czas wystarczająco długi, u stracił kontrolę nad kierownicą i rozbił samochód.

U(nolds zdawał sobie sprawę, że sam może zostać ran równie ciężko jak pułkownik, chociaż miał tę przewagę, byłby przygotowany, ale pięćdziesiąt procent szansy 'lepsze niż jedna na milion. Wiedział dokładnie, że Szendrő schował kluczyk od kajdanków.

Szybki przegląd w myślach zawartości kieszeni pozwolił go tej nadziei: miał tam tylko garść forintów.

Wór tego buty - może uda mu się zdjąć buta i rąbnąć Szendrj twarz, zanimten się zorientuje, co się święci?

Zaraz jed( zdał sobie sprawę z daremności tego pomysłu: mając w kajdankach mógłby próbować niepostrzeżenie s' do butów jedynie między kolanami, a te były ciasno s| powane... Właśnie przyszedł mu do głowy jeszcze j(' pomysł, desperacki, lecz nie bez szans, kiedy pułkowi się

odezwał, po raz pierwszy od piętnastu minut, od" wyruszyli w drogę.

- Jest pan niebezpiecznym człowiekiem, panie liut zauważył lekkim tonem. - Za dużo pan myśli... jak KE Zna pan waszego wielkiego Szekspira, oczywiście.

Ostatnia granica • 25

\* nie odpowiedział. Każde słowo tego człowie- ipkn.

ni- najniebezpieczniejszym, jakiego miałem tu l.'U1, a paru gotowych na wszystko ludzi siedzia- iii .samym miejscu co pan - ciągnął Szendró z \ It% pan, dokąd pan jedzie, i zdaje się pan nie ' Ale oczywiście pan się denerwuje.

• dulej milczał. Ten plan mógł się udać...

naj-"Jllwość sukcesu wystarczała, aby usprawied- iir/hyt towarzyski, mówiąc najogólniej -\ nik.

•rosa i wyrzucił zapalniczkę przez okno. Rey-lywniał: czekał właśnie na coś takiego. ' icję, że jest panu wygodnie? - spytał

Iteynolds przybrał ten sam ton niedbalej i kownik. - Ale z chęcią zapaliłbym papiero-i>aii nic przeciwko temu. burd zo. - Szendró był samą uprzejmością.

••woich gości. Znajdzie pan kilka leżących i.u. Tani i pospolity gatunek, niestety, ale 'i/t-nia, że ludzie w pańskim... położeniu irdni w tych sprawach. Każdy papieros, iikicRo gatunku, pomaga podczas stresu. Noynolds wskazał głową gałkę na tablicy swojej stronie. - Zapalniczka, tak? ""/c j<\*j użyć.

ii.'il spętane ręce, nacisnął zapalniczkę

**K** nudach; rozżarzona spirala zabłysła ni świetle znad szyby. Wtem ręce mu i na podłogę. Sięgnął w dół, ale jego <n,' na łańcuchu kilkanaście centy-/. i klął cicho pod nosem.

**i u:** i Reynolds prostując się, spojrział ulkownika nie było złości, tylko mie- i i podziwu, z przewagą tego ostat-

**26 • Alistair MacLean**

**Ostatnia granica • 27**

- Bardzo, bardzo sprytnie, panie Buhl. Powiedzia że jest pan niebezpiecznym człowiekiem i coraz bard/H się w tym upewniam. - Zaciągnął się głęboko papierosr(- Otwierają się teraz przed nami trzy różne możliwie prawda? Żadna z nich, muszę przyznać, nie jest dla szczególnie pociągająca.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Wspaniale! - Szendró uśmiechał się szeroko. - '/A mienie w pana głosie nie mogłoby brzmieć prawdziwi^ Jak powiedziałem, mamy przed sobą trzy warianty. wszy: schylam się usłużnie, żeby ją podnieść, a pan z < :il siły wali mnie w tył głowy kajdankami. Z pewnością st j ciłbym przytomność, zaś pan bardzo uważnie, choć <l| kretnie, obserwował, gdzie chowam kluczyki.

Reynolds spojrział na niego pozornie nierozumiejąc wzrokiem, ale w ustach już czuł gorzyc porażki.

- Drugi wariant: rzucam panu pudełko zapalek. p| zapala jedną, podpala główki w całym pudełku i cisk;i | je w twarz, samochód rozbija się i kto wie, co

dalej? też podać panu ogień, zapalniczką lub papierosem, wt«< chwyt judo za kciuk, parę złamanych palców, przejściu nadgarstek i kluczyki są do pańskiej dyspozycji. Pan Buhl, musi się pan obejść smakiem.

- Mówi pan bzdury - powiedział Reynolds grubiańs

- Może, może... Mam podejrzliwą naturę i dlatego

Jol cze chodzę po tym świecie. - Rzucił coś

Reynoldsowi kolana. - Oto jedna zapalka. Może ją pan zapalić o met.ij wy zawias schowka.

Reynolds siedział i palił w milczeniu. Nie mógł chciał się poddać, chociaż wiedział w głębi serca, że md

czynna za kierownicą zna się na wszystkich

sztuczki;iq nawet takich, o których on sam nie ma

pojęcia. Przyszło i do głowy jeszcze pół tuzina

pomysłów, każdy bardziej 14 tastyczny i

niedorzeczny od poprzedniego, i właśnie czył palić

drugiego papierosa - odpalił go od pierwszoj kiedy

pułkownik zredukował bieg, rozejrzał się po czu,

zahamował nagle i skręcił w wiejską drogę. Pół mind

później, kiedy jechali nią równolegle do szosy, nie

dni niż dwadzieścia metrów od niej, ale skryci za

gęstyrf

i kr/akami. Szendró zatrzymał samochód i zga-•ikzo

światła mijania i pozycyjne; mimo mrozu kohca

okno i wbił wzrok w Reynoldsa. Światło ulał paliło

się w ciemności.

/licznie, pomyślał Reynolds ponuro. Niecałe

kilometrów do Budapesztu, ale on już nie

**kac. Reynolds nie miał żadnych złudzeń, Uiał w swoim czasie dostęp do tajnych akt Iności Węgierskiego Urzędu Bezpieczeń-rwawym powstaniu październikowym ty-I pięćdziesiątego szóstego roku. Była to**

**'tura, trudno wprost uwierzyć, że funkcjo-'!'.y AVH jak się ostatnio nazywali - należą /.kiej. Gdziekolwiek się pojawili, nieśli ze**

**<i:lado, śmierć za życia i śmierć w sensie ilnil śmierć ludzi starych w obozach ze-rli w obozach niewolniczej pracy, szybką**

**••h egzekucji i potworną śmierć w męczar- > przechodzili najokrutniejsze tortury, ja-**

**'h szatańskich umysłach wymyśleć wyrafi-**

**i /awsze trafiający do policji politycznej**

**• kich na całym świecie. A żadna z nich w ' • przewyższyła ani nawet nie dorównała**

**• \ O w nieopisanych okropnościach, nielu-**

**• .lwach i wszechobecnym terrorze, pod ja-**

**• trzymali bezbronnych, zastraszonych do ic/.yli**

**się wiele od hitlerowskiego Gestapo wojny światowej i pogłębili tę wiedzę pod VI), swoich obecnych**

**radzieckich zwierzaj uczniowie przerośli mistrzów i wprówa-\ na ułowie udoskonalenia i jeszcze skute-v**

**zastraszania, o jakich innym się nawet**

**k S/I-IK l ró był nadal w rozmownym nastro-wzuil**

**torbę Reynoldsa z tylnego siedze-ki)lnnnch i**

**spróbował otworzyć. Była za-**

**28 • Alistair MacLean**

**- Klucz - powiedział Szendrő. -1 proszę mi nie mówić; że pan go nie ma, albo że się zgubił. Obaj, jak sądzę, pan Buhl, wyrosliśmy już z przedszkola.**

**To prawda, pomyślał Reynolds ponuro.**

**- Jest w kieszeni mojej marynarki - rzekł.**

**- Proszę go wyjąć. I pana dokumenty także.**

**- Nie mogę do nich dosięgnąć.**

**- Ja to zrobię.**

**Reynolds skrzywił się, kiedy poczuł mocny ucisk i rewolweru na ustach i rękę pułkownika wyjmująca dokumenty z kieszeni na piersiach z wprawą, jakiej powstydziliby się zawodowy kieszonkowiec. Po chwili Szendrő już siedział na swoim miejscu z otwartą torbą i kolanach; bez namysłu przeciął płócienną podszewką wyciągnął z głębi cienki plik papierów, które zaczął portfelnywać z dokumentami z kieszeni Reynoldsa.**

**- No, no, no, panie Buhl. Interesujące, bardzo interesujące. Zmienia pan tożsamość niczym kameleon barwo. zwisko, miejsce urodzenia, zawód, nawet narodowi wszystko nowe w mgnieniu oka.**

**Nadzwyczajna przeinaczenie - Oglądał dwa zestawy dokumentów, trzymając każdy! innej rękę. -**

**Któremu z nich, jeśli już, mamy wierzyć?**

**- Austriackie papiery są fałszywe - burknął Reynold Po raz pierwszy przestał mówić po niemiecku i przesadnie płynny, kolokwialny węgierski. -**

**Dostałem wiadomości że moja matka, która od wielu lat mieszkała w Wiedniu jest umierająca. Musiałem je zdobyć.**



- Oczywiście, A co z pańską matką?
- Nie żyje. - Reynolds przeżegnał się. - Znajdzie panj nekrolog we wtorkowej gazecie. Maria Rakosi. •
- Doszedłem już do tego, że byłbym zdziwiony, gdyhj nie znalazł.

Szendró też mówił po węgiersku, ale jego akcent niol budapeszteński, Reynolds był tego pewien: spędził \v| katorżniczych miesięcy ucząc się wszystkich budapes/t skich naleciałości i idiomów od byłego profesora ję/yl środkowoeuropejskich z Uniwersytetu Budapeszt skiego.

Ostatnia granica • 29

nieszczęście - ciągnął pułkownik. - Skłaniam bym współczuciu, metaforycznie, rozumie pan. lilzi pan, że nazywa się Lajos Rakosi? Bardzo nazwisko.

il«v l prawdziwe. Znajdzie je pan w ewidencji (trudzenia, miejscem zamieszkania i datą ślu- iiszczędzić. - Szendró zaprotestował pod-

- Nie wątpię. Nie wątpię, że może mi pan /kolną z wydrapanymi swoimi inicjałami i ilawną małą przyjaciółkę, której odniósł ki d<i domu. Nie robi to na mnie najmniej-

Co natomiast robi na mnie wrażenie, to u-upulatność i precyzja działania nie tylko

• kich zwierzchników, którzy tak starannie na do jakichś wyznaczonych przez siebie cdy dotąd nie zetknąłem się z taką perfe-

11 karni, pułkowniku. Jestem zwykłym, Mogę tego dowieść. To prawda, mam irkie papiery. Ale moja matka była

**11** wałem się iść na całość. Nie popełni-  
i) przestępstwa przeciwko naszemu  
pan to przyzna. Gdybym chciał, mógł-  
idzie, ale nie chciałem. Mój kraj jest  
peszt jest moim rodzinnym miastem.

. ka - mruknął Szendrő. - Nie wrócił i lo pan  
przyjechał i to zapewne po raz prost na Reynoldsa i  
nagle wyraz jego

**Tam, za panem!**

>\vo obejrzał się, zanim sobie uświado-  
knał po  
angielsku, choć w jego oczach i c, co by zdradzało  
jego intencje. Od-iii /. miną niemal znudzoną. /.nam  
angielski - mówił teraz po an-i wnego? Drogi  
pułkowniku, gdyby pan ./tu, skąd pan nie pochodzi,  
wiedział-

iiHJinniej pięćdziesiąt tysięcy miesz-

**Ostatnia granica •**

**31**

**30 • Alistair MacLean**

kaficów stolicy. Dlaczego tak powszechna umiejętność  
miałaby budzić podejrzenie?

- Do licha! - Szendrő klepnął się ręką w udo. - Wspaniale,  
naprawdę wspaniale. Zaczynam odczuwać zawód  
zazdrość. Żeby Anglik czy Amerykanin-Anglik, jak  
sini. amerykańska intonacja jest trudna do ukrycia -  
na się tak dobrze mówić po węgiersku, w dodatku z  
bi' szteńskim akcentem, to już niemało. Ale żeby  
Angli wił z tym akcentem po angielsku, to doprawdy  
nadzv.

**ne!**

- Na miłość boską, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. zirytował się Reynolds. - Przecież jestem Węgrem,  
- Obawiam się, że nie. - Szendrő potrząsnął głową. Pańscy zwierzchnicy przygotowali pana bardzo dobrą marginesie: jest pan wart fortunę dla każdego kontrwywodu na świecie, ale jednej rzeczy nie mogli pana nauczyć, ponieważ jej nie znają. Mówię o mentalności ludzkiej. Sądzę, że możemy rozmawiać otwarcie, jak dwaj intelektualiści i zostawić na boku dęte patriotyczne bajki wygłaszane na użytek tak zwanego proletariatu. Jest krótko mówiąc, mentalność ludzi pokonanych, zastanych, niepewnych dnia ani godziny.

Reynolds patrzył na niego ze zdumieniem: ten człowiek musiał być niesłychanie pewny siebie.

- Widziałem wielu naszych rodaków, panie Buhl - powiedział Szendrő nie zwracając uwagi na zdziwienie Reynoldsa

- idących na straszliwe tortury i śmierć. Większość sparaliżowana z przerażenia, niektórzy dygoczą i płaczą, nieliczni trzęsą się z wściekłości. Pan nie pasuje do żadnej z tych kategorii, choć pan powinien. Ale, jak już powiedziałem, mówię o rzeczach, o których pańscy mocodawcy nie mogą wiedzieć.

Siedzi pan koło mnie i na chłodno, bez emocji cały czas planuje pan i kalkuluje, ani na chwilę nie przestaje patrywać możliwości ucieczki, ufny w swoje siły i zdolności

do skorzystania z pierwszej okazji, jaka się nadarzy.

(Id

pan był człowiekiem mniejszego kalibru, panie Buhl, chowanie nie zdradziłoby pana tak łatwo...

Przerwał -nagle i zgasił górne światło, gdy ich , biegł warkot zbliżającego się samochodu; zamknął us/.UI

apierosa z ręki Reynoldsa i rozdeptał go

nie powiedział ani się nie poruszył, dopóki auto, ledwo widoczne zza oślepiających

• imcc cicho po ośnieżonej nawierzchni, nie inności.

Kiedy nie było go już widać ani ó zawrócił na szosę i ruszył pełnym gazem,

•wy bezpieczeństwa, po zdradzieckiej dro-u> padającego śniegu.

i'l:ipi'sztu zajęła im półtorej godziny - była

i n;i podróż, która w normalnych warunkach

'• krócej. Ale zasłona z dużych puszystych

li w świetle reflektorów stawała się co-

i«li zwolnić, czasem posuwając się w

ui pie. Pracujące ciężko wycieraczki mo-

nieg, przesuwając się po coraz węższym

ustawały zupełnie. Przynajmniej dzie-

misiał zatrzymać samochód, żeby wy-

Klio.

;maście kilometrów od granic stolicy, liul z głównej

drogi zapuszczając się w \ch uliczek. Na wielu z nich,

pokrytych :|, zdradziecko maskującą dziury w na-•

li ylo z pewnością pierwszym pojazdem r(ly od

początku śnieżycy. Jednak mimo i j jazdy Szendró

nie przestawał co kilka Keynolda; jego niesłabnąca  
czujność nml nieludzka.

"drafil odpowiedzieć sobie na pytanie,  
i k /jechał z głównej drogi, podobnie jak  
itrzymał się w polu. To, że pragnął  
nią z autem milicyjnym jadącym na  
i. n teraz ominąć blokadę na obrze-  
•am słyshał w Wiedniu, było oczywi-(•KO  
zachowania były niezrozumiałe, wiul się dłużej nad  
tym problemem, .ustało mu najwyżej dziesięć minut.  
•Iziulnicy willowej, wzdłuż krętych, uycli u liczek  
Budy, zachodniej części

32 • Alistair MacLean

miasta, opadającej do Dunaju. Śnieg znów trochę  
się ] rzedził i Reynolds obróciwszy się w fotelu mógł  
dostr/^ kamienisty stok Góry Gellerta, jej szare  
granitowe sk«( sterczące ponad nawianym śniegiem;  
potężną sylwcll Hotelu Gellerta i, gdy zbliżyli się do  
mostu Francisil Józefa, wierzchołek góry, gdzie w  
dawnych czasach biskl Gellert, który naraził się  
swoim ziomkom, został wepchni ty do beczki nabitej  
gwoździami i strącony do Dunaju <l za amatorska  
robotą, pomyślał Reynolds ponuro. Po/l\* wiono go w  
ten sposób życia w ciągu paru minut. Dzisi:i|j  
piwnicach Andrassy zabrano by się do tego znacznie  
pf czyzyjniej.

Przejechali już przez Dunaj i skręcili w lewo na Cór  
niegdyś modny bulwar pełen kafejek na świeżym  
pow trzu, leżący w Peszcie, po drugiej stronie rzeki.  
Tera/ ciemny i wyludniony, jak niemal wszystkie

ulice, i \wyd wał się staroświecki, anachroniczny-nostalgiczna i żali na pozostałość z dawnych, szczęśliwszych czasów. Trucf było, niemal nie sposób, przywołać duchy tych, którzy H cerowali tu zaledwie dwie dekady temu, beztroscy, rad ni, pewni, że nie będzie innego jutra, że wszystkie ji będą takie same jak dzień dzisiejszy. Nie sposób było ' obrazić sobie, choćby mgliście, wczorajszy Budapeszt., i piękniejsze i najpogodniejsze z miast; miasto, jakim \\1 den nigdy nie był; miasto, do którego przyjeżdżało na Kij ko, na dzień lub dwa, tylu obcokrajowców ze wszysiK stron, po to, aby nigdy już stąd nie wyjechać. Ale to u i stko minęło, nawet pamięć o tym się zatarła.

Reynolds nigdy przedtem tu nie był, ale znał to mii jak mało który z jego rdzennych mieszkańców. Na żarli nim brzegu Dunaju Zamek Królewski. gotycko-maui-H ska Baszta Rybacka i kościół św. Macieja wznosiły si<; mai niewidoczne w śnieżnej ciemności, on jednak dział, gdzie są i jak wyglądają, jakby mieszkał tu całe /y Po prawej stronie mijali wspaniały gmach Parlame-i jego tragicznym, naznaczonym krwią dziedzińcem, ud podczas powstania październikowego miała miejsce in| kra ponad tysiąca Węgrów rozjechanych przez czołgi i J Ostatnia granica • 33

- 11 • reżym ogniem ciężkich karabinów maszyno-
- mych przez AVO na dachu tegoż Parlamentu.

l o prawdziwe, każdy budynek, każda ulica miejscu, dokładnie tam, gdzie miały być, ale

nogi się pozbyć rosnącego poczucia nierze-  
ji, jakby był widzem na spektaklu i oglądał  
^ innego. Jako człowiek o przeciętnej  
i a twarde szkolenie starało się całkiem wy-'  
l>y podporządkować wszystkie emocje i  
ni intelektu i rozsądku, był świadom dziw-  
icHo umysłu i nie wiedział, czemu to przypi-  
lowały to przecucie porażki i tego, że stary  
nie wróci do kraju? Albo może zimno, zmę-  
M>ść i widmowy welon wirującego śniegu  
•ystko dokoła? W głębi ducha czuł jednak, w coś  
innego.

I waru i skręcili w długą, szeroką, wysadza-' mlrassy  
- ta ulica pięknych wspomnień,  
•i »-ry Królewskiej do zoo, wesołego miaste-I i  
niegdyś nieodłączną częścią szalonych  
• iiiiic-niem swobody i radości i najbliższym iiiirjsceni  
na ziemi. Teraz wszystko to mi-'itr wróci, cokolwiek  
by się zdarzyło, nawet ly nastać wolność i pokój.  
Teraz ulica An-.1 tylko prześladowania i terror,  
walenie w mry i brunatne budy, które wywoziły  
ludzi, loyjiu1 i deportacje, tortury i błogosławięń-  
ilicu Andrassy oznaczała tylko siedzibę  
go uczucie dystansu, oderwania ".!iod/.ial, gdzie jest  
i wiedział, że jego ual rozumieć, co Szendró miał na  
my-. litości ludzi, którzy tak długo żyli pod obecnym  
widmem śmierci i wiedział był podobną podróż jak  
on, już nigdy >r/edt.i>m. Obojętnie, niemal z  
zimnym rysowaniem, zastanawiał się, jak dłu-•II  
/ameczą, jakie najnowsze diabeł-

### 34 • Alistair MacLean

skie metody wykańczania człowieka czekają tu na nur.u podziemiach.

Mercedes zaczął zwalniać, ciężkie opony skrzypią 1> zamarznętej brei i Reynolds wbrew sobie, wbrew cili nemu stolcyzmowi wykształconemu przez lata i skonig obojętności, w którą się uzbroił, po raz pierwszy poć"1 strach. Zaszło mu w gardle, serce zaczęło walić w pi( jak oszalałe, żołądek ścisnął się boleśnie, ale nie zmie to ani na jotę wyrazu jego twarzy. Wiedział, że pułko Szendró przypatruje mu się uważnie, wiedział, że g był tym, za kogo się podaje, niewinnym mieszkańcem ; dapesztu, powinien bać się i okazać to, ale nie umiał si( tego zmusić. Nie dlatego, że nie potrafił zrobić przera/n miny, lecz dlatego, że znał sprzężenie między wyra/ twarzy a stanem umysłu: okazać strach, kiedy go się n<] czuje, to nic wielkiego - ale okazać strach, kiedy si czuje i rozpaczliwie to zwalcza, byłoby fatalne w > kach... Pułkownik Szendró jakby czytał w jego myślach

- Teraz nie mam już żadnych wątpliwości, panie l'.id tylko pewność. Wie pan, gdzie jesteśmy, oczywiście?

- Naturalnie. - Głos Reynoldsa był opanowany. - I'i1 chodzę tędy setki razy.

- Nigdy w życiu pan tędy nie przechodził, ale w:il| czy nawet główny geodeta miasta potrafiłby narysować dokładną mapę Budapesztu jak pan - powiedział Sz spokojnie, zatrzymując samochód. - Poznaje pan tu có



**- Wasza kwatery gówna. - Reynolds wskazał budy! leżący pięćdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie vi!i<**

**- Zgadza się. Teraz powinien pan zemdleć, wpał histerię lub najzwyczajniej szczerkać zębami z przern/oj Jak wszyscy. Oprócz pana. Albo jest pan zupełnie poi wiony uczucia strachu, cecha godna zazdrości, jeśli podziwu, ale zapewniam pana, nieistniejąca w tym k albo, co jest cechą godną i zazdrości i podziwu, boi sit,-lecz twarda szkoła nauczyła pana nie okazywać tcu sobie. Tak czy owak, drogi przyjacielu, pana los jest \tt sądzony. Nie pasuje pan do obrazu naszego społeczens Może nie jest pan, jak powiedział nasz sympatyczny śmierdzącym faszystowskim szpiegiem, ale szpiegiem**

**Ostatnia granica • 35**

**Ino - Spojrzał na zegarek, a potem wbił wzrok '•/ewiercając go na wylot. - Tuż po północy, my najbardziej. A pan ma zapewnioną naj-. i.irację i najlepsze zakwaterowanie: mały, , pokoik głęboko pod ulicami Budapesztu.**

**•i'1'ów AVO wie o jego istnieniu.**

**ynoldsa jeszcze przez kilka sekund, potem 'd. Zamiast jednak zatrzymać się przed bu-krccil z Andrassy ostro w lewo, przejechał**

**•i\v nieoświetloną uliczką, znów się zatrzy-il Reynoldsowi szczelnie oczy jedwabną c minut później, po wielu zakrętach i klu-nie z zamierzeniem**

zupełnie pozbawiło ucia miejsca i kierunku,  
samochód pod-

• i drugi, zjechał stromo w dół i znalazł się /ostrzeni -  
Reynolds słyszał głuchy odgłos y się od ścian.

Później, kiedy silnik zgasł, k zamykanych z tyłu  
ciężkich metalowych

idach drzwi po jego stronie otwarto i para

itfolnieniem go z krępujących łańcuchów, loży la mu  
kajdanki. Potem te same ręce sinnochodu i zdjęły  
przepaskę, i mrużył oczy i kilkakrotnie zamrugął.

Byli lic/ okien, z masywnymi drzwiami i biały-11-  
odbijały płynące z góry światło, oślepia-w ciemności

z przewiazanymi oczami. Po cjirażu, niedaleko  
niego, znajdowały się pól otwarte, prowadzące do

jasno oświet-i.orytarza. Biel, pomyślał Reynolds  
pose-n- hyc nieodłącznym składnikiem wszy-iiych  
miejsz kaźni.

111 r/.wianii, nadal trzymając go za ramię, /.djął mu  
łańcuchy. Reynolds przypa-• i chwilę. Mając tego

człowieka AVO sio narzędziami tortur, pomyślał:  
jego \>V7, trudu rozedrzeć każdego więźnia wałek

po kawałku. Był mniej więcej ile zwałista postura  
sprawiała, że wy-

### 36 • Alistair MacLean

glądał jakby był wręcz zdeformowany w stosunku do  
\v/n stu, a podobnie szerokich barów i potężnej

klatki picriłj wej nigdy jeszcze nie zdarzyło się

Anglikowi widzieć; < mężczyzna musiał ważyć

przynajmniej sto dwadzieścia | lo. Miał brzydką

twarz ze złamanym nosem, ale co dziwi pozbawioną wyrazu okrucieństwa czy złośliwości, tylko sympatycznie brzydką. Reynolds nie dał się zwieść. W tej profesji wyraz twarzy nic nie znaczył: najbardziej i względny mężczyzna, jakiego znał, niemiecki szpieg, który stracił rachubę zabitych przez siebie ludzi, miał twój ministranta.

Pułkownik Szendrő zatrzęsła drzwiami samochodu i wszedł do nich. Wskazując głową na Reynoldsa, powiedział

- Mamy gościa, Sandor. Mały kanarek, który jeszcze/nocy coś niecoś nam wyśpiewa. Czy szef już śpi?

- Czeka w gabinecie. - Głos siłacza był taki, jak nakł<>. oczekiwać: niski, dudniący głęboko w gardle.

- To świetnie. Zaraz wracam. Pilnuj naszego przyjuła, obserwuj go bacznie. Mam wrażenie, że jest b;u groźny.

- Nie spuszczę go z oka - przyrzekł Sandor soleniih Zaczekał, aż Szendrő wyjdzie z torbą i dokument Reynoldsa, i oparł się wygodnie o mur, skrzyżownw i masywne ramiona na piersi. Zaraz jednak oderwał su ściany i zrobił krok w kierunku więźnia.

- Nie wygląda pan dobrze.

- Nic mi nie jest. -Głos Reynoldsa był ochryply, o<l<l-i szybki i płytki, a on sam chwiał się lekko na nogach l1 niósł skrupowane ręce nad prawym ramieniem i z nr sem bólu pomasaował kark. - To tylko moja głowa, <> i i| tyłu.

Sandor postąpił jeszcze krok, a potem podskoczył it j nie naprzód, widząc, że oczy Reynoldsa umykają d''

**\$ ukazując białka, a on sam leci na ziemię, lekko przyciśnięty w lewo. Mógł się poważnie zranić, a nawet zabir... uderzył głową o betonową posadzkę i Sandor rzu rozpostartymi ramionami, aby go ubezpieczyć.**

**Ostatnia granica •• 37**

**zadał mu najmocniejszy cios, jaki wymierzył. Wskoczył na niego z nóg, obrócił się jak sprężyna z bkością w prawo i rąbnął go z góry rękami morderczą, gwałtowną, dewastującą siłą, ranie potężne mięśnie ramion i barków. O złożonych dłoni dosięgnął szyi Sandora, linią szczęki. Było to jak walnięcie w pień. Is zasyczał z bólu: poczuł się, jakby złamał oskarżenie, śmiertelny cios, który zabiłby wszystkich innych sparaliżował, pozba... iści na wiele godzin; to znaczy wszystkich i ;«ynolds dotąd znał - Sandor tylko chrząknął i odwrócił bokiem, żeby zneutralizować... i. v dosięgnięcia go kolaniem lub stopą; w Reynoldsa mocno do drzwi mercedesa. bezsilny. Nie miał szans się przeciwstawić, ale fakt, iż ktokolwiek może nie i KHlobny cios, lecz go praktycznie zignorował... takie osłupienie, że nie przyszło mu u; bronić. Sandor przygniótł go do samego... ciała, chwycił za nadgarstki i zacis... <tezach patrzących z bliska nie było wro... / .Kola uczuć. Po prostu stał i miażdżył mu uchwycie. ujął zęby i wargi aż do bólu, powstrzymu... i, / gardła krzyk. Miał wrażenie, że jego w dwóch olbrzymich, nieubłagane za-**

uiKuiłach. Czuli, jak krew odpływa mu z występuje zimny pot; jego mięśnie i kości islnnc zmiażdżone raz na zawsze. Waliło

uiny garażu pociemniały mu przed oczami - opływać, kiedy Sandor zwolnił uścisk i ui« masując sobie szyję po lewej stronie.

zaczęła się. trochę wyżej - powie-MIII, gdzie mnie pan uderzy\*. Więc proszę upotoin. Obu nam się dostało i to nie

Minęło pięć minut, podczas których palący Reynnli i żywy ogień przeszedł w ćmiący, pulsujący ból, a Sandor ..< na chwilę nie spuścił z niego oka. Wtem drzwi otworzyły - szeroko i stanął w nich młody człowiek, właściwie jes\* | chłopiec. Był szczupły i blady, z niesforną czarną czupr)< i rozbieganymi, ruchliwymi oczami, niemal tak ciemny^ jak włosy. Podniósł rękę i wskazał kciukiem za siebie, - Szef chce go zobaczyć. Zaprowadź go, Sandor, dobrt<

Sandor poprowadził Reynoldsa wąskim korytarzem, j tem paroma schodami w dół na inny korytarz i pchnął! U pierwsze z szeregu drzwi po obu stronach. Reynolds ii tknął się, wyprostował i rozejrzał wokół. Był w dużym pokoju z drewnianą boazerią na ścianach i podłogą wyłożoną zniszczonym linoleum, przykrytym i j ko niewielkim wytartym dywanikiem przed biurkiemMii | drugim końcu pokoju.

Pomieszczenie było jasno OŚWIH ( ne lampą średniej mocy u sufitu i bardzo jasną żarową lampą biurkową o ruchomym ramieniu nad biurkiem tym

momencie ta ostatnia była skierowana w dół na !> oświetlając wyraźnie pistolet Reynoldsa, stosik ułn i inne przedmioty jeszcze niedawno tak porządnie z;ij;i wane w jego torbie. Obok ubrań leżały szczątki samri l by: podszewka była w strzępach, zamek odpruty, skor.-i rączka rozerwana, nawet cztery ćwieki spod spodu /<n| wyrwane parą obciążek leżących obok. Reynolds mui przyznać w duchu, że to robota fachowców.

Pułkownik Szendrő stał pochylony nad mężczy/n.i t dzącym za stołem. Twarz tego ostatniego skrywał cirn obie ręce, trzymające któryś z dokumentów ReyimU były wystawione na bezlitosne światło lampy. Widok, sobą przedstawiały, był przerażający; Reynolds nit1.'! życiu nie widział nic podobnego i nigdy by nie pr^ |> czai, że czyjeś dłonie mogą być tak pokiereszowane- i leczone, a jednak nadal sprawne. Oba kciuki były n\ dżone, spłaszczone i powykręcane, czubki palców i IM kcie zmienione w bezkształtną masę, u lewej ręki In wało małego palca i połowy serdecznego, a grzbiet> dłoni były pokryte okropnymi bliznami otaczającymi \* purpurowe znamiona na środkxi, między ścięgnami »

Ostatnia granica • 39

"Hucznych palców. Reynolds nie mógł oderwać LII i mimo woli się wzdrygnął - widział już N- rany: były to ślady po ukrzyżowaniu. Gdy-• rcre, pomyślał z odrazą, kazałbym je ampu-iwiał się, co to za człowiek, który może nie mi dłońmi, ale nawet nie nosić rękawiczek, ni-przezwyjęzoną chęć, żeby

zobaczyć jego 1'lor zatrzymał się z nim kilka kroków od »k skrywał postać, po drugiej stronie, /yly się, przekładając dokumenty Reynold-:i przemówił. Głos miał spokojny, opanowa-' Inciolski.

i na swój sposób bardzo interesujące: > podrobiono je po mistrzowsku. A teraz

>dać nam prawdziwe nazwisko. - Prze-•lo Sandora, który ciągle masował sobie ;indor?

• wyjaśnił Sandor przepaszającym to-ić i nie żałuje sił.

\- człowiek- wtrącił Szendró.-Ostrzega-iytna bestia - poskarżył się Sandor. -

strzem, zęby cię zranić, a desperatem,

c - zauważył mężczyzna za biurkiem. -

iiindor. Kto jest o włos od śmierci, nie

, No cóż, panie Buhl, prosimy o nazwi-

l

/ pułkownikowi Szendró - odparł Rey-os Rakosi.

Mógłbym wymyślić cały szę-iiine, w nadziei na

zaoszczędzenie so-<'ii>rpień, ale nie potrafiłbym

udowod-•lo żadnego z nich. Potrafię natomiast ID

mojego własnego: Rakosi. /nym człowiekiem, panie

Buhl. - Męż-i potr/asnął głową. - Ale w tym domu nie

zda: umiemy szybko zetrzeć ją na • il jedynie

prawda. Nazwisko, proszę?

40 • Alistair MacLean

Reynolds zwlekał chwilę z odpowiedzią. Był zdumii

zaskokowany i niemal już rozluźniony. Ręce tego

człowieka hipnotyzowały go, nie mógł oderwać od nich

oczu - dojr teraz także niewielki tatuaż po wewnętrznej stronie n| garstka; miał wrażenie, że mignęła mu cyfra dwa, ale / ( odległości nie mógł być pewien. Był zdumiony, ponie' sytuacja przyjmowała co chwilę inny obrót, zbyt wiele pasowało do jego wyobrażeń o funkcjonariuszach AV(j tego, co o nich słyszał. Ci tutaj zachowywali się w<>( niego z dziwną rezerwą, a nawet z chłodną kurtuazją. O wiście zdawał sobie sprawę, że może to być igranie ! myszką, że zapewne po prostu misternie próbują ośli jego wolę oporu, zmylić go, żeby później tym skuter/ < złamać niespodziewanym ciosem. Nie potrafił więc /r mieć, dlaczego jego strach maleje, musiało to wyniki jakichś podświadomych impulsów, bo świadomie nic trafił sobie tego wytłumaczyć.

- Czekamy, panie Buhl.

Reynolds nie dostrzegł najmniejszego cienia iryta< wystudiowanym, cierpliwym głose.

- Mogę tylko powiedzieć prawdę. Już to zrobił< rzekł.

- Doskonale. Wobec tego proszę się rozebrać. Do n^

- Nie! -Reynolds odwrócił się szybko, ale między| a drzwiami stał Sandor, a pułkownik Szendró już tr/y w pogotowiu rewolwer. - Nie ma mowy!

- Niech pań nie będzie niemądry. - Głos SzendrO znużony. - Trzymam w ręku broń i Sandor zrobi to na | jeśli będzie trzeba. Ma niezawodną, choć niezbyt el< ką metodę rozbierania ludzi. Rozdziera im płaszcze szule z góry na dół, chwytając od tyłu. O wiele przyjein rozebrać się samemu.



Reynolds posłuchał. Zdjęto mu kajdanki i w ciągu m  
ty jego ubranie leżało w nieładzie na podłodze, a mi |  
stał trzęsąc się z zimna, demonstrując czerwono-sim  
w miejscu, gdzie żelazne palce Sandora wpiły mu  
nadgarstki.

- Przynieś to tutaj, Sandor - polecił mężczyzna /a l  
kiem. Spojrzał na Reynoldsa. -Na ławce za panem .!

<•• M

Ostatnia granica • 41

>l>r/.ucił go zdumionym wzrokiem. Już to, że  
l'hcieli się dobrać do ubrania - zapewne w i jakichś  
poszlak- a nie do niego samego, było i  
niewiai'ygodne, natomiast ta grzeczność i, \vaKe  
zimną noc, troska, aby oferować mu iruwila go w  
osłupienie. Lecz zaraz wstrzy-i) wszystkim  
zapomniał, bowiem mężczyzna ka i obszedł je  
nienaturalnie sztywnym kro-z bliska ubranie.  
iyl /nawcą, wysoce wyszkolonym, ludzkich ru/.u i  
charakterów. Zdarzało mu się popeł-ii nie raz, ale  
nie w sprawach zasadniczych i  
?<• tym razem się nie myli. Twarz mężczyzny  
•'•Inyin świetle i pozostawała w bluznierczej  
p r,<> okropnymi rękami, co wyglądało nie-  
i i ad/two. Ta pobrużdżona, zmęczona twarz  
<-h włosów, naznaczona głębokim piętnem  
i u i cierpienia, miała wyraz niespotykanej  
modrości i tolerancji. Była to twarz czło-i l i a l  
wszystko, rozumiał wszystko, doświad-  
• i nadal miał serce dziecka.

i nie ciężko na ławce, mechanicznie owija- i . 1 1 \ m kocem. Rozpaczliwie usiłował opano- i .-ir/nych myśli, zmusić się do racjonalne- i o/.uiiu>wania. Ale nie potrafił jeszcze wyjść nierozwiązywalny problem, jaki stanowił 'Kłolniego w takiej zbrodniczej organizacji , upotkał go kolejny i ostatni już wstrząs, a

natychmiast nastąpiło rozwiązanie wszy- nlnworzyły się i do pokoju weszła dziewczy-

• ' \V() miało w swoich szeregach także

w roli wykwalifikowanych oprawczyń,

• Uiej wyrafinowane tortury, ale w naj-

'N' /aliczyłby jej do tej kategorii. Była

l niego wzrostu, jedną ręką ścisnęła du-

Imste- wokół smukłej talii, a jej twarz,

1 1 '\v inna, nie miała w sobie śladu zła,

i dojrzałej pszenicy, spadały jej do ra-

42 • AlistairMacLean

mion, a pięścią drugiej ręki przecierała ze snu oczy

barw głębokiego błękitu. Kiedy się odezwała, jej głos

był wci lekko zaspany, ale miękki i melodyjny, choć z

nutką pe\\ iM chrapliwości.

- Dlaczego jeszcze siedzicie i gadacie? Jest pierws/.n j

nocy... nie, jest po pierwszej i chętnie trochę bym się

pr» spała.

Nagle jej wzrok padł na stertę ubrań na stole, a pntc

przeniósł się na Reynoldsa, który siedział goły na

ławce owinięty jedynie w stary koc. Oczy rozszerzyły

jej się, niinj woli cofnęła się o krok, jeszcze mocniej

ściskając okr.u wokół pasa.

- Kto... kto to na Boga jest, Jansci?-spytała.  
|«».'il/i,ił trzeci

nolds bezwiednie zerwał się na równe nogi. . odkąd  
wpadł w ręce Węgrów, znikł jego .pokój i maska  
pozornej obojętności, oczy idnieceniem i nadzieją,  
którą, jak sądził, i \vs7.e. Podskoczył w kierunku  
dziewczyny, u- koc, który opadł mu niemal do  
kostek. Uiała pani "Jansci"? -krzyknął. r.' O.ego  
pan chce? i ofnęła się przed nacierającym Reynold-  
•lopiero poczuwszy obok bezpieczną obe-którego  
chwyciła za ramię. Strach znikł z  
• a l a badawczo na Reynoldsa i przytaknęła:  
il/ialam "Jansci."

\ tórzył to słowo wolno, z niedowierzaniem,  
/ko.szujący się każdą sylabą, chcący uwie-i-możliwe.  
Przeszedł przez pokój, w jego dowala się nadzieja  
zmieszana z wątpliwość przed mężczyzną z  
okaleczonymi dłoń-

.lajii.sci? - Mówił wolno, nadal wyraźnie  
na/.ywają. - Mężczyzna patrzył na niego uiic.  
iy joden cztery jeden osiem dwa. - Rey-iii lioz  
zmrużenia powiek prosto w oczy, h-h  
najmniejszego śladu zrozumienia, \ lak',1 lumic  
Huhl?

i i.iiiiscim, to numer brzmi jeden cztery . n ".irin  
dwa -powtórzył Reynolds.

l

44-•» Alistair MacLean

Delikatnie, nie napotykaając oporu, ujął ókaleczon; i wną dłoń mężczyzny, odsunął mankiet i spojrział na M( tatuaż. 1414182 - numer był tak wyraźny, tak niezatitrl jakby wykonano go tegoż dnia.

Reynolds usiadł na brzegu biurka, dojrzał paczki,' piersosów i wytrząsnął jednego. Szendró podsunr,! ogień, co przyjął z wdzięcznością - sam nie mógłby pr/y| lic sobie papierosa, ręce drżały mu jak w febrze. Tnt zapalanej zapalki zabrzmiał jak huk w nagłej cis/y końcu to Jansci przerwał milczenie.

- Pan zdaje się coś o mnie wiedzieć? - zapytał mię. . -  
Wiem więcej, niż pan myśli.

Drżenie rąk powoli ustawało i Reynolds zaczynał pr chodzić do siebie, przynajmniej zewnątrznie.

Rozejr/;il po pokoju, taksując wzrokiem po kolei Szendró, San<l«ij dziewczynę, młodzieńca o'niespokojnych, rozbiegany oczach: ich twarze wyrażały zaskoczenie i zarazem wanie.

- Czy to pańscy przyjaciele? -spytał wreszcie. -C^ im pan bez zastrzeżeń? Wiedzą, kim pan jest? To zn;n kim pan naprawdę jest?

- Owszem. Może pan mówić otwarcie.

- Jansci to pseudonim człowieka nazwiskiem Iljund Reynolds mówił, jakby recytował z pamięci wyuczoną ki się, jak też w istocie było. - General brygady Oleksij l( rin. Urodzony w Kalinówce, na Ukrainie, osiemna-' października tysiąc dziewięćset czwartego roku. Ożeni osiemnastego czerwca tysiąc-dziewięćset trzydzie-. pierwszego roku. Imię"żony Katia, imię córki Julia. - / nał na dziewczynę. - To

musi być Julia, jest chyba w <> wiedzim wieku.  
Pułkownik Mackintosh kazał powtórzyć że chciałby  
odzyskać swoje buty; nie-wiem, co to zn;n

- To tylko taki żart.z dawnych czasów. - Jansci oh  
biurko i usadowił się z uśmiechem na krześle. - A  
wie< stary przyjaciel, Peter Mackintosh, żyje. Nie do  
zcb zawsze był nie do zdarcia, Z tego wniosek, że  
musi prę niego pracować, panie.!.  
Ostatnia granica '• 45 Idi Michael Reynolds.

Owszem, pracuję dla  
i'" opisać. - Subtelna różnica w głosie, który luirdziej  
niż o pół tonu, była jednak wyczu-p. wygląd, sposób  
ubierania się, rodzinę, /.ystko.

.losował się do tej prośby. Mówił przez pięć i wy, w  
końcu Jansci podniósł rękę. Musi pan go znać, musi  
pan dla niego pra-ii, /.a kogo się pan podaje. Ale  
pułkownik wielkie ryzyko, a to niepodobne do  
mojego

<• złapać i zmusić do mówienia, a wtedy i K my?  
i rd/o bystry; młody człowieku.

M;ickintosh niczego nie ryzykował - po-

i 'l<ls spokojnie. - Wszystko, co znałem, to  
im i numer, nic więcej. Nie miałem poję-

•ka ani jak pan wygląda. Nie wiedzia-  
ich rękach: to pozwoliłoby mi od razu

>;»n zamiar mnie znaleźć? . pewnej kawiarni. -

Reynolds wymieni, jak określił to pułkownik,  
niepew-lem tam być co wieczór, przy tym sa-H  
samym krześle, dopóki ktoś po mnie

n.-iku identyfikacyjnego? i tył taki znak. Mój krawat. iró spojrział na jaskrawokarmazynowy i żywił się z niesmakiem, kiwnął głową słowa. Reynolds poczuł, że wzbiera w ni po co pytacie? -Jego głos zdradzał incji. nsci odpowiedział za Szendró. - Nie->ść to jedyna gwarancja naszego bez-Iteynolds. Podejrzewamy wszystkich. i?.dego, kto się rusza. Przez sześćdzie-46 • AlistairMacLean

siat minut na godzinę. Ale jak pan widzi, dzięki temu udtij nam się przetrwać. Proszono nas, żeby się z panem sko ktować w tej kawiarni - Imre praktycznie z niej nie wyciu dził przez ostatnie trzy dni - lecz to polecenie napłynęło! nieznanego źródła w Wiedniu. Nie było żadnej wzmianki pułkownika Mackintoshu... szczwany lis, jak zawsze. A miało być potem?

- Powiedziano mi, że zaprowadzą mnie do pana albo jednego z dwóch innych: Hridasa lub Białej Myszy.

- Szczęśliwie odbyliśmy tę drogę niejako na skrót mruknął Jansci. - Poza tym obawiam się, że nie zdoła pan się spotkać ani z Hridasem, ani z Białą Myszą. '

- Wyjechali z Budapesztu?

- Biała Mysz jest na Syberii. Nigdy go już nie zobai my. Hridas zmarł trzy tygodnie temu, niespełna dwa k metry stąd, na stole tortur w kwaterze AVO.

Korzystaj;! chwilowej nieuwagi oprawców, chwycił rewolwer i win sobie do ust. Był szczęśliwy, że umiera.

- Ale... skąd pan wie o tym wszystkim?

- Pułkownik Szendrő... człowiek, którego pan zna j. pułkownika Szendrő... był przy tym obecny. To z jego r« weru Hridas się zastrzelił.

Reynolds powoli rozduł niedopałek papierosa \\  
pielniczce. Spojrzał na Janskiego, potem na Szendi  
znów na Janskiego. Jego twarz była bez wyrazu.

- Szendrő jest członkiem AV Oodpółtoraroku-ci:i;  
Jansci. -Jest jednym z ich najlepszych i najsprawniej  
s oficerów, a kiedy coś w dziwny sposób się psuje i  
po.s/> i wany ludziom w ostatniej chwili udaje się  
uciec, ni ki wpada w większy gniew niż on, nikt nie  
pogania s\vn ludzi tak okrutnie, że wprost padają z  
umęczenia. M» < jakie wygłasza do nowo  
zwerbowanych rekrutów i k.tl tów, już zostały  
wydane w wersji książkowej. Nazyw n' Postrachem.  
Jego szef, Furmint, nie umie sobie w czyć  
patologicznej wręcz nienawiści, jaką Szendrő swoich  
współziomków, i twierdzi, że to jedyny niez; ny  
członek służby bezpieczeństwa w Budapeszcie... i <  
stu czy dwustu Węgrów, tu i już na Zachodzie,  
zawd/.i-życie pułkownikowi Szendrő.

.Ostatnia granica • 47

spojrzał na pułkownika, badając każdy rys !>y  
widział ją po raz pierwszy w życiu -

•o to musi być za człowiek, żeby przeżywać cbywale  
trudnych i niebezpiecznych wa-ilo wiedząc, czy nie  
jest śledzony, podej->ny, nigdy nie wiedząc, czy  
następnym ra-.1111 spocznie ręka kata nie będzie  
jego lir/więdnie zrozumiał, że to wszystko, co i'^ci,

jest prawdą. Pomijając już wszystko . 'ć prawdą, w przeciwnym razie on sam rzywał na torturach w podziemiach ulicy

„ juk pan mówi, generale Iljurin-powie-to straszne ryzyko.

laska. Tylko Jansci. Generał Iljurin nie

•ii,.. A dzisiaj, jak to się stało dzisiaj? swoim aresztowaniu przez naszego przy-

in dostęp do większości tajnych informa-<.

lajemniczony we wszystkie plany operacie i w

zachodnich Węgrzech. Wiedział o '•j. o zamknięciu granicy... I wiedział, że do nas.

. przecież chyba nie chodziło im o mnie?

>!)>(«' nie pochlebia, drogi panie Reynolds, włożył do

lufki kolejnego czarnego i: jak Reynolds miał się przekonać, ust, paląc setkę dziennie, i zapalił

r/ypadek. Nie polowali ani na pana, i Zatrzymywali same ciężarówki w ilości ferrowolframu

szmuglowane-

./c x największą chęcią przyjmą każ-iii. na jakiej zdolają położyć łapy -

48 • Alistair MacLean

- I to prawda, drogi chłopcze, to prawda. Niemniej \- nieją w tym celu odpowiednie kanały i ustalone

zwyc/; których należy przestrzegać. Nie wdając się w szczy.' kilku naszych prominentów partyjnych i

wielce szan nych członków rządu zostało

pozbawionych swoich stał1 udziałów. Skandaliczna sprawa.



- Nie do zniesienia - zgodził się Reynolds. - S\ l i akcja była konieczna.
- Właśnie! - Szendró uśmiechnął się po raz pierwszy, < nagły błysk białych, równych zębów oraz zmarszczki (>• oczach całkiem zmieniły jego chłodną, powściągliwą Cii i nomię. - Niestety, przy takich połowach czasem wpail-4 do sieci całkiem inne ryby.
- Takie jak ja?
- Takie jak pan. Dlatego mam zwyczaj w niektórych okolicznościach znajdować się w pobliżu takiej lub i blokady milicyjnej, mimo że to przeważnie bezowoj trud: pan jest dopiero piątą osobą w tym roku, którą u mi się wyciągnąć z rąk milicji. Niestety, będzie pan nieź ostatnią. Przy poprzednich okazjach kazałem wiejskich gamoniom, którzy obstawiają drogi, zapom że kiedykolwiek widzieli mnie czy więźnia na oczy. razem, jak pan wie, zdążyli zawiadomić swoich pr/.cl nych i wszystkie posterunki zostaną ostrzeżone przed <u stem udającym oficera AVO.
- Reynolds spojrział na niego z przerażeniem.
- Ależ człowieku, oni pana widzieli! Przynajmniej ciu z nich! Pański rysopis będzie w Budapeszcie jes/i
- Wielkie rzeczy! - Szendró niedbale strzepnął pn pstryknięciem palca. - Niewiele to pomoże tym głup< Poza tym, nie jestem oszustem. Jestem jak najbanli oficerem AVO. Czy pan w to wątpił?
- Ani przez chwilę - zapewnił go Reynolds •/. < przekonaniem.
- No widzi pan. - Szendró podniósł nogę w nieska nych spodniach i przysiadł na biurku. - Przy okazji,

Reynolds, chciałem przeprosić za moje niezbyt mi chowanie podczas jazdy. Aż do Budapesztu zastanawi się tylko, czy jest pan naprawdę obcym agentem i cv l

Ostatnia granica • 49

./lukamy, czy też mam pana wyrzucić na rogu n lkać. Ale kiedy dojechaliśmy do centrum ilu mi jeszcze jedna, bardzo niepokojąca

•\ /.otrzymaliśmy się przy ulicy Andrassy? 'iitrzył pan na mnie w dość szczególny spo-

vn/lo mi do głowy, że może pan być człon-

•'•j.-ilnie na mnie nasłanym, l dlatego nie

1 i /yty na Andrassy: przyznam, że powinie-

!'•<• o tym wcześniej. Niemniej, po groźbie,

•i» utajnionej celi, musiałby pan odgadnąć

• i.i i /rozumieć, że nie mogę pozwolić, aby H in Ale

pan zamiast zacząć wrzeszczeć co -i i-iclio, więc

wiedziałem, że nie jest pan ką... Jansci, czy mogę

wyjsc na kilka

'!'• sic? pospiesz. Pan Reynolds nie prze-\niilii, żeby

stać na moście Małgorzaty 11>1 Hmaju. Ma nam

wiele do opowiedze-

i n /one tylko dla pańskich uszu- zapro-! Tak mi

nakazał pułkownik Mackin-

jest moją prawą ręką, panie Rey-

ii lylko wy dwaj. nil MC i wyszedł z pokoju. Jansci

odwrócił

nn liuirłkę wina, Julio. Mamy jeszcze Vil-

yjsfia, ale Jansci powstrzymał ją: U1, moja droga.  
Panie Reynolds, kie-  
i pan umierać z głodu. Julia? .1 /robić, Jansci.

50 • AiiistairMacleane

- Dziękuję ci, ale najpierw przynieś wino. Imre cii się do młodzieńca, chodzącego niespokojnie powrotem - pamiętaj o dachu. I przespaceruj się 1r» Sprawdź, czy wszystko w porządku. Sandor, tablice1 r stacyjne. Spal je i załóż nowe.

- Spal?-zapytał Reynolds, gdy chłopak i Sandor \v\

-Jak to możliwe?

- Mamy duży zapas tablic rejestracyjnych -uśmiri1 się Jansci. -Wszystkie ze sklejki. Wspaniale się pahi widzę, że znalazłaś butelkę Yillanyi?

- Ostatnią. - Jej włosy były teraz przyczesane, ul chała się, a w niebieskich oczach patrzących na Reym malowała się ciekawość. - Może pan poczekać dwad/1 minut, panie%Reynolds?

- Jeśli muszę. - Uśmiechnął się. - Nie przyjdzie łatwo.

- Postaram się pospieszyć - obiecała. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Jansci otworzył i kę i rozlał zimne, białe wino do kieliszków.

- Pańskie zdrowie, panie Reynolds. I za powmi. pańskiej misji.

- Dziękuję.

Reynolds z przyjemnością pociągnął długi łyk, ul miętał, kiedy ostatnio miał tak wysuszone gardło

Wskazał na jedyną ozdobę tego dość ponurego i nie

nego pokoju: oprawną w srebrną ramkę fotografię 11:1 ku.

- Nadzwyczajnie uchwycone podobieństwo pa córki - powiedział. - Macie tu dobrych fotografów i grzech.

- Sam robiłem to zdjęcie - rzekł z uśmiechem .!; Sądzi pan, że wiernie ją oddaje? Niech pan powie s/c zawsze interesowała mnie spostrzegawczość innych Reynolds spojrział na niego lekko zdumiony, poił wino i w milczeniu wpatrzył się w fotografię: jasne, ce włosy, szerokie, gładkie brwi, długie rzęsy, wysol dzone kości policzkowe schodzące do śmiejących i krągły podbródek nad delikatną szyją. Piękna twiij iclna wyrazu, charakteru i radości życia. >• nit- zapomina...

uiie Reynolds? - ponaglił go Jansci. v lornie - przyznał Reynolds. nic chcąc być posądzony o arogancję, ale .hmsciego zrozumiał, że i tak nie da się iilrych, zmęczonych oczu, i ciągnął dalej: i'l powiedzieć, że oddaje ją wiernie z pew- rysy, nawet uśmiech są takie same. Ale "l.-ic coś więcej, ta kobieta jest jakby i doświadczone. Może za jakieś dwa, <>rk;i będzie rzeczywiście tak wyglądać; PS. co dopiero nadejdzie. Nie wiem, jakim >ro8li'. Ta fotografia przedstawia moją\*žo- loj Boże, cóż za nadzwyczajne podo-Is urwał, szybko przebiegł myślami iii> popełnił jakiejś gafy, i uspokojony '•raz? Jansci kręcił kieliszek między palca-

irmy, gdzie jest. i'o. - Reynolds nie wiedział, co powie-  
nie zrozumieć - dodał Jansci spokój--' Z nią stało:  
zabrali ją w brunatnej i.o czym mówię? rństwa.  
czko skinął głową. - Te same budy, ny w Polsce, w  
Rumunii i w Bułgarii, IIITĆ. Te same budy, które  
wymiotły w nadbałtyckich, które zabrały setki 1-  
Hialy także po Katię. Co znaczy jed-nil jonów, które  
cierpiały i zginęły? H-rdziesiątego pierwszego roku?  
-To K potrafił powiedzieć: wiedział, że c masowe  
deportacje z Budapesztu.

**52 • Alistair MacLeah**

- Nie mieszkaliśmy tu wtedy, to zdarzyło się z;il<  
dwa i pół roku temu, niespełna miesiąc po ni  
przyjeździe. Julia, dzięki Bogu, była na wsi u pr/.yU  
Mnie też nie było w domu, wyszedłem koło północy;  
poszła do kuchni zrobić sobie kawę, gaz był  
wyłączoi; ona nie wiedziała, co to znaczy, Więc ją  
wzięli.

- Gaz? Chyba nie bardzo...

- Nie rozumie pan? Luka w pańskim przygol<>\v|  
przez którą AVO zaraz by pana rozszyfrowało. WS/  
M Budapeszcie od razu wiedzą, o co chodzi. To  
zwyc;/i| i żeby przed dostarczeniem nakazu  
deportacji odcina pływ gazu do objętych nim domów  
czy bloków mu nych. Łatwo jest włożyć głowę do  
piecyka, i to m Zabronili sprzedaży wszystkich  
środków trujących u i kach, próbowali nawet  
wstrzymać sprzedaż żyłek no im było jednak  
powstrzymać ludzi od skakani;i nych pięt...

- A więc to przyszło bez ostrzeżenia?
- Bez ostrzeżenia. Wciśnięty do ręki niebieski papieru, mała walizeczka, brunatna buda a potem /ni ' bowany wagon bydłocy.
- Może ona jeszcze żyje. Nic pan nie słyszał?
- Nic, zupełnie nic. Pozostaje nam tylko żywić na że przeżyła. Ale tak wielu ludzi udusiło się lub zaini tych wagonach, a praca na polach, w fabrykach i niach jest niewolnicza, zabójcza nawet dla silnych wych, podczas gdy ona ledwo wyszła ze szpitala po | nej operacji. Miała gruźlicę, jej rekonwalescencja ' się nawet nie zaczęła.

Reynolds zaklął pod nosem. Jak często czyiaU słyszało o podobnych sprawach, jak łatwo, jak ol> niemal bezlitośnie odsuwało się je od siebie - i ja l to wyglądało w zetknięciu z rzeczywistością.

.- Czy szukał pan jej... swojej żony?. - zapytał K szorstko. Nie chciał, aby tak to zabrzmiało, ale wyszło.

- Szukałem jej. I nie znalazłem.

**Ostatnia granica • 53**

ml, że budzi się w nim gniew, Jansci zda-Aiu! to tak łatwo, był taki spokojny, taki

O musi wiedzieć, gdzie ona jest! Mają ulkownik Szendró...

'•pu do ściśle tajnych akt - przerwał mu n:|l się. - A poza tym jest w stopniu zale-.ins nadal sobie sam tylko na dzisiejszy j.ik nazwisko... Myślę, że właśnie nadcho-

" ciemnowłosy młodzieniec, który nawet ile wetknął głowę przez drzwi, zameldo-

- porządku i znikł. Nawet przez ten krótki
- . /dążył zauważyć wyraźny tik nerwowy niespokojne ruchy czarnych oczu. Jansci wyraz jego twarzy, bo powiedział prze-ni:
- ' Nie zawsze był taki, panie Reynolds, i nerwowy. M<>\*e nie powinienem tego mówić, ale
- Izi także moje bezpieczeństwo i pla-i procentowym neurotykiem. - Rey-, ni wzrokiem na Janskiego, ale ten j.;odny i spokojny. - Taki człowiek w <•, że stanowi potencjalne niebezpie- Y najłagodniejsze, co mi przychodzi
- i)ie myśli, że sobie z tego nie zdaję
- Imał. - Trzeba go było widzieć dwa /. radzieckimi czołgami na Wzgórzu
- od Góry Gellerta. Miał absolutnie • chodziło do rozlewania mydlin < /piec/ne zbocza wzgórza robiły i. do podważania oblużowanych niania dziur benzyna, i podpalali czołgiem, Imre nie miał sobie "i /uchwały i pewnej nocy jeden z ię tyłem ze wzgórza z martwą go, klęczącego na czwora-

**Alistair MacLean**

kach, do ściany domu. Tkwił tak przez trzydzieści godzin, zanim go ktoś zauważył; w tym czasie czołownie został trafiony przez rakiety przeciwpance<sup>^</sup> radzieckich myśliwców: nie chcieli, aby używano ich nych czołgów przeciwko nim.

**- Trzydzieści sześć godzin! -Reynolds spojrzął /1 j wierzaniem. -1 przeżył?**

**- Nie był nawet drażniony, do dziś nie ma blizny. To Sandor go wydobył, wtedy właśnie się Wziął łom i wybił dziurę w ścianie budynku od we Widziałem, jak to robił, odrzucał stukilowe kawał jak kamyki. Wzięliśmy chłopca do pobliskiego do| stawiliśmy go tam na chwilę, a kiedy wróciliśmy, d w gruzach: zajęła tu pozycję grupa bojowników mongolski dowódca jednego z czołgów tak długo dowal parter, aż dom się zawalił. Ale znów wydo chłopca; znów nie odniósł żadnych obrażeń. Niein bardzo chory przez wiele miesięcy, ale teraz ju/ <•/ lepiej.**

**- Czy pan i Sandor braliście udział w powstaniu**

**- Sandor brał. Był brygadzystą-elektrykiem w Dunapentele i dobrze wykorzystał swoje umie, Gdyby pan widział jak manipulował przewodami' go napięcia przy pomocy drewnianych tyczek tr/.y| gołymi rękami, włosy stanęłyby panu dęba, p;m| nolds.**

**- Walczył z czołgami?**

**- Przez porażenie prądem - skinął głową JaiiMl, gi trzech czołgów. Jak słyszałem, w Csepel posiał większe zniszczenie. Zabił żołnierza piechoty i mit miotacz ognia, który kierował w wizjer czołgów\\ gdy załoga unosiła luk, żeby zaczerpnąć powietr;/t przez otwór butelki z benzyną zatkaane podpalony) zatrzaskiwał pokrywę i siadał na niej, a kiedy S;i| dzie na pokrywie luku, żadna siła już jej nie otwod**



- Wyobrażam sobie - powiedział Reynolds są świadomie pocierając bolące go nadal nadgnici) coś sobie przypomniał. - Powiedział pan, że S;ui( udział w powstaniu. A pan?

Ostatnia granica • 55

n«ci rozłożył okaleczone, zranione dłonie onn. do góry i teraz Reynolds zobaczył nry rzeczywiście przechodziły na wylot. -nim udziału. Próbowałem, jak mogłem, do •K1

na niego w milczeniu, starając się i«/. szarych oczu w gęstwinie zmarszczek. flHl.

i nio wierzę. i c pan musiał mi uwierzyć.

1 i cisza, długa, zimna cisza. Reynolds k naczyń w kuchni, gdzie dziewczyna iiosilek. Spojrzał

Jansciemu "prosto w

by inni walczyli za pana? - Nie krył 11 wrogości.-

Dlaczego? Dlaczego pan ;il się czegoś zrobić?

ni panu, dlaczego. - Jansci uśmiech-Iniósł rękę do

siwych włosów. - Nie KI to wyglądam, ale za stary na samo-

bedący jedynie wzniosłym lecz pu-nn to fantastom,

lekkomyślnym i nie-kDin, którzy nie liczą się z

kosztami; nt oburzeniu, które nie wychodzi po-

nicpohamowanemu gniewowi, ośle-;isnej chwały.

Zostawiam to poetom i >iy.y powołują się na chlubną

walecz-i r>'cerskość minionego świata; tym, przenosi wprost do Złotego Wieku .•ym. Ale ja widzę tylko to,

co dzisiaj. i • Szarża Lekkiej Brygady, ojciec via! w

tej bitwie, pamięta pan szarżę ino słowa o niej: "To

wspaniałe, ale il( sumo było z naszym Powstaniem

• wiedział Reynolds zimno. - Naprawień, że stanowiąby wielką pocie-rhlopca z rosyjskim bagnetem w

56 • Alistair MacLean

- Jestem także za stary, żeby się obrażać - rzeki j i ze smutkiem. -1 za stary, aby wierzyć w przemoc, cli| l jest to ostatnia deska ratunku, akt rozpaczy w braku" kiej nadziei, ale nawet wtedy to tylko ucieczka w l ność. Poza tym, panie Reynolds, pomijając bezuż.\ i • przemocy i zabijania, jakie mamy prawo odbiei. innym ludziom? Wszyscy jesteśmy dziećmi jedne: < jak sądzę, bratobójstwo nie może być Mu mile.

- Mówi pan jak pacyfista - powiedział Reynol<li | stko. - Jak pacyfista zanim wgniecie go w ziemię, n żoną i dziećmi, podkuty but najeżdźcy.

- Nie całkiem, panie Reynolds, nie całkiem -czył cicho Jansci. - Nie jestem do końca taki, jaki pfl bym być. Człowiek, który tknie palcem moją Juliv, i nim mrugnie okiem. •

Przez moment Reynolds ujrzał ledwo uchwyt| ognia w tych przygasłych oczach, przypomniał sobfc stko, co pułkownik Mackintosh mówił mu o tym kłym mężczyźnie, i poczuł się jeszcze bardziej zbity \

- Ale powiedział pan... powiedział pan, że...

- Mówiłem tylko, dlaczego nie brałem udziału wstaniu.

-Jansci znów był swoim zwykłym łagodn>| - Nie jestem zwolennikiem przemocy, jeśli mo/im l niej obejść. Poza tym trudno było wybrać gorszy <•/

żywię nienawiści do Rosjan, nawet ich lubię. I'n< zapominać, panie Reynolds, że sam jestem ROMI Ukraińcem, ale nadal Rosjaninem, wbrew temu, >n] działałoby wielu moich rodaków.

- Pan lubi Rosjan. Nawet Rosjanin jest pan\* tem? - Mimo iż starał się mówić jak najuprzejmi^ nolds nie mógł ukryć niedowierzania w głosie. - I'i panu zrobili, i pańskiej rodzinie?

- Pożałowania godny ze mnie dziwoląg, prawdziif do nieprzyjaciół powinna zostać tam, gdzie przyui kartach Biblii, i tylko wariat może się zdobyć n;i lvi gi, arogancji czy głupoty, żeby otworzyć jej stroni' lać te przykazania w życie. Tylko szaleniec mo/r ważyć, lecz bez tych szaleńców nastąpiłby konin Ton Janskiego się zmienił. - Lubię Rosjan, panie I i«

- Ostatnia granica • 57

U l pogodni, kiedy się ich bliżej pozna, i t> ml/iej przyjacielskich ludzi. Ale są mto-nd/i. jak dzieci. I jak dzieci są pełni liii i prymitywni, a także trochę okrutni, •/był czuli na cierpienie. Jednak przy i niech pan pamięta, że są wielkimi muzyki i tańca, kochają śpiew, folklor, porównaniu z nimi czyni przeciętnego 111 kulturalnym troglodytą.

i n i barbarzyńscy i życie ludzkie nic dla t r;icił Reynolds.

•i-czyć? Ale niech pan nie zapomina, że i mdii, gdy znajdował się jeszcze w powi-rody Rosji. Są zacofane, prymitywne i H' i nienawidzą Zachodu, bo każą im

\id/ieć. Ale wasze demokracje także

•M lobny sposób.

' . i' Reynolds zdusił papierosa gestem i MU  
powiedzieć...

!.•( l/ie naiwny, młody człowieku, i po-

•i l;irl te słowa z obrazy. - Usiłuję tylko .idne,  
podszyte emocjami postawy są • X;i chodzie jak na  
Wschodzie. Niech

•.kład stosunek pańskiego kraju do o \v ciągu  
ostatnich dwudziestu lat. A ojny cieszył się wysoką  
popularno-II i );iktRi.bbentrop-Mołotow i byliście t  
l irsięciotysięczną armię przeciwko IM Potem  
nastąpiła porażka Hitlera .i/ety pełne były peanów  
na cześć i n.-i "i cały świat pokochał "muzyków".

1111 c • j ny obrót i do wywołania Apoka-t '   
nierozważny, spowodowany paniką > i pięć lat  
wszyscy znów będą się do i' .cię jak kurki na dachu,  
zupełnie 1111 e ani jednych, ani drugich; to nie  
• • i lecz wiatru, który nim obraca. 11 r/l|dów? - : •

\

58 • Alistair MacLean

- Waszych rządów - przytaknął Jansci. - I oczyw  
prasy, która manipuluje opinią publiczną. Ale |>  
wszystkim rządów.

- Miewamy na Zachodzie złe rządy, czasem nawr dzo  
złe - powiedział Reynolds wolno. - Błądzą, ni> l  
Odejmują głupie decyzje, mają nawet w swoich soi  
< oportunistów, karierowiczów i zwykłych tuzinko  
wyć l tyków żadnych władzy. Ale tak się dzieje,

**poniewa scy jesteśmy ludźmi. Mają dobre intencje, chcą jak piej i nawet dziecko się ich nie boi. -**

**Spojrzał w / niu na rozmówcę. - Sam pan powiedział, że radzii wódcy wysłali w ciągu ostatnich lat całe miliony IM do więzień i obozów. Jeśli ludzie są tacy sami. < rządy są takie różne? Winę ponosi komunizm.**

**Jansci potrzęsnał głową.**

**- Komunizm się skończył i to na zawsze. Dzisi mit, pusty frazes, którym posługują się cyni-względni realiści na Kremlu, aby uzasadnić i us) więc każde barbarzyństwo, jakiego wymaga ich Może nieliczni ze starej gwardii wciąż pielęgnują) nie o światowym komunizmie, ale to tylko garstka: I mogliby osiągnąć teraz jedynie poprzez wojnę to twardogłowi realiści na Kremlu nie widzą powodu]] ani przyszłości, żeby prowadzić politykę -niosąc ziarno samozagłady. Ci ludzie są w głównej mierze1 pi siewcami, panie Reynolds, a podkładanie boml).\ wej pod własną fabrykę to żaden interes.**

**- Ich okrucieństwa, ich niewolenie narodów i ul mordy nie wynikają z chęci zdominowania świata ' kie uniesienie brwi znamionowało sceptycyzm Rr\ - To mi pan chce powiedzieć?**

**- Tak.**

**- Więc z czego, na miłość boską...**

**. - Ze strachu, panie Reynolds. Z paralizującej.;" jakiego nie zna żaden ze współczesnych rządów, li ponieważ grunt raz stracony jest nie do odzyskani^ pstwa Malenkowa w pięćdziesiątym trzecim roku**

referat Chruszczowa z pięćdziesiątego szóstego i  
jacy Stalina i przymusowa decentralizacja przenn  
Ostatnia granica • 59

wszystkimi hołubionymi ideałami nie-  
iiiimmu i z centralnym zarządzaniem,  
i pić w interesie wydajności produkcji,  
i/k> posmakowali wolności. Boja się też,  
III bezpieczeństwa podupadła i to moc-  
u NKWD budzi mniejszy postrach niż  
wiara we wszechmoc władzy, w nie-  
•rł osłabia.

• li chodzi o własny naród. Ale to jeszcze l" .1 rachy  
przed światem zewnętrznym.

II MI powiedział: "Co się stanie beze m-  
\\:>k nowonarodzone kocięta, i Związek  
" nie umiecie rozpoznać naszych wro-  
•<• u-iodział, jak prorocze okażą się jego

.1 rozpoznać wrogów i mogą czuć się  
uważając za takich wszystkich dokoła,  
i loji) .się was, i z ich punktu widzenia nie  
liodniego świata, który, jak sądzą, jest /ny i tylko  
czyha na swoją szansę. Czy r/ora/cni, panie  
Reynolds, gdyby ota-

•••k Radziecki, bazy z bombami nukle-Mi.pie,  
Afryce Północnej, na Środko-i.iponii? Czy nie  
balibyście się, gdyby n ily napięcie w świecie rośnie,  
na i.ilrkosiężnych ekranów radarowych mniczy  
sposób eskadry obcych bom-

• udzieli, ponad wszelką wątpliwość, .i|>K'ć w każdej  
sekundzie dnia i nocy

•T krąży od pięciuset do tysiąca bom-  
nruo Dowództwa Sił Powietrznych  
bomby wodorowe i tylko czekających  
Tr/eba mieć ogromne ilości rakiet.

III id/ką wiarę w ich skuteczność, żeby .' l >i >\vcach  
- a wystarczy, aby tylko pięć

i" MIK) cel. Jak by się czuli Anglicy, > l,i siał broń  
do Irlandii, albo Ame-i H' lotniskowce z bombami  
wodoro-

• lv bez końca po Zatoce Meksykań-

l

60 •• Aaiistair MacLean

skiej? Niech pan spróbuje to sobie wyobrazić, pani  
nolds, a wtedy może zacznie pan rozumieć, tylko /  
gdyż wyobraźnia jest jedynie cieniem rzeczywiste\*  
się czują Rosjanie.

Ich strach się na tym nie kończy. Boją się też tych.  
próbują interpretować wszystko w ograniczonym  
swojej własnej kultury, którzy wierzą, że wszyscy lii  
całym świecie są w gruncie rzeczy tacy sami. JeM  
wszechne przekonanie, głupie i niebezpieczne.- Ro/  
między zachodnią a s|jowiańską mentalnością i s|»  
myślenia, różnica między modelami kultury jest, v  
niestety na ogół nie rozumiana.

W końcu, ale może nade wszystko, boją się przc-i  
zachodnich wartości do swojego kraju. Dlatego ••  
kraje satelickie są dla nich tak cenne jako kordon >  
ny, odizolowanie od niebezpiecznych wpływów L  
stycznych. I oto dlaczego bunt w jednym z tych krm  
tutaj dwa lata temu w październiku, wydobywa / p<

**c'ów radzieckich wszystko co najgorsze. Zareagowni nieprawdopodobną gwałtownością, ponieważ zob.i tym budapeszteńskim powstaniu kulminację i u<>- • wszystkich trzech dręczących ich koszmarów: że r., lskie imperium się rozpadnie i kordon sanitann na zawsze, że nawet najmniejszy sukces może zaH, podobnej rewolty w Związku Radzieckim, i, co n:n że pożar na dużą skalę, od Bałtyku do Morza Cz:in> Amerykanom powód lub pretekst do zapalenia, światła przed Strategicznym Dowództwem i Io1i Szóstej Floty. Pan wie i ja wiem, że to absurdał ale nie mówimy o faktach, tylko o tym, co rad wódcy uważają za fakty.**

**Jansci opróżnił kieliszek i spojrzał na Reyu - Mam nadzieję, że zaczyna pan rozumieć, < byłem ani zwolennikiem, ani uczestnikiem po\ . czyną pan też może rozumieć, dlaczego bunt mu stłumiony, a im byłby większy i poważniejszy, tym krwawe musiałyby nastąpić represje, aby zach don i odstręczyć inne kraje satelickie czy te/ •<( obywateli od podobnych pomysłów. Zaczyna pan n-(**

**5**

**iH<**

**Ostatnia granica • 61**

**i ii-jne przedsięwzięcie, z góry skazane na icie daremne i fatalne w skutkach. Jedy-tn umocnienie pozycji Związku Radziec-iuleczenie rzeszy Węgrów, zniszczenie i i.l ponad dwudziestu tysięcy domów, in-• ci i niemal śmiertelny cios dla miejsco-**



" powstanie nigdy nie powinno się było  
:lem, gniew wywołany rozpaczą jest  
v może być rzeczą wzniosłą, gdy nie-  
\woje wady.

i e wiedząc, co powiedzieć. W pokoju Iluga, lecz już  
nie tak chłodna jak Iglosem było szuranie butów  
Rey-wal sznurowadła - podczas mowy brać. W  
końcu Jansci wstał, zgasił ii,' przy oknie, wyjrzał i  
znów zapalił lał, że był to nic nie znaczący, czysto  
nowa czujność człowieka, który tyl-, że nigdy nie  
zaniedbał żadnego molds włożył swoje dokumenty do  
iięscii z powrotem w kaburze pod  
pukanie do drzwi i weszła Julia, ona od ognia, niosła  
na tacy miskę ijesa z jarzynami i butelkę wina.  
-lolds. Dwa nasze narodowe dania.

Oba wiarą się, że w zupie może być ikany czosnku na  
pański smak, ale

Uśmiechnęła się przepaszająco. nie mogłam w  
pośpiechu przygoto-

- zapewnił ją Reynolds. - Przykro t! kłopotu w  
środku nocy.

•/wyczajona -powiedziała z kolej-ii! mam do  
nakarmienia pół tuzina i ranem. Goście ojca  
przychodzą o

62 • AlistairMacLean

- To prawda - przyznał Jansci. - A teraz zmyM  
łóżka, kochanie. Jest bardzo późno.

- Chciałabym jeszcze trochę zostać, Jansci.

- Nie wątpię.-W szarych oczach Jansciego zap,i  
wesole iskierki. - W porównaniu z naszjoni innymi

pan Reynolds jest całkiem przystojny. Jak się troił .  
je, uczesze i ogoli, może prezentować się zupełnie1

- To nie fair, tato.

Nie daje się łatwo zbić z tropu, pomyślał Reynoli' jak  
zauważył jej policzki nieco pociemniały.

- Nie powinieneś tak mówić - dodała.

- Fakt, nie powinienem-zgodził się Jansci. Spo H  
Reynoldsa. - Wymarzony świat Julii leży na 7.in '   
granicy Austrii i chętnie godzinami słuchałaby o|n o  
nim. Ale są pewne rzeczy, o których nie może w i •  
rzeczy, których nie powinna się nawet domyślać l  
spać, moja mała.

- Dobrze.

Podniosła się posłusznie, choć niechętnie, pot n ojca  
w policzek, uśmiechnęła się do Reynoldsa l Reynolds  
spojrzał na Janscięgo, który sięgnął )>< butelkę i  
zaczął ją otwierać.

- Czy przez cały czas nie zamartwia się pan <i  
śmierć? .

- Bóg jeden wie, jak bardzo się martwię - odpali po  
prostu. - To nie jest życie dla niej ani dla żadntif  
czyny, a jeśli mnie złapią, z całą pewnością we/iiiiii |

- Nie można jej stąd w\'wieźć?

- Niech pan spróbuje! Mógłbym bez najmniej ności  
czy niebezpieczeństwa przerzucić ją do Ativ by jutro,  
pan wie, że to moja specjalność, ale m zgadza. Jest  
posłuszną, pełną szacunku córką i dział, ale tylko do  
wyznaczonej przez siebie gi .n nią, jest uparta ja-k  
koziół. Zna ryzyko, ale zost.;i i nie wyjedzie, dopóki

nie odnajdziemy jej m; i pojadą razem. Ale nawet i wtedy...

Urwał nagle, gdyż drzwi się otworzyły i s' nieznajomy mężczyzna. Reynolds obrócił si(, kot, jednocześnie zrywając na równe nogi; pon.

Ostatnia granica • 63

t linoleum dał się słyszeć szczęk odbez-

| wymierzonego w przybysza, zanim

krok. Reynolds ogarnął go baczny

K: każdy szczegół. Gładkie ciemne

i lu, szczupła orła twarz z cienkimi,

iii, wysokie czoło - wszystko to skła-

iii znany typ polskiego arystokraty.

yciągnął rękę i delikatnie skierował

j<? - mruknął pod nosem. - Jest pan

niebezpieczny. Jak wąż, który ude-

i przyjaciel, dobry przyjaciel. Panie

iiić Hrabiego.

pistolet, przeszedł przez pokój i wy-

mruknął. - Hrabia....? odparł przybysz.

•tfo zdumiony wzrok. Ten głos rozpo-

•<!)! -zawołał.

mai Hrabia i z tymi głowami jego

ino subtelnie choć zasadniczo jak

nością ale zgodnie z prawdą muszę

mam równych jeśli chodzi o prze-

i, którą pan teraz widzi przed sobą,

<'j lub bardziej ja. Mała blizna tu i

•iiii mnie AVO. Rozumie pan teraz, pr/ejąłem groźbą rozpoznania? ,|I Kłową. ii-.s/ka pan tutaj? Z Janscim? Czy to n i. najlepszych hoteli wBudapesz-1't-ra AVO - zapewnił go Hrabia. -  
• oczywiście, mieć swoje... nazwij-  
• •iltsza czy dłuższa nieobecność nie i 'rzcpraszam, że nie było mnie tak pokoi! go Jansci. - Wiedliśmy tu Misji,-.

64 • Alistair MacLean

- Oczywiście na temat Rosjan?

- Oczywiście.

- I pan Reynolds okazał się zwolennikiem tezy, /<• ij ny dobry Rosjanin to martwy Rosjanin?

- Mniej więcej. -Jansci uśmiechnął się. -Nic t; no sam byleś tego zdania.

- Wszyscy mądrzejemy z wiekiem. - Hrabia pod s szafy, wyjął ciemną butelkę, nalał sobie z niej pół spojrzął na Reynoldsa.-Barackpalinka, wódka mu Zabójcza. Niech pan jej unika jak zarazy. Tutejsza N ność.

Reynolds patrzył ze zdumieniem, jak Hrabia wyp nym haustem zawartość kubka i napelnia go ponowi

- Nie przeszliście jeszcze do sedna? - spytał lir

- Właśnie przechodzimy. - Reynolds odsun;il i wziął kieliszek z winem. - Słyszeliście panowie /ai profesorze Haroldzie Jenningsie?

Oczy Janskiego zwężiły się.

- Owszem. Któżby o nim nie słyszał?

- Właśnie.. Wiecie więc, jaki jest: sympatyczny, wzroczny staruszek dobrze po siedemdziesiątce, mina pod każdym względem typowego roztargnionego profesora, oprócz jednej rzeczy. Ma umysł jak kompromis największym światowym ekspertem i autorytetem dziedzinie matematycznej teorii balistyki i rakiet !• nych.

- Dlatego właśnie skaptowali go Rosjanie Hrabia.

- Nic podobnego - zaprzeczył Reynolds. - Cały myśli, ale się myli.

- Jest pan tego pewien? - Jansci wychylił się mocno do przodu.

- Najzupełniej. Posłuchajcie. W czasie, gdy pr/ li na tamtą stronę inni brytyjscy naukowcy, star> . wystąpił ostro, choć nie najmądrzej, w ich obronie zdecydowanie tak zwany przestarzały nacji i stwierdził, że każdy człowiek ma prawo postępu nie ze swoimi przekonaniem i sumieniem. Niem miast, jak należało się spodziewać, zgłosili sk

Ostatnia granica • 65

h /. kwitkiem, każąc im iść do diabła i mlzaj nacjonalizmu o wiele mniej mu / jakim ma do czynienia we własnym '•m tylko w kategoriach ogólnych, wy-  
u wiedzieć?

ismę z tą rozmową, cały jego dom był ;dy nie ujawniliśmy tego nagrania, a

II do Związku Radzieckiego, było już

nam nie uwierzył, uknął Jansci. - Ale jak tylko podsłu-

przestaliście go pilnować?

**t; i \ nolds. - Choć nie zrobiłoby to zad-  
ii•/ mieliśmy na oku tylko profesora,  
im /.isem mniej więcej dwa miesiące  
id/.it>ckimi agentami, pani Jennings i  
ii r.rian - profesor późno się ożenił -  
III na wakacje. Jennings miał jechać i chwili  
zatrzymały go jakieś ważne dni później dotarł do ich  
hotelu w .mi żony ani syna.**

**h. naturalnie - powiedział Jansci ajcarsko-austriacka  
nie jest żadną decydowanych facetów, ale najpew-  
xlka,wnocy.**

**/c/amy. Przez Jezioro Bodeńskie. W 'n- /o w ciągu  
paru minut po przyby-iiii /. Jenningsem kontakt,  
powiado-11 n' /ostawiono mu wątpliwości, co " li  
natychmiast nie podąży za nimi n 1111 I.LJ.S może  
być roztargnionym sta-!n|ic-em: wiedział, że ci ludzie  
nie itthal. I/y s kac?**

**Dlatego tu jestem. ;;item ust.**

**•ib zamierza pan go odbić, panie  
lego żonę i syna, bo bez nich nic  
d/i: starego człowieka, kobietę i**

**66 • Alistair MacLean**

**chłopca, oddalonych o tysiąc mil pokrytych gru l  
śniegu.**

**- Nie troje ludzi, tylko jedną osobę: profe.sun muszę  
jechać po niego do Moskwy. Jest nie; kilometry stąd,  
tu w Budapeszcie.**

**Jansci nie krył zdumienia.**

**- Tutaj? Jest pan pewien, panie Reynolds?**

**- Pułkownik Mackintosh był pewien.**

- Wobec tego to musi być prawda. - Jansci o i spojrzął na Hrabiego. - Słyszałeś coś o tym?

- Ani słowa. Nikt w naszym urzędzie nic o tym J mogę przysiąc.

- Cały świat dowie się w przyszłym tygodniu Reynoldsa był spokojny ale pewny. - Kiedy w poi nastąpi otwarcie Międzynarodowego Kongresu go, pierwszy referat odczyta profesor Jennings. bić z niego gwiazdę numer jeden w tym przedMj Ma to być największy triumf propagandy koniuiil od lat.

- Rozumiem. - Jansci w zamyśleniu bębnił pn^ stole, nagle spojrzął ostro na Reynoldsa. - | że chce pan porwać tylko profesora?

Reynolds przytaknął.

- Tylko profesora! - Jansci patrzył na niego x rzaniem. - Dobry Boże, człowieku, czy nie zdaje sprawy, co się stanie z jego żoną i synem? Zapewni i że jeśli oczekuje pan naszej pomocy...

- Pani Jennings jest już w Londynie. - Reyii<< rękę, uprzedzając pytania. - Dwa tygodnie ten zachorowała i Jennings uparł się, żeby pojechali! I na leczenie. Zmusił komunistów, aby przystali m. nie; człowieka jego kalibru nie można skłonie iii siłą, praniem mózgu ani torturami nie niszczy;i< ) ności twórczych, a on zdecydowanie odmówił u (• dopóki nie spełnią jego życzeń.

- Musi mieć nie lada charakter - Hrabia głową z podziwem.

- Potrafi dobrze dać się we znaki, kiedy się-uprze - uśmiechnął się Reynolds. - Ale to nic

"» n'i

i« H4J ic liH

Ostatnia granica • 67

Rosjanie mieli wszystko do < usługi największego żyjącego współ-

• listyki, i nic do stracenia. Wciąż trzy-i uty:

Jenningsa i jego syna i wiedzieli, "d, a zapewnili sobie, żeby wszystko ks/,ej tajemnicy. Prawie nikt nie wie-i;.s jest w Anglii, nawet chirurg, który  
'•no operacje.

• /.agrożona, ale wyciągnęła się z tego uje siły.

• 7. czego cieszyć - zauważył Jansci. -i?

• ni wróci do Związku Radzieckiego - bez ogródek. - A Jennings nie ma i iidości. Myśli, że nadal jest śmiertel-  
l/.ień lekarzom ubywa nadziei. Taką Miiliśmy.

/crwał się na równe nogi, jego szare nilowe błyski. -

Boże wielki, Rey-/kit; postępowanie? Powiedzieliście

Kowi, że jego żona jest umierająca? iy, i to bardzo.

Nasi naukowcy utknę-kt-ie i od dziesięciu tygodni nie po-i, s;i przekonani, że tylko Jennings 'iicin ten impas.

iv do tak nikczemnego podstępu... ul) śmierci, Jansci

- przerwał Rey-ili śmierci milionów ludzi. Jennings w tym celu każdego środka, It-st etyczne, Reynolds?

Myślisz, że wiu...

iic ma najmniejszego znaczenia -

•In. - Nie ja podejmuję decyzje. Ja lonc zadanie do wykonania i zrobię liiC.



**I" /pieczny człowiek - mruknął " i ca, ale działa po stronie prawa.**

**68 • -AlistairMacLean**

**- Tak. - Reynolds był nieporuszony. - Jest jcs/«| Jak wielu geniuszy, Jennings jest naiwny i prosi, jeśli chodzi o sprawy nie związane z jego specj;il|| Pani Jennings mówiła nam, że Rosjanie zapewniliłll iż projekt, nad którym pracuje, będzie wykorzystim cznie w celach pokojowych. Jennings w to wier/y konania jest pacyfistą, więc...**

**- Wszyscy przywoici naukowcy są pacyfistami usiadł, ale jego wzrok dalej był wrogi.-Wszyscy pr« ludzie są pacyfistami.**

**- Nie przeczę. Mówię tylko, że Jennings jcsł takim stadium, że prędzej będzie pracował dla myśląc, że robi to w interesie pokoju, niż dla narodu wiedząc, że to w interesie wojny. Czyli tym ( będzie go stąd wyrwać i tym bardziej musimy u-/y kich dostępnych środków.**

**- Los jego syna jest oczywiście nieistotny.-Hrał>K nął lekceważąco ręką. - Kiedy gra idzie o tak \vyi wkę...**

**- Brian, jego syn, spędził cały wczorajszy d/U znaniu - przerwał mu Reynolds. - Była tam jakaś' połączona ze zjazdem organizacji młodzieżowy\*\*! nasi ludzie nie opuszczali go od momentu, kifdy] łóżka. Jutro w południe... to znaczy dzisiaj, będ/.io cinie. Dwadzieścia cztery godziny później w Szwr**

- Ach tak. Ale jest pan zbyt pewny siebie. R( docenia pan czujności Rosjan. - Hrabia patrzył uważnie znad kubka z wódką. - Agenci czasem •/.

- Tych dwóch -agentów nigdy nie zawiodło, najlepszych w Europie. Brian Jennings będ/ir Szwecji. Potwierdzenie przyjdzie z Londynu w t n dziennego serwisu informacyjnego BBC. DopirrJ nie wcześniej, zwrócimy się do Jenningsa.

- No tak. - Hrabia kiwnął głową. - Może ma p jakieś ludzkie cechy.

- Ludzkie cechy! - Głos Janskiego był nadal /K mai pogardliwy. - To tylko jeszcze jeden środek pr biednemu staruszkowi; ludzie Reynoldsa wied/n dobrze, że gdyby zostawili chłopca w Związku Kmli Ostatnia granica • 69

i»o zlikwidowano, Jennings nigdy już by al.

•'lejnego nieodłącznego brązowego pa- /byt surowi. Może w tym przypadku iumanitarność idawparze. Jakpowie-i, jeśli Jennings mimo wszystko odmó-

M.-ohać czy mu się to podoba, czy nie. prostu wspaniale! - Hrabia uśmiech-i - Co za zdjęcie dla "Prawdy". Nasz Ienningsa za nogi przez granicę i pod-aKent uwalnia zachodniego naukow-tiie Reynolds?

\*I ramionami i nie odpowiedział. Do-ruianę atmosfery, wrogość, jaka zapa-itnicli kilku minut. Ale musiał powie-•ystko - pułkownik Mackintosh zdecy-.il. n poza tym i tak było to nieunikniona ich

**pomoc. Oferta pomocy właśnie 'i mógł sobie  
darować całą wyprawę  
mmely w milczeniu, potem Jansci i < • 11 l)ie i  
wymienili niemal niewidocz-  
i >< i,irzał Reynoldsowi prosto w oczy.  
•"l.-icy byli tacy jak pan, panie Rey-  
1 i:m, aby wam pomóc. Zinino-  
ia których ludzkie cierpienie,  
•iść czy niesprawiedliwość to ą przez swoje ciche  
przyzwol larzyńscy mordercy, o których t> wiem, że  
nie.wszyscy są tacy  
•.że, gdyby to miało tylko umo->rodukcję nowych  
maszyn wo-kintosh był...jest... moimprzy-  
•m to za nieludzkie, żeby stary i ". 'ej ziemi, pośród  
obojętnych i "d tych, których kocha. Toteż i.is/ej  
mocy, aby, z Bożą pomocą,**

#### **Rozdział czwarty**

**Z nieodłączną lufką w zębach i nieodłącznym it  
papierosem Hrabia nacisnął łokciem dzwonek 11  
dopóki z klitki za recepcją nie wysunął się, pr/«<  
zaspane oczy, niski nieogolony mężczyzna w ro/cli  
koszuli. Hrabia spojrział na niego z dezaprobat;) )  
- Nocni portierzy powinni spać w dzień - pi zimno. -  
Zawołajcie mi tu dyrektora, i to szybko  
- Dyrektora? O tej porze? - Portier wymowiuur oczy  
na zegar nad głową, następnie przeniósł Hrabiego,  
ubranego teraz niewinnie w szary k szary  
nieprzemakalny płaszcz, i z nieskrywanym l żenieni  
dodał: - Dyrektor śpi. Przyjdźcie rano.**

Rozległ się nagły dźwięk dartej tkaniny bólu, gdy Hrabia zgarnawszy mu koszulę poć przeciągnął go niemal przez kontuar, podsuwając ją ręką swój portfel tuż pod przekrwione, zaś rozszerzone najpierw ze zdumienia, a potem /> Przez sekundę trwali tak bez ruchu, w końcu Hi pchnął go pogardliwie pod przegródki na klucz/-portier uchwycił się kurczowo, usiłując zachow-> wagę.

- Przepraszam, towarzyszu, bardzo przepraszam, że oblizywał wargi, nagle suche i sztywne. > łem... nie wiedziałem...

- A kogóż innego spodziewacie się o tej porze Hrabia łagodnie.

- Nikogo, towarzyszu, nikogo! Absolutnie nik- < że... no, że byliście tu zaledwie dwadzieścia m

- Ja tu byłem? - Uniesiona brew podobnie jnk| ucięły przestraszone jąkanie.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. To znaczy, ntt>| pańscy ludzie. Przyszli...

- Wiem, człowieku. Sam ich wysłałem.

Ostatnia granica • 71

•• 'ii ręką, znudzonym gestem każąc mu

• i i ;i ruszył po dyrektora. Reynolds pod-

> \* -danie i podszedł do Hrabiego.

»•• i/.odstawienie -mruknął. - Sam,by-i »•• •

>< ula -odparł Hrabia skromnie. -Pod-i\* • "\ję i na

dłuższą metę nie wyrządza t (t to przykre być

nazywanym "towarzy-

\*l> 'iibalów... Słyszał pan, co powiedział?

\\i> isu, prawda?

i u swój własny ograniczony sposób -i<> rana  
sprawdzą wszystkie hotele w s/ansa, ale nie mogą jej  
zaniedbać, nie bezpieczny, o wiele bardziej niż  
ivvq w milczeniu. Zaledwie pół godzi-isci zgodził się  
mu pomóc. Obaj z c musi natychmiast opuścić ten  
dom i zbyt niebezpieczny. Niewygodny .. ale dlatego,  
że stoi samotnie i na, hy, jakie Reynolds będzie  
zmuszony n czy to w dzień, czy wnocyniepożą-al się  
zbyt daleko od centrum, od Kdzie zapewne  
zatrzymał się Jen-./e, nie miał telefonu.

ponieważ w Janscim narastało prze-|iod obserwacją:  
w ciągu ostatnich tulo jak Imre widzieli dwóch  
ludzi, •.; di porach spacerujących wolno po \lalo  
prawdopodobne, aby chodziło In iow, chyba nie byli  
to też milicfan-,i/de miasto pod rządami policyjny-ki  
płatnych informatorów; zapewne i utwierdzali się w  
podejrzeniach i l.miemięna milicję po swoje juda-  
n'ilds był zdumiony spokojem i obo-i mówił o tym  
niebezpieczeństwie, i ;iiiężone ulice do hotelu Hrabia  
i •' i często musieli zmieniać kryjów-

74 • Alistair MacLean

- Moje instrukcje mają być wykonane bezzulij  
dokładnie, a wy osobiście odpowiecie za jaklf choćby  
najmniejsze, niedopatrzenie - ciągnął Ur powiadając  
każde słowo dobitnie i zimno. - Chyl) lisz Kanał  
Czarnomorski, przyjacielu?

- Zrobię wszystko, wszystko! - Dyrektor mów|| nym  
tonem, dygotał żałościem z przerażenia i mu.sll cię się  
kontuaru recepcji dla zachowania rówi

Wszystko, towarzyszu, przysięgam!

- Dam wam ostatnią szansę. - Hrabia wska/; głowy Reynoldsa. - To jeden z moich ludzi. !)<>• podobny z wyglądu i budowy do poszukiwanego.-.. i trochę go ucharakteryzowaliśmy. Ciemny k;il restauracji, łącznik zmylony podchodzi i już jeM śpiewa nam, co trzeba, jak wszyscy przesłuch<sup>1</sup> AVO, i sam szpieg też będzie nasz.

Reynolds wlepił wzrok w Hrabiego - tylko

-zawodowej wprawie zawdzięczał, że udało im wać kamienną twarz. Zastanawiał się, czy b człowieka nie ma granic. Ale właśnie to bi zuchwalstwo stwarzało największe szansę stwa.

- Tak czy owak, to nie wasza sprawa - ciągu:!)! Wy macie dać mojemu przyjacielowi, nazwijmy t gody panem Rakosi, najlepszy pokój, jaki maclo, i j ką, wyjściem przeciwpożarowym, radiem, telet i dzikiem oraz klucze-matki do wszystkich poi wych, i zapewnić mu absolutny spokój. Teleft wolno podsłuchiwać jego rozmów; jak pan za| 4 drogi dyrektorze, mamy urządzenia, które natyc i>| nalizują nam, kiedy linia jest na podsłuchu. ^ też żadnych pokojówek, kelnerek, elektryków "ków czy innych rzemieślników w pobliżu j Wszystkie posiłki macie przynosić sami. Dopóki si nie zechce się pokazać, dla nikogo nie istnie "-może nic o nim wiedzieć, nawet wy nigdy nic «l go na oczy, podobnie jak mnie. Czy wszystko j:iin  
Ostatnia granica • 75

**-rywiście. - Dyrektor chwycił się rozpa-i ratunku. -  
Wszystko będzie dokład-towarzyszu. Daję na to  
słowo.**

**uda się wam utrzymać w tym hotelu  
li jeszcze kilka tysięcy gości -powie-  
i i i wie. - Ostrzeżcie tego idiotę, portie-  
K /a zębami, a teraz chodźmy już do  
H-j /.ostali sami. Pokój Reynoldsa nie •i ii u  
urządzony, z radiem, telefonem i irowym dogodnie  
usytuowanym za 11 .ihia rozejrzą! się z aprobatą.  
ygodnie przez parę dni, w każdym dłużej, to zbyt  
niebezpieczne. Dyre-ale zawsze znajdzie się jakiś  
prze-platny informator, który doniesie. i dniach?  
ul przeobrazić się w kogoś innego.  
i/.in i pójdę do mojego przyjaciela, . takich rzeczach.  
- Hrabia w zamy-/i-ciniasty podbródek. - Sądzę, że  
•ilzie przebranie za Niemca, najle-  
z Dortmundu, Essen czy tamtych  
1,1, że będzie to bardziej przekonu-  
. ta. Szmugiel między Wschodem a  
.10 rozmiary, że interesy prowadzą  
/ wajcarscy i austriaccy pośrednicy,  
.msacje, przeżywają chude dni.  
ptaszki, a przez to bardziej podej-  
powiedzmy, dostawcę miedzi albo  
i powędnie papiery.  
i wary pod embargiem?  
ki takich towarów, objętych abso-  
.!U przez rządy zachodnie, co nie**

• ic '/.a żelazną kurtynę szeroką rzeką i dwustu milionów funtów rocznie;

78 • Alistair MacLean

- Nawet na krok. Mnie czeka teraz trochę snu mundur i codzienna porcja terroru dla wszystkiego z osobna. - Hrabia uśmiechnął się k może pan sobie wyobrazić, panie Reynold.s czuć się przez wszystkich kochanym. Au revoir i

Reynolds nie tracił czasu po jego wyjściu. < szliwie zmęczony. Zamknął drzwi pokoju, p. klucz tak, żeby nie można go było wypchnąć\* podstawił krzesło pod klamkę dla dodatkowe czenia, zaniknął okna w pokoju i łazience, poi> petach szereg szklanych i łatwo tłukących się - najlepszy środek przeciw włamywaczom, j;i doświadczenia - wsunął pistolet pod podus/l.> się i z rozkoszą rzucił do łóżka.

Przez chwilę jego myśli błądziły wokół zaj.sr , paru godzin. Myślał o cierpliwym i łagodnym Janscim, którego wyraz twarzy i poglądy był\ kiej sprzeczności z niemal niewiarygodnym n stwem przeżytych doświadczeń; o enigmatyc/n o córce Janskiego, która na razie była dla i bieskich oczu pod jasnymi włosami; o Sand<> sposób równie łagodnym jak jego szef; o Imn mi, rozbieganymi oczami. Próbował też pomyśleć o dniu jutrzejszym już dzisiejszym - o tym, jak spotkać się ze sta: rem, jak najlepiej przeprowadzić z nim rozumem 1 zbyt zmęczony, myśli zlewały mu się w ciąg obrazów, w końcu i te obrazy rozpląły się i nicość, a on sam zapadł w ciężki, głęboki sen.



Zaledwie cztery godziny później zerwał go ol dźwięk budzika. Obudził się z owym kołowaty l niem człowieka jeszcze na wpół śpiącego, nici dził się natychmiast, wyłączając brzęczyk po p dach.

Zadzwoił na dół po kawę, włożył szlafri papierosa, odebrał kawę przy drzwiach, zumlji nownie i usiadł z słuchawkami radiowymi na iu(!

Hasło potwierdzające przybycie Briana do Si ło polegać na umyślnym przejęzyczeniu spikc  
Ostatnia granica

il/.iś wieczorem... przepraszam bardzo, Ale tego ranka w europejskim serwisie i -".(' na falach krótkich żadne potknięcie i piło i Reynolds zdjął słuchawki, nie Ikiego zawodu. Nie spodziewał sięwła- tak wcześniej, ale nawet nikłej szan-

•\ ażyć. Skończył kawę l po paru mim>

• i l się sam z siebie, wypoczęty i odświe-

• wszej. Umył się, ogolił, zadzwonił po ^lony. Na dworze panował taki mróz, że onione i musiał je otworzyć, żeby zoba-

• In. Wiał lekki wiatr, ale tak przenikliwy, i ienką koszulą na wskroś. Idealne wa-

i tajnego agenta, o ile oczywiście nie r, pomyślał ponuro. W powietrzu wiro-

•:iste płatki śniegu padające wolno z

• ni nieba. Reynolds wstrząsnął się i okno; w tej samej chwili zapukano

dyrektora niosącego tacę z przykry-dyrektor czuł się w duchu urażony pracy posługacza, to w żadnym razie iii/.ywał. Przeciwnie, był niezwykle uni-tacy

butelki Imperial Aszu, łagodnego, nie rzadkiego jak złoto, miała dowo-  
•znej chęci dogodzenia AVO w każ-ynolds powstrzymał się od podzię-umiał, nie bawiło się w takie grze-i ręką, odprawiając dyrektora. Ten cni, wyjmując czystą kopertę. • bym to wam doręczył, towarzyszu noldsa był ostry, ale bez strachu. \ jaciele znali jego nowe nazwisko.  
t emu.

Ileynolds wbił zimny wzrok w iktawę;  
melodramatyczne gesty i

**80 • Alistair MacLean**

tony, u niego w kraju wiodące do śmieszności, it przekonał, w tym sterroryzowanym społeczeii.su przyjmowane z całą powagą. - Więc dlaczego i siono mi tego pięć minut temu?

- Przepraszam, towarzyszu. -Drżenie wróciło l dyrektora. - Wasz obiad był niemal gotowy i niy»l|

- Nikt wam nie kazał myśleć. Następnym r»/i przyjdzie do mnie wiadomość, ma być dostarc/.oti miast. Kto to przyniósł?

- Dziewczyna... młoda kobieta.

- Opiszcie ją.

- To trudne. Nie znam się na tym. - Zawahał płaszcz z paskiem i dużym kapturem. Nie b\l»' raczej niska, ale dobrze zbudowana. Jej buty..

- Twarz, idioto! Włosy.

- Zakrywał je kaptur. Miała niebieskie oczy, l •  
bieskie... - Dyrektor uchwycił się z nadzieją, ale  
zaraz się skonsternował. - Obawiam się, tnv  
Reynolds kazał mu się wynosić. Dowiedział go chciał:  
opis dostatecznie pasował do córki Jego pierwszą  
reakcją, zdumiewającą dla nici był gniew, że można  
ją tak narażać, ale żar; opamiętanie. Jansci, z twarzą  
znaną setkom lud, bezpiecznie poruszać się po  
ulicach; Sandor i li bohaterowie powstania, też  
pozostali w painu ale młoda dziewczyna nie powinna  
wzbudzić 'n-dejrzenia ani zdziwienia, a nawet gdyby  
pO/ wypytywano, opis dyrektora pasował do wielu i  
Otworzył kopertę. Wiadomość była krótko  
drukowanymi literami:, "Proszę nie przychód/  
domu. Spotkamy się w kawiarni 'Pod białym atu dzy  
ósmą a dziewiątą. J." Julia oczywiście, ni < l nie  
chciał się pokazywać na ulicach, tym b, r ' szedłby do  
zatłoczonej kawiarni. Powód zm; miał zameldować  
się u Janskiego po spotk;i i" sem-był mu nieznany.  
Równie dobrze mógł;' wacja milicji lub  
informatorów jak tuzin inn Z typowym dla siebie  
rozsądkiem nie tracił r nawianie się nad tym;  
wiedział, że zgadywn n i •  
Ostatnia granica • 81  
wszystkiego od dziewczyny w swoim czasie. •• i'ic w  
umywalce, spuścił popiół w klozecie nogo obiadu.  
Druga, trzecia, czwarta i nadal ani słowo-\lbo miał  
trudności ze zdobyciem infor-irdziej  
prawdopodobne, nie znajdował kazać. Reynolds,  
przerywając chodzenie tylko dla rzucenia okiem

przez okno na : pokrywający bezgłośnie domy i ulice  
i.> niecierpliwić. Jeśli ma znaleźć profe-/. nim,  
przekonać do ucieczki przez grami przed dziewiątą  
zdążyć "Pod białego Ires w książce telefonicznej - to  
rzeczy-<>/no.

pół do szóstej. W końcu za dwadzieścia >ju rozległ  
się ostry dzwonek telefonu, ^ię przy aparacie w  
dwóch skokach i i,1. ;

'n Johann Buhl? - Hrabia mówił cicho i l l o  
niewątpliwie jego głos.

im dla pana dobre wiadomości, panie i południu w  
ministerstwie i są bardzo i ską ofertą, zwłaszcza jeśli  
chodzi o bla-icieliby od razu to z panem przedysku-  
uim, że godzi się pan na ich cenę: dzie-  
firma zaakceptuje to. /ystępujemy do interesów.

Możemy po-

• łucji. Czy wpół do siódmej nie będzie  
U!?

u-wnością. Trzecie piętro, tak? l ego o wpół do  
siódmej. Do zobaczenia, ona słuchawka. Hrabia  
brzmiał, jakby ;il się, że ktoś go może podsłuchać, ale  
/ystkie informacje. Buhl, czyli litera B

•l "Trzy Korony", ten obsadzony przez

•li. Szkoda, to zwielokrotniało niebez-

•vii;ijinniej wiedział, na czym stoi: każ-

82 • Alistair Mac-Lean

Ostatnia granica • 83

dy będzie tam przeciwko niemu. Numer pięćdzie.M  
więc, drugie piętro, a profesor ma kolację o szói  
dzieści i wtedy jego pokój będzie zapewne pusty. H

spojrzał na zegarek i już nie tracił czasu. ZapU  
trecza, wcisnął na oczy kapelusz, przykręcił MI  
tłumik do swojego belgijskiego pistoletu, wsad/i  
prawej kieszeni, do lewej zaś wodoszczelną lui  
ponadto jeszcze dwa zapasowe magazynki do we\ v i  
kieszeni marynarki. Później zadzwonił do dyrekii  
wiedział mu, że przez następne cztery godziny ni •  
sobie absolutnie żadnych gości, telefonów, listów n  
ków; zablokował klucz w zamku, zostawił palące sk<j  
> dla zmylenia kogoś na tyle ciekawskiego, że chcin  
rzyć przez dziurkę, otworzył okno łazienki i opu\*>  
zejściem przeciwpożarowym.

Noc była przejmująco zimna, gruba, miękki; i śniegu  
sięgała do kostek i zanim przebył dwie.1 jego płaszcz  
i kapelusz były niemal równie biał< pod stopami. Ale  
zarówno zimno jak i śnieg rękę: mróz zniechęci  
najbardziej sumiennyc-J ków milicji czy służby  
bezpieczeństwa do prze ulic ze zwykłą czujnością, a  
śnieg, oprócz ,• ochronnym, białym kokonem  
anonimowości, i wszelkie odgłosy, wyciszając niemal  
zupełnie Idealna noc dla szpiega, pomyślał z  
satisfakcj

Dotarł pod "Trzy korony" w niecałe trzy mii w  
śnieżycy poruszał się po ulicach równie pc mieszkał  
w Budapeszcie całe życie - i przysl;\* wszych  
ostrożnych oględzin terenu, trzymajai strony ulicy.  
Był to duży hotel, zajmujący cały kwartał. V wojnę  
szklane drzwi z drugimi obrotowymi w i tonęło w  
ostrym świetle jarzeniówek. Strzegł odźwiernych w  
liberiach, przytupując od czas poklepując się

skrzyżowanymi rękami dla n Obaj, jak Reynolds widział, byli uzbrojeni w re zapiętych kaburach i pałki. Bez trudu się don nie bardziej odźwiernymi niż on sam, lecz funl szami AVO. Jedno było pewne: jakkolwiek by

ii, to nie przez frontowe wejście. Wszy->strzegł kątem oka, idąc spieszenie po . z głową spuszczoną przed nawałnicą k zmierzający czym prędzej do ciepła (idy tylko zniknął im z oczu, przyspie-;ił szybko boczne ściany hotelu. Nie 10 i niż front: wszystkie okna na parte-r, a te na piętrze mogły równie dobrze ic-życu, jeśli chodzi o łatwość dostępu. iyl budynku.

MWCÓW i personelu prowadziło przez >dku muru, na tyle szeroką i wysoką, ciężarówkę. Dalej widać było pokryty T - hotel był zbudowany w formie ku - wejście po drugiej stronie, na-wtitych, i jeden czy dwa zaparkowane jśdem do głównego bloku paliła się '• arnia, z okien na parterze i na piętrze .v\'iatła.

Pozwalało to dostrzec kancia-

•Irabinek przeciwpożarowych biegną-\-(f, gdzie ginęły w śniegu i ciemności.

I do rogu ulicy, rozejrzał się szybko

••t. jezdnię i trzymając się jak najbliżej wrotem do tylnego wejścia. Przy łuku vmal się, naciągnął kapelusz jeszcze

II r/ul ostrożnie w głąb. lumdzie uderzy! go prosto w oczy y hlysk światła, całkowicie go oślepia-i-bywaniu w ciemności-i przez jedną i.il. że jest zgubiony.

Trzymając palec ii już pistolet z kieszeni, kiedy nagle

1 " > . 'ir/.y i powędrowało po dziedzińcu. . i mu się rozszerzały, Reynolds zrozu-  
M ililago na moment latarka niedba-nirrza, który- z karabinem przewie-  
l.ra/.ył po obwodzie dziedzińca, lecz mną stronę i nic nie zauważył. i" 11 ramy, podkradł się cicho naprzód i.Hal się teraz od niego, idąc w stronę

#### 84 • Alistair MacLean

głównego bloku i stało się jasne, na czym polu\*\* zadanie. Obchodził drabinki przeciwpożarowe jąc dolne, pokryte śniegiem szczeble. ReynoM wiał się z ironią, czy pilnuje, aby nikt nie wszetł czy też aby nikt z niego nie uciekł. Zapewne 1( sądząc z tego, co mówił Hrabia, niejeden z go zrezygnowałby z udziału w konferencji w zani; na Zachód. Dość głupi środek zapobiegawcr Reynolds, zwłaszcza stosowany tak ostentacyi jako tako wysportowany osobnik, ostrzeżony i> latarki, może podciągnąć się na pierwszy po niego spuścić, nie zostawiając żadnych ślad pniach.

Teraz, zdecydował. Żołnierz przechodził W!;IMI«< ko pod latarnią na drugim końcu i nie było sensu « aż zrobi następne okrążenie. Bezszelestnie, j;ik białej poświacie nocy, Reynolds przemknął po w wanym przejściu - i ledwo udało mu się pow\* okrzyk, stając w pół kroku i przylegając do spleaszony, nieruchomy, z rozpostartymi rękami II • wczepiając

się zeszywniałymi palcami w zimne. \* kamienie muru za plecami, wciskając głowę w /min i do kapelusza. Serce waliło mu w piersiach jak Ty głupcze, powiedział do siebie z wściekłości^ klęty skończony idioto. Niemal dałeś się na to gdyby nie łaska pańska i ten żarzący się niedopaU rosa, rzucony ci niedbale przed nosem i teraz d w śniegu niemal tuż pod twoimi stopami, wpadł> Powinieneś był to przewidzieć, powinieneś był < ligencji AVO elementarną sprawiedliwość i domj) że dostęp do hotelu nie może być tak dziecinnie l| Budka strażnicza na dziedzińcu stała tu/ przejścia, a sam strażnik, na wpół wychylony n opierał się ramionami o jej boki nie dalej ni/ nięcie ręki. Reynolds słyszał jego ciężki, wyra a szuranie stóp po drewnianej podłodze dudnij uszach jak grzmot. Zostało zaledwie parę sekund. Wystarczy, ahy| się poruszył, odwrócił lekko głowę w lewo, i ju\*

**Ostatnia granica • 85**

vet nie ruszył, to żołnierz, oddalony już kńw, pochwyci Reynoldsa światłem latarki »liramy. Myśli Anglika biegły jak oszalałe.

- o odwrócić się i uciec, licząc, że uda
- i i ciemności, ale straż zostanie odtąd nie będzie miał już szans spotkać się z ibić obu mężczyzn - nie wątpił, że jest :ie konieczności zrobiłby to bez waha- ! nierozwiązywalny problem pozbycia /iono je i podniesiono alarm jeszcze n w hotelu, nie zdołałby ująć z życiem.



cia droga, rokująca jakikolwiek su-  
asu na dalsze spekulacje.

wytając kolbę pewnie w obie ręce i lek mocno, o mur  
dla większej stabil- uiał celowanie, wirujący śnieg  
tym i spróbować. Żołnierz z latarką był już idee  
odchrząknął, żeby coś do n.'-ego ynolds wolno  
nacisnął spust.

La zagłuszający wystrzał złał się z na-nad głównym  
wejściem, rozpryskują-kawałków; strzaskane  
odłamki .padając w puchatą ciszę śniegu. Do udce  
głuchy odgłos tłumika musiał indy przed brzękiem  
szkła, ale ucho nie uchwycić tak subtelnej różnicy w  
lestrować tylko o wiele głośniejszy  
pędził co sił przez dziedziniec na  
7. latarką tuż za nim.

kał. Minął budkę strażniczą, skręcił  
•«?1 cicho po śladach, które żołnierz niemu, minął  
pierwsze schodki prze-  
I się, podskoczył i wyciągając ramio-irhwycił słupek  
podtrzymujący po-iloście. Przez jedną straszną  
chwile

•uj;i mu się po gładkiej, zimnej stali;  
II uścisk, utrzymał się, a potem pod-Moment później  
stał już bezpiecznie

86 • Alistair MacLean

na podeście, a śnieg u podnóża oraz na stopniach |K  
nienaruszony.

Pięć sekund później, biorąc po dwa schodki  
stawiając stopy bokiem na środku stopni, żeby m<  
wiać widocznych z dołu śladów, dotarł na drugi

poziomie pierwszego piętra. Tu przywarł na kochł podłogi, żeby być jak najmniej widocznym, gdy < townicy, nie spiesząc się i rozmawiając, wracali w l ku bramy. Byli przekonani, jak Reynolds dosłysził grzany klosz pękł z powodu mrozu na zewnątrz, i uli rzali przywiązywać do tego większej wagi. Nie /<!/< to, wystrzelona kula, odbita od twardego jak grami | prawie nie zostawiła śladu i może teraz leżeć nh i żenię pod grubą warstwą śniegu przez dłuższy r/;i miejscu doszedłby do takiego samego wniosku. M wania pozorów obaj mężczyźni obeszli zaparkowii chody, przejechali światłem latarek po niższych ki cjach schodów przeciwpożarowych i zanim skon< ją pobieżną lustrację, Reynolds stał już na podn giego piętra naprzeciwko podwójnych szklanych •

Cicho nacisnął klamkę. Były zamknięte. Nic/ou się nie spodziewał. Wolno, z największą ostro/ miał ręce zeszywniałe z zimna, a każda niezdarni > prowadzić do zguby - wyjął nóż, bezszelestni! ostrze, włożył je między szparę w drzwiach i s/.> góry. Sekundę później był już w środku.

W pomieszczeniu było ciemno jak w grobie .v< nięte. badawcze ręce zaraz powiedziały mi Twarda gładkość naokoło, glazurowane kał nach, marmurowe umywalki, chromowane w stko to dowodziło, że jest w łazience. Zaciąg zasłony przy oszklonych drzwiach - z punl strażników na dole, światło mogło zapalić sk równie dobrze jak w każdym innym - przeszei drzwi wejściowych i przekreślił kontakt.

Była to duża łazienka ze staroświecką v, wykafelkowanymi ścianami i czwartą zajętą i na szafę na bieliznę, ale Reynolds nie tracił c tu bliżej rozglądać. Podszedł do umywalki.

Ostatnia granica • 87

"dv i zanurzył w niej dłonie. Ta drastyczna nią krążenia krwi w skostniałych, prze- li była bardzo bolesną, ale czego jej nie i. z nawiązką rekompensowała w szyb- d tylko mu chodziło. Wysuszył mrowią- nlet, zgasił światło, ostrożnie otworzył yin okiem za futrynę.

końcu długiego korytarza wyłożonego m, jak należało się spodziewać po hote-'ez AVO. Po obu stronach ciągnęły się ('ci wko niego nosiły numer pięćdziesiąt

• -ćdziesiąt siedem - szczęście nareszcie WM i doprowadziło go prosto do skrzyd-/.ono Jenningsai zapewne grupę innych i\v. Gdy jednak powędrował wzrokiem usta mu się zacisnęły i cofnął się szybko, vi, zamykając je cicho za sobą. Radość •sną, pomyślał ponuro. Trudno było nie czyzna w uniformie, z rękami założony^ i>rzez oszronione okno: funkcjonariusza suędzie.

III brzegu wanny, zapalił papierosa i ii,%pne posunięcie. Czas naglił, ale nie '•' ichopnie. Jeden nieprzemyślany krok cpsuć sprawę.

ulo na to, że strażnik stoi na posterun- niierza się ruszać. Wszystko również <lopóki tam zostanie, Reynolds może

irrm sforsowania drzwi pokoju pięć-  
i leżało usunąć strażnika. Ale nie miał  
do niego czy podkraść się długim na  
lasno oświetlonym korytarzem - ist-  
Hjpelniania samobójstwa, aleniewie-  
ips/yeh. Strażnik musiał podejść do  
i jr/.ewając. Nagle Reynolds uśmiech-  
' isa i szybko wstał. Hrabia, pomyślał,  
"•lu.sz, marynarkę, krawat i koszulę, ny; nalał  
gorącej wody do umywalki,

88 • Alistair MacLean

wziął mydło i pieczołowicie pokrył sobie biału piany  
całą twarz aż po oczy - z tego, co wied»i| rysopis  
rozdano wszystkim milicjantom i pr;ir< AVO w  
mieście. Później dokładnie wytarł ręce, <| wziął  
pistolet, owinął go ręcznikiem i otworzył il wołał  
cichym głosem, ale na tyle nośnym, że wynil go  
słysząc przez całą długość korytarza.

Strażnik odwrócił się natychmiast, odruchowo | po  
broń, ale zreflektował się, widząc nieszkodliwa nika  
w podkoszulku, gestykującego żywo na ku( tarza.  
Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko go  
uciszył przykładając powszechnie nut gestem palec  
wskazujący do warg. Przez sekunduj się wahał, w  
końcu widząc, że Reynolds rozpa< przyzywa, puścił  
się biegiem po korytarzu - jeno j podeszwy nie  
czyniły żadnego hałasu na grubym i Podchodząc do  
Reynoldsa trzymał już rewolwer  
- Tam, na schodach przeciwpożarowych, jest j czyna  
- szepnął Reynolds. Nerwowo międląc rv«'lłożył

niepostrzeżenie pistolet do prawej ręki, chwycił mocno za lufę. - Próbował sforsować drzwi.

-Jesteście tego pewni? - Głos wydobywał się z gardła chrapliwym gulgotem. - Widzieliście - Widziałem. - Szept Reynoldsa wibrował i podnieceniem. -Ale on nie widzi, co jest środkiem są zaciągnięte.

Ciemne oczy strażnika zwięzły się, a wycofał się, rozciągnął uśmiech krwiożerczego oczekiwani i jakie szaleńcze marzenia o chwale i awansie przepływały mu przez głowę. W każdym razie nie było w nich podejrzliwość czy ostrożność. Odsunął Reynoldsa na bok i otworzył oszklone drzwi, a Reynoldsa prawą rękę spod ręcznika, cicho zbliżył się do niego z tyłu. Pochwycił jego osuwające się po ciosie delikatnie na podłodze. Otwarcie szafy, podciągnięcie prześcieradeł, związanie i zakneblowanie mężczyzny, a następnie zamknięcie go w HM mu niecałe dwie minuty.

Ostatnia granica • 89

... / kapeluszem w rękę i płaszczem prze-mię, jak każdy gość hotelowy wracają- i' d drzwiami pokoju numer pięćdziesiąt wytrychów wraz z czterema uni-

• i ni-matkami, które dostał od dyrektora, aaden z nich nie pasował.

i; wryty. To była ostatnia rzecz, jakiej się im dać głowę, że z ich pomocą otworzy we. Nie mógł ryzykować włamywania sili) nie wchodziło w rachubę, zwłaszcza że zamek nie daje się zamknąć.

Gdyby I nut do pokoju strażnik, czego nie moż-ir/.yl, że drzwi, które zostawił zamknię-

- . natychmiast nabrałby podejrzeń i
- in/lrze.

111 lo następnych drzwi. Po obu stronach '•<> drugie drzwi były numerowane i i-nio. założyć, że te nienumerowane pro-K/y pokojach - Rosjanie przydzielali i ukowcom apartamenty, które w innych ••i /wykle dla gwiazd filmowych, arysto-'ilństości życia publicznego.

niałnie też zamknięte. Tak długi kory-11' 11 el u nie mógłbez końca pozostawać

- A kładał i wyjmował klucze z zamka z

- /lukmistrza. Szczęście znów się od i.il latarkę, przyklęknął i zajrzał w ima futrynę. Tym razem szczęście mu i wi w Europie wpuszczane są w i dostęp do rygla; te jednak przyle-A'.yjał szybko z portfela podłużny "idu-w niektórych krajach samo

- dmiotu u notowanego włamywała więc przed sądem pod zarzutem h narzędzi - i wsunął go w szparę. i.ic drzwi jednocześnie do siebie i

- >cpchnął pasek za rygiel, puścił M imał. Rygiel cofnął się z głośnym

szczękiem i w ułamek sekundy później Re> i środku. Łazienka przypominała w każdym szczep właśnie opuścił, oprócz usytuowania szafy- ZIK w rogu, między drzwiami na korytarz i do pokoju <• ją, po

jednej stronie miała półki, a druga, z polni'-lustrem na drzwiach, była pusta. Wygodna kr\ \n<\* • jednak nadzieję, że nie będzie zmuszony z niej sk< t  
Podszedł do drzwi wiodących do pokoju i /.i)i  
( dziurkę od klucza. Wnętrze pogrążone by'o \v .M  
Drzwi ustąpiły pod naciskiem klamki i Reynolds 4  
środką, omiatając promieniem latarki pokój l  
Podszedł do okna, zobaczył, że żaden błysk  
prześciśnie się przez żaluzje i grube zasłony, o<|i| takt  
przy drzwiach wejściowych i powiesił kn|l klamce  
zasłaniając dziurkę od klucza.

Reynolds znalazł się na tym, jak, gdzie i czy po minucie skrupulatnego badania ścian. obrai^J wiedział, że nie ma tu ukrytego wizjera, a w <U sekund później znalazł nieunikniony mikrofon za kratką wentylatora nad oknem. Przeniósł N ki. Tu przeszukanie zajęło tylko parę sekund, wbudowana, więc nic nie mogło się tu kryć. N ii za umywalką ani za klozetem, a,plastikowa za. nicą kryła tylko mosiężny uchwyt i starośwl natrysku pod sufitem. Właśnie zasuwając ją z powrotem, kiedy usly.H: korytarzu, już bardzo blisko, gruby dywan tłumi ich odgłos. Pobiegnął do sypialni i zgasił światl ło dwóch ludzi, słyszał jak rozmawiają.! miał n ich głosy zagłuszą pstryk wyłącznika - chwy i wrócił szybko do łazienki, przymknął drzwi i M:i przy szparze, kiedy szcęknął klucz w zaniku wszedł do pokoju. A tuż za nim, depcząc mu wysoki, tęgi mężczyzna, w brązowym garniturze było stwierdzić, czy to ktoś wyznaczony prze/ nowania profesora, czy jego

kolega. Jedno l niósł butelkę i dwie szklanki z wyraźnym /n stania.

instynktownie wydobyl pistolet. Wie-." s/. Jenningsa zechce przeprowadzić ni1 starczy już czasu na schronienie się mię odkryty, nie będzie miał wyboru, l ul) ogłuszając strażnika - należało zaspali za sobą mosty. Nie będzie miał ntaktowanie się z Jenningsem, toteż musiał od razu z nim pójść, czy mu , choć Reynolds nie widział właści-I n ego opuszczenia "Trzech koron" z

- mówiąc już o marszu przez wrogą

lingsa nie zrobił żadnego ruchu w 11itce okazało się, że nie jest strażni-m w przyjaznych stosunkach, zwra-'of i omawiali, po angielsku, jakieś techniczne problemy, których Rey-:il zrozumieć. Kolega z branży, bez

- nt nie mógł otrząsnąć się ze zdu->/walają dwóm naukowcom, z któ-nlkę cudzoziemcem, rozmawiać tak i; potem przypomniał sobie ukryty ni przeszło.

Głównie mówił mężczy-ir/.e, co było dziwne, gdyż Jennings n-zpośredniego i gadatliwego aż do , /.erkając przez szparę w drzwiach, nie inny człowiek niż ten, którego solek fotografii. Przez dwa lata na

- o ponad dziesięć lat. Był jakby /ony, a w miejscu wspaniałej nie-ow .sterczało na tysej czaszce kilka no cera miała niezdrowy szary od-'•. i-lcboko osadzone w pobrużdzo-



nej, wyostrzonej twarzy, nie straciły nic z dawni wyrazu. Reynolds uśmiechnął się do siebie u < Cokolwiek Rosjanie zrobili, nie byli w stanie .1 ducha - to było niemożliwe.

Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka i u.s.n mu z ust. Czas naglił. Musi porozmawiać z Jeimlh na sam i to szybko. Przez chwilę rozważał Jwm możliwość, ale ją odrzucił jako niepraktyczni) l i bezpieczną. Nie mógł ryzykować. Mimo wyratuj < znej postawy mężczyzny w brązowym garnitmr < Rosjanin i należało go traktować jak wroga.

W końcu przyszedł mu do głowy pomysł, tył niejakie s/anse powodzenia. Trudno go było skonały, mógł równie dcbzrze zawieść jak s trzeba było spróbować. Przeszedł bezszelestni^ zienkę, wziął mydło, wrócił równie cicho do s drzwi z długim lustrem wewnątrz i zaczął pi

Nic z tego. Suche mydło ślizgało się po x rzchni, nie zostawiając śladu. Reynolds zakliil U wrócił do umywalki, z największą ostrożno\*c|( lekko kurek, puścił cieniutką strużkę wody zmoczył mydło. Tym razem próba na lustrze wy ślnie i Reynolds napisał wyraźnie dużymi l STEM Z ANGLII, PROSZĘ SIĘ GO POZBYĆ

Później delikatnie, pilnując się, aby nic najmniejszego szczęku klamki ani skrzypnie\*' uchylił drzwi na korytarz i wyjrzał. Było |> skokami znalazł się przy drzwiach do poko zapukał, natychmiast wracając bez szmeru do

Mężczyzna w brązowym garniturze był już przy drzwiach, kiedy Reynolds wysunął głowę przez drzwi, palec na ustach, a drugą ręką posyłając błysk latarki. Trwało to ułamek wystarczyło.

Jennings gwałtownie podniósł czoło i twarz w drzwiach łazienki, przeraził się i gawczy gest Reynoldsa nie powstrzymał go od cichego okrzyku. Jego towarzysz, który otworzył i rozglądał się niepewnie po korytarzu, natychmiast wrócił.

Ostatnia granica • 93

„Ilo, profesorze?”

„••szczęśna głowa, wiesz, jak mnie męczą!”

„MI; było. Mógłbym przysiąc... Wydaje mi się, imię profesorze.”

„••m na chwilę. - Jennings uśmiechnął się, wzięć trochę wody i zażyć tabletki”

„;ifie, za przymkniętymi drzwiami, Jennings wchodzi do łazienki, otworzył profesor nie mógł nie dostrzec napięrgalnie głową, przesłał Reynoldso-'.enie i nie zwalniając kroku pod- na człowieka nienawykłego do tego w rolę wprost nadzwyczajnie.”

„•izumiał ostrzegawcze spojrzenie i”

„• irzwi szafy, kiedy do łazienki wkro-  
LJOŚĆ.”

„M wezwać lekarza hotelowego - pójdzie natychmiast.”

„.'s wziął tabletkę i popił ją dużym ni najlepiej, jak sobie radzić z tymi Trzy takie pastylki i trzy godziny”

„•mności. Bardzo mi przykro, Józef, . I; i się tak interesująco, ale musisz”

„i -icie. - Głos tamtego wyrażał najwy-

'imienie. - Najważniejsze, żeby był rat inauguracyjny w poniedziałek.

. spólczucia, krótkie pożegnanie i ijarniturse wyszedł. ask drzwi wyjściowych i cichy, od-ukrtw. Jennings, na którego twarzy uwinie szyi o lepsze, otworzył już ii RO podniesieniem ręki, podszedł /umknął je na klucz. Następnie, , żeby ruszył za nim, udał się do l ni1/ do drzwi wiodących na kory-

94 • Aiiistair MacLean

tarz i przekręcił, odkrywszy z ulgą, że pąsu mknął jeszcze drzwi z łazienki do pokoju. W\ nicę i poczęstował profesora, lecz ten odsm dłoni.

- Kim pan jest? Co pan tu robi? - Mówił jego głosie pobrzmiwała ostra nuta, lekki strachem.

- Nazywam się Michael Reynolds. - Reyn»H papierosa, czuł, że mu to dobrze zrobi. - W MM Londynu za ledwie czterdzieści osiem godzin U< aby z panem porozmawiać.

- Więc dlaczego, do diabła, nie możemy |M>|» wygodnie w pokoju?

Jennings odwrócił się do drzwi, ale go, chwytając za ramię.

- To niemożliwe, panie profesorze. - Potr/, nie głową.

- W wywietrzniku nad oknem jest u fon.

- Co... co takiego? Skąd pan to wie, młod>

- Rozejrzałem się trochę, zanim pan ws dział Reynolds przeprasza jąco. - Byłem tu /; tę przed panem.

- I już zdążył pan znaleźć mikrofon? Jennings najwyraźniej mu nie wierzył i n;i się tego ukryć.

- Znalazłem go od razu. Na tym polega m<>)4  
wiedzieć, gdzie szukać.

- Oczywiście, oczywiście! Kim innym Agent wywiadu  
czy kontrwywiadu, to dla iii jedno. W każdym razie  
pracownik British Srr

- Popularne choć mylne...

- Tak czy owak pięknie to pachnie!

Jeśli nawet staruszek się bał, pom>s trzeźwo, to'z  
pewnością nie o siebie. Ogień, u słyszał, wciąż się w  
nim palił.

- Czego pan sobie życzy, do diaska, zafurczał.

- Pana - odparł Reynolds z całym spoko) raczej rząd  
brytyjski pana chce. Jestem up<>« «

•li 4<

Ostatnia granica • 95 jego imieniu najserdeczniejsze  
zapro-

to uprzejme ze strony rządu, muszę "'Izh-walem się  
tego, spodziewałem się tfn czasu - powiedział

gniewnie. , l»yl smokiem, stwierdził w duchu Rey-M  
paru metrów od niego wszystko stanęli

M' ode mnie członkom rządu brytyj-

\ ania i powiedzieć, żeby poszli do

.'(iże kiedy się tam znajdą, trafi się

•udować ich piekielne maszyny wo-

. • . . potrzebie, panie profesorze, i to

w

•dziej wzruszający argument. - Pro-wną pogardą. -

Przestarzałe hasła i.-ilizmu, wytarte slogany

pustogło-liujących flagami i głoszących fał-/m są

**dobrze dla maluczkich, dla /y wojennych. Ja mam zamiar pra-◀/ pokoju.**

**nie profesorze - rzeki Reynolds. 11 z goryczą, wyraźnie nie docenili ka albo też skuteczności radziec-wszystko w jego słowach pobrzmie-, co mówił Jansci. Spojrzał na Jen-rwiście wyłącznie do pana. /dtimiony i nie potrafił tego ukryć, i.viii godzi? Po przebyciu całej tej i MI łonami, u i Idem, panie profesorze.**

**o by było, gdybym się zgodził na )0zycję? wziąłbym pana z powrotem do**

**96 • Alistair MacLean**

**- Wziąłby mnie pan... Czy zdaje pan sobie si co mówi? Czy zdaje pan sobie sprawę, że... mnie pan wydostać z Budapesztu, wieźć prze przerwucić przez granicę.... -Mówił coraz ciszej, umilkł; kiedy po chwili spojrział na Reynoldsa, zierał mu z oczu. - Nie jest pan zwykłym posła Reynolds - szepnął. - Tacy jak pan nigdy nic posłańcami. - Nagle w jego oczach pojawiła się kąciki ust wyraźnie zbladły. - Nie otrzymał pan żeby zaprosić mnie do Anglii, lecz żeby spnr wrotem! Szybko, sprawnie i bez dyskusji, zgud - Pańskie podejrzenia są niedorzeczne, oświadczył spokojnie Reynolds. - Nawet gdybyi wobec pana siły, a sam pan wie, że to niereal nie miałyoby się to z celem! Nawet gdyby iii zaciągnąć pana do Anglii związanego jak bah libyśmy jak zatrzymać pana na**

miejscu, am pracy. Patrioci wymachujący flagami to jednak co służba bezpieczeństwa satelity Moskwy!

- Wcale nie myślałem, że porwie mnie pan oczach starszego mężczyzny wciąż czaił się s głęboki smutek.

- Panie Reynolds, czy moja /mii jeszcze żyje?

- Widziałem ją dwie godziny przed odlotem - Słowa Reynoldsa przepojone były szczerością Jennings nigdy nie widział na oczy. - To dziełu

- Czy... czy według pana, jej stan jest nadal Reynolds wzuszył ramionami.

- Musiałby pan spytać jej lekarzy.

- Na miłość boską, niech mnie pan nic wia lekarze?

- Twierdzą, że znajduje się w stanie zaui jest to określenie medyczne, oczywiście, ale i ktor Bathurst, chirurg, który ją operował. . nie cierpi, ale organizm ma bardzo osłabiony brutalnie, ale może umrzeć w każdej chwili która Bathursta, straciła wszelką ochotę cłu

- O Boże, o Boże! - Jennings odwróci! moment patrzył nie widzącymi oczami w zas/i

Ostatnia granica « 97

11 na Reynoldsa, jego twarz wykrzywio-a ciemne oczy szklily się od łez. - Nie 'c w to uwierzyć. To niemożliwe! należy do ludzi, którzy się poddają.

!• chce w to wierzyć, profesorze -Reynolds głosem zimnym jak lód. -i nie przyjmować prawdy do wiadomo-

ioć czyste sumienie, podobnie, jak

A ym współistnieniu próbuje uspra-się pan na  
własny kraj! Do cholery,  
10, że pańska żona nie mapo co żyć!  
f bez męża i syna, oddzielonych od i kurtyną!  
e, kiedy pana słucham! - Reynolds aiiak do siebie za  
to, co robił temu r/.towiekowi, ale szybko go zdławił.  
•-one mowy o swoich szlachetnych pańska żona  
umiera w londyńskim  
••sorze Jennłngs! Umiera przez pa-I by ją pan  
trzymać za gardło i dusić!  
I ość boską, niech pan przestanie! -potrząsnął głową,  
jakby dłużej nie i przesunął dłońmi po twarzy. -Tak,  
i\vnolds, Bóg mi świadkiem, że ma i do niej choćby  
jutro, ale tu chodzi i/,nie zrozpaczony. - Nie może  
pan między życiem żony a życiem syna! my, a Brian  
to moje jedyne dziecko. Ma m przecież syna!  
lesorze. Nie jesteśmy pozbawieni Reynoldsa  
przeszedł w łagodny,  
(•zoraj Brian był w Poznaniu. Dziś  
/czecina, a jutro rano do Szwecji.  
i otrzymam potwierdzenie z Londy-inieniem je mieć  
w ciągu dwudzie-

**98 • Alistair MacLean**

- Nie wierzę, nie wierzę! - Stara, pomamd drgała  
żałośnie; nadzieja i niedowierzenie wi niej o lepsze.-  
Jak pan...

- Nie mogę tego udowodnić, ale chyba te/ -powiedział  
ze znużeniem Reynolds. - Do liclm włączy na  
moment te swoje sławne szare komór pan zapewne

domyśla, naszemu rządowi /:iliv żeby znów pan dla nich pracował. Ale znają pan że jeśli wróci pan do Anglii i przekona się, że \ n i więziony w Rosji, to do końca życia nie weźni i < i • w żadnym rządowym projekcie. A przecie/ n chodzi!

Ten argument do reszty przekonał opormr." dząc, jak twarz profesora rozjaśnia się i nabii-r smutek i lęk ustępują miejsca determinacji, K czuł taką ulgę, że o mało się nie roześmiał, zdawał sobie sprawy z tego jak bardzo sam spięty. Jeszcze pięć minut, jeszcze seria bezład i profesor, podekscytowany tym, że za kilka dni żonę oraz syna, gotów był ruszać od razu tru«i najlepiej w tej chwili, i Reynolds aż musiał K Wyjaśnił łagodnie, że trzeba wszystko dokładn wać i, co ważniejsze, otrzymać najpierw potu l Londynu o ucieczce Briana. Jennings natydmil cii na ziemię i zgodził się czekać na dals/r Reynolds podał mu adres Janskiego - któr.s |> wtórzył kilka razy na głos, żeby lepiej utrw uli pamięci - i wymógł na nim obietnicę, że uda ii wtedy, gdyby zaszedł jakiś nagły niespodziewmi bał się bowiem, że służba bezpieczeństwa HM tropie węgierskich opozycjonistów i nie chciał sor wpadł razem z innymi. Na razie profesm i chowywać tak samo jak dotąd.

Nastawienie Jenningsa do Reynoldsa zim < kalnie: nawet zaproponował, żeby się c/< Reynolds grzecznie odmówił. Wprawdzie wpół do ósmej i miał jeszcze sporo czasu pivi<i »| "Pod białym aniołem", ale



wolał nie kusić |> ny strażnik zamknięty w szafie  
mógł lada cli

Ostatnia granica • 99

ić kopać w drzwi, albo jego szef, robiąc  
ntować się, że brakuje jednego człowie-  
ii Reynolds czym prędzej więc opuścił  
pus/czając się z okna po związanych  
'iwtrzymał się kraty na parterze, po  
n mię i zanim Jennings zdążył wciągnąć  
• Mieradła, rozplątał się jak zjawą w  
n "ku.

i Małym aniołem" znajdowała się w Pe-11 r/egu  
Dunaju, na wprost Wyspy Małpi-Imał oszronione  
drzwi wahadłowe i M l strony pobliskiego kościoła  
rozległ 11> padającym śniegiem dźwięk dzwone  
ósma.

11/.y światem na zewnątrz a wnętrzem inowity.  
Wystarczyło przekroczyć próg, ugiem  
czarodziejskiej różdżki zapo-n/.ic, mroku i  
wyludnionych ulicach-w jasno i wesoło; ciasne,  
zadymione po-iniowało gwarem rozmów i śmiechem,  
if\ towarzyskim mieszkańcom miasta i liwil od  
smętnych realiów dnia co-i i eakcją Reynoldsa było  
zdziwienie ni nie spodziewał się znaleźć takiej i""  
ród ponurej szarzyzny będącej nor-ii iim państwie,  
po chwili jednak zro-uloż komuniści, wcale niezli  
znawcy i n'li powody, aby nie tylko tolerować nawet  
zachęcać do ich otwierania, •i/ie będą się spotykać ze  
sobą bez po prostu leży to w ich naturze, to i,- jawnie  
i pili kawę, wino czy piwo iimiałym okiem zaufanych

pracownictwa, niż gdyby zbierali się gdzieś :i przeciwko reżimowi. Takie miejsciska bezpieczeństwa, pomyślał z iro-

### 100 • Alistair MacLean

Na moment zatrzymał się przy drzwiach, pot\* sznie ruszył przed siebie. Przy dwóch stolikach! wejścia siedziała gromada rosyjskich żołnier/.y. i śpiewali, w przyływie dobrego humoru waln< kuflami o blat. Całkiem niegroźni, uznał Reyn<>l> dlatego tę kawiarnię wyznaczono mu na miejsc bo kto by się spodziewał, że szpieg z Zachodu i knajpy uczęszczanej przez sowieckich wojskou waż jednak po raz pierwszy w życiu widział K' szybko się od nich oddalić.

Dotarłszy na koniec pomieszczenia, od ra/u 11 siedziała samotnie przy maleńkim dwuosobm Ubrana była w palto z kapturem, które Rcyn opisu kierownika hotelu, ale teraz kaptur miał głowy, a palto rozpięte pod szyją. Kiedy się zbli, ła na niego bez cienia rozpoznania w oczach Przy każdym z sąsiednich stolików było jc'<liii wolne krzesła; przez chwilę stał, udając, że siv usiąść; wreszcie podszedł do dziewczyny.

.- Przepraszam, czy mogę się dosiąść? - /.ci|>yl Podniosła wzrok, po czym skierowała spojlr/\* nę pustego stolika w rogu, następnie jesc/c i .1 na mężczyznę i odwróciła się bokiem, jakby ihn zowi znać, że nie ma ochoty na jego towarzystw nak nie powiedziała, więc Reynolds przysiadł jąć chichot

osób, które przyglądały się całej »• •• sunął bliżej krzesło.

- Kłopoty? - spytał szeptem.

- Ktoś mnie śledzi.

Z wyniosłą i gniewną miną odwróciła się, w Wie co robić, pomyślał Reynolds, a w dodatku

- Jest tutaj?

Ledwo dostrzegalnym ruchem skinęła gł •

-.Gdzie?

- Na ławie przy drzwiach. Obok żołnierza Reynolds nie zamierzał się oglądać, i.-.Jak wygląda?-spytał.

- Średniego wzrostu, brązowy płaszcz. ••' twarz chuda, czarne wąsy. - W zestawieniu

Ostatnia granica • 101

, która wciąż malowała się na jej twarzy •imiczny efekt.

'<>zbyć. Wychodzimy. Pani pierwsza, ja yciągnął rękę, chwycił ją za przedramię i iechał obleśnie. -

Usiłowałem panią

•robiłem pani niedwuznaczą propozycję?

A ona ręką i uderzyła go w twarz; odłonośny, że wszyscy umilkli i spojrzeli

wrwała się na nogi, chwyciła torebkę,

ko uniesioną głową dumnym krokiem Jakby na znak, goście znów zaczęli

io; Reynolds nie wątpił, że śmieją się z

ręką piekący policzek. Ta młoda dziewczyna o realizm, pomyślał. Z gniewnym

obrótł się i zobaczył, jak z ławy przy

**.Julię drzwiach niepostrzeżenie pod-\ brązowym  
palcie, rzuca na stół kilka  
il/iewczyną.**

**/ybko z krzesła - upokorzony podry-prędzej opuścić  
miejsce swojej klęski, y na niego patrzą, a kiedy  
postawił ^ciągnął kapelusz na oczy, znów rozle-1 luz  
przy drzwiach, kiedy tęgi rosyjski**

**• •rwonej od śmiechu i wypitych trun-iidał, po czym  
klepnął go w plecy tak musiał się przytrzymać baru,  
żeby nie /.olnierz zgiął się wpół, zaśmiewając i>u. Nie  
znając Rosjan i ich zwyczajów, i ul, czy w takiej  
sytuacji lepiej jest**

**• idi; w końcu zdecydował się na minę ni niechęci ni  
to zakłopotanym uśmie-niil Rosjanina i znikł za  
drzwiami, i onowić atak.**

**< oraz słabiej, Reynolds bez trudu łączego za nią  
mężczyznę; byli na l wolno za nimi, starając się trzy-  
u >**

**102 • Alistair MacLean**

**mać na odległość, a zarazem nie stracić z oczu s  
mężczyzny. Dwieście metrów, potem czterysta  
metrów, { zakręty i wreszcie Julia stanęła pod  
daszkiem na pr/.yi ku tramwajowym znajdującym  
się przed rzędem skloj Mężczyzna wsunął się cicho w  
bramę najbliższego dfl Re3'iiolds minął go i również  
wszedł pod oszklony d;i»**

**- Jest za nami, w bramie - szepnął. - Czy mogłaby  
jak lwica zacząć bronić swojej cnoty?**

- Bronić... - Urwała i zerknęła niespokojnie pr/r mię.  
- Musimy być ostrożni. To na pewno avok, a nn|  
niebezpieczni.

- Bzdura! - zachnął się Reynolds. - Nie ma co li4  
czasu. - Przyjrzał się jej uważnie, po czym podniósł i  
^ złapał ją za klapy. - Duszenie. To tłumaczy,  
dlaczego!\* wzywa pani pomocy; nie chcemy przecież  
robić zbir ska!

Avok dał się nabrać, zresztą nic dziwnego. Kiedy u  
że kobieta pod daszkiem szamocze się z mężczyzną P  
czliwie usiłując oderwać jego ręce od swojego gardła  
wahał się ani chwili. Wypadł z bramy i ruszył  
bezgłośnie ubitym śniegu, w prawej ręce ściskając  
krótka wzniesioną do ciosu, a moment później leżał  
na na nie zdążywszy nawet jęknąć - Reynolds,  
uprzedzoi cnym krzykiem dziewczyny, odwrócił się  
bowiem i w\ go łokciem w splot słoneczny, a potem  
kantem dłoni r;i w szyję. Błyskawicznie schował do  
kieszeni pałkę 11:1. nika - była to rurka z materiału  
wypełniona śrutem samego zaś posadził na ławce  
pod daszkiem przysli Ujął dziewczynę pod ramię i  
oddalili się pospieszni^

Dziewczyna zadrżała gwałtownie; Reynolds popu na  
nią zdziwony, usiłując przebić wzrokiem mrok pani  
ii w stróżówce. Mimo ciasnoty siedzieli obok siebie w  
n • wygodnie, a- co najważniejsze, byli osłonięci od  
snu A ostrego wiatru. Czuł przez płaszcz ciepły  
dotyk rann Julii. Wziął ją za rękę - kiedy dziesięć  
minut temu \>.< do stróżówki, zdjęła rękawiczki,

żeby rozmasować z«u i< le dłonie - ale wyszarpnęła ją, jakby jego dotyk par/.\l

- Co się stało? - spytał zaskoczony. - Wciąż pani /iii  
Ostatnia granica • 103

wiem, nie... nie, to nie dlatego. Nie jest mi zimno.  
ulr/.ała. -Chodzi opana. Pan jest... nieludzki. Boję  
- ludzi.

sio mnie boi? - Reynolds nie potrafił ukryć zdumienia, nawet by mi się nie śniło, żeby panią  
h mnie pan nie nazywa "dzieciną"! - zawołała i po chwili dodała cichutko: - Wiem. '•n ja, u licha, takiego zrobiłem? . i c chodzi o to, co pan robi, czy czego nie robi, lic pan po sobie nie okazuje! Żadnych uczuć, i'icji, nic pana nie obchodzi, niczym się pan nie l'c> znaczy przejmuje się pan zadaniem, które i •  
•. ale to jak je pan wykona i jakim kosztem, jest" iiiie obojętne; ważne, żeby zostało wykonane. i odział, że pan jest po prostu maszyną, maszyna-łowaną do wykonania konkretnej roboty, ale l: w ogóle pan nie istnieje, nie ma osobowości, • pusty w środku.

Powiedział, że jest pan jedy-i ą zna, która nie umie odczuwać strachu, i że należy się bać. To, że Hrabia może się kogoś ci się w głowie!

nie się nie mieści - przyznał Reynolds. łowi to samo. Jego zdaniem jest pan człowiekiem moralnym, którym kierują wyłącznie pew-•<kie i antykomunistyczne odruchy, same w sobie wszelkiej wartości.

Podjęmując decyzję .l>ić czy nie. całkiem pomija pan kategorie ozy się tylko to, co się panu bardziej kalkulu-i<'st pan dokładnie taki sam jak setki

młodych którymi się zetknął, należących do NKWD, podobnych organizacji, mężczyzn, którzy ślepo izkazy i zabijają nie stawiając sobie pytania, i słusznie.

Jedyna różnica między panem a mojego ojca, to że zabijanie nie sprawia panu 1 .Ale to jedyna różnica.

>ro przyjaciół - mruknął Reynolds, o? Pańska odpowiedź świadczy o tym, że moje (.• do pana nie dotarły. Proszę sobie przypo-

;104 • Alistair MacLean

mnąć, co pan zrobił dzisiaj. Najpierw, w hotelu, i pan w szafie związanego i zakneblowanego stra/nl| nie się udusił. A potem pozbawił pan przytomności który za mną szedł, i zostawił go na mrozie: w t.-iKł wystarczy dwadzieścia minut, żeby zamarznął IM Wcale...

- Tego w hotelu mogłem zastrzelić - przerw;\* i kojnie Reynolds. - Mam przecież pistolet z tłumiki i się tyczy avoka na przystanku, myśli pani, że gdyl mnie pierwszy, martwiłby się o to, czy zamarznę i

- Wykręca się pan! Ale najgorsze jest to, co pm tym biednym profesorem. Nie cofnie się pan pr/i-ii i byleby tylko wrócił z panem do Anglii, prawda" l'<- pan, a on z bólu odchodzi od zmysłów, sądząc, /<• M i > |

umiera. Sugeruje mu pan, że jeśli ona umrze, 1-1 niego, że będzie jej mordercą. Dlaczego, panie l Dlaczego?

- Dobrze pani wie dlaczego. Bo jestem bexdu^| szyną, zbirem bez żadnych zasad moralnych, ktoryp co mu każą. Pani słowa.

- Niepotrzebnie tracę czas, tak, panie Reynolds tała ponuro. j
- Nic podobnego. - Reynolds uśmiechnął się w - Całą noc jestem gotów słuchać pani głosu. Zn przekonywałaby mnie pani tak gorliwie, gdyby n nadziei, że można mnie nawrócić.
- Śmieje się pan ze mnie?
- Tak. W dodatku z wyższością. Wiem, że to im ale...
- Nagle złapał ją za rękę i zniżył głos do Cicho! Ani słowa!
- Co...

Tylko to jedno słowo zdążyło się wyrwać Julii /1 w następnej chwili Reynolds zatkał je dłonią. D\*« zaczęła się szamotać i nagle zeszywniała - równi szła kroki i chrzęst śniegu. Siedzieli bez ruchu, w jąc oddech, podczas gdy trzech milicjantów v < kiem przeszło krętą ścieżką obok stróżówki, i< stoszały taras restauracji i znikło za rzędem goi

liiiyyiyyi^

( 1 Ł MJIIBII^^^BŁu E 11. HHtH . . •

Ostatnia granica • 105

>to\*«irin buków, platanów i dębów porastających ^ ||\*«'t(<i placu.

ulu p«ni, że nikogo tu nie będzie! - mruknął

(Reynolds, - Że nikt tu zimą nie zagląda!

i

") priiwda - szepnęła. - Wiedziałam, że milicjanci |)rt<l wyspy, ale nie myślałam, że przechodzą tędy. i/io przez najbliższą godzinę na pewno nie t -ii ',/iget jest dosyć spora, zanim ją obejdą mi-



**•II.**

**iulia, dzwoniąc zębami z zimna, zapropono-iiid.ili się na Wyspę Małgorzaty: po prostu nie należą jakiegoś miejsca, gdzie mogliby spo-i.-iwiać, bo w okolicy oprócz "Pod białym liylo czynnych lokali.**

**Powiedziała Reynold-l/inach wieczornych obowiązuje zakaz poru-wy.spie, ale że nie jest zbyt surowo przestrze-Kiwim podlega milicji, a nie służbie bezpie-" voków i milicjantów dzieliła prawdziwa prze-Jds, równie zziębnięty jak dziewczyna, zgodził d .stróżówka, otoczona beczkami smoły i ster-ll lirukowych używanych do naprawiania dróg ilków, którzy znikli wraz z nastaniem mrozów, idealnym miejscem.**

**cizówce, Julia opowiedziała mu o najno-auiiach w domu Janskiego. Dwaj ludzie, któ-obserwowali dom, w końcu popełnili błąd -i" zarazem ostatni. Stali się zbyt pewni siebie chadzać się jak dotychczas po przeciwnej 'aczeli spacerować obok domu, a raz - wi-i garażu są otwarte - ulegli ciekawości i mika, gdzie czekał już na nich Sandor. Nie ••/e, czy byli to zwykli donosiciele, czy agenci ">wiem stuknął ich głowami o siebie trosze-niż zamierzał; w każdym razie siedzieli pod Keynolds mógł bezpiecznie wpaść do Jan-mówić plany związane z porwaniem profesora>:al jedynie, żeby nie przychodził przed pół-**

**\* »     ,.•..**

**iiiijyiiiyyiiyyiiyyiiuiiyuyilllill t**

**tjyyiiyyiiyyuuuyyyuuu^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ ^ BIinnn**

**.- J^ ^ ^ ^ ^ I ^ H M . . . ,**

**106 • Alistair MacLean**

**Reynolds z kolei opowiedział dziewczynie przygodach. Ale to było przedtem. Teraz, po odej  
cjantów,- przyjrzał się jej uważnie w ponurym m;  
żówki. Wciąż trzymał ją za rękę, a ona jakby tego jej  
dłoń była sztywna, mięśnie napięte.**

**- Nie jest pani stworzona do takich rzeczy, p rin-  
powiedział cicho.-Mało kto jest. Chyba nie pani tego  
rodzaju życia dlatego, że Się pani pod<?'**

**- Podoba?! Boże, komu może się to podobać?' strach,  
głód, prześladowania, ciągle przeprowad oglądanie  
się za siebie... Czasami boję się obej się tego, co  
zobaczę! Trzeba uważać na każde każdy uśmiech...**

**- Gdyby pani mogła, natychmiast wyjechała! Zf  
chód, prawda?**

**- Tak. Nie, nie. Nie mogę. Nie mogę. Chodzi o i < •**

**- O pani matkę, tak?**

**- O moją matkę?**

**Poczuł, jak odwraca się i patrzy na niego w mrok,i**

**- Moja matka nie żyje, panie Reynolds.**

**- Nie żyje? - spytał ze zdziwieniem. - Pani ojc co  
innego.**

**- Wiem. -Jej głos złagodniał.-Biedny, kocha < nie  
chce uwierzyć w to, że mama nie żyje. Była kiedy ją  
zabierali, jedno płuco miała dziurawi jestem pewna,  
że umarła już po kilku dniach. Ale Juu to nie wierzy.  
Straci nadzieję dopiero wtedy, przestanie oddychać.**

**- Jednak przed nim udaje pani, że też nie śmierć  
matki?**

- Tak. Nie mogę go zostawić, bo oprócz mnie i nikogo na świecie. Gdybym mu jednak powiedział, natychmiast przerzuciłby mnie przez granicę; nie pozwoliłby, żebym dla niego ryzykował! Więc mówię mu, że chcę czekać na mamę.

- Rozumiem.

Nie wiedział, co więcej powiedzieć; nie wiedzi. H na miejscu dziewczyny potrafiłby się zdobyć na...  
A potem przypomniał sobie wrażenie, jakie we i  
Ostatnia granica • 107

mówicie że Jansci z pewną obojętnością traktuje pani ojciec jej szukał? Czy dobrze szukał? -  
.m, że nie? Rzeczywiście sprawia wrażenie, iż poświęcił temu wiele czasu, sama nie wiem a moment zamilkła.

-Pewnie pan nie uwierzy, wierzy, ale naprawdę nie kłamię: na Węgrzech dziewięć obozów koncentracyjnych, i w ciągu

• ultra roku Jansci, szukając mamy, zdołał się •ciu z nich. Dostać i wydostać. Wydawałoby się co? i niemożliwie - przyznał cicho Reynolds.

.kał tysiąc, właściwie ponad tysiąc wielkich rolnych powstałych jeszcze przed pięćdziesiąt, m na modłę kolchozów. Nie znalazł jej i nigdy Ale szuka bez przerwy i nigdy szukać nie /wrócił uwagę na drobną zmianę w głosie Wyciągnął rękę i łagodnie pogłaskał ją po 'zki miała mokre, ale nie odsunęła się, nie na jego dotyk.

ost życie dla pani, panno Iljurin - powtórzył.

ian nie wymawia tego nazwiska, nawet w my-  
mówmy sobie po imieniu. Boże, co mnie  
k nagle zaczęłam ci się zwierzać?

•' Ale powiedz mi coś jeszcze o Janscim, Julio, ulem,  
ale bardzo niewiele. :«"• powiedzić? Sama też mało  
wiem o swoim nie chce rozmawiać o przeszłości, nie  
chce mi

•d/ieć dlaczego. Jedynym celem jego życia jest  
i^ukój, szerzenie idei pokoju i pomaganie wszy-  
lir r y tego potrzebują. Tak kiedyś powiedział... Wy-  
• |Ev, >.c wspomnienia go gnębią. Tak wiele stracił,  
M-,i)ii.

nie odezwał się, więc po chwili ciągnęła daiej:

lunskiego był na Ukrainie przywódcą komuni-/

• I dobrym komunistą, ale również dobrym czło-n/na  
być jednym i drugim panie Reynolds. W

,

108 • Alistair Maclean

trzydziestym ósmym, tak jak inni znani ukraińscy l<  
ści, został zamęczony na śmierć w więzieniu służb\<  
czeństwa w Kijowie. Wtedy wszystko się zaczęło  
zglądził oprawców i kilku sędziów, ale miał pi  
sobie zbyt liczne siły. Zesłano go na Syberię; prze/1  
siedział w podziemnej celi w obozie przejściowym  
dywostoku czekając aż stopnieją lody i przyplłyn i<  
wiec, który miał zabrać więźniów. Przez pół roku  
dział światła dziennego, nie widział drugiego ezł"  
posiłki, zwykle pomyje, spuszczano mu przez otwór  
cię". Strażnicy wiedzieli, co to za jeden, i że ma tu  
długo i powoli. Nie miał kocy, nie miał pryczy, a ten

tura w celi była poniżej zera. Przez ostatni miesi podawali mu w ogóle wody, ale przeżył zlizując •> żelaznych drzwi celi. Strażnicy zrozumieli, że jest 11 szczalny.

- I co? I co? - Reynolds nadal ścisnął kurczow dziewczyny, ale żadne z nich nie było tego świadom« dalej?

- W końcu nadpłynął parowiec i zabrał więźnj Kołymę. Z Kołymy się nie wraca, Jansci jednak \ Choć musiała powtarzać tę opowieść co najmniej razy, jeśli nie innym, to sobie w myślach, w głosie dziny brzmiała duma i podziw. - Były to najgorsze ml jego życia. Nie wiem, co się wtedy z nim działo, wątpił czy ktokolwiek, kto by wiedział. Wiem tylko, że ci Jansci budzi się zlany potem, szepcząc, "Dawaj, dt Albo "Bystrej, bystrej!", jakby ciągnął czy poganiał Po dziś dzień błędnie na dźwięk dzwonka u sań. Zawleś, że nie ma dwóch palców? Enkawudziści lubi zabawy przywiązywać więźnia do liny i wlec go po zasaniach, takimi z silnikiem, ze śmigłem z tyłu < łapali linę i podciągali swoją ofiarę tuż pod łopatli la... Jeśli szarpnęli za mocno, to z twarzy więźnia... l la; po chwili wznowiła opowieść, ale głos nadal jej di Można powiedzieć, że Jansci miał szczęście. Stracił palce, tylko dwa palce... A te blizny na rękach...•Wiol się wzięły?

Ostatnia granica • 109 potrzęsnał w mroku głową; dziewczyna wyczu-

1 isualale z głodu wilki. Strażnicy łapali je we iii, a potem wrzucali do jednego dołu wilka i

•^ień gołymi rękami musiał walczyć z wygło-i No i Jansci walczył. Dziesiątki blizn pokry-miona i całe ciało.

mżliwe. To koszmar- szepnął zduszonym gło-Is; wprost nie mógł uwierzyć, że to co słyszy, i ,mie wszystko jest możliwe. Zresztą wilki to ID drobnostka w porównaniu z innymi rzeczami usci tam przeżył. Niektóre były tak potworne, n-e, że nigdy mi o nich nie wspominał. >wano go? Te ślady na jego dłoniach... a ślady po ukrzyżowaniu; artyści, którzy mało-isa na krzyżu, popełniali błąd. Starożytni nie Izi w dłonie, tylko w nadgarstki... Jansci zrobił •dzo nie spodobało strażnikom, więc wywlekli l rzaskający mróz, rozebrali do naga i przybili dwóch rosnących obok siebie drzew. Sądził, i odzie po nim, że albo zamarznie na śmierć, i go wilki. Ale Jansci uwolnił się, sam nie wie . wziął z ziemi swoje łachy i uciekł z gór. W oził sobie palce u rąk, stracił paznokcie, odrę u nóg... Zauważyłeś, jak chodzi? eynolds miał przed oczami dziwny, sztywny no, a także wyraz jego twarzy, łagodny i donie do pogodzenia z tym wszystkim, co ten •szedł. - Nie do wiary, że ktoś mógł tyle przemywać... Chyba rzeczywiście jest niezniszczal- 'iryśle... W każdym razie po czterech miesią- l > miejsca, gdzie kolej transsyberyjska przeci- '? , i udało mu się zatrzymać pociąg. W czasie M lał; długo trwało, zanim odzyska! zmysły, ale ił na Ukrainę. Był rok czterdziesty pierwszy; ,1 do wojska i w ciągu niespełna roku awanso-

**;-a. Wstąpił z tego samego powodu, co wie-  
!**

**i**

**i i|**

**110 • Alistair MacLean**

**kszość Ukraińców: liczył na to, że pojawi się szan«ł  
obrócić się przeciwko Armii Czerwonej. Tego pr«  
wtedy, i teraz. Wkrótce nadarzyła się okazja, bo l  
uderzyły na Rosję. - Milczała przez dłuższą chwilą, •  
wiemy, a wtedy nie wiedzieliśmy, co Rosjanie mówił  
tu. Mówili o długich, krwawych bitwach, o tym jak N  
spychali nas w stronę Dniepru, o spalonej ziemi, o |  
czliwej obronie Kijowa. To wszystko kłamstwa, je<|  
p( ki stek kłamstw; świat nadal nie zna prawdy. Will  
Niemców z otwartymi ramionami. Żadne wojsko nit  
witane z taką radością. Częstowaliśmy ich jadłem i'  
stroiliśmy ulice, zarzucali żołnierzom girlandy na s  
obronie Kijowa nie padł ani jeden strzał.**

**Ukraińskn«<j i dywizje masowo przechodziły na  
stronę Niemców, mówi, że historia nie знаła czegoś  
podobnego. Wkni stronie Niemców walczyła armia  
złożona z miliona teli rosyjskich pod dowództwem  
radzieckiego genci „| drieja Własowa. Jansci był  
wśród nich; doszedł <l>. generała brygady, znalazł  
się wśród najbliższych pracowników Własowa i  
walczył po stronie Menu , póki w czterdziestym  
trzecim nie wycofali się pod tt i jego rodzinne miasto.  
- Urwała i dopiero po dłużs/r i ciągnęła dalej. - Po**

**Winnicy Jansci się zmienił. IV że nigdy więcej nie będzie walczył, nigdy więcej Dotrzymał słowa.**

**- Po Winnicy? - zaciekawil się Reynolds. - Co zdarzyło?**

**- Mój Boże! Nie słyszałeś o Winnicy?**

**-Nie.**

**- Boże! - szepnęła.- Myślałam, że słyszał o tymi świat!**

**- Niestety. Co się tam stało?**

**- Nie pytaj, nie pytaj mnie o to! - Westchnęła boli. - Niech ci opowie ktoś inny. Ja nie chcę, nie mogę!**

**- Dobrze, w porządku - rzekł pospiesznie, zaskoc, < poczuł, że ciałem dziewczyny wstrząsa bezgłośny vi poklepał ją po ramieniu. - Nic nie mów. Nie trzeba**

**- Dziękuję - powiedziała stłumionym głosem. -1 n • właściwie koniec mojej opowieści. Jansci poszedł <• Ostatnia granica • 111**

**niw Winnicy, a tam czekali na niego Rosjanie;**

**iwna. Postawiono go na czele pułku w całości**

**Ukraińców, którzy wcześniej zdezerterowali**

**a potem wpadli w ręce Rosjan; nie dano im**

**l u rów, tylko przestarzałą broń, i zmuszono do**

**il ataku na niemieckie pozycje. W ten sposób**

**i ;|tki tysięcy Ukraińców. Jansci po prostu rzu-**

**•cdl do niemieckich pozycji i poddał się; roz-**

**, i resztę wojny spędził z generałem Własowem.**

**i kraińska Powstańcza Armia rozpadła się na**

**ncldziały; pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale**

**mcii działają do dziś. W jednym z nich Jansci**

**-iinego. Stali się nierozłączni, •luk? Mam na myśli**

**Hrabiego, spotkali się w Polsce.**



**-! naprawdę? Wiesz?**

**•i wyczuł niż zobaczył, że dziewczyna potrząsa w Kłową.**

**iir .lansci to wie. Ja wiem tylko tyle, że poza IM to najwspanialszy człowiek, jakiego kiedykolwiek i lam. Łączy ich jakaś dziwna więź. Chyba chodzi k'i.i tak długo nurzali ręce we krwi, a potem 11 więcej nie zabijać. Są bardzo oddani temu, co naprawdę jest hrabią?**

**pewnością. To akurat wiem. Posiadał ogromny n-niujący lasy, jeziora i łąki w okolicy Augusto-i ko granicy z Prusami Wschodnimi i z Litwą; iwnej granicy, oczywiście. W trzydziestym dzie-ic/yl z Niemcami, potem przyłączył się do pod-n;o wymykał się Niemcom, lecz w końcu wpadł. h, że to będzie strasznie zabawne, jeśli polski /.ostanie zmuszony do ciężkiej pracy fizycznej, •j? Wraz z innymi więźniami musiał uprzętać \* k z warszawskiego getta, kiedy zburzyły je stu-.i. Ale jernu i garstce innych udało się zabić i zbiec; wstąpił do Armii Krajowej walczącej |ztwem generała Bora. Wiesz, co stało się Irszałek Rokossowski zatrzymał wojska rosyj-**

**112 • Alistair MacLean**

**skie pod Warszawą i spokojnie czekał, aż powstano<sup>^</sup> krwawią się na śmierć.**

**- Pamiętam. Polacy mówią, że najzacieklejs/r l\* całej wojny toczono właśnie na ulicach Warszawy j wstańców wyrznięto w pień.**

- Prawie wszystkich. Niedobitki, wśród nich Ilf zostały zabrane do Oświęcimia, gdzie miały zginąć w lach gazowych. Z jakichś nieznanych powodów nici strażnicy puścili większość wolno. Pozostały im tatuaze: Hrabia ma numer na wewnętrznej stronie ramienia, niemal od nadgarstka po łokieć: ohydny wate piętno. - Wzdrygnęła się. - Straszne.

- A potem spotkał twojego ojca?

- Tak. Zetknęli się w jednym z oddziałów Własowi obaj mieli już dość wiecznego, bezcelowego zabijania dzie z oddziału przebierali się na przykład za It zatrzymywali polskie pociągi i wchodzili do wagonów zali wysiadać wszystkim pasażerom, a tych, którzy nie mieli legitymacje partyjne, rozstrzeliwali. Nie przejmował tym, że niektórzy wstępowali do partii, bo po prostu mieli wyboru, jeśli chcieli jakoś przetrwać i wyżyć w nny. Albo oddział wkraczał do miasteczka; łapano ich i wicieli władzy ludowej i ciskano pośród kry do zain. n tej Wisły. Jansci i Hrabia mieli dość: przekradli się u-granicę i przyłączyli do słowackiej partyzantki walczącej w Wysokich Tatrach.

- Słyszałem w Anglii o tych Słowakach. Że to dzieje zawięci i nieposkromieni bojownicy w całej | pie Środkowej.

- Jansci i Hrabia zgodziliby się z tą opinią - st\vn»| z przekonaniem. - Wkrótce jednak rozstali się 7. niel Słowakom nie chodziło o to, żeby walczyć o jakąś r. po prostu chcieli walczyć i kiedy nie mieli z kim, między sobą. Tak więc Jansei z Hrabią przybyli na

są tu już ponad siedem lat, większość czasu spod/\*  
Budapeszcie lub w okolicach Budapesztu.

- A ty kiedy przyjechałaś?

- Niewiele później. Jansci i Hrabia wrócili p<> ni  
mamę na Ukrainę; przeprowadzili nas przez Tatr\ M  
Ostatnia granica • 113

W|««ni, że to zabrzmiało dziwnie, ale to była cudowna  
środek lata, wspaniała pogoda, po drodze li  
przyjaciół. Mama nigdy nie czuła się taka  
u/ znam -- rzekł Reynolds, starając się skiero-na inne  
tory. -Hrabia dowiaduje się, na czyją iść topór, daje  
cynk Jansciemu, a ten przerzu-i h na Zachód. W  
samej Anglii rozmawiałem z osob, które Jansci  
uratował od śmierci. Naj-i >yło to, że żadna z nich  
nie nienawidzi Rosjan. na pokoju; Jansci wszystkich  
nawrócił. Mnie iinwał! ni ci - szepnęła. - Ojciec  
naprawdę jest wspa-  
mitę lub dwie siedzieli w ciszy, po czym nagle 1.1.  
i es żonaty, prawda? i n?-Odwrócił się, zaskoczony  
niespodziewaną  
ill.

• >, żony, narzeczonej, ani dziewczyny, prawda? cię,  
nie mów "Nie, ale i tak nie masz szans", przykre,  
okrutne i w złym guście, a nie mam o niskiej opinii. "  
/ nie otworzyłem ust! - oburzył się. - Jeśli  
•ipowiedź, słusznie się domyśliłaś. Zresztą, nie-nlnąć.  
Kobiety i moja praca nie idą w parze.

i I1C.

i iowiedziała cicho. - Wiem również, że dwa lub

• i ja nie tak pokierowałeś rozmową, żebym nie ić o sprawach dla mnie bolesnych. Bezduszne 'lbają o uczucia innych. Przepraszam za to, co Ninwiłam, ale przynajmniej dowiedziałam się, 'i Janscim i Hrabią, że myślą się co do ciebie. :!e to dla mnie znaczy; ci dwaj nigdy się nie przerwy. Tym razem poznałam prawdę przed

• \wiesz o czym mówisz, ale... - zaczął Reynolds, am sobie, jakie będą mieli miny, kiedy im 11 rzeź dziesięć minut siedziałam przytulona do

l

.

114 • Alistair MacLean

ciebie. - Starła się zachować powagę, ale była wyj rozbawiona. - Przytulileś mnie, bo myślałeś, że pl« faktycznie płakałam. Ale twoja wilcza skóra jesl przetarta!

- O mój Boże!

Był autentycznie zdumiony. Dopiero teraz zdał sprawę, że obejmuje Julię i poczuł delikatny do( włosów na swojej zdrętwiałej dłoni. Zmieszany, wyfl tał przeprosiny i zaczął cofać rękę, kiedy nagle zn bezruchu. Wolno opuścił ją z powrotem, przytulił czynę i przysunął usta do jej ucha.

- Mamy towarzystwo-szepnął.

Spojrzał kątem oka na zewnątrz; jego wzrok pot v. i« to, co przed chwilą uchwycił niezwykle wyostrzoir. Śnieg przestał padać, więc trzy zbliżające się \\ stróżówki sylwetki było widać jak na dłoni. Gdyl> noldsa nie zawiodła czujność/zauważyłby je /na|

wcześniej. Po raz drugi tego wieczoru Julia pomylił i milicjantów; co gorsza, nie było jak przed nimi ucir< że zbliżali się tak ostrożnie, świadczył o tym, że wi< w stróżówce ktoś przebywa.

Reynolds błyskawicznie podjął decyzję. Prawa rvl. jął dziewczynę w talii, przycisnął ją do siebie i wpił j jej usta. W pierwszej chwili Julia zeszywniała, zac/« wyrywać, odwracać twarz. Potem nagle poddała zmięła; zrozumiała o co chodzi. Nieodrodna córka.-i go ojca, umiała spiskować. Podniosła ręce i zarzuć i noldsowi na szyję.

Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia. Anglików trudniej przychodziło myślenie o milicjantach, kl«ui( kość nie spieszyli się z ujawnieniem swojej obecność) go zresztą bynajmniej nie miał im za złe; gotów li| przysiąc, że obejmujące go ramiona zacieśniają s mocniej, kiedy nagle snop światła z silnej latarki pj mrok i głęboki męski głos powiedział wesoło:  
- Wiesz, Stefan, bez względu na to, co ludzie i , -• młode pokolenie jest zupełnie w porządku. Na ten' trze dwadzieścia stopni poniżej zera, a tych dwojbr . wuje się tak, jakby leżeli sobie na słońku na pl;i.

li i i

Ostatnia granica • 115

Spokojnie, spokojnie, młody człowieku. - Zza uki wysunęła się potężna męska dłoń i po-\* i Kcynoldsa, który zamierzał poderwać się na \ l u robicie? Nie wiecie, że na wyspie nie wolno l K i zmroku? wymamrotał Reynolds; na jego twarzy malo-

**\*p właściwych proporcjach, strach i zażenowa-  
praszam. Nie mieliśmy dokąd iść. r«! - zadudnił głos.  
- Kiedy ja byłem w waszym «l.v człowieku, to zimą  
najbardziej sobie ceni-Jlcte alkowy "Pod białym  
aniołem". To załedwie itrów stąd. is nieco się  
odprężył. Tego gościa nie mieli się  
Im 'Pod białym aniołem" ...-zaczął.  
i dokumenty. - Do rozmowy wtrącił się inny urowy,  
małoduszny. - Macie je przy sobie?  
H l drugiego głosu był człowiekiem całkiem in-i n  
Keynolds sięgnął do kieszeni palta i akurat . 11 palce  
na kolbie pistoletu, ponownie odezwał ;\ milicjant.  
•• \nhipiaj się, Stefan. Te sensacyjne szmiry, które  
'Iły ci na mózg. Myślisz, że to szpieg z Zachodu, n-  
chał się dowiedzieć, czy jego kumple mogą  
•-półpracę budapeszteńskich dziewczyn, jeśli  
• Imię powstanie?  
J śmiechem; rechotał głośno, trzymając się za i'o raz  
wałąc dłonią w udo; trochę to trwało, i'okoił.  
ni chyba słyszysz, że to rodowity budapeszteń-i:> jak  
ja - dodał, po czym nagle zwrócił się do Mówiliście  
coś o "Pod białym aniołem"? MD oboje bliżej.  
i.lulia wstali i zanim jeszcze zdążyli postąpić >'l u,  
milicjant zaświecił Reynoldsowi prosto w 11.  
odruchowo zamknął oczy.  
• on - oznajmił radośnie milicjant. - Ten, o i mówili.  
Patrz, na policzku wciąż widać ślady**

## 116 • Alistair MacLean

wszystkich palców. Nic dziwnego, że nie chciał t  
znów pokazać. Miał szczęście, że nie złamała mu s;  
Skierował latarkę na Julię; zamrugła oczami.

- A mogła; zbudowana jak bokser!

Nie zważając na jej cichy okrzyk oburzenia, jur  
zwrócił się do Reynoldsa i wygrażając mu palci !  
przemawiać srogim głosem; cała sytuacja bard,'-, la.

- Ostrzegam was, młody człowieku! Piękna, t" ale...

Sam widzisz! Jeśli jest taka pulchniutka m,i i  
dzieńca kilka lat, pomyśl jaka będzie, kiedy sini  
czterdziestka! Szkoda, że nie widziałeś mojej żon sąc  
się ze śmiechu machnął ręką. - Zjeżdżajcie, <', Ale  
jak was znów złapię, zamknę was do lochów!

Pięć minut później, kiedy przeszli już prze/ i lewy  
brzeg, zaczęli się żegnać. Znów prosił śni. nolds  
spojrzał na fosforyzujące wskazówki swoj< ka.

- Dopiero kilka minut po dziewiątej. Zjawię s u-. i  
godziny.

- Będziemy cię oczekiwać. Akurat starczy mi c;/i» by  
dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, opowied/iH i  
Hrabiemu o tym, jak najpierw o mało nie złautil  
szczęki, a potem jak ty, ta wstrętne zimna maszyna,  
mnie czule i całowałaś przez pełną minutę, n;i robiąc  
przerwy, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Tylko przez pół minuty! - poprawił ją ReynoM\*

- Co najmniej przez półtorej. Inie powiem im  
Ciekawe, jakie będą mieli miny!

- Masz mnie w ręku. - Reynolds uśmiechnął sunie zapomnij powiedzieć im również, jak będziesz/ dać, kiedy stuknie ci czwarty krzyżyk.

- Nie zapomnę - odparła.

Stali blisko siebie; widział w jej oczach figla chliki.

'•\*- Po tamtym pocałunku, ten znaczy tyle co uści -powiedziała z powagą.

Wspięła się na palce, ntusnęła ustami jego poi1 szybko odeszła.-w mrok. Reynolds długo stał w ml

Ostatnia granica • 117

MOC ją wzrokiem i w zamyśleniu pocierając cszcie zaklął pod nosem i ruszył w przeciwną iigając kapelusz głęboko na oczy i schylając lony twarzy przed śniegiem.

ilazł się z powrotem w pokoju hotelowym - nie przez nikogo wszedł do środka po schodach

• rowych - była już za dwadzieścia dziesiąta.

•.irznięty, właczy! ogrzewanie, upewnił się, czy i nieobecności nikt nie buszował po pokoju, po nil do kierownika hotelu: usłyszał, że nie było inych telefonów i nikt nie zostawił żadnych usłyszał też, że choć pora jest późna i kucharz lorzał położyć się spać, będą poczytywać sobie i-Ali Reynolds pozwoli im pokazać, jakie fryka-rzyrządzić na chybcika: Reynolds odparł dość r, że chodzi mu wyłącznie o tempo; frykasów .•dy indziej.

nut po jedenastej skończył jeść bardzo smacz-ilo której wypił prawie całą butelkę soprni, i .ii zbierać się do wyjścia. Wprawdzie spotkanie



uę, ale wiedział, że odległość między hotelem  
sciego, którą pokonali mercedesem Hrabiego  
dwie sześciu czy siedmiu minut, na piechotę  
łącznie dłużej, zwłaszcza że wolał kluczyć na  
! \ by ktoś go śledził. Zrzucił wilgotną koszulę,  
rpetki, złożył je starannie, nie wiedział bo-  
ilane mu będzie tu wrócić, zablokował klucz  
ibrał się ciepło i wyszedł na schody przeciw-  
1 już niemal na chodniku, kiedy usłyszał od-  
tarczywe dzwonięcie telefonu; zignorował je,  
' .u mogło dochodzić z jego pokoju, jak i z co  
;< i innych.

nt po północy dotarł do ulicy, na której miesz-imo  
szybkiego marszu, był przemarznięty, ale  
•lony, bo nikt go nie śledził. Gdyby jednak  
iał poczęstować go kieliszkiem palinki... .1  
opustoszała, drzwi garażu zaś otwarte, zupeł-i jego  
powitanie. Nie zwalniając, skręcił do

118 • Alistair MacLean

ciemnego wnętrza i ruszył w stronę drzwi na końcu,  
jednak zrobił cztery kroki, kiedy ktoś przekręcił !to  
garaż zalało światło, a żelazne drzwi zatrzasnęły siv  
tem.

Reynolds stanął bez ruchu, trzymając ręce / 4  
kieszeni palta, i wolno rozejrzał się wokół siebie. \V<j  
stkich czterech rogach stali czujni, uśmiechający  
dowoleniem avocy, każdy w długim płaszczu ści;m<  
wojskowym pasem, w wysokiej czapce z daszkiem, i  
pistoletem maszynowym w ręku. Trudno nie zgaduii  
za jedni, pomyślał ponuro Reynolds na widok ich i>f

kich, brutalnych twarzy, chępliwych uśmiezków stycznych min; typowe zbiry z marginesu społec/l których składają się służby bezpieczeństwa ws/jl krajów komunistycznych.

Piąty mężczyzna wyraźnie odstawa! od res/i\ szczupłą, śniadą, inteligentną twarz o semickich if która od razu przykuła uwagę Reynoldsa. Widząc i<i czyzna schował rewolwer do kabury, zbliżył się o c i z uśmiechem na ustach złożył mu ironiczny ukłon - Kapitan Michael Reynolds z wywiadu brytyjd  
prawda? Jest pan punktualny; w pełni to docenninij nie lubi czekać.

szósty

al na środku garażu bez słowa, bez ruchu.  
..ejściu przeżył szok, po chwili dotarła do , 'rawda, że zamiast na przyjaciół trafił na :cie zaczął gorączkowo myśleć, jak do tego lawało mu się, że tkwi tak całą wieczność, y.eczywistości minęło nie więcej niż piętna- zęka opadała mu coraz niżej, aoczyrozsze- chu.

- powtórzył szeptem, trochę niewprawnie, >y to Węgier. -Michael Reynolds? Nie... nie chodzi, towarzyszu. Co... co się stało? Te... Dlaczego? Przysięgam, nie zrobiłem nic '.u!  
Przysięgam!

i począł wyłamywać sobie zbieiałe palce; przerażenia. Dwaj avocy znajdujący się w roku zmarszczyli brwi i popatrzyli po sobie '. w ciemnych, rozbawionych oczach drob-iyło cienia wątpliwości.

**powiedział łagodnie. - Wstrząs sprawił, że  
własnego nazwiska, przyjacielu. Bardzo  
przyznaję. Gdyby nie to, że wiem doskona-  
może też miałbym wątpliwości, tak jak moi eszcze  
nic o panu nie wiedzą. To komple-  
brytyjskiego wywiadu, że przysyła do nas t:h  
agentów. Chociaż trudno, żeby przysyła-łedy stawką  
jest... hm, powiedzmy, że odzy-ora Harolda  
Jenningsa. ;-zuł klucie w trzewiach i gorzki smak  
kłęski '•> gardła. Boże, było gorzej niż myślał; jeśli o  
znaczy, że wiedzieli wszystko. Ale głupa-\wyraz nie  
opuszczał jego twarzy, zupełnie /.ytwierdzony do niej  
na stałe. Nagle Rey-  
się jak ktoś, kto usiłuje się wyrwać z kosz-**

**iii**

**120 • Alistair MacLean**

**marnego snu, i potoczył wkoło dzikim, niepn\  
wzrokiem.**

**- Puście mnie! Puście! -Jego głos przeszedł i  
skowyt. - Przecież nie zrobiłem nic złego, przysi°  
stem komunistą, członkiem partii! - Wargi mu dr  
twarz chodziła nerwowo. - Mieszkam w Budapes/\*  
stkie papiery mam w porządku! Zaraz wam pokii  
wam pokażę!**

**Sięgnął do kieszeni płaszcza, lecz przed W.MK ręki  
do kieszeni powstrzymało go jedno słowo < przez  
oficera AVO, jedno krótkie słowo, ostre jak i cię  
bicza:**

**- Stać!**

Reynolds zatrzymał dłoń na wysokości kłap, i wolno opuścił ją wzdłuż ciała. Drobny Żyd uśmiechnął się

- Szkoda, że nie będzie miał pan okazji wyćwiczyć pracy w wywiadzie, kapitanie Reynolds. Szkoda, wstąpił pan do wywiadu. Byłby z pana wspanialej i bardziej teatralny i filmowy. - Spojrzał na podwładnego, który stał przy drzwiach garażu za plecami Reynoldsn kapitan Reynolds właśnie zamierzał wyciągnąć albo inne śmiertelne narzędzie. Zrób coś, nie miał podobnych pokus.

Reynolds usłyszał ciężkie kroki na betonie, po jęknął z bólu, kiedy osobnik zwany Koko wyrzucił mu plecy kolbą automatu, tuż nad prawą nerką. Zadi' świat zawirował mu w oczach; jak przez mgłę szukał go czyjeś wprawne dłonie, a potem jak daleka doleciał go przeprasający głos oficera.

- Musi pan wybaczyć Koko jego zachowanie, K Reynolds. W pewnych sprawach lubi iść na ski świadczenie nauczyło go, że kiedy ma się do czołowej więzienia, drobny przedsmak tego, co go może ciekawnie zainteresować, znacznie bardziej skuteczny od wszelkich wyrażeni gróźb. - Jego ton zmienił się nieco. - No i co my In Ciekawy eksponat! Belgijski pistolet kalibru 6.35, w pudełku z tłumikiem, nieosiągalny na Węgrzech. Na przelazł go pan na ulicy... A to co?

Ostatnia granica • 121

i z trudem skupił wzrok na przedmiocie, który podrzucał teraz w ręce; była to krótka pałka, którą zabrali napastnikowi na przystanku, i mój najemnik

pułkowniku, my Koko podszedł do oficera i nagle znalazł się

• •nią Reynoldsa; był to olbrzym mierzący metr  
• •siat z okładem, szeroki w barach, o złamanym  
'Tuszowanej, pokrytej bliznami twarzy. Kiedy lo  
ręki, niemal znikła w jego wielkiej, owłosio-  
a Herpeda, pułkowniku. Nie ma dwóch zdań. i  
nicjały. Herped to mój kumpel. Skąd to masz?  
wracając się do Reynoldsa. <TII razem z pistoletem -  
odparł ponuro Rey-u'/ce, na rogu Brodego Sandora  
i... ilostrzegł ruch pałki, żeby się uchylić. Cios riane;  
osunął się po niej na ziemię i z najwy-(i podniósł na  
nogi. W ciszy słyszał jak krew / rozbitych ust kapie  
na beton, językiem zaś ^ają mu się przednie zęby.  
Koko - powiedział jakby z lekkim wyrzutem < )ddaj  
mi to. Dziękuję. Kapitanie Reynolds, ;<>bie winien;  
nie wiemy jeszcze, czy Herped yjacielem Koko;  
znaleźliśmy go na przystan-.1:0 pan zostawił, ale  
jego życie wciąż wisi na 'niósł rękę i poklepał po  
ramieniu gniewnie o olbrzyma. - Niech pan tylko nie  
wypowiada Kilszywej opinii, panie Reynolds. Nie zawsze  
w ten sposób, o czym świadczy najlepiej jego Koko to  
imię głośnego kłowna i komika, o H ne pan  
słyszał. Nasz Koko też potrafi być uy, niech mi pan  
wierzy; nieraz widziałem, K'h na ulicy Stalina  
różnymi sztuczkami różow do łez.

<• nie odpowiedział. Ani ta wzmianka o ka-ijclzie  
torturowano więźniów na śmierć, ani nik Hidas  
pozwalał olbrzymiemu sadyście i.i nim w ten sposób,

nie były przypadkowe. i u go badał, obserwował i oceniał jego re-

**122 • Alistair MacLean**

akcje na taką a nie inną linię postępowania. Obch tylko wyniki i chciał je otrzymać jak najszybciej; R wiedział, że jeśli pułkownik dojdzie do przekonani przemoc i okrucieństwo to strata czasu, bo nic wskóra, to zmieni taktykę i spróbuje bardziej su metod. Hidas był niewątpliwie bardzo niebe/pli człowiekiem, chytrym i zgorzkniałym, ale w jego wej, szczupłej twarzy nie widać było zamiłowania cieństwa. Pułkownik skinął na jednego z podwhi - Na końcu ulicy stoi budka telefoniczna. Id\* dzwoń i powiedz, żeby natychmiast przysłali ciel Wiedzą, gdzie jesteśmy. - Uśmiechnął się do Reyi Nie mogliśmy zajechać tu ciężarówką i zaparkowi domem, prawda, kapitanie Reynolds? Na pewno łaby pańskie podejrzenia. - Spojrzał na zegarek rowka zjawi się za dziesięć minut, może szybciej, ••! dziesięciu minut też szkoda tracić. Może je p;m zużytkować na spisanie zeznań o swojej dziahilmi terenie Węgier? Tylko bez żadnych bzdur, k»|i Wprowadźcie go do środka.

Podwładni pułkownika wprowadzili Reynoldsii samego pomieszczenia, w którym poznał Jansciciti znalazł się przed biurkiem. Hidas ustawił lani|>v świeciła Reynoldsowi prosto w twarz z odległości /. pół metra, po czym usiadł za biurkiem na wprost - Będziemy śpiewać, kapitanie Reynolds, pot szemy słowa naszej pieśni dla wdzięcznej potoini

przynajmniej dla sądu ludowego. Czeka pana spn wy proces. Wykręty, kłamstwa i gra na zwłokę nit\* się na nic. Jeśli szybko potwierdzi pan to, co I wiemy, może uniknie pan kary śmierci; w końcu nie zależy na tym, żeby robić z tej sprawy międzyn. incydent. Wiemy wszystko, kapitanie Reynolds, ;il •• wszystko. - Potrzęsnał głową, jakby przypomni;il • i wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia. - Kto by s iv »| wal, że ten pański przyjaciel... - zawiesił głos palcami- krępy, szeroki w barach jak stodoła, no, J. nazywa? Nieważne, w każdym razie śpiewał j;ik Wydobył z szuflady jakiś papier gęsto pokryty pl Ostatnia granica • 123

- Irzała ręka, nic dziwnego w tych okoliczno-
- <!/iowie nie powinni mieć trudności z odczy- ryzmołów.

rgo bólu w krzyżu i obolałych, spuchniętych ii ciosem pałki, Reynolds poczuł taką falę ' m prędzej schylił głowę i splunął krwią pod i pułkownik nie wyczytał nic z jego twarzy, wiedział, że avocy nie dysponowali żadnymi r nawet nie złapali Janskiego i jego ludzi.

>ivli, to rysopis Sandora, którego donosiciele kiedy kręcił się po garażu. Bo w tym, co das, zbyt wiele nie trzymało się kupy. c, Sandor nie wiedział wszystkiego - tego pewien - a więc nie mógł też zdradzić wszy- inigie, gdyby wpadła cała grupa, avocy nie słuchań od Sandora, tylko od Julii lub Imre-l fidas nie należał do ludzi, którzy zapomina-

•• isko, zwłaszcza takie, które dopiero poznali.  
'omysł, żeby biciem udało im się zmusić San-!i'ia - na  
bardziej wyrafinowane tortury nie  
•/ jeszcze czasu - był wręcz absurdalny. Po  
i. nigdy nie znalazł się w uścisku mocarnych  
Elora, nie patrzył w jego łagodne, niewzruszone  
Jości piętnastu centymetrów. Reynolds zerknął  
lżący na stole i wolno rozejrzą! się po pokoju.  
' próbowali torturować tu Sandora, pomyślał,  
na, żeby ściany nadal stał}'.  
.ni zacznie od tego, jak dostał się do naszego  
Minował Hidas. - Czy kanały były zamarznię-  
• lolds?  
•lostalem? Kanały? - Reynolds mówił z tru-  
ilobywający się z jego opuchniętych warg był ,  
niewyraźny. W końcu pokręci! głową. - Nie-  
ii...  
<i'zył w bok, uchylając się wlocie; gwałtowny  
że nowa fala bólu przeszła go po krzyżu.  
znajdował się w półcieniu, Reynolds zdążył  
y ruch oczu i ledwo dostrzegalne skinienie -  
"•rziemiu oprawcy; dopiero kiedy było po

## 124 « Alistair MacLean

wszystkim zrozumiał, że miał ten znak zobaczyć. i'i  
ko minęła się z celem, jedynie ostro zakończony s\  
palca awoka pozostawił na twarzy Reynoldsa.cienką  
ca krechę od skroni po szczękę; ten jednak, w  
i<( olbrz5?rn traci równowagę, postanowił to szybko  
w stać.



**W następnej sekundzie Hidas poderwał się / k wycelował broń. Powiódł spojrzeniem po żywym < jaki miał przed sobą: dwaj avocy stali z automatu wymi do strzału, Reynolds też stał-całym ciężarem j ty na jednej nodze, gdyż drugą zadał cios tak silny, wiedział, czy mu nie poszła kość - a Koko tarzał s po podłodze, niezdolny nawet do krzyku. Na ust kownika pojawił się cienki uśmiech.**

**- Właśnie dostarczył pan dowód przeciwko soli. tanie Reynolds. Gdyby był pan niewinnym mieś Budapesztu, to pan a nie Koko leżałby teraz na p niewinni ludzie nie mają żalobą szkolenia komu Reynoldsa przeszedł zimny dreszcz, kiedy /<! sprawę, ze Hidas specjalnie sprowokował całe /a) pełnie się nie licząc z cierpieniem podwładnego - Wiem już to, czego chciałem się dowiedzieć, I może pan to potraktować jak komplement - źr I| panu po kolei wszystkich kości byłoby stratą c/a dziemy na ulicę Stalina i tam sięgniemy po bardzli finowane metody.**

**Trzy minuty później wsiedli do skrzyni ciężarA ra zajechała pod garaż. Koko, wciąż szary na twar/i chający z trudem, został ułożony na jednej z boc/u pułkownik Hidas i dwaj a'vocy ulokowali się na !»' przeciwko olbrzyma, a Reynoldsowi kazali USIJI.M lodzę, tyłem do szoferki; czwarty podwładny Hidn miejsce w szoferce obok kierowcy.**

**Wypadek, który sprawił, że wszyscy avocy po\* ławek, a jeden wylądował na Reynoldsie jak wyM i katapulty, nastąpił dwadzieścia sekund po wyjrr**

garażu, akurat kiedy ciężarówka skręcała za najbliższy  
Nie było żadnego ostrzeżenia, które pozwoliłoby ją  
przygotować, czegoś uchwycić; usłyszeli pisk Im  
Ostatnia granica -125

Uderzonej blachy i ciężarówka, ślizgając się po asfalcie, zatrzymała się uderzając kołami o krawężnik na jednej stronie ulicy.

Wokół samochodu, jeszcze nie zdążyli poprosić, jeszcze nie zaczęli się zbierać, kiedy nagle otworzyły się tylne drzwi i zgasił światło; po chwili wewnątrz przebiegł oślepiający blask dwóch potężnych reflektorów.

Kierowca, szczupłe ramię dwóch automatów zamocowanych

• w momencie początku snopów światła i głęboki, ' Kłus polecił wszystkim założyć ręce na głowy. W tym momencie na stłumione polecenie wydane przez kogoś latarki i lufy odsunęły się na bok i do środka

•/czyżna - w blasku latarek Reynolds rozpoznał

II kierowcę; za nim wrzucono bezceremonialnie rzytomnego kierowcę i zatrzaśnięto drzwi.

•l, zawył wściekle, kiedy nowy kierowca : i zaczął się biec i nacisnął na gaz, po czym rozległ się syk, jakby maska ciężarówki uwalniała się z i :j przeszkody. Po chwili znów byli w drodze, początku do końca nie trwała dłużej niż <<und; Reynolds był pełen uznania dla szybkoj organizacji fachowców, którzy dokonali ;ć ani przez chwilę nie stanowiła dla niego piero kiedy w świetle latarki ujrzał zaciśniętą rękę, zdeformowaną, pokrytą bliznami, tym znamięm po środku, która natychmiast z powrotem w mrok, dopiero wtedy na-załała go ciepła fala ulgi; również

dopiero ; e sprawę, jak bardzo był napięty i skupiony  
My nerw i każda myśl przygotowane na nie iści,  
które czekały go w kazamatach na ulicy i-zekaly  
wszystkich przesłuchiowanych tam  
minął lęk przed przyszłością, kiedy znów  
•hwili obecnej, ból w krzyżu i ustach powró-:i siłą.  
Ogarnęły go mdłości, czuł jak krew iniach, a świat  
wiruje przed oczyma; wie-tylko się rozluźnił,  
przestał walczyć ze sła-

I f l i i

' .»!' .Uli f i!f •:!!' t i

l i i 11 i

126 • Alistair MacLean

bością, natychmiast zwałiłby się nieprzytomny. Air |  
nie nadszedł czas na odpoczynek.

Z twarzą poszarzałą z bólu, zaciskając zęby,  
wstrzymać jęk cisnący mu się na usta, zrzucił avoka,  
wziął jego automat, położył na pustej ławic stronie  
ciężarówki i lekko pchnął w kierunku dr/.v doczna w  
mroku ręka ujęła broń i pociągnęła stronę. W ten  
sam sposób wyekspediował dwa dali maty i rewolwer  
Hidas; własny pistolet, który wy kieszeni  
pułkownika, schował do płaszcza, po c/yi na ławie na  
wprost Koko.

Po kilku minutach usłyszeli, że kierowca f edukfl i  
ciężarówka zaczyna hamować. Lufy z tyłu budy się  
groźnie do przodu i ochryply głos polecił milczeć.  
Reynolds wydobył pistolet, założył tłuuiilj cisnął broń  
Hidasowi do karku; kiedy ciężarów! trzymała, z tyłu  
dobięgl go cichy pomruk uznania

Postój trwał krótko. Czyjeś krótkie pytanie, mi |  
szoferki padła sucha, zwięzła odpowiedź udzielu w  
czym tonem - do siedzących w budzie docierał tyl|  
głosów, nie byli w stanie wyłapać poszczególnych:  
czym rozległ się syk powietrza ze zwalnianych hani  
ciężarówka ruszyła w dalszą drogę; Reynolds /  
cichym westchnieniem oparł się z powrotem o  
schował pistolet do kieszeni. Na szyi Hidasu wyriif  
cisnął się wylot tłumika, pozostawiając głęboki, ci  
ślad: chwila była wyjątkowo napięta.

Znów się zatrzymali i znów pistolet Reynoldsa < się  
w to samo miejsce na karku pułkownika, ale tyfl  
postój trwał jeszcze krócej. Więcej już się nie żal n li.  
Po tym jak droga skręcała leniwie to w lewo, t.< a  
także po tym, że warkot silnika nie odbijał się od  
murów i budynków, Reynolds domyślił się, /<•  
przedmieścia Budapesztu i znajdowali się tera/ n tej  
przestrzeni. Żeby nie zasnąć i nie zemdleć, im lic. by  
pękła cienka nić świadomości, bez przerw y j dał się  
po wnętrzu ciężarówki. Z czasem oczy pr/yw| do  
mroku i w bladym świetle sączącym się prze/  
drzwiach widział skulone sylwetki dwóch mężc/yi

Ostatnia granica • 127

nasuniętych nisko na czoło i chustach na twa-  
i<'li nieruchomo na końcu budy, z automatami  
lorowanymi wprost na avoków. Ich czujność  
filtracja miały w sobie coś wręcz nieludzkie-  
i > viiolds zaczął rozumieć, jak to było możliwe,  
i i garstce jego ludzi udało się przetrwać tak  
i on czas przenosił wzrok na avoków leżących

widział szok i strach malujący się na ich  
id/iał że trzymane w górze ręce drżą im ze  
i.-dynie twarz Hidasu była kamienna, pozba-  
I i ego wyrazu. Mimo lodowatej obojętności, z  
ilnosił się do cierpienia innych, Reynolds  
nać, że pułkownik miał w sobie coś godnego  
kę przyjmował bez śladu lęku, bez nerwów;  
i i/ki cechował go ten sam chłód co w chwili  
" czyzn z tyłu ciężarówki skierował latarkę na  
/apewne patrzył na zegarek, chociaż z odleli Is nie  
był tego pewien - po czym przemówił  
lego głos, głęboki, chropowaty, dochodzący I nie do  
poznania.

buty, wszyscy po kolei, i ustawić je na lawie  
;ont Reynoldsowi wydawało się, że pułkow-  
łówi wykonania rozkazu - a odwagi mu do  
iwało - ale ponaglające szturchnięcie lufą  
że jakikolwiek opór jest pozbawiony sensu.  
l.tory na tyle odzyskał siły, żeby podnieść się  
i.-ignął buty w niecałe trzydzieści sekund.  
I ku- stwierdził opanowany głos z tyłu pojaz-  
płaszcze. - Umilkł, dając avokom czas na  
'lecenia. - Dziękuję. Słuchajcie uważnie.  
c na cichej, opuszczonej drodze i zaraz doje-  
iacej przy niej pustej chaty. Najbliższe sie-  
iddalone są o pięć kilometrów. Nie powiem  
MMI kierunku. Jeśli będziecie starali się do nich  
mroku i na bosaka, prędzej zamarzniecie niż  
. i d, a na pewno będzie was czekać amputacja  
• melodramatyczna groźba, a zwykle ostrzeże-

**128 • Alistair MacLean**

nie. Jeśli mi nie wierzycie, proszę bardzo, przekonuj sami. Chata natomiast jest sucha, stanowi dobro " wiatru, a drwa na opał jest pod dostatkiem. 1U> mogli doczekać w cieple do rana, kiedy to na drog\* <' | na pojawić się jakaś chłopska furmanka albo cieznf - Dlaczego to robicie? - spytał Hidas obojętnie i znużonym tonem.

- Dlaczego wysadzamy was na pustkowiu, czy il darujemy wam wasze marne życie?

- Jedno i drugie.

- Powinieneś się domyślić. Nikt nie wie, że n żarówkę AVO, i nie dowie się, dopóki nie doli telefonu, zanim to się jednak stanie, będziemy granicy austriackiej: ta ciężarówka to gwarancja trzemy tam bez-przeszkód. Jeśli chodzi o wasze ży< nie jest całkiem naturalne: kto mieczem wojuje. <>> I ginie. Ale my nie jesteśmy mordercami.

Ledwo skończył mówić, ciężarówka zatrzymał; i ka sekund upłynęło w zupełnej ciszy, po czym ni/ chrzęst kroków na śniegu i drzwi budy otworzył v oścież. Reynolds ujrzał dwie postacie na drodze, :i nimi przysypany śniegiem dach małej chatki, i' padła ostra komenda: Hidas i jego ludzie wyszli :•• zewnątrz, jeden z nich podtrzymując kulejące;- cichym trzaskiem uniosła się klapa zasłaniaja< •' między szoferką i budą i czyjaś twarz zbliżyła sit' 11. Reynolds jednak nie potrafił rozróżnić w mr< i

patrzącego - widział tylko ciemną plamę. Skier w drugą stronę i zobaczył, jak ostatni avok v chaty i drzwi się za nim zamykają, potem usłys zgrzyt opuszczanej klapy i w tej samej chwili wskoczyły trzy postaci, zatrzasnęły drzwi i poją dalszą drogę. Zapalono światło i przybysze zaczęli ściągać / < chusty, gdy wtem damski głos wydał okrzyk pra%or> Jeśli wyglądam tak jak się czuję, pomyślał kwa.śr•• nolds, to nic dziwnego, że budzę przerażenie. !'!« jednak przemówił Hrabia.

Ostatnia granica • 129

ii się zdaje, że zderzył się pan z autobusem, fliolds. Albo spędził trochę czasu w towarzystwie "Apatycznego przyjaciela Koko. go zna? - spytał Reynolds, ochryłym, pni ulosem. I lid wszyscy pracownicy AVO. I połowa miesz-"dapesztu, chociaż pewnie woleliby nie mieć tej pi. Można rzec, że to bardzo popularny czło-' okazji, nie wie pan przypadkiem, co mu się Ho się, że nie był w najlepszej formie. Btu go.

no! - Hrabia uniósł jedną brew, co u niego y raz totalnego zdumienia. - Jeśli ktoś dotknie l wbrew jego woli, to już duże osiągnięcie, ale llć KO niezdolnym do walki... Iprzestań gadać! - zawołała Julia z gniewem i

•ni. - Spójrz tylko na jego twarz! Musimy coś I nie wygląda ładnie - przyznał Hrabia, sięgając . - Uniwersalny lek.

Ure się zatrzymać - rozkazał cichym, lecz stanem Jansci.

uważnie na Reynoldsa, który zakrztusił się i ć  
zaciskając z bólu powieki, gdyż ognisty tru-  
• w usta i przelyk.

ln mocno poturbowany, panie Reynolds. Co się  
(j nolds skończył opowiadać, Hrabia zaklął, (fas/.am,  
młodzieńcze - rzekł. - Powinienem był ""en łajdak  
Koko... Może jeszcze trochę palinki? ^pomaga.  
Irka zatrzymała się i Jansci wyskoczył na zew-  
II po chwili, trzymając w ręce wypełniony śnie-!  
jednego z avoków.

boty, kochanie - rzekł do Julii, podając jej hustkę. -  
Może uda ci się choć trochę poprawić lego  
przyjaciela.

yna wzięła chustkę i odwróciła się do Reynold-iin,  
starła się dotykać go jak najdelikatniej, ale

130 • Alistair MacLean

mimo to śnieg piekł okrutnie, kiedy zmywała nim |  
płą krew z ran na policzkach i ustach; kilka razy 1(4  
skrzywił się z bólu. W pewnym momencie Hrabin i  
nął.

- Może powinnaś zastosować bardziej be/po» metodę  
kuracji, Julio - rzekł. - Podobną jak na MI get, kiedy  
przyłapali was milicjanci. Mówiła nar Reynolds, że  
przez pełne trzy minuty...

- Ale kłamliwa bestia! - Reynolds próbował si chnąć,  
ale za bardzo go to bolało. - Całowaliśmy dwie  
trzydzieści sekund i to dla ratowania skóry rżał na  
Janskiego. - Co się stało? Jakim cudem] znaleźli się w  
garażu?



**- Co się stało? - powtórzył cicho Jansci. - Spapr sprawę. Wszystko poszło nie tak. I wszyscy poparli jakieś błędy; my, pan, avocy też. Pierwszy błąd! Wiedzieliśmy oczywiście, że dom jest obserwowany myśleliśmy, że interesują się nim zwykli donosiciele stety, byli do agencji AVO; Hrabia rozpoznał tyra schwytych przez Sandora, kiedy przyszedł do skończonej służbie: Julia tymczasem wyruszyła w kierunku z panem i nie mieliśmy jak jej zawiadomić, u niej postanowiliśmy nie zawracać panu głowy; nikt z metod AVO równie dobrze jak Hrabia, a on był przekonany że jeśli zrobią nalot, to dopiero o świcie... To ich ulga pora. A nas już miało wtedy tu nie być.**

**- Więc ten gość, który doszedł za Julią "Pod anioła", śledził ją od samego domu?**

**- Tak. Sprawnie się go pan pozbył, gratuluje, choć wiem, że była to dla pana drobnostka... Największy błąd został popełniony wcześniej, podczas pańskiej i wyjazdu z profesorem Jenningsem.**

**- Podczas... Nie rozumiem.**

**- Ja jestem bardziej winien od pana-wtrącił pan (Hrabia. - Wiedziałem i powinienem był pana uprzedzić**

**- O czym? - spytał Reynolds.**

**- Zaraz panu wyjaśnię. - Jansci popatrzył na swój zegarek, po czym wolno podniósł wzrok. - Sprawdzał parę pokojów profesora nie ma podsłuchu? >.**

**Ostatnia granica • 131**

**1 !. Znalazłem pluskwę za kratą wentylacyjną, wieńce?**

**1 znalazłem.**

**(r ty, tam również był podsłuch. W prysznicu. Hra-, te w każdej łazience w hotelu "Trzy korony" jest w prysznicu. Dlatego prysznice nie działają. ' odkręcić wodę.**

**/nicu! - Nie zważając na nagły ból, Reynolds ilsię gwałtownie, odsuwaj ąc zaskoczoną dziew-i.rofon! O Boże! |nr powiedział posepnie Jansci.**

**każde słowo, wszystko co mówiłem do профе- i uparł się o ścianę skrzyni, przybity ogromem •j przez siebie pomyłki i jej fatalnymi nastę-Nic dziwnego, że Hidas wiedział, kim jest i po co 1.1 Węgry. Wszystko wiedział! Teraz już nie było [iv.-• uratowanie profesora; równie dobrze on, Rey-> ';>:lby w ogóle nie wyjeżdzać z Londynu. Wtedy, w iirdy okazało się, że pułkownik zna jego tożsa-i •"/. moment obawiał się, że coś takiego mogło się 11 Ic wiadomość, którą przed chwilą przekazał mu >• lym skąd i jak Hidas dowiedział się o celu jego u na Węgry - przesądziła ostatecznie sprawę. Mi- ukoikzona - zakończona klęską: •Ilu pana przykry cios - powiedział współczująco pluleś, co mogłeś - szepnęła Julia. Przekręciła mu ' dokończyć przemywania ran; nie opierał się. -ju wina.**

**i milczenie. Ciężarówka chybotwała się i podska- Iwertepach ośnieżonej drogi. Ból krzyża i twarzy typował, przechodząc w tępe, uporczywe klucie; Irwszy, odkąd uderzył go Koko, Reynolds był w flo myśleć.**

i bezpieczeństwa już się zajęła Jenningsem; . w drodze powrotnej do Rosji - powiedział do  
- Wspomniałem profesorowi, że chcemy porwać przypuszczalnie zawiadomili już Szczecin. Sko-

OM-, „„| ' .

132 • Alistair Maclean

pałem zadanie. - Urwał i dotknął językiem przednich zębów; dwa ledwo się trzymały. - Skopałem rzone zadanie, ale chyba nie wyrządziłem innyrt Nie wymieniałem nazwisk, ani zajęć żadnej z osol skiego domu, choć podałem profesorowi adres. Air tak go znali. Jeśli natomiast chodzi o pana ludzi, i dzą o ich istnieniu. Parę spraw jednak nadal mim koi.

- Tak?

- Tak. Po pierwsze, dlaczego nie złapali mnie nr hotelu, skoro podsłuchali moją rozmowę z profeM

- To proste. Nie podsłuchują rozmów bezi>< lecz nagrywają je na taśmy magnetofonowe i <>'i później. - Hrabia uśmiechnął się szeroko. - Żalu i widziałem ich min, kiedy siedzieli nad pańską!

- Dlaczego nie zadzwoniliście, żeby mnie zatri>4 Przecież z tego, co powiedziała wam Julia, musielU zorientować, że AVO zjawi się lada moment.

- Faktycznie, zjawili się prawie natychmiast. l> minut po naszym wyjściu. Dzwoniliśmy do pana do l ale nikt nie odpowiadał.

- Wyszedłem wcześniej.-Reynolds przypomin.i dzwonięcie telefonu, które słyszał, gdy był na sam--

**schodków przeciwpożarowych. - Ale mogliście ni .  
trzymać na ulicy!**

**- Mogliśmy - przyznał Jansci. - Hrabio, może ty <  
niesz, dlaczegośmy tego nie zrobili.**

**- Dobrze - odparł Hrabia.**

**Ku zdumieniu Reynoldsa, na jego twarzy malou 11  
zmieszanie; przez moment Anglik myślał, że się ni  
l(| Hrabia w istocie był zmieszany.**

**- Poznał pan dzisiaj mojego przyjaciela pułki Hidas  
- zaczął dość okrężnie. - To zastępca koiui«>i AVO,  
najbardziej niebezpieczny i przebiegły czli»'« całym  
Budapeszcie. W dodatku inteligentny, więc uli nego,  
że osiąga sukcesy, o jakich inni mogą tylko i  
Błyskotliwie inteligentny, pomysłowy, energiczny l i  
nie pozbawiony uczuć. Nigdy się nie poddaje. N u  
ukrywał, że wzbudza we mnie respekt; dlatego \vl:i**

**i lem się, żeby mnie nie zobaczył, chociaż miała  
twarz.**

**an przejdzie do sedna - powiedział niecier-ilds.**

**•chodzę. Od kilku lat nasza działalność była  
cierniem w oku Hidas; ostatnio nabrałem i cjrzenia,  
że Hidas coś ciut za bardzo interesu-isobą. - Machnął  
niedbale ręką. - Oczywiście, i e AVO, spodziewamy  
się tego, że raz na jakiś i y dokładnie sprawdzani,  
nawet śledzeni, więc mję się nadmiernie. Ale  
pomyślałem sobie, że na blokadach drogowych nie  
przeszły taknie-**

**jakbym sobie tego życzył; powziąłem podej-  
st pan człowiekiem podstawionym przez Hida-  
liardzo zależy na tym, żeby nas rozpracować. -  
się lekko na widok zdumienia rysującego się i Julii i  
Reynoldsa. - Tylko dlatego udaje nam i ć, panie  
Reynolds, że staramy się minimalizo-  
To, że wyratowałem z opresji autentycznego i-  
hodu, wydawało nam się zbyt ładne, żeby było  
Sądził się więc, że jest pan wtyczką Hidasa. <!/,  
ial pan-rzekomo od pułkownika Mackinto-  
i ings jest w Budapeszcie, choć my nie mieliśmy i a.  
był kolejnym argumentem przeciwko panu;  
•/ególowo Wypytywał pan Julię o nas i o naszą  
mogło oznaczać przyjazną ciekawość, ale rów-  
niógł pan mieć inne, znacznie bardziej groźne  
miki; no i jeszcze ci milicjanci na wyspie-  
może lali się nabrać na wasze zdolności  
aktorskie, c.stu wiedzieli, kim pan jest. .i o  
tym nie mówiliście! - zawołała Julia; jej \l i  
czerwona, a błękitne oczy lodowate z wściekło-  
my ukryć przed tobą ciemne strony życia -(  
Blanterią Hrabia. - A potem, panie Reynolds,  
l odebrał pan telefonu, przyszło nam na  
myśl, że linie spotyka się pan ze swoimi  
zwierzchnikami •ty Były to tylko podejrzenia,  
oczywiście, ale nie r ryzykować. Więc  
pozwoliliśmy panu wejść pro-**

**ELOTYPY - podstawowe informacje dla klienta.**

**Funkcje elotypa :**

**Maszyna do pisania - aby pisany tekst pojawił się w komputerze należy podłączyć maszynę przez port**

**szeregowy a w komputerze uruchomić program Hyperterminal i w nim funkcję przechwytywania tekstu. Zapisany plik przetworzyć dołączonym do maszyny programem elofiltr. Ostatecznie uzyskuje się plik tekstowy z polskimi znakami w kodzie Windows**

**Praca z klawiaturą komp. - może pracować z klawiaturą komputerową. Dzięki temu mamy wydruk brajlem. Stosujemy tylko do tekstów bez polskich liter a cyfry są przedstawiane w niemieckiej notacji komputerowej.**

**Praca z drukarką czarnodrukową - w miarę postępu pisania pojawia się tekst czarnodrukowy - bez polskich liter. Działa tylko w drukarkach pracujących w systemie dos.**

**Drukarka - można drukować bezpośrednio z Windows pliki tekstowe bez polskich liter. Aby wydrukować plik z polskimi literami w kodzie windows należy wysłać taki plik do elotypa komendą copy w okienku dosowym windows. Wewnętrzny edytor - elotype posiada pamięć na ok. 30 stron brajlowskich. Użytkownik ma kontrolę nad edytowanym tekstem za pomocą funkcji drukowania na elotypie linijki lub strony**

**Sieć elotyów - maszyny posiadają specjalne złącze dzięki którym można je połączyć w sieć. W sieci jedna maszyna jest nadawcą a pozostałe odbiorcami. Idealne rozwiązanie do zastosowań szkolnych.**

**Możliwe jest także ustawienie kilku maszyn w tryb sieciowy tak aby możliwa była komunikacja typu**

każdy z każdym. W trybie sieciowym można przesyłać pliki zapamiętane w wewnętrznym edytorze jak również teksty otrzymane np. z komputera przez porty : szeregowy i równoległy.

sto w zasadzkę. Głupio się przyznać, ale widzieliM pan szedł. Byliśmy niespełna sto metrów dalej, pi /< ni w samochodzie-na szczęście nie moim-którym H Imre staranował ciężarówkę. - Popatrzył z żalem im \ Reynoldsa. - Nie spodziewaliśmy się, że od ni/u panu taki wycisk.

- Mam nadzieję, że pozbyliście się wątpliwości nolds ujął w dwa palce obluzowany ząb, Wyrwał m wiać się, i rzucił na podłogę. - Bo wolałbym nie pr dzień tego po raz drugi.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? - za\vnl( lia, spoglądając gniewnie na ojca i Hrabiego; jrj złagodniał dopiero wtedy, gdy skierowała oczy na I szowaną twarz Reynoldsa. - Mimo że tyle się pr wycierpiałeś?

- A co mam zrobić? - spytał cierpliwie Ro.vn< Rzucić się na Hrabiego i wybić mu parę zębów? miejscu postąpiłbym tak samo.

- Zawodowcy rozumieją się w takich sprawai-l droga - powiedział cicho Jansci. - Ale jest nam n;ilij bardzo przykro. I co teraz, panie Reynolds? Taśnin j ską rozmową rozpęta największą obławę, jaką mielił miesiąc. Myślę, że czym prędzej powinien pan dntr granicy austriackiej.

- Oczywiście, powinienem i dotrę. Ale wcale prędko. Patrząc na siedzących obok mężczyzn, Reynolds pomyślał sobie niesamowite historie, które opowiadał o nich Julia; wiedział, że na pytanie Janskiego i tylko jedną odpowiedź. Szarpnął kolejny ząb i wyczuł ulgę, kiedy udało mu się go wyrwać, po czym spojrzał na generała i rzekł:

- Wszystko zależy od tego, jak szybko zdołam od profesora Jenningsa.

Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści i dzielił w ciszy wypełnionej chrzęstem śniegu pod kołami szmerem głosów Sandora i Imrego dochodzących warkotem silnika; w końcu Julia ujęła w dłonie

Ostatnia granica • 135

i niehnutą twarz Reynoldsa i obróciła ku sobie, i łagodnie czubkami palców. i aleś - oświadczyła, wpatrując się w niego z

111 i em. - Zupełnie zwariowałeś. ni, i dwóch zdań. -

Hrabia otworzył pierścionek, i zamknął ją z powrotem. - To, przez co dziś padło mu na mózg.

ntstwo - powiedział cicho Janski, spoglądając w

• u- /deformowane ręce. - Nie ma choroby równie

łukuje błyskawicznie. - Hrabia zerknął ponuro na N  
awet moje lekarstwo nie zdało się na nic.

chwile dziewczyna patrzyła na trzech męż-u

zdezorientowana; nagle odgadła prawdę, i jej się tak przerażająca, że krew odpłynęła

•.. a oczy, niebieskie jak bławatki, pociemniały i ul.

Nie protestowała, nie usiłowała ich od nicze-u\

rozumiejąc, że byłoby to zupełnie daremne, i



- rncila głowę, żeby nie widzieli jak lzy spływają
- lir/.kach.

I ds wyciągnął dłoń, chcąc Julię pocieszyć, ale i MC, Wtedy Jansci uśmiechnął się do niego smutno wolno siwą głową; Anglik zrozumiał i cofnął iyl paczkę papierosów, wetknął jednego między «, <i>!i i zapalił. Papieros miał smak palonych gazet.

### Rozdział siódmy

Kiedy Reynolds się zbudził, wciąż panował mną niebo widoczne przez niewielkie okno wythodil wschód powoli zaczynało się rozjaśniać. Wied/tn pokoju jest okno, ale do tej pory nie miał pojęcia, MAJ znajduje się ścianie; kiedy po pokonaniu poltii metrowego odcinka drogi dotarli o drugiej nad nift samotnej wiejskiej chaty, zziębnięci i utrudzeni mol przedzieraniem się przez zasy py śniegu, Jansci zar/M światło wolno palić tylko w pomieszczeniach z /iinif mi okiennicami, a pokój przydzielony Reynoldsowij ich nie miał.

Nie ruszając-głową widział całe wnętrze pok<>|! dziwnego, skoro powierzchnia podłogi była zalc<l<j razy większa od powierzchni wąskiego brezentów <| ka, na którym leżał. Na resztę umeblowania składj krzesło, miednica stojąca pod oknem i zmatowiali nic więcej by się nie zmieściło.

Za pojedynczą szybą okienną robiło się coraz ja\*( oddali, prawie pół kilometra od chaty, Reynolds d pokryte gruba warstwą śniegu gałęzie sosen - dr/< siały rosnać na zboczu poniżej domostwa, gdyż i< pierzaste czubki znajdowały się na poziomie j<-

Powietrze było tak czyste, że widział niemal każdy  
• gałęzi. Szare niebo powoli stawało się  
jasnoniebie; ani jednej chmury: po raz pierwszy,  
odkąd przybył i gry, zdarzyło mu się zobaczyć tak  
czysty błękit w Dzień-zapowiadał się pogodnie; może  
był to s/i omen? W tej chwili każdy dobry znak był  
na WIIKV] Wiatr uspokoił się, nawet najlżejszy  
powiew nic /« bezruchu wielkiej równiny i głuchej,  
lodowatej ciul możliwa jest tylko w mroźny poranek,  
gdy calu skrywa puszysta warstwa śniegu.

/(•rwał - ale tylko na moment; później zdawała  
ulebsza niż poprzednio - krótki głośny trzask,  
•Ulali ktoś strzelił z karabinu; Reynolds zdał A v, że  
taki sam hałas zbudził go przed chwilą, nial,  
nasłuchując: mniej więcej po minucie powtórzył, ale  
jakby trochę bliżej. A potem  
•lyszal, tym razem po niecałej minucie, i posta-  
Ipruwdzić, co się dzieje. Zrzucił z siebie kołdrę,  
li na podłogę... miast zmienił zdanie; ból,- jaki go  
przeszył, gdy l na łóżku, tak potężny jakby ktoś wbił  
mu w ny hak i szarpnął nim z całej siły,- uświadomił  
• może wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. .  
powoli podciągnął nogi i z westchnieniem uło-  
(l powrotem na posłaniu. Czuł się tak, jakby od |  
>Irców po łopatki miał jedną wielką ranę; pozosta-•  
trż miał zesztynniałe i każdy szybszy ruch wpra-ię.  
Hałas na zewnątrz mógł poczekać, zwła-i innego  
najwyraźniej nie martwił; również l uly kontakt z  
zimnym powietrzem przekonał ;.i, który spał tylko w

pożyczonych spodniach od >' im później będzie musiał się zwlec z posłania, i, ndyż w pokoju nie było ogrzewania i temperami la poniżej zera. mil się na plecach, z wzrokiem utkwionym w

- nc/ął się zastanawiać, czy Hrabia i Imre dotarli nie do Budapesztu. Zamierzali porzucić cięża-
- tolicy, żeby wróg nie miał żadnych wskazówek,
- wszyscy udali. Gdyby zostawili pojazd gdzieś na pobliżu chaty, mó'głoby to się źle dla nich skoń-
- «M spodziewał się, że od rana w całych zachod-
- ii/cch rozpoczną się poszukiwania ciężarówki;
- i.ijlrpiej było się jej pozbyć w jakimś pustym miej-.llu-.'

im ważne było, żeby Hrabia wrócił do stolicy. Miał >i procentową pewność, że dotąd nie wzbudził je-| i>/ich podejrzeń, a jeśli chcieli dowiedzieć się, nlirauo profesora Jenningsa - bo Rosjanie nie zo-^ KO w hotelu, nawet pod wzmocnioną strażą -

138 • Alistair MacLean

musiał zajrzeć do siedziby AVO, gdzie wczesnym | ><i niem miał pełnić dyżur. To był jedyny sposób, żel>> l informacje o profesorze, sposób oczywiście dość i>i ny, ale Hrabia od dawna żył na krawędzi ryzyka.

Reynolds trzeźwo oceniał swoje szansę. Nawol j ca najlepszych fachowców na świecie, a za takich n Janskiego i Hrabiego, miał mizerne szansę na wykadania. Czynił sobie wyrzuty, że nie sprawdził prym jeden błąd i avocy wiedzieli o wszystkim, a to da w i absolutną przewagę. Mogli zablokować drogi,

konli> pojazdy na rogatkach miasta, mogli przenieść  
profr i najbardziej niedostępnego, najlepiej  
strzeżonego < nią lub obozu na terenie Węgier, a  
nawet odcsli.i powrotem do Rosji. Najbardziej jednak  
dręczyło !<•• są jedno pytanie, jedna sprawa, na  
której od p» bazował jego plan porwania Jenningsa  
do Anglii dzieje w Szczecinie, co się dzieje z  
Brianem, syncu sora? Miał ponurą świadomość, że  
port jest przec/r tak dokładnie jak nigdy dotąd i że  
wystarczy drolun żeby wszystko przepadło, jedna  
chwila nieuwagi • agentów odpowiedzialnych za  
bezpieczeństwo di którzy oczywiście nie wiedzieli -  
bo skąd mieli winij że ogłoszono alarm i że setki  
ubeków cal po calu pi kują miasto. Było to strasznie  
frustrujące leżeć tak i -bezradnie, podczas gdy  
kilkaset kilometrów na polu ciskały się sieci.  
Palenie w krzyżu stopniowo malało, aż w konni  
ustąpiło; ostre, nagłe klucia też już się więcej m  
rzały. Czego nie można było powiedzieć o .trz.i  
oknem: rozlegały się coraz częściej i coraz bliżej, l;  
nie potrafił dłużej poskromić ciekawości; zres/i  
wstać, żeby się umyć, ponieważ kiedy w nocy do:  
szcie na miejsce, był tak zmęczony, że po prostu na  
posłanie i natychmiast zasnął. Powoli, ostro ścił nogi  
na podłogę i siedząc na brzegu łóżka spodnie od  
szarego garnituru, który w niczym ni minął  
nieskazitelnego stroju, w jakim przed trzt i mi  
opuszczał Londyn, po czym wstał, wciąż trocin nie, i  
poczłapał do okna nad miednicą.

Ostatnia granica • 139

n w oczy dziwny widok, bo też dziwnie wyglą-  
którego ujrzał za oknem. Mężczyzna, właści-  
wyrostek, ubrany był tak, jakby miał grać rolę i  
(łowisku dla dzieci - na głowie aksamitny , lękiem  
barwnych piór, na ramionach żółty \ ający  
swobodnie do ziemi, na nogach bogato ysokie buty z  
lśniącymi, srebrnymi ostrogami.

•wająco białego śniegu prezentował się wspa-rym,  
ponurym, komunistycznym kraju, był nie-m, wręcz  
szokującym zjawiskiem. któremu się oddawał, było  
równie niezwykle l W odzianej w rękawicę dłoni  
trzymał obciąż-r/onek długiego, cienkiego bicia;  
nagle poru-;idgarstkiem i leżący na śniegu pięć  
metrów skoczył trzy metry w bok. Po kolejnym  
drgnię-i ka wrócił na dawną pozycję. Młodzieniec  
po-/ynność kilkakrotnie, lecz Reynolds ani razu l,  
żeby koniec bicia uderzył w korek, czy choć-  
•L;O zbliżył - po prostu smagnięcia następowały /.e  
oczy nie nadążały za ruchem rzemienia. To  
nieć robił wymagało maksymalnego skupienia i  
wręcz precyzji, obserwowował wyrostka z  
zafascynowaniem; był  
męty osobliwym widowiskiem, że nie usłyszał, /yły się  
drzwi do pokoju. Dopiero nagły okrzyk a jego  
plecami sprawił, że odwrócił się gwał-kna,  
jednocześnie wykrzywając twarz z bólu,  
poczuł ostre klucie.

i iiszam. - Julia była wyraźnie speszona. - Nie • Urn  
się...

l; uśmiechnął się szeroko.

l/, wchodź. Jestem już prawie ubrany. A zresztą  
;enci, jesteście przyzwyczajeni do przyjmowa-  
11 aszych sypialniach.

"I tacę, którą postawiła na łóżku.

i.-mię dla chorego? Bardzo to miło z twojej stro-  
rych trzeba dbać.

140 • Alistair MacLean

Ubrana była w niebieską wełnianą sukienkę  
kołnierzykiem i białymi mankietami, przewiązanti l  
paskiem. Zauważył, że włosy ma lśniące, wyszczolM  
oczy błyszczące, cerę świeżą, jakby przed chwil.-t  
twarz śniegiem. Dotyk jej palców, kiedy zbliżyła je  
obolałych pleców, był kojący i chłodny. Raptem, 7.n4  
na, wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Musimy koniecznie znaleźć lekarza. Przecie? l<  
wielka rana we wszystkich kolorach tęczy: czerwom  
i bieskim, fioletowym. Nie można tego tak zostawio  
da okropnie. - Obróciła go łagodnie twarzą do  
popatrzyła na jego nie ogoloną twarz. - Proszę w r >  
łóżka. Bardzo boli, co?

- Tylko wtedy, gdy się śmieję, jak powiedział fai bity  
harpunem. - Odsunął się od miednicy i skinął stronę  
okna. - Co to za artysta cyrkowy?

- Wiem bez patrzenia. - Parsknęła śmiechem, ległość  
słysząc jak strzela z biczem. To Kozak, jedei. ojca.

- Kozak?

- Tak każe się nazywać. Naprawdę nazywa się .-\ der  
Moritz, choć wydaje mu się, że tego nie wienn jednak  
wie o nim wszystko, tak jak o każdym /"•

współpracowników. Chłopak ma clopiero osiemnaw  
uważa, że Aleksander to imię dobre dla maminsynk  
- A dlaczego ubrał się w taki komiczny strój?  
- Ignorant! - Zaśmiała się. - Ten strój wcale ii|  
komiczny. Kozak to autentyczny csikós, odpowici  
szego kowboja, z puszy, czyli stepu, który rozdana |  
wschodnich terenach kraju, w okolicach Dębu  
Właśnie tak się tam noszą, a bicz jest częścią stroju  
pomaga ojcu w działalności, o której dotąd nie n>/«  
liśmy, a która polega na zaopatrywaniu w żywność  
cych - wyjaśniła z powagą. - Kiedy nadchodzi  
/i( Węgrzech głoduje wielu ludzi. Rząd każe chłopom  
i czać tak ogromne kontyngenty kartofli i mięsa, że  
samyh prawie nic nie zostaje; najgorzej jest z psz<-  
iil musza oddawać całe zbiory. Któregoś roku było  
lak i mieszkańcy Budapesztu musieli zaopatrywać  
chl<

Ostatnia granica • 141

:ci pomaga tym głodującym. Organizuje akcje ydla z  
gospodarstw państwowych, zarówno tu liosłowacji, a  
Kozak pędzi je na wyznaczone i"dwie zeszłej nocy  
był po drugiej stronie gra-

il /. bydłem, ot tak?

iJUftfo to nic trudnego, ma swoje metody. Najczę-

•Wa zwierzęta właśnie w Czechosłowacji, granica  
[dwadzieścia kilometrów stąd; albo oszałamia je leni,  
albo upij.a podając im otręby polanę go-

H\*Jspokojniej w świecie przeprowadza przez gra-to  
z równą łatwością, z jaką inni przechodzą lnie.

Aa. że z ludźmi nie można sobie sobie radzić w b -  
powiedział z uśmiechem Reynolds. | tacząc robić to  
samo z ludźmi. Nie oszalać Iljać, oczywiście, ale  
przeprowadzać przez grani-Kce pewnie zacznie. -  
Przez chwilę patrzyła przez lUc o czymś innym, po  
czym spojrzała na Reynold-'tkitne oczy były  
poważne, nieruchome. - Panie i, chciałam...

lIal się, co zamierza powiedzieć. Nie wymagało to t  
przenikliwości, żeby wiedzieć, iż wczoraj taar-ttnie i  
wbrew sobie zaakceptowała podjętą przez jy?.ję o  
kontynuowaniu poszukiwań Jenningsa;

•l się, że prędzej czy później przyjdzie go błagać,  
•nil zdanie. Od chwili, kiedy weszła do pokoju,  
) Jedno leży jej na sercu.

icież już byliśmy na ty, sama to zaproponowałaś -  
j Jej szybko. - Trudno się bawić w konwenanse,  
C przed tobą bez koszuli. Od tej pory nie ma pana  
• , jest tylko Michael.

iel. - Wypowiedziała wolno jego imię, wymawia-  
<i.'l". - A może "Mike"? i.-zamorduję-zagroził,  
ibrze. Michael.

•l - powtórzył naśladowując jej wymowę i parsknął i -  
Niech będzie. Co chciałaś mi powiedzieć?

142 • Alistair MacLean

Przez moment dwie pary oczu, jedno piwne, dru-  
kitne, wpatrywały się w siebie, porozumiewaj;^ słów.  
Julia otrzymała odpowiedź na swoje pyli musiała go



zadawać. Jej szczupłe ramiona ugięły »I pod ciężarem przegranej.

- Nic - odparła pośpnie, kierując się do dr/w wiem się, czy gdzieś w pobliżu jest lekarz. JaiiNi-|| żebyś zszedł za dwadzieścia minut.

- A prawda! - zawołał Reynolds. - Wiadoni śmierć o tym zapomniałem.

- To już coś. - Julia uśmiechnęła się blado i xii za sobą drzwi.

Jansci wstał wolno z krzesła, wyłączył radio i pn na Reynoldsa.

- Myśli pan, że im nie wyszło?

- Obawiam się, że tak. - Obrócił się zmieniajn pozycję, żeby ulżyć obolałym plecom: mycie, ubi< i zejście po schodach kosztowało go więcej wysł dawał po sobie poznać i teraz czuł w krzyżu niemal czne klucie. - Dzisiejszy serwis informacyjny powinien zawierać hasło.

- Może dotarli do Szwecji, ale nie zdążyli jes/c/ taktować się z kim trzeba?

- Nie, to niemożliwe. - Reynolds głęboko wń-rj właśnie tego ranka usłyszy umówione hasło; /av bolesny. - Wszystko jest zapięte na ostatni guzik: Ur( naszego konsulatu w Helsingborgu cały czas na nich (

- Hm... Ale jeśli ci dwaj agenci wysłani po clii naprawdę tacy świetni, może zorientowali się, że si kiwani i postanowili przycząić się na dzień luli Szczecinie. Aż zrobi się mniej gorąco.

- Oby. Boże, dlaczego nie pomyślałem o prys/n|  
zawołał z goryczą. -1 co robić?

-.Nic. Jedyne, co nam pozostaje, to uzbroić siv  
pliwość - oświadczył Jansci. -A pan niech wraca do t  
Bez żadnych protestów. Zbyt wielu chorych i rannył  
działem w swoim życiu, aby nie wiedzieć, że  
potr/chftj panu odpoczynek. Posłaliśmy już po  
lekarza. To inrtj j

Ostatnia granica •

143

»i dodał z uśmiechem na widok niepewnej miny  
Można mu całkowicie zaufać, isda minut później  
lekarz, w towarzystwie Jan-lvil się w pokoju  
Reynoldsa. Był to rosły, tęgi l o czerwonej twarzy, z  
krótko przystrzyżonym pnaczający się ogromną  
pewnością siebie i we-ndiiym głosem, tak pogodnym,  
że każdy pacjent |dcjrzewał najgorsze - w sumie więc  
nie różnił B od swoich kolegów po fachu, z jakimi  
Reynolds V Mykał. Tak jak większość lekarzy, miał  
zdecydo-»tftii«ly i nie wahał się ich wygłaszać: od  
samego In pokoju zaczął przeklinać komunistów.

•ilv panu udaje przeżyć? - spytał z uśmiechem

i Skoro wyraża pan swoje poglądy... | tniiii!

Wszyscy wiedzą, co myślę o tych bydlakach. |.

medyków, nie śmia tknąć. Zwłaszcza tych lepszych, a

nas. - Założył na uszy słuchawki. - Nie żebym

"i dobry. Ale cała sztuka polega na mówieniu im,

\*l niezastąpionym.

r !>yl trochę niesprawiedliwy wobec siebie.

Zba-."oldsa szybko, dokładnie i bardzo fachowo. •Ii/

r się pan - oznajmił. - Nastąpiło krwawienie ii.nr, ale dość znikome. Stan zapalny na znacznej lun oraz imponujące sińce. Potrzebna mi powłó-11

Skuteczność tego środka jest wprost propo-do bólu, jaki sprawia pacjentowi. Będzie miał i wyć na całe gardło, ale jutro poczuje się pan o .'HM.

Ina powłoczce sporą grudę szarej pasty, którą na-i' ^prowadził równomiernie po całej powierzchni. i n s ka maść - wyj aśnił - sporządzona według prze-i' •< - uo kilkaset lat. Ciągle jej używam. Po pierwsze, kirdziej ufają lekarzowi, który stosuje stare, inr środki, a po drugie, zwalnamnie to z koniecz-inro śledzenia wszystkich nowinek medycznych, i pr/ez tych cholernych komunistów i tak nie ma

rr

hol

144 • Alistair MacLean

Reynolds skrzywił się z bólu, gdyż maść niemal miast zaczęła palić go w plecy; czuł, że na czole w mu pot. Lekarz nie krył zadowolenia.

- I co, nie mówiłem? Ale jutro będzie pan zdi ryba.

Proszę połknąć te dwie białe tabletki, powoli krwawienie wewnętrzne. A ta niebieska to środek ny; radzę go wziąć od razu, bo jeśli szybko pan nic tu dziesięć minut będzie pan chciał zrywać opatrun > szczęście środek ten działa szybko.

Nie było w tym żadnej przesady - ostatnia r/<"

dotarła do świadomości Reynoldsa, to odgłps kr<>k« dyka, kiedy schodził po schodach, przeklinając k<

stów na czym świat stoi. Przez dwanaście kolejnych Anglik nie słyszał nic.

Kiedy się obudził, na zewnątrz panował mrok; n> i jednak zasłonięte, a przy łóżku paliła się lamp. Tak jak się tego nauczył, nie wykonując żadne nie zmieniając regularności oddechu szybko od ze snu i przez dłuższą chwilę obserwował Julię, i pochyłona nad nim z takim wyrazem twarzy, ja i cze u niej nie widział. Kiedy dziewczyna zorientowała się że nie śpi i się jej przygląda, wolno cofnęła <! najwyraźniej potrząsała go za ramię, i oblała s nym rumieńcem. Reynolds podniósł rękę do oczu na zegarek, nie dając po sobie poznać, że zauważył nie Julii.

- Ósma!

Usiadł gwałtownie na łóżku i dopiero kiedy i< przypomniał sobie straszliwy ból, jaki jeszcze m<H towarzyszył jego nagłym ruchom. Nie umiał ukryć »l nią.

- Jak się czujesz?-spytała Julia z uśmiechem h  
prawda?

- Znakomicie! To istny cud! - Plecy paliły n  
przypiekano je ogniem, ale klucie całkiem znikło. -  
powtórzył z niedowierzaniem. - Spałem dwanaście  
ostatnia granica • 145

\awettwojatwarzwygladaznacznielepiej.-Jej bardziej  
rzeczowy. - Kolacja gotowa. Przynieść

".idę. Będę za kilka minut- obiecał.

otwartym piecu wesoło płonął ogień, a na stole  
c nakryć. Sandor i Jansci powitali go z radością,  
i. się czuje, po czym przedstawili go Kozakowi.

snął mu szybko dłoń, skinął głową, usiadł przy  
al zajadać zupę z grzankami. Do końca kolacji  
'/iat ani słowa i ani razu nie podniósł głowy  
:\. Reynolds widział tylko jego gęste, sztywne  
< sane do tyłu; dopiero kiedy młodzieniec wstał  
mruknąwszy coś do Janskiego skierował się do  
lik zobaczył jego twarz, przystojną, choć bardzo  
iiopięcą, z gniewnym wyrazem, którego wyrostek  
i 'i-óbowal ukryć. Reynolds nie miał wątpliwości,  
inłodzieńca skierowany był przeciw niemu. Le-  
i wejściowe trzasnęły, rozległ się głośny warkot  
motocykla, który przejechał obok chaty; po  
ie.k przycichł i wreszcie skonał w oddali. Rey-  
i IY.ał na współbiesiadników.

ktos mi powie, co ja takiego zrobilem? Ten mło-  
gotow był zabic mnie wzrokiem.

udał, że jest zbyt zajęty zapalaniem fajki, aby i  
edzieć. Sandor, pogrążony w zadumie, wpatry-iiiień;  
sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał Rey-i.ońcu  
wyjaśnienie udzieliła Julia - z taką irytacją icniem, że  
Reynolds aż się zdumiał.

h będzie; skoro ci dwaj tchórze nie chcą ci nic i , to ja  
powiem. Jedyne, co w tobie drażni Koza-

•c w ogóle tu jesteś. Widzisz, on... no, wydaje mu c  
mnie zakochał. To bzdura, przecież jestem od

• lat starsza!

u-.st sześć lat? - spytał Reynolds. -Jeśli się...

i irzestań! Pewnego wieczoru dorwał się do butel-< y,  
której Hrabia nie opróżnił do końca i powie-

•wszystkim. Byłam zdziwiona i zaskoczona, ale to  
lilopiec. więc nie chciałam mu robić przykrości

146 • Alistair MacLean

i jak idiotka zaczęłam mu tłumaczyć, że jest jos  
młody, że musi poczekać parę lat. Był wściekły...  
Reynolds zmarszczył brwi.

- Ale co to ma...

- Nie Udawaj tępego! Myśli, że ma w tobie... no, jeśli  
chodzi o moje względy!

- Oby zwyciężył ten, który bardziej zasługuje dział z  
powagą Reynolds.

Jansci prychnął śmiechem, o mało nie gubią' Sandor  
zakrył ręką usta; przy stole zaległa tak ; cisza, że  
Reynolds uznał, że lepiej zrobi nie p; stronę Julii.  
Ponieważ jednak cisza przedłużała sit. cu zerknął na  
dziewczynę. Ku jego zdziwieniu, nic zła, ani  
speszona; siedziała opanowana, z brodą wsi •, dłoni,  
przypatrując mu się z zadumą i jakby lekkim stwem,  
które trochę zbiło go z tropu. Nie po raz >t>  
pomyślał sobie, że niedocenianie córki Jansciw l być  
poważnym błędem. Kiedy wreszcie wstała, żeby /<  
talerze, zwrócił się do jej ojca.

- To Kozak odjechał przed chwilą, prawda?

- Tak. Do Budapesztu. Ma się spotkać z Hralill  
obrzeżach miasta. l

- Jak to?! Na tyn/potężnym motorze, który slychiiC i  
ło na kilka kilometrów, i w tym stroju, który widać  
n4 .mniejszą odległość?

- To tylko motorower... Kozak zdjął z niego tłumy K  
wszyscy wiedzieli, kiedy przejeżdża... Ot, młod/nn

próżność. Ale ten potworny hałas i krzykliwy strój to najlepsza gwarancja bezpieczeństwa. Chłopak tak! rzuca się w oczy, że nikomu nie przyjdzie do głowy, / < o cokolwiek podejrzewać.

- Jak długo mu to zajmie?

- W dobrych warunkach potrafi dojechać tam i /1»»» tem w ciągu trzydziestu minut; jesteśmy tylko piciu\* kilometrów od stolicy. Ale dzisiejszej nocy? -Jansci i { ślił się. - Nie sądzę, by wrócił wcześniej niż za pul godziny.

Wrócił dopiero po dwóch - a były to dwie najb;m niezapomniane godziny, jakie Reynolds w życiu Ostatnia granica • 147

i uwił niemal bez przerwy, on zaś słuchał z napię- i.idom, że dostępuje zaszczytu i że taka chwila dv się nie powtórzyć. Z tego, co się orientował. < isc nie była typową cechą Janskiego, najbardziej 11'Ho człowieka, jakiego poznał, człowieka, którego •• y życiorys obfitował w tyle zwycięstw, klęsk i nie- /nistw, człowieka, który, może z wyjątkiem Hrabie- I" till.er ego, nie miał sobie równych. I przez dwie bite

• .1 ulia siedziała obok na poduszce. Wesole iskierki, •jidko opuszczały jej oczy, teraz nie zapaliły się ani H-wczyna siedziała poważna, skupiona, wpatrzona ojca, a jeśli odrywała od niej wzrok, to tylko po to, M «•('• na jego zniszczone, zdeformowane ręce. Rey-11 nosił wrażenie, że w jakiś irracjonalny sposób

•d iola jego przekonanie, że ta chwila nigdy się nie /o specjalnie tak pilnie wpatruje się w rysy ojca, 'lianie, aby dobrze zapamiętać każdy ich'szczegół: iinml sobie dziwny strach, jaki ją ogarnął wczoraj n ni, kiedy znajdowali się jeszcze w ciężarówce i '• ciarki przechodzą mu po plecach. Z trudem ii się i odsunął od siebie zło, niczym nie usprawni e przecucia i myśli, i nie mówił o sobie, a o swojej organizacji i jej •" li działania wspominał tylko wówczas, kiedy było i""ilne: jedyna nowa rzecz, jakiej Reynolds dowie- » u trakcie wieczoru, to że kwatery główna Janscie- iiursci się tu, gdzie się teraz znajdują, lecz w chacie n- i pośród wzgórz ciągnących się między ,i 111 c l y i Neusiedler See, niedaleko granicy austriac-

(••dynej granicy, przez którą można było uciec na M i. msci opowiadał o ludziach, o setkach osób, któ- 11 njkę, on, Hrabia i Sandor, umożliwili ucieczkę, o i n leniach i lękach. Mówił o pokoju, o swojej nad- > i 's/y świat, o swoim przekonaniu, że pokój zwycię- Imć jeden człowiek na każdy tysiąc ludzi będzie o .ii, że bzdurą jest myślenie, iż może być jakikol- inejszy cel. Nie chodziło mu o pokój w odległej 'i. lecz natychmiast, teraz. Mówił o komunistach ninistach i o różnicach między nimi istniejących

146 • 'Alistair MacLean

i jak idiotka zaczęłam mu tłumaczyć, że jest j(vs/< młody, że musi poczekać parę lat. Był wściekły... Reynolds zmarszczył brwi.



- Ale co to ma...

- Nie udawaj tępego! Myśli, że ma w tobie... no, r> jeśli chodzi o moje względy!

- Oby zwyciężył ten, który bardziej zasługuje dział z powagą Reynolds.

Jansci prychnął śmiechem, o mało nie gubiąc, Sandor zakrył ręką usta; przy stole zaległa tak «r, cisza, że Reynolds uznał, że lepiej zrobi nie patr stronę Julii. Ponieważ jednak cisza przedłużała się, '- cu zerknął na dziewczynę. Ku jego zdziwieniu, nie liył zła, ani speszona; siedziała opanowana, z brodą wspii dłoni, przypatrując mu się z zadumą i jakby lekkim N^ stwem, które trochę zbiło go z tropu. Nie po raz pii'( pomyślał sobie, że niedocenianie córki Janscie^o być poważnym błędem. Kiedy wreszcie wstała, żeby /« talerze, zwrócił się do jej ojca.

- To Kozak odjechał przed chwilą, prawda?

- Tak. Do Budapesztu. Ma się spotkać z Kraino obrzeżach miasta.

- Jak to?! Na tym'potężnym motorze, który słychai\* (

ło na kilka kilometrów, i w tym stroju, który widać n{

.mniejszą odległość?

- To tylko motorower... Kozak zdjął z niego tłumik wszyscy wiedzieli, kiedy przejeżdża... Ot, młod/ti próżność. Ale ten potworny hałas i krzykliwy strój i< najlepsza gwarancja bezpieczeństwa. Chłopak tak l> rzuca się w oczy, że nikomu nie przyjdzie do głowy, /  
• o cokolwiek podejrzewać.

**- Jak długo mu to zajmie?**

**- W dobrych warunkach potrafi dojechać tam i / p  
tem w ciągu trzydziestu minut; jesteśmy tylko pu-in  
kilometrów od stolicy. Ale dzisiejszej nocy? -Jansci  
>i ślił się. - Nie sądzę, by wrócił wcześniej niż za i  
godziny.**

**Wrócił dopiero po dwóch - a były to dwie najbai<  
niezapomniane godziny, jakie Reynolds w życiu sp  
Ostatnia granica • 147**

**mówił niemal bez przerwy, on zaś słuchał z napię-  
mladom, że dostępuje zaszczytu i że taka chwila  
di^dy się nie powtórzyć. Z tego, co się orientował,  
iwiinść niebyła typową cechą Janskiego, najbardziej  
• kli-no człowieka, jakiego poznał, człowieka, którego  
> »v y życiorys obfitował w tyle zwycięstw, klęsk i  
nie-**

**i • /i'iistw, człowieka, który, może z wyjątkiem  
Hrabie-**

**.iltc-r ego, nie miał sobie równych. I przez dwie bite  
.1 ulia siedziała obok na poduszce. Wesole iskierki,  
udko opuszczały jej oczy, teraz nie zapaliły się ani  
u-wczyną siedziała poważna, skupiona, wpatrzona  
ojca, a jeśli odrywała od niej wzrok, to tylko po to,  
i />•('• na jego zniszczone, zdeformowane ręce. Rey-  
•ilnosił wrażenie, że w jakiś irracjonalny sposób <hic\  
a jego przekonanie, że ta chwila nigdy się nie .-y, /e  
specjalnie tak pilnie wpatruje się w rysy ojca,  
• Ilonie, aby dobrze zapamiętać każdy ich'szczegół;  
umiał sobie dziwny strach, jaki ją ogarnął wczoraj  
ii-ni. kiedy znajdowali się jeszcze w ciężarówce i**

/r ciarki przechodzą mu po plecach. Z trudem  
Mi. il się i odsunął od siebie zło, niczym nie uspra-  
••• mnę przeczucia i myśli.

«'! nie mówił o sobie, a o swojej organizacji i jej i<'h  
działania wspominał tylko wówczas, kiedy było  
•i)i,'dne: jedyna nowa rzecz, jakiej Reynolds dowie-  
iii.' \v trakcie wieczoru, to że kwatera główna

Janscie-

inirści się tu. gdzie się teraz znajdują, lecz w chacie  
«n'-i pośród wzgórz ciągnących się między  
ni lid y i Neusiedler See, niedaleko granicy austriac-  
)• ilynej granicy, przez którą można było uciec na  
ii .hinsci opowiadał o ludziach, o setkach osób, któ-  
11 njkę, on, Hrabia i Sandor, umożliwili ucieczkę, o  
i nimiach i lękach. Mówił o pokoju, o swojej nad-  
i • pv/,y świat, o swoim przekonaniu, że pokój  
zwycię-

> • l H ic jeden człowiek na każdy tysiąc ludzi będzie  
o

i ;il. że bzdurą jest myślenie, iż może być jakikol-  
i mejszy cel. Nie chodziło mu o pokój w odległej  
••••'•i. lecz natychmiast, teraz. Mówił o komunistach  
''unistach i o różnicach między nimi istniejących

148 • Alistair MacLean

tylko w maluczkich umysłach ludzi, mówił o nietolr i  
niewyobrażalnej ciasnocie umysłowej tych ws/y  
którzy twierdzą, że ludzie nieuchronnie różnią s K- c  
bie urodzeniem i przekonaniem, religią i wiarą, i >  
że Bóg mylił się głosząc, że wszyscy jesteśmy braćmi \  
o tragedii wyznawców rozmaitych religii, święcie « ••

cych, że ich droga jest jedynie słuszna, o sektach u n  
cych sobie wyłączny dostęp do bram raju, oraz o i  
-obywateli Związku Radzieckiego, którzy bez proi<  
zwalają na to, bo sami nie wierzą w istnienie tako  
Jansi nie zaperzał się, nie starał się Reynoldsa do u  
go przekonać, po prostu opowiadał. Wkrótce po  
tym,] wspomniał Rosję, zaczął mówić o swojej  
młodości \v 0 wszej chwili Reynoldsowi wydawało  
się, że ten nov.\ '>' nie ma nic wspólnego z  
poprzednim, ot nagły pomysły, lecz Jansci  
bynajmniej nie paplał od rzecz/-mai wszystko co  
robił, mówił czy myślał służyło w/.nm- • niu i  
potęgowaniu - zarówno w nim samym jak i u  
słuchaczach - jego wręcz fanatycznej wiary w jedim  
ność ludzkiego gatunku. Kiedy mówił o dzieciństwie i r  
tach młodzięczych-przeżytych w swojej ojczyźnie,  
hr/i • tak jak każdy normalny człowiek, wyznawca  
dowolnrj gii, który z tęsknotą wspomina  
najszcześniejsze chwile < dzone na szczęśliwej ziemi.  
Obraz Ukrainy, jaki powMi i z jego słów, nie był  
wolny od pewnej ckliwości, jaka /> ••« dla rzeczy  
utraconych na zawsze, lecz mimo to Krylu czuł, że  
jest to obraz wierny - w zmęczonych, łaj1.'"! oczach  
Janskiego pojawiał się blask, którego by i gdyby  
wszystko przedstawiał w fałszywym świetli gdyby  
nieświadomie okłamywał sam siebie. Jansc gował  
trudów wiejskiego życia, długich godzin okresów  
głodu, straszliwych upałów w lecie oraz i jących  
mrozów, kiedy nad stepem hulały syberyjs! try, ale w  
sumie obraz, jaki tworzył, był obrazę szczęśliwej,

złotej, bez strachu i represji, ziemi rox złocistych  
łanach pszenicy widocznych aż po hory/ re zlewały  
się w wielkie, czerwieniejące w prom słońca morze.  
W jego opowieści cały kraj śmiał M-wał, tańczył; w  
zimie dźwięczały dzwonki trojek - i,.

Ostatnia granica • 149

ic w zimnym blasku gwiazd, a w ciepłe letnie  
parowce leniwie płynące w dół Dniepru roz-  
ly rzewną muzyką, która niosła się daleko po  
właśnie wtedy, kiedy Jansci opowiadał z tęsk-  
ich pachnących kapryfolium, pszenicą, jaśmi-  
'ym sianem, Julia poderwała się nagle na nogi,  
• musi poszukać kawy, i wybiegła z kuchni. Jej i  
mignęła Reynoldsowi; zobaczył jednak, że i ma oczy  
mokre od łez.

•sl, ale coś z magii jakby pozostało. Reynolds  
c ulega jej wbrew sobie. Choć Jansci sprawiał  
o tylko snuje niewinne wspomnienia, w rzeczy-  
>/de słowo było skierowane właśnie do niego,  
, zewnątrz; generał chciał podważyć jego prze-  
i uprzedzenia, sprawić, by zobaczyłjak wielki jest  
między szczęśliwym ludem, którego portret na-  
1 różnymi apostołami światowej rewolucji, za któ-  
i :<-ynolds, tych samych ludzi - obywateli Związku  
UW - uważa; chciał go nakłonić do zastanowie-  
\ dwa tak skrajnie przeciwne wyobrażenia mogą  
•liwe, czy nie wykluczają się nawzajem; nie bez  
mówił na wstępie o braku tolerancji i rozmyślnej <  
"chującej ludzkość. Świadomie dążył do tego, n-ilds  
zobaczył siebie jako typowego przedstawili idzkości,

i Reynolds z pewnym skrepowaniem duchu, że generał osiągnął swój cel. Zaczęły go c,-czyć różne wątpliwości i niepokojące pytania; /ym wysiłkiem odsunął je na bok. Mimo iaką pułkownik Mackintosh darzył Janskiego, na 1 pochwałaby jego dzisiejszej przemowy; puł-'• lubił, kiedy ktoś zbijał z tropu jego agentów -l i'ć o misji, o wykonaniu powierzonego im zada-aprzątać sobie głowę jakimiś głupstwami. Tylko i żadne głupstwa, pomyślał Reynolds; postano-

I nie poświęcać im więcej uwagi.

rozmawiał z Sandorem, a jego cichy, zażyły ton II Reynoldsowi jak bardzo się mylił w ocenie ;o stosunku obu mężczyzn. Nie odnosili się do przełożony i podwładny, pan i sługa, lecz jak Jj

ciele: Jansci równie pilnie i z zaintc l Sandora, co Sandor jego. Łączyła n i. ale silna, wynikająca z poświęci rawie. Sandor jednak całym sercem "(| i sprawie, lecz również człowiekowi, kM Jansci, jak powoli zaczynał rozumie' istynktowny dar wzbudzania lojalności | ii / uwielbieniem i nawet on, ReynoliN indywidualista, którego indywiduali/m i /mocniony odpowiednim szkoleniem, i netyzm.

;( jedenasta, kiedy drzwi otworzyły < odka, w chmurze mroźnego powietr/a nk; rzucił w kąt sporą pakę owinięta rękawice i otrzepał o udo. Twarz i rv ale udawał, że wcale nie jest zmar Lszedl do pieca, żeby się ogrzać. Zamia >le i zapalił papierosa, po

czymprzecz. ust. Reynolds zauważył z rozbawieniem i apierosa wpada chłopakowi do oka '•, ten ani myśli wyjąć papierosa z u.-.i iał, tam ma tkwić. I basta. lic Kozaka było zwięzłe i na temat NI ak jak się umówili. Jenningsa nic l pogłoski, że nie najlepiej się czuje H i)kąd go zabrano, w każdym razie nic l < siedzibie AVO, ani w żadnym z jej ŁIUM-upcsztu; Hrabia uważał, że albo wyu n i • iwrotem do Związku Radzieckiej:" • • jakimś bezpiecznym miejscu po/ fce postara się o to dowiedzieć, cłu , że mu się uda. Podejrzewał jodu przebywa na Węgrzech, bo jego ud t niezwykle ważny. Najprawdopodob rio.s w ukryciu, strzegąc jak oka w i .soi 7.0 Szczecina; jeśli okaże się. /e l iisjanie dadzą profesorowi porozum! cfon i pozwolą mu uczestniczyć w l Mrrianowi udało się zbiec, czym pf

### Ostatnia granica • 151

nfesora do Moskwy. Budapeszt leżał zbyt blisko u- mogli ryzykować,- gdyby Jennings się wy- u prestiż ucierpiałby niepomierne. Kozak prze-»)/c/.e jedną bardzo niepokojącą informację. Imre ) Hrabia nigdzie nie mógł go znaleźć.

ir/rtiia, jakie miały miejsce następnego dnia - cu-nlc kończącej się niedzieli, kiedy to oślepiająco tftre wędrujące po czystym, bezwietrznym błękie wiało, że pagórkowaty krajobraz i otulone śnie-v wyglądały jak z najpiękniejszej karty bożo-iwej - nie były do końca jasne w umyśle Rey-nrzyły obraz niewyraźny,

zamazany, jak ze snu, i się pamięta po przebudzeniu; ilekroć później starał się przywołać wypadki tego dnia w pa-tak odległe, tak oderwane od rzeczywistości, ' rafiły się komuś innemu.

ni nie był stan jego zdrowia, czy odniesione bowiem okazała się tak skuteczna, jak lekarz wprawdzie plecy nadal miał nieco sztywne, ale

\*k za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wargi ia też się szybko goiły, i jedynie nagle pulsowa- lach przypominało mu z rzadka o tym, że spot-'f/y mim Koko kosztowało go kilka zębów. Wiekrył tego przed sobą, że dziwny nastrój, jaki go uikał z rwącego, gorączkowego niepokoju, któ-że nie potrafił usiedzieć w miejscu, tylko krę- •liacie albo przechadzał tam i z powrotem po egu na zewnątrz, aż wreszcie flegmatyczny San-jio błagać, by przestał.

mka, o siódmej, ponownie wysłuchali serwisu jnego BBC, ale nadal nie padły słowa, na które oznaczało,'że Brian Jennings nie dotarł do Szwe-lds właściwie stracił nadzieję, że synowi profe-uciec. Jednakże wcześniej też brał udział w kończyły się niepowodzeniem i jakoś nigdy porażki aż tak głęboko. Tym razem ciążyła z powodu Janskiego, wiedział bowiem, że sko-iRKodny człowiek obiecał mu pomóc, to zamierza

' 152 • Alistair MacLean  
zaangażować się w sprawę bez względu na kos '  
względem na cenę, jaką być może przyjdzie mu zapl



ratowanie najpilniej strzeżonego człowieka w kołach Węgrzech. Martwił się więc o generała, i cenił i podziwiał, ale również, a nawet bardziej, i się o jego córkę: dziewczyna wręcz uwielbiała ojca i zupełnie załamana i niepokieszona, gdyby utraciła osobę z całej rodziny, jaka jeszcze pozostała. Poza tym uważałaby jego, Reynoldsa, za sprawo ojca, a to na zawsze wprowadziłoby między nich i Patrzając po raz pierwszy na uśmiechnięte usta dziewczyny, poważne, smutne oczy, zadające kłopoty temu, że z zdumieniem i nagłym wstrząsem zdał sobie że właśnie tego, rozpacz Julii, lęka się najbardziej i dzili z sobą prawie cały dzień; czuł niekłaman. ilekroć uśmiechała się do niego albo wymawiała i mu jego imię, jednakże w pewnym momencie kiedy ona "Mike!" i nie tylko jej usta, ale i oczy zaśmiały się do niego, odburknął coś szorstko, niegrzecznie; uśmiech na twarzy Julii zgasł, a w oczach odmalowało się zdziwienie - zrobiło mu się głupio, przykro i potwornie szło. Mógł tylko dziękować bogom, że pułkownik ten tośh nie był przy tym obecny i nie widział miny człowieka którego szykował na swojego następcę; po prostu nie chciałby własnym oczom.

Ciągnący się w nieskończoność dzień powoli ukońca; zachodzące za odległymi wzgórzami słońce ośnieżone szczyty sosen warstwą czerwieniejącego! wkrótce potem zapadł mrok i nad zamarzniętym krajem wyłoniły się białe gwiazdy. Po kolacji, która od prawie w zupełnej ciszy, Jansci i Reynolds dokładnie rzekli zawartość paczki przywiezionej poprzedni\*

przez Kozaka; znajdowały się w niej dwa mundury nariuszy AVO, które - po drobnych przeróbkach i nych przez Julię - pasowały na nich jak ulał. Hrację: bez względu na to, gdzie przetrzymywano pr mundury mogły się przydać - na ich widok, jak im | m "Otwórz się, Sezamie", otwierały się na Węgrzech 14

. Ostatnia granica • 153

i akło, niestety, munduru dla Sandora; jego szerzadzilyby każda avocką kurtkę.

po dziewiątej Kozak odjechał na motorowerze, /wykie w swój barwny strój; za każdym uchem nioty papieros, trzeci, też nie zapalony, trzymał ust. Chłopak był w szampańskim humorze i ^ię szeroko, bo podczas kolacji nie uszło jego < is się popsuło między Reynoldsem i Julią.

• 'fić o jedenastej, najpóźniej o północy. Ale pół-a on wciąż nie wracał. Zegar wybił pierwszą,

I do drugiej; niepokój i napięcie zebranych

• Myśleli, że coś mu się przytrafiło, ale tuż przed i k jednak się pojawił. Wrócił nie na motorowe- kółkiem szarego opla kapitana. Zatrzymał wóz u, zgasił silnik i wyszedł z wozu z tak obojętną miną, jakby robił to codziennie od lat. Dopiero iedzieli się, że po raz pierwszy w życiu prowa- liód i dlatego droga powrotna zajęła mu tyle przywiózł dobrą wiadomość, złą wiadomość, nstrukcje. Dobra wiadomość była następująca: i ręcz z dziecinną łatwością udało się wykryć, mo profesora Jenningsa; po prostu Furmint,

Micndant AVO, wspomniał mu o tym w trakcie 'la wiadomość polegała na tym, że profesora M o w sławetnym więzieniu Szarhazy położonym rów na południe od Budapesztu; więzienie to .1 najbardziej niedostępną twierdzę w całych i ly.ymano tam głównie wrogów stanu, którzy już Miieli wyjść na wolność. Co gorsza, Hrabia nie >i Reynoldsowi w dostaniu się do środka, gdyż H idas osobiście powierzył mu prowadzenie do- \v mieście Gódólló, gdzie od pewnego czasu mlysocjalistyczne sprawyły władzom trudno- i ująca była także wiadomość, że Imre dotąd się 11, Hrabia obawiał się, że puściły mu nerwy i 11 porzucić towarzyszy. /.•iłował, ciągnął dalej Kozak, że nie może do-iin praktycznie żadnych informacji o więzieniu

#### 154 • Alistair MacLean

Szarhazy, po prostu nigdy tam nie był, gdyż jonu działania ograniczały się do Budapesztu i polni chodnich Węgier. Zresztą takie rzeczy j.ak plan > godziny obchodu i zwyczajnie strażników na niewi zdały; jedyne, co może poskutkować, to bezc/ch Dlatego właśnie przysyłał im papiery.

Były to prawdziwe arcydzieła. Dwie legitymacji dla Janskiego i Reynoldsa, oraz rozkaz wypisany MII (•< tyezny, niepodrabialnym druku Allam Yedelmi H I zaopatrzony w podpisy Furminty i samego ministri i że we wszystkie niezbędne pieczęcie, polecający ul

{ kowi więzienia Szarhazy wydanie profesora Harol | ningsa.

Zdaniem Hrabiego, jeśli nadal zamierzali uwoll \ { fesora, to istniała spora szansa powodzenia; dok li który im przesyłał, był urzędowym pismem najwyżil 4 gi, a pomysł, że ktoś z własnej nieprzymuszonej wól \ dzilby na teren tego straszego więzienia był tak t ( że nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien min1 Reynoldsa i Janskiego żadnych podejrzeń.

Hrabia proponował, żeby Kozak i Sandor tow;n im do Petoli, niewielkiej wioski położonej osieni k> trów na północ od więzienia, i tam czekali w karc/m,< telefonie; w ten sposób będą ze sobą w kontakcie dla przypieczętowania wszystkich swoich osiągu u; > bią dostarczył im także niezbędny środek transpoi < powiedział jedynie, skąd wytrzasnął opla.

Reynolds z podziwem pokręcił głową.

- Wspaniały facet! Bóg raczy wiedzieć, jakim • zdobył to wszystko w ciągu jednego dnia; zupełnie dostał urlop na zajęcie się naszymi sprawami. - Sp na Janskiego, starając się nic mu nie sugerować wyrazem twarzy. - Więc co pan decyduje?

- Zrealizujemy pomysł Hrabiego - odparł cieli" rai; choć patrzył na Reynoldsa, ten wiedział, że słów rowane są głównie do Julii. - Jeśli ze Szwecji m» pomyslnie wieści, to skoro Hrabia twierdzi, że mani!. sę, natychmiast przystępujemy do działania. To ni» kie, żeby ten stary człowiek musiał umierać z dala <><!

Ostatnia granica • 155

11'iybyśmy zrezygnowali... -urwał i uśmiechnął i", co by wtedy powiedział Pan Bóg na mój /oj Święty Piotr? Powiedziałby, "Jansci, nie n -bie miejsca. Nie możesz oczekiwać od nas ' aerdzia, skoro nie okazałeś ich profesorowi i".

i popatrzył na Janskiego; przypomniał sobie tis/,y monolog i obraz, jaki się wtedy wyłonił, i oka, który miłuje bliźnich i wierzy, że pomilosierdzie jest jedyną siłą, na której opiera kości. Zrozumiał, że teraz, w tym momencie, mię. Przeniósł wzrok na Julię i zobaczył, że M do ojca ze zrozumieniem, kiedy jednak przy-ii ważniej, w jej pociemniałych oczach dostrzegł i i pojął, że ona też nie dała się zwieść argumen-przed chwilą usłyszała.

i rencja w Paryżu zakończy się dziś wieczorem i loszony oficjalny komunikat. Oczekuje się, że i aw zagranicznych powróci do kraju dziś wie-r/epraszam bardzo, jutro wieczorem - i zda nie na posiedzeniu rady ministrów. Dotąd nie era ucichł, po czym całkiem zamilkł-wyłączyli l/ieli w milczeniu nie patrząc na siebie. W przerwała ciszę, głosem aż nienaturalnie opa-lY.eczowym.

c wyjaśniło się, prawda? Padłp hasło, na które okaliście: "dziś wieczorem - przepraszam bar-\ieczorem". Chłopak jest wolny, bezpiecznie 'wecji. Lepiej od razu ruszajcie. \*\*/.nie - powiedział Reynolds wstając. IUmieniu zdumieniu, teraz, gdy mieli zielone świat-r|ul ani ulgi, ani podniecenia, lecz przygnębienie i M mmitek, jaki wcześniej widział w

oczach Julii. Hklt my wiemy, że Brian wy dostał się ze Szczecina, dziej wiedzą o tym komuniści - rzekł. - Lada mo-UD wywieźć profesora do Rosji. Nie ma chwili do

156 • Alistair MacLean

- Racja - powiedział Jansci, sięgając po ciężki i rękawice wojskowe; podobnie jak Reynolds, miał już na sobie. - Nie martw się o nas, kochanie taj, że za dwadzieścia cztery godziny masz być w głównej kwaterze. Tylko przypadkiem nie jedź pr/«» peszt. Pocałował Julię, po czym wyszedł na zewmit jeszcze ciemno i szczypał mróz. Reynolds za\vn chciał podejść do dziewczyny, ale odwróciła głowo ła wzrok w ogniu; w końcu wyszedł bez słowa. Ki dał z tyłu do opla, zobaczył twarz Kozaka, który s/ nim; chłopak uśmiechał się od ucha do ucha.

Trzygodziny później, kiedy wysadzali Sandora l pod karczmą "Kotelf", niebo wciąż było ciemne od chmur śniegowych. Podróż minęła bez przes/ spodziewali się blokady dróg, nie trafili na żadnu nie komuniści czuli się bardzo pewni siebie; zrv mieli powodów, żeby czuć się inaczej.

Po dziesięciu minutach ukazała im się szara, bryła więzienia Szarhazy. Starą, niedostępną budi czały trzy ogrodzenia z drutu kolczastego przed/U1 sami zaoranej ziemi; druty, jak podejrzewali, l napięciem, a ziemia pełna min rozpryskowydi wewnętrznego i zewnętrznego ogrodzenia stały \v odstępach wysokie drewniane wieże strażnicze, mi mieściły się stanowiska karabinów maszynowych dok tych

wszystkich zabezpieczeń, Reynolds; i ciarki i zrozumiał, że to, na co się porywają, to istim stwo. Jansci chyba wyczuł jego nastrój, bo nie od słowem, tylko dodał gazu. Pół kilometra dalej zali ostro przed potężną bramą. Jeden ze strażnikóu, i gotową do strzału, natychmiast podbiegł do opla, kim są i żądając okazania dokumentów; z miejscu niał, kiedy Jansci, odziany w mundur AVO, wysull j spojrział na niego z zimną pogardą i zażąda) \vl<l naczelnikiem. O tym, jak wielki strach wzbud/ul AVO nawet w osobach, które nie miały się cze«o najlepiej świadczył fakt, że nim minęło pięć min r iii 11 lii"•

#### Ostatnia granica • 157

'•li już w gabinecie naczelnika. Sam naczelnik 'Inie inaczej niż Reynolds wyobrażał sobie istującego takie stanowisko. Był to wysoki, ' Inony mężczyzna o szczupłej twarzy intele-»kim czole i wąskich, zgrabnych dłoniach. W nosie, ubrany w dobrze skrojony ciemny gar-11 bardziej na wybitnego lekarza lub naukow-nika więzienia. W istocie był jednym i dru-: i za największego eksperta od psychicznego i mania więźniów mieszkającego poza granica-Kndzieckiego.

ucieszyło, że naczelnik najwyraźniej dał się i i awdę wziął ich za avoków. Zaproponował im i Ikoholu i uśmiechnął się, kiedy odmówili, po H, żeby usiedli i jeszcze raz przeczytał doku-  
• >uy mu przez Janskiego.

Ma wątpliwości, że to autentyczne pismo, zauważył, że zwrócił się do nich "panowie", k bardzo pewien siebie i swojej pozycji mógł lic na użycie tego zwrotu w miejsce wszech-\arzysze".

A ałem się, że mój przyjaciel Furmint zechce ora - ciągnął naczelnik. - Przecież konferen-ię dzisiaj, prawda? Nie możemy dopuścić, r Jennings był nieobecny. To najjaśniejszy iszej koronie, że posłużę się tym... no, dość

•n zwrotem. Macie, panowie, przy sobie doku-  
'•ie - odparł Jansci, wyciągając swoją legity-  
uczynił to samo; naczelnik obejrzał je i  
usatysfakcjonowany skinął głową. Popatrzył  
•' po czym wskazał na telefon, racą linię na  
Andrassy. W przypadku więźnia "•nnings. nie wolno  
mi ryzykować. Nie obrazi-i"wie, jeśli zadzwonię  
sprawdzić, czy rozkaz i uienty są w porządku?  
tli

160 • Alistair MacLean

przykuci do krzeseł, a krzesła umocowane do p< >  
lowymi bolcami. Nie sędzę, żeby nagle stąd wyp  
Począł, aż drzwi za strażnikami się zamkn;i. i  
złożył razem dłonie i starannie dobierając słowu / się  
do więźniów.

- Oto chwila, panowie, żeby chępić się i napjt»H  
kcesem; schwytanie za jednym zamachem b rytymi1  
szpiega, w dodatku takiego, który przyznał się doi  
działalności - to nagranie, panie Reynolds, wywoli  
••< cję na skalę światową, kiedy zostanie zaprezeB |  
przed sądem ludowym - oraz groźnego przywódc



komunistycznej bandy, organizatora licznych prą |  
na Zachód, to naprawdę nie lada wyczyn. A jedni t  
dziemy się bez chępienia, bo to zwykła strata czai | t  
ma z tego żadnego pożytku; rozrywka godna kr«( 1  
durni. - Uśmiechnął się nieznacznie. - A skoro już l  
( jednostkach upośledzonych umysłowo, pragnę żal <  
iż jest dla mnie prawdziwą przyjemnością rozml  
inteligentnymi ludźmi, którzy potrafią pogodzić  
ktem dokonany i są na tyle realistami, że nio »  
histeryzować, bić się w pierś i z udanym oburzenie  
sięgać, że są niewinni. Teatralne gesty, wybuchy, /.In,  
nią i buńczuczne stwierdzenia, że nie powie się ani  
nie interesują mnie. Czas jest najcenniejszą rzec\*,  
mamy; marnowanie go jest niewybaczalną zbrodn  
pewno dręczy was pytanie... Panie Reynolds, ba rdi  
szę, niech pan weźmie przykład ze swojego przyj\*  
nie sprawdza wytrzymałości kajdanów. bo jescz/i  
pan sobie niepotrzebnie krzywdę. A więc na pewno  
was pytanie, jak to się stało, że znaleźliście s H-  
nieszczęśliwej sytuacji. Nie ma powodu, żeby od rn  
zaspokoić waszej ciekawości. - Spojrzał na Janscic,  
przykrością muszę pana poinformować, że pański  
vv» uzdolniony przyjaciel, w dodatku człowiek  
obdar/oq|i zwykłą odwagą, któremu tak długo i z  
takim powod/i«( udawało się uchodzić za majora w  
Allam Yedelmi l IA|<i wprowadził was prosto w  
pułapkę.

Ostatnia granica • 161

•<inla dłuższa cisza. Reynolds z kamienną twarzą IM  
naczelnika, a potem na Janskiego. Generał ial z  
niewzruszoną miną.

1 e - rzekł. - Ale uczynił to niechcący. Tylko i  
niechcący.

i wda - przyznał naczelnik. - Pułkownik Josef i ego  
kapitan Reynolds zdążył już poznać, od isu miał  
dziwne przeczucie co do majora Ho-\ et nie  
podejrzanie, co właśnie przeczucie.

l po raz pierwszy usłyszał nazwisko, pod którym  
K>pował jako major AVO. i. • i j - kontynuował  
naczelnik - przeczucie zamie-

podejrzanie, a podejrzanie w pewność, więc  
Ilidas i mój przyjaciel Furmint postanowili i niego  
pułapkę; przynętę stanowiła nazwa tego i Mcona  
przez Furmintą w rozmowie, oraz łatwy u go  
gabinetu, żeby major mógł się zaopatrzyć w  
inkumenty i skorzystać z pieczęci; to właśnie te  
leżą teraz na moim biurku. Aczkolwiek pański

• l jest niewątpliwie genialny, pułapka okazała się n;i  
Wszyscy jesteście tylko ludźmi.

i'-. W dodatku w błogiej niewiedzy tego, że znamy o  
iwde. W najlepszym humorze i zdrowiu wyruszył

• /.adanie, które zlecono my tylko po to, żeby przy-n  
nam nie przeszkodził; o ile wiem, pułkownik Hi-  
nT/,a go później osobiście aresztować. Spodzie-•i-  
pułkownik przybędzie tu za kilka godzin. Ho-i ;nie  
schwyty, o północy postawiony przed sakowym na  
Andrassy i skazany na śmierć. Ale nie l razu, choć  
pewnie by wolał.

iiiniem. - Jansci skinął ciężko głową. - Będzie i wolno i po kawaleczku na oczach wszystkich oficerów ukejonariuszy AVO z całego miasta, żeby przypadkomu nie przyszło do głowy go naśladować. Idioci, raniczeni idioci! Czy nie pomyśleli o tym, że nikt w stanie go naśladować, bo nikt się z nim nie może

162 • Alistair MacLean

- Zgadza się z panem. Ale to nie moja sprawa pan nazywa, przyjacielu?

- Wystarczy Jansci.

- Na razie wystarczy. - Naczelnik zdjął binokle kał nimi w zamyśleniu o blat biurka. - Niech mi )>

Jansci, co panu wiadomo o nas, pracownikach, sił pieczęstwa? Jacy ludzie do niej należą?

- Niech pan sam powie. Najwyraźniej ma pan,

- Tak, powiem, choć zapewne nie będzie to dla nowego. Większość naszych pracowników, poza nimi wyjątkami, to ludzie spragnieni władzy, dcliii których taka służba nie jest zbyt uciążliwym /ml intelektualnym, sadyści, którzy ze względu na swoje sobienie nie mają szansy na znalezienie normalni-) starzy zawodowcy - ci sami, którzy w nocy wycinali! czących obywateli z łóżek pracując dla gestapo wykonują dokładnie te same czynności dla nas t dzie, którzy mają wielki, gryzący żal do społec/i jeśli chodzi o tę ostatnią kategorię, typowym jej p dem jest pułkownik Hidas, Żyd, którego naród pr/rm Europie Wschodniej niewyobrażalne katusze. Sii szych szeregach również i tacy, którzy wierzą w koni stanowią zaledwie garstkę, ale to właśnie oni, autoi

umysłach przesiąkniętych propagandą, są najbanalniejsi i wywołują największy lęk. Ich zasady nie albo w ogóle zanikły, albo są w stanie trwałego zaniknięcia. Do tej grupy należy Furmint. W pewnym stopniu to bardzo dziwne, także Hidas.

- Wydaje się pan być bardzo pewny swojej wypowiedzi, powiedział wolno Reynolds, odzywając się po raz pierwszy.

- Jest naczelnikiem więzienia Szarhazy - rzeki jakby to wyjaśniało sprawę. - Ale dlaczego pan nie wszystko mówi? Przed chwilą twierdził pan, że nie tracenia czasu.

- To prawda. Nie znoszę. Proszę mi jednak pozwolić skończyć. Jeśli chodzi o tak delikatną sprawę jak zaufania drugiego człowieka, przedstawicieli kategorii pracowników AVO łączy jedno: z wyjątkiem są ofiarami pewnej idee fixe, ciasnego i

układu, powiedziałbym nawet, stronniczego do jedyna słuszną drogą do serca człowieka

ni spokoj z tą kwiecistą gadką - warknął Reynolds i o to, że Jeśli chcą wydobyć z kogoś zeznania, i śpiewać, tak?

prymitywnie powiedziane, ale trzeba przyznać, odparł naczelnik. - Cenna lekcja w oszczędza-

ostaram się zatem mówić równie zwięźle: po-

ni panowie, zadanie zdobycia waszego zaufania, i chcę mieć pańskie pełne zeznania, kapita-

• Is, a co się tyczy pana, panie Jansci, oprócz

• ( akże znać pańskie prawdziwe nazwisko oraz

< >l> działania pańskiej organizacji. Znają panou/ywane niezmiennie przez moich... kolegów których przed chwilą mówiłem; białe ściany, iatło, te same pytania powtarzane bez końca, i; przerwa na bicie po nerkach, wyrywanie i. bów, zakładanie na kciuki śrub i stosowanie i ydliwych metod i narzędzi rodem ze średnio-111 tortur.

11 iwych? - spytał cicho Jansci.

' mię tak. Jako były wykładowca neurochirurgii lońskim uniwersytecie, fachowiec z długolet-1 law najlepszych szpitalach, uważam średnio-i 'leście do przesłuchań za niesmaczne. Jeśli 'żery, wszystkie przesłuchania jako takie są maczne, ale tu w więzieniu mam naprawdę wy-• /je, żeby prowadzić obserwacje różnych zabu-ly~ch i badać znacznie głębiej, niż to kiedyko-możliwe, złożoność ludzkiego układu nerwowe-NI obrzucany obelgami, lecz przyszłe pokolenia z 1.1 ilocenią moje dzieło... Możecie mi panowie wie-irst.em jedynym lekarzem piastującym stanowi-1111 ka więzienia lub obozu. Jesteśmy bardzo przy-i s A ona nam.

i i uśmiechnął się niemal ze skrepowaniem, mi wybaczyć. Mój entuzjizm dla tego co robię l mule ponosi. Wracając do rzeczy, posiadacie infor-164 • Alistair MacLean

macje, które chcę uzyskać, ale nie zamierzam trx" średniowiecznymi metodami. Wiem od pułkownik" są, że kapitan Reynolds reaguje agresją na zaclaun

**ból i pewnie będzie trochę opornym obiektem IM jeśli chodzi o pana... - Popatrzył wolno na Jan, v Chyba jeszcze na twarzy żadnego człowieka nie wid tyłu cieni, jakie pozostawia cierpienie; podejrz-y dla pana samo cierpienie też jest tylko cieniem. N i panu schlebiać, ale przyznam się, że nie wyobrażał^ tortur fizycznych, które potrafiłyby pana choć w złamać. Odchylił się do tyłu w fotelu, zapalił długiego, clt» papierosa i popatrzył z uwagą na więźniów. Po ui dwóch minut pochylił się znów do przodu.**

**- No więc jak, panowie, mam wezwać stenograf\***

**- Jak pan sobie życzy - odparł uprzejmie Jansci byłaby to tylko strata pańskiego cennego czasu.**

**- Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. - Nać nacisnął przycisk, powiedział szybko kilka słów do i" fonu i z powrotem odchylił się w fotelu. - Zapewne M liście o Pawłowie, radzieckim fizjologu?**

**- Święty patron AVO - mruknął Jansci.**

**- Filozofia marksistowska, której Pawłów sam, thi ty, nie akceptował, nie uznaje świętych. Ale sam sen wypowiedzi jest słuszny. Prymitywny pionier, w wli padkach partacz, ale mimo to człowiek, któremu najbardziej zaawansowani w nowoczesnej technici słuchań, wiele zawdzięczamy.**

**- Wiemy wszystko o Pawłowie, jego psach, bod! odruchach - wtrącił gniewnie Reynolds. - To wi( Szarhazy, a nie budapeszteński uniwersytet. Nieci pan nam oszczędzi wykładu o historii prania mózgól '**

Po raz pierwszy od początku rozmowy wystudził<sup>^</sup> spokój naczelnika prysł i rumieniec dotknął jego policzków. Mężczyzna szybko się jednak opanował. I  
- Ma pan oczywiście rację, kapitanie Reynolds - t -  
Należy umieć zdobyć się na filozoficzną bezstronność  
tak powiem, aby móc w pełni docenić to wszystko,  
ojej i znów zaczynam się rozwodzić. Chciałem tylko  
powitać

,-Ostatnia granica • 165

które niewiarygodne wyniki-daje połączenie rozwiązań nas  
fizjologicznych metod Pawłowa z pewnymi-wiedzą,  
psychicznymi działaniami, z którymi u.- zapoznacie.

-Chłodny entuzjazm, z jakim opowiadał o swojej pracy, miał  
w sobie coś przerażającego, " krew w żyłach.

-Możemy złamać każdego człowieka na ziemi, nie pozostawiając im żadnych  
widocznych śladów. Jeśli nie liczyć psychicznie,  
których złamała sama natura, nie ma wyjątków.

Męstwo i upór nie zdają się na nic, później każdy  
musi ulec; próby czynione przez • i w, żeby wyszkolić  
żołnierzy tak, by mogli przeciwko Zachód prostacko  
nazywa praniem mózgow, /ywistości jest

kontrolowanym rozpadem i schizofrenią, były naiwne  
i beznadziejne. Kardynała i jego złamaliśmy w ciągu

czterdziestu ośmiu godzin, potrafimy złamać  
każdego. I do pokoju weszło trzech mężczyzn w  
białych koszulach, dwie filiżanki i niewielkie  
metalowe-M.O; z termosą włączyli do filiżanek płyn z  
wyglądu nie

i e od kawy.

**..Kii asystenci, panowie. Proszę wybaczyć te białe i mi chwyt psychologiczny, niezwykle jednak sku-\\ypadku większości naszych... hm... pacjentów. nowie. Proszę wypić. i mi się śni- oznajmił zimno Reynolds, lakim razie założymy panu klamrę na nos i wlejemy u siłę, przez gumową rurkę - powiedział spokojnie »ik - Niech pan nie będzie dzieckiem i oszczędzi i j niewygody.**

**nolds wypił kawę, Jansci również. Smakowała jak knwa, może tylko była trochę mocniejsza i bardziej .iwdziwa kawa. - Naczelnik uśmiechnął się. - Ale .1 także związek chemiczny zwany actedronem. panów nie zwiedzie jego działanie. Przez piernika minut będziecie się czuli pobudzeni i jeszcze i niż dotąd^ zdecydowani opierać się przesłucha-IIIMII pojawią się ostre bóle głowy, zawroty, mdłości.**

**.....**

**166 • Alistair MacLean .**

**straszliwe napięcie i stan umysłowej dezorientacji, oczywiście, będzie powtarzana.**

**Wskazał na jednego z asystentów, który teraz tr\*,ą rękę napelnioną strzykawkę.**

**- Meskalina - rzekł. - Środek ten wywołuje stan | ny do schizofrenii. Doszły mnie słuchy, że cieszy slv ca popularnością wśród zachodnich pisarzy i ari mam nadzieję, że nie biorą go razem z actedronem**

**Reynolds popatrzył na naczelnika i z najwyżs/) dem opanował dreszcz. W sposobie, w jaki z nimi wiał, to pouczając ich, to niemal usiłując rozbawi coś okrutnego, coś bardzo chorego, wręcz nielud tym**



bardziej że cała ta pozorna dobroduszość w •-po prostu z krańcowej, lodowatej obojętności c/l- totalnie ogarniętego manią prowadzenia swoich s/,i badań, człowieka zupełnie nie liczącego się z ciejH innych... Naczelnik znów zabrał głos.

- Później wstrzyknę panom inny środek, który w złem osobiście. Jest to nowy preparat; jeszcze nic, jak go nazwę. Może Szarhazyną?

Czytozbythumoryst, nazwa? Mogę panów zapewnić, że gdybyśmy dyspon tym środkiem przed kilku laty, miły kardynał nie w mały nawet dwudziestu czterech godzin, a co do czterdziestu ośmiu.

Połączone działanie tych trzech ków, których dawka zostanie później powtórzona, <. wadzi wasze umysły do stanu wyczerpania i totalny padu. Wtedy siłą rzeczy powiecie nam prawdę, a pole, wam powiemy co nieco i od tej chwili to również będę li was prawdą.

- Dlaczego pan nam to wszystko opowiada?

- A dlaczego nie? W tym wypadku uprzedzony ni czy ubezpieczony; nastąpi proces chemiczny, któroi można powstrzymać.

Mówił tak spokojnie, głosem tak pewnym siebie, mogli wątpić w prawdziwość jego słów. Po chwili d:i asystentom w bieli, żeby opuścili gabinet i pono\\m\*| cisnął przycisk na biurku.

- A teraz, panowie, czas zaprowadzić was do \v:i» nowego lokum.

Ostatnia granica -167

**1 natychmiast do gabinetu znów wpadli strażnicy; ilniali więźniom przykute do krzeseł ręce i nogi, nali je razem, działając tak szybko i z taką wpra-1 o ucieczce była niedorzeczna. Kiedy Jansci i tali już na nogach, naczelnik pierwszy wyszedł z**

**•nią; każdy z więźniów szedł między dwoma straż-i Y.eci strażnik, z bronią w ręku, postępował z tyłu. ino wszelkie środki ostrożności. uk poprowadził ich przez pokryty ubitym śnie-1/iniec i strzeżoną bramę do budynku o grubych zakratowanych oknach; znaleźli się w wąskim, '•tlnym korytarzu z drzwiami po obu stronach. ej w połowie korytarza, obok kamiennych scho-ul/ących do podziemnych lochów, naczelnik za-i; przy jednych z drzwi, skinął na strażnika i**

**• do więźniów.**

**la oddechu, panowie, zanim sprowadzimy was . gdzie spędzicie swoje ostatnie godziny w tej jakiej dotąd żyliście - rzekł.**

**a/grzytał w zamku; naczelnik pchnął nogą drzwi pierwsi.**

**ilds i Jansci weszli do środka potykając się o kaj-iri' krępowwały im ruchy; pewnie by upadli, gdyby iii się poręczy staromodnego żelaznego łóżka. Ja-7.y/na leżał na łóżku, na brudnym materacu, i ileynolds nie zdziwił się, kiedy rozpoznał Jen-ilbowiem gdy tylko naczelnik zatrzymał się pod |ł celi, spodziewał się, że w środku ujrzy właśnie t. Zmizerowany, wynędzniały, Jennings wyglądał > starzej niż przed trzema dniami, zbudził się jed-**

tchmiast, a wówczas Reynolds stwierdził z zadowoleniem bez względu na to, co mu się w tym czasie i lo, nie stracił nic ze swojego charakteru; w jego i li oczach, gdy usiadł na posłaniu, płonął dawny n, u licha, za rwetes? - zawołał, po angielsku, gdyż nie znał żadnego innego języka - Reynolds widział, że naczelnik wszystko rozumie.

,

..

**168 • Alistair MacLean**

- Nie dość, łajdaki, że zawracaliście mi głowę cały weekend, to jeszcze teraz... - Urwał poznawo\*-noldsa i utkwiał w nim wzrok. - Więc te diabły p\* H dopadły?

- To było nieuniknione - powiedział po angit-Ni-czelnik, starannie wymawiając każde słowo, po czym cił się do Reynoldsa. - Przyjechał pan specjalnie i '•-, < żeby zobaczyć profesora. Zobaczył go pan. A tera?, m pan z nim pożegnać. Dziś po południu, dokładni' godziny, profesor wyjedzie z powrotem do Zwi.i dziecka. - Spojrzał na Jenningsa. - Warunki d i > wyjątkowo podłe, więc wyślemy pana pociągiem ny wagon zostanie dołączony do składu jadącego <lu li Powinno się panu podróżować całkiem wygodnie, - Do Peczu?-Jennings popatrzył na niego gniew Gdzie to jest, u licha?

- Sto kilometrów na południe stąd, drogi panie sko w Budapeszcie jest chwilowo zamknięte z mvi mróz i znaczne opady śniegu, ale otrzymaliśmy wia<l<i, że lotnisko w Peczu jest nadal czynne. Zostanie tani »

wany specjalny samolot po pana i... hm, kilka innych gólnych przypadków.

Jennings odwrócił się" od niego ostentacyjnie > wzrok w Reynoldsa.

- Domyślam się, że mój syn uciekł na Zachód?

Reynolds skinął w milczeniu głową.

- A ja wciąż jestem tutaj? Świetnie się pan spis;< dy człowieku, nie ma co. Bóg raczy wiedzieć, co ter»| dzie.

- Strasznie mi przykro. Po prostu brak mi słów, nolds zawahał się i w końcu podjął decyzję. - Mus/v Coś powiedzieć. Nie powinienem, mój zwierzchnik h. pochwał, ale do diabła z nim. Pańska żona... Op0j pańskiej żony udała się znakomicie; pani Jennin( prawie całkiem powróciła do zdrowia.

- Co? Co takiego? -Jennings złapał Reynoldsa /n l i choć był dwadzieścia kilo lżejszy od młodszego 111 zny, zaczął nim potrząsać. - Kłamię pan, wiem, że kil Przecież sam pan mówił, że chirurg...

Ostatnia granica

169

m to, co mi kazano mówić - przerwał mu szyb--

Wiem, że to niewybaczalne, ale chodziło o i wrócił do Anglii; każda forma nacisku była Mii. Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia, uał pan prawdę. 1 O Boże!

- reakcji, której Reynolds się spodziewał wie-
- rofesor ma choleryczny charakter-czyli wybu-Uo gniewu, że go tak podstępnie okłamano - nie ist tego starzec usiadł z powrotem na łóżku,

• • ciężar jego ciała stał się zbyt wielki i nogi nie  
iluzję utrzymywać w pionowej pozycji, i uśmie-  
i idośnie, choć łzy ciekły mu z oczu. paniale,  
doprawdy wspaniale, aż nie wiem co  
'•'. I pomyśleć, że jeszcze kilka godzin temu dał-roke  
uciać, że już nigdy nie będę szczęśliwy! iko ciekawe,  
bardzo ciekawe - mruknął naczel-jicliód ma czelność  
oskarżać nas o nieludzkość!

I, fakt - wtrącił Jansci. - Ale przynajmniej Zachód  
łza w swoje ofiary actedronu i meskaliny.

Co takiego? - Jennings podniósł głowę. - W kogo  
3...

is - odparł cicho Jansci. - Z czasem odbędzie się  
•"•os, a potem zostaniemy rozstrzelani; najpierw ,•  
dziemy poddani współczesnej wersji łamania  
ii.'s popatrzył na Janskiego, potem skierował  
lleynoldsa; powoli wyraz zdumienia na jego twa->il  
miejsca przerażeniu. Poderwał się z łóżka i iii  
naczelnika. ID prawda? Czy to prawda? I iik  
wzruszył ramionami, i wiście trochę przesadza,  
ale... . <• to prawda - szepnął Jennings. - Panie  
Reynolds, I.K powiedział mi pan o żonie; żadne  
formy nacisku | )ufc potrzebne, aby skłonić mnie do  
wyjazdu. Szkoda, j lut to za późno i szkoda, że  
dopiero teraz dostrzegam l rzeczy; szkoda też, że  
nigdy nie zobaczę tych, któ-fagnę ujrzeć.

10.

i i i l ii i ii

170 • Alistair MacLean

- Żony - powiedział Jansci; nie było to pytaniami stwierdzenie faktu.
- Żony. - Jennings skinął głową. -1 syna. .
- Zobaczy ich pan-oznajmił cicho Jansci. WJVK<>\ brzmiała taka pewność, tak niezachwiane przekorni\* wszyscy utkwili w nim wzrok, po części myśląc, że w czego im nie wiadomo, a po części, że oszalał. - Obirc, panu, profesorze Jennings.
- Jennings wciąż popatrzył na niego, ale w jego oczach było nadziei.
- Dziękuję, przyjacielu. Religia jest...
- Zobaczy pan ich na tym świecie e-przerwał mu,'\*
- Już niedługo.
- Zabierzcie go - rozkazał ostro naczelnik. - > zaczął działać.

Michael Reynolds tracił zmysły powoli, lecz niein nie, a najstraszniejsze było to, że zdawał sobie z ten< we. Od chwili gdy przymocowano ich do specjalnych w więziennych lochach i zrobiono ostatni zastrzyk i potrafił stawić oporu wzmagającym się atakom szalt-

n im mocniej się opierał, im bardziej walczył z objaw bólem i koszmarnym napięciem, które ogarniało ui> ciało, tym silniej je odczuwał, tym głębiej w jego u wpijały się\* diabelskie pazury chemicznych środków

l ry wały go na strzępy.

Solidnie przywiązany do wysokiego fotela, opasany mieniami nie tylko wokół nadgarstków i kostek u n- także wokół ud i pasa, Reynolds oddałby wszystko

dykolwiek posiadał lub miał posiadać, byleby tyli zerwać więzy, rzucić się na podłogę, na ścianę, m przekręcić, zgiąć, zwinąć, naprężyć i rozluźnić nn. zrobić cokolwiek, żeby choć trochę zmniejszyć ou.> znośne wrażenie swędzenia i potwornego napięcia, ww lane przez dziesięć tysięcy rozedrganych nerwów wjl ciele. Czuł się tak, jakby poddawano go zwielokrotniał sto razy starej chińskiej torturze łaskotania w pięty, l jednak różnicą, że zamiast ptasich piór dręczyły go nit i czone ilości chemicznych igieł actedronu, drażniąc i i >< '

### Ostatnia granica • 171

niewyobrażalnego stopnia wrażliwości każdy n/dygotany nerw, w który, wbijały się raz po raz. i la nachodziły go mdłości. Miał wrażenie jakby . rozpadło mu się w żołądku i tysiące par owa-  
•Ai /ydeł łaskotały go po wnętrzościach; oddychał z •tym trudem, coraz częściej gardło zaciskało mu się ••o, nagle i przeraźliwie, odcinając mu dopływ po- M l - zdjęty paniką - zaczynał się dusić, sapać, aż «ly był już bliski utraty przytomności, udawało iw złapać dech i wciągnąć z sykiem powietrze w l lenu płuca. Ale najgorsze było to, co działo się wą, z jego umysłem. W głowie czuł ciemność i kę, umysł miał jakby wypełniony watą, a kontakt stością rwał się i strzępił mimo rozpaczliwych lakie czynił, by nie pozwolić actedronowi i me->\ ladnąć nim do reszty. Szczęki potężnego imadła mu czaszkę, a oczy bolały go tak straszliwie, że

> i ział. Nagle zaczął słyszeć głosy, głosy nawołują-  
ili, i czując, jak resztki rozsądku opuszczają jego  
skołowaciałą głowę i uciekają gdzieś w mrok,  
wysiłkiem myślowym pojął, że czarny całun sza-  
• i ocył go już szczelnie swoimi grubymi, duszącymi.  
< iąż słyszał głosy - spowity głębokim mrokiem,  
lyszal. Coś mu jednak mówiło, że to nie są głosy,  
i' n głos, który w przeciwieństwie do poprzednich  
"•/.e gorączkowo gdzieś w zakamarkach jego umy-  
i. r/,yczy do niego, woła go przebijać się przez gruby  
ileństwa. wzywa z desperacką, władcą natarczy-  
lakiej nikt w kim jeszcze tli się iskra życia, nie  
i torować. Głos wołał i wołał, uparcie, natrętnie,  
• niej z każdą mijającą sekundą, aż wreszcie prze-  
przez mrok spowijający Reynoldsa, prześlizgnął  
i.ijum całunu i dotarł do jego świadomości. Rey-  
lulirze znał ten głos, ale nigdy dotąd nie słyszał go  
• < c uo w podobny sposób; powoli zdał sobie sprawę,  
i uleży do Janskiego, który krzyczy wkółko to samo,  
powtarzał jakąś wariacką litanie: • •

172 • Alistair MacLean

- Podnieś głowę.! Na miłość boską, podnieś głów-  
nieś, podnieś głowę!

Wolno, centymetr po centymetrze, z takim stras  
wysiłkiem jakby podnosił niewyobrażalnie wielki  
Reynolds zaczął dźwigać w górę głowę, która jaki  
temu opadła mu na piersi; zaciskał oczy, natęzał im  
aż wreszcie poczuł, że tyłem głowy dotyka oparcia i  
Przez dłuższą chwilę siedział sztywno wyprostował



sząc ciężko jak maratończyk po ukończeniu monli-i biegu, a potem głowa znów zaczęła mu opadać.

- Podnieś głowę! Mówiłem ci, podnieś głowę! - i • ostro Jansci.

Nagle Reynolds zrozumiał, zrozumiał jasno i \> że generał usiłuje mu przesłać, i w jakiś dziwny przesyła, część swojej niezłomnej siły woli, ti-j która pozwoliła mu uciec z Kołomy, pokonać nie /.IH lodowe pustkowia Syberii.

- Podnieś głowę i trzymaj w górze! O właśnie, w l< A teraz oczy! Otwórz oczy i spójrz na mnie!

Reynolds otworzył oczy. Miał wrażenie, że zakrył grube zasłony z ołowiu, tak wiele wysiłku kosztowało podniesienie powiek, ale w końcu otworzył oczy i p| nimi po mrocznym wnętrzu lochu. Początkowo nic ni) dostrzec, bał się, że oślepl, bo jedyne co widział to i mgły; po chwili jednak pojął, że tak ma być, że to i\* opary, i przypomniał sobie, że całą kamienną i><>« lochu pokrywa dziesięciocentymetrowa warstwa wi wzdłuż ścian bieżą rury do kąpielii parowej - \vilJ powietrze, nagrzane silniej niż w jakiejkolwiek/.nl.j gowało działanie specyfików zaaplikowanych im \ntt czelnika.

A potem dostrzegł Janskiego, widział go jakln matową szybę, ale jednak widział. Generał sieci/i metry dalej, w dokładnie takim samym fotelu - glow^ ustannie mu się obracała to w jedną, to w druga i| szczęki mu pracowały, a ręce, unieruchomione rzemH oplatającym ciasno

nadgarstki, zaciskały się w piv\*i czym znów rozluźniały. Jansci starał się w ten sposób!

Ostatnia granica • 173

i rozładować nieznośnie bolesne pobudzenie całego nerwowego.

hael, nie opuszczaj głowy!

•(•wciąż był półprzytomny, Reynolds zwrócił uwagę insci po raz pierwszy odezwał się do niego po uymawiając je "Mikel", tak samo jak Julia.

i miłość boską, nie zamykaj oczu! Pamiętaj, nie o się, nie wolno się poddawać! Te świństwa chemi-11 a ją w ten sposób, że jeśli przetrzymasz szczytowy \ I E **PODDAWAJ SIĘ!** - ryknął.

ii kowało; Reynolds znów otworzył oczy, tym razem n n i ejszym wysiłkiem.

j >r/<>, doskonale! Walcz! Przed chwilą ja też ledwo .iłom. Pamiętaj, jeśli poddasz się, jeśli ulegniesz 'i.nin, skutki będą nieodwracalne. Musisz wytrzy-'i >fze, musisz wytrzymać! Mnie już kryzys minął.

• iils coraz wyraźniej słyszał Janskiego i sam rów-i że działanie środków chemicznych maleje. n nadal miał szaloną ochotę zerwać rzemienie, mięśniami, ale w głowie już mu się przejaśniało •y ból oczu ustępował. Jansci bez przerwy coś do 11, dodawał mu sił i otuchy, starał się zająć jego m innym, i wreszcie powoli napięcie w kończy-11 ym ciele Reynoldsa opadło, a wówczas - choć w i'•>• lo gorąco jak w tropikalnej dżungli - zaczął i mną. Po pewnym czasie dreszcze ustały; wtedy nagle pocić i zrobiło mu się duszno od ciepła i mperatura pary

tryskającej z rur zdawała się i> minuty na minutę. Znów był na progu załamania • MI fizycznego, bo umysł miał już całkiem jasny i >• kiedy drzwi otworzyły się i do środka wpadli 't-nj;ic wodę strażnicy w gumowych butach. W ciągu t kimd oswobodzili więźniów, żeby wyprowadzić ich "l.-iuiec. Kiedy znaleźli się na korytarzu i Reynolds >;|i w płuca czyste, mroźne powietrze wpadające z uświadomił sobie, że wie dokładnie jak musi i pierwszy łyk wody człowiekowi, który jeszcze mu umierał z pragnienia na pustyni.

174 • Aiiistair MacLean

Zobaczył, że Jansci zrzuca z siebie podtrzymuj! ręce strażników; choć czuł się osłabiony jak po chorobie, uczynił to samo. Kiedy strażnicy puścił ramiona, z miejsca potknął się i o mało nie pr/r. Zebrał się jednak w sobie i wyszedł za Janscim na \\* śniegiem dziedziniec sztywno wyprostowany,; ko w górze. Naczelnik już na nich czekał; na ich widok oczy mu się z niedowierzania. Przez chwilę nie wi« powiedzieć, bo słowa, które sobie przygotował, «., nie pasowały do dobrej formy, w jakiej najwyr/nii obaj więźniowie. Opanował się jednak szybko i brał maskę przemądrzałego wykładowcy.

- Jeśli mam być szczery, panowie, to gdyby jakiś opowiedział mi o waszym przypadku, uznałbym, /<• M Nie uwierzyłbym. Mam nadzieję, że zaspokoicie mój kawość zawodową i zdradzicie, jak się czujecie?

- Mnie tam jest zimno-oznajmił Reynolds. - Zw|| w nogi, są zupełnie mokre. Może zapomniał pan o ly|

przez ostatnie dwie godziny siedzieliśmy po kostki dzie.

Mówiąc to, oparł się jakby od niechcienia o śc., rzeczywistości bał się, że jeśli tego nie zrobi, to zwali śnieg z wyczerpania. Ale to nie ściana dodała mu n< sił, lecz aprobujący błysk, jaki ujrzał w oczach Jau.ie - Okresowe zmiany temperatury stanowią część... no, powiedzmy, kuracji. Moje gratulacje,,..., Ten przypadek zapowiada się niezwykle interesuj!

Zwrócił się do jednego ze strażników. -Umieście im I zegar, tak żeby go dobrze widzieli. Teraz jest poliL następną dawkę actedronu wstrzykniemy punktiilj drugiej. Nie ma potrzeby trzymać ich w napięciu.

Dziesięć minut później, z trudem łapiąc dech po ^ ściu z mroźnego dziedzińca do nagrzanego lochu, Rryl zerknął na tykający zegar, potem na Jansiego, ,

- Wyrafinowany dodatek do tortur, jak najbanl/K stylu naczelnika - powiedział.

- Byłby oburzony, szczerze i autentycznie obur, gdyby usłyszał, że mówisz o torturach - rzekł J mil

. 'a się za naukowca, który przeprowadza pewne •nie i jedynie chce uzyskać optymalne wyniki. i v. oczywiście, ślepy i szalony jak wszyscy fanaty-.lowiek.

c/towiek? - Reynolds prychnął ze złości. - To "prawca, który nie ma w sobie nic z człowieka! ansci, czy jego też gotów jesteś nazwać bratem? wierzysz w jednorodność ludzkiego gatunku? rację,

to rzeczywiście nieludzki oprawca. Ale <•  
nieludzkość i okrucieństwo nie znają żadnych i w  
czasie, ani w przestrzeni. A już na pewno nie me  
cechą Rosjan. Pomyśl, ilu Węgrów zostało i lub  
zamęczonych na śmierć przez innych Weku SSB  
dorównywała NKWD, a polskie UB, zło-.ii' w całości  
z Polaków, popełniało takie okru-

•' jakich nawet Rosjanom się nie śniło.

•i- niż to, co miało miejsce w Winnicy? patrzył na  
niego długo i jakby w zadumie, unicy? - Skierował  
wzrok w ciemny kąt lochu. -przypominasz mi o  
Winnicy, chłopcze? < pruszam. Julia mówiła, że stało  
się tam coś strai U- nie chciała mi powiedzieć co.  
Przepraszam, i, te o tym wspomniałem.

masz co przepraszać. A ja nigdy nie zdołam zapo-  
uinicy. - Na moment umilkł. - Nigdy. Byłem z  
ml w czterdziestym trzecim, kiedy zaczęli rozkópy-  
i Miny wysokim płotem sąd obok siedziby NKWD.

W

inajdował się masowy grób; dziesięć tysięcy trupów.  
nHi moja matka, siostra, starsza córka i jedyny syn.

1 '.yn zostali zakopani żywcem; nietrudno poznać

••/.y.

v Reynolds to usłyszał, mroczne, gorące lochy iv  
głęboko w skutej lodem ziemi, przestały dla nie--r.  
/apomniął o środkach chemicznych, o uporczy-  
tucającej myśli, że proces, jaki mu wytoczą Wę->,  
ula skandal międzynarodowy, o naczelniku, który  
KO złamać, nawet o tykaniu zegara. Myślał tylko o

ni spokojnie naprzeciwko niego człowieku i o hi-  
nkfcc prostej a zarazem przerażającej, którą mu  
• 176 • Alistair MacLean

przed chwilą opowiedział. Jakiż straszny musiał pi-  
szok, kiedy odkrył zwłoki swoich pomordowanych lii  
- cud, że nie postradał zmysłów, a jeszcze większy t  
do nikogo nie żywił w sercu nienawiści. Utracić lyl  
droższych, najbliższych osób, prawie wszystkich, W  
kochało się w życiu i móc nazywać ich morderców  
l>rt Reynolds popatrzył na tego mądrego, łagodnego  
człof i zrozumiał, że nigdy nie zdoła wyobrazić sobie  
w.s/1go, przez co on przeszedł.

- Łatwo zgadnąć o czym myślisz - powiedział' lut  
Jansci. - Straciłem tak wiele osób, które kochałem  
dłuższy czas myślałem, że oszaleję. Hrabia - kiccU<  
wiem ci jego historię - stracił jeszcze więcej. Ja p  
mniej mam julie i, w co wierzę głęboko, moją /n  
stracił wszystkich. Ale obaj rozumiemy, że nienawll  
ma sensu. Nasi bliscy padli ofiarą rozlewu krwi i pr|  
cy, ale choćbyśmy wylali całe morze krwi, nic ich nn|  
przywróci. Zemsta dobra jest dla szaleńców i dziku\*  
zemsty nigdy nie narodzi się świat wolny od pr/nn  
rozlewu krwi, w którym nikt nie będzie zabijał m  
bliskich. Może można sobie wyobrazić jakiś inir  
lepszy od tego, o który razem z Hrabią zabiegamy, h  
i tego, który chcemy stworzyć, ale ja jestem prostym  
< kiem i nie potrafię tego zrobić. -Zamilkł; po chwili  
chnął się. - Mówiliśmy o nieludzkości jako takiej; a l  
rację, o pewnych sprawach należy pamiętać, choć:  
nicy.

**- Nie, nie! - Reynolds potrząsnął gwałtownie n  
Trzeba zapamiętać! Trzeba zapamiętać o tym. co M  
stało!**

**- Tak właśnie mówi świat: zapomnijmy, nie ro/lr\*  
my tego, to zbyt okropne. Nie obciążajmy tym  
naszych | umysłów i sumień, bo wtedy dobro, które w  
nas tkwi, <l< które tkwi w każdym człowieku, może  
nas pchnąć do< łania. A przecież nie możemy nic  
zrobić; twierdzi świat wiemy ani jak ani od czego  
zacząć. Z całą pokoni jednak powiedzieć, że ja wiem,  
od czego należy żar/,! zrozumienia, że nieludzkość i  
okrucieństwo nie są p sane wyłącznie do pewnej  
części tego nieszczęsneK"**

**f**

**Ostatnia granica • 177**

**|>>|it)inniałem o Węgrzech, Polsce, Czechach.**

**Mógłbym lic też Bułgarię i Rumunię, gdzie również  
popelnio-liczone okrucieństwa, o których świat dotąd  
nie . i może nie dowie się nigdy. Mógłbym wspomnieć  
o ,iu milionach bezdomnych uchodźców w Korei.**

**Pew-IPowiedziałbyś mi, że to wszystko sprowadza się  
do |o, że wszystkiemu winien jest komunizm. I  
miałbyś mój chłopcze. A gdybym ci przypomniał o  
zbrod-hi.szpańskiej Falangi, o Buchenwaldzie i  
Belsen, o fuch gazowych Oświęcimia, o japońskich  
obozach dla o pociągach śmierci? Znów miałbyś  
gotową i-dź: że za wszystkie okropności  
odpowiedzialne są mtalitarne. Ale tak jak mówiłem  
wcześniej, nielu-ue ma granic w czasie. Cofnijmy się  
o jeden lub i ki. Do czasów, kiedy dwa państwa,**

które dziś są s/y mi zwolennikami demokracji, nie były jeszcze

•.ale. Cofnijmy się do czasów, kiedy Anglia tworzyła niperium, do czasów najbardziej bezlitosnej kolo-v dziejach świata, do czasów, kiedy Anglicy wozili ryki niewolników, upchanych w ładowniach sta-isno jak sardynki, a Amerykanie robili wszystko, nieść Indian z powierzchni kontynentu. Co wtedy,

• lopcze?

in udzieliłeś sobie odpowiedzi: Anglia i Ameryka i'dy młode.

lązek Radziecki jest wciąż młody. Ale nawet dziś, l/iestym wieku, dzieją się rzeczy, których porządni na całym świecie powinni się wstydzić. Wiesz o

\ iesz o ustaleniach poczynionych przez Stalina i

•Ita, dotyczących między innymi repatriacji tych, riekli ze Wschodu na Zachód?

i'm.

-ic-sz. Ale nie wiesz o tym, czego nie widziałeś, a ••»»»

Hrabia i ja byliśmy świadkami. Nigdy nie zapomni-tysiące, niezliczone tysiące Rosjan, Estończyków, tów i Litwinów siłą zmuszano do repatriacji. A oni llici,

że po powrocie do domu czeka ich tylko jedno -,...,

Nie widziałeś tego, co my, tych setek tysięcy ludzi

it.ilych ze strachu, którzy wieszali się gdzie popadło,

, „1

178 • Alistair MacLean

rozpruwali sobie brzuchy scyzorykami, rzucali siv i

la pociągów lub podrzynali sobie gardła zardzi

żyłkami; wszystko było lepsze, nawet najbardzii na



śmierć z własnej ręki, niż powrót, obozy konci ne, tortury i śmierć z rąk oprawców. Widzieliśmy j; i e nieszczęśników, którzy nie popełnili samobójsh wano do ciężarówek i wagonów dla bydła, a pope< -nie baty, jakimi pędzi się bydło, lecz bagnety bryt; amerykańskich żołnierzy... Nie zapomnij o tym ni chael; bagnety brytyjskich i amerykańskich zoli Niech ten, kto jest bez winy...

Jansci poruszył głową, żeby strząsnąć kropelki p< madzące mu się na czole; powietrze stawało się co dziej wilgotne i gorące, z coraz większym wysiłkie: gali je w nozdrza, ale Jansci jeszcze nie skończył n - Mógłbym ci opowiadać bez końca mój chlo twojej ojczyźnie i' o państwie, które uważa się obr najwierniejszego strażnika demokracji - o Stanąć i noczonych. Jeśli wy i Amerykanie nie jesteście kszymi orędownikami demokracji, to na pewno j< najgłośniejszymi. Mógłbym opowiadać o zbrodi okrucieństwach towarzyszących integracji raso Ameryce, o powstaniu Ku Klux Klanu w twojej oj Anglii, która tak zdecydowanie, choć błędnie wi swoją wyższość nad Ameryką, jeśli chodzi o sprav rancji. Ale nie miałyby to żadnego sensu; Anglia Zjednoczone są tak potężne, tak stabilne wewnątrz/ mogłyby uporać się z wszelkimi przejawami rasi^ swoim terenie, a przynajmniej nie muszą ukryv. przed resztą świata. Próbuje ci tylko uzmysłować, zi ani ani żaden naród, ani wyznawcy jakiejś określon zofii - nie ma monopolu na okrucieństwo, nienawiś< tolerancji. Te zjawiska towarzyszą nam od początku

**jów, występują na całym świecie, pod każdą szeroko-  
geograficzną. Zwyrondnialców i sadj^stów można /  
równie łatwo w Londynie i Nowym Jorku jak i  
Mosk\\**

**demokratyczne państwa Zachodu strzegą wolności i  
teli tak samo pilnie, jak orzeł strzeże swoich młoc  
dlatego szumowiny nie dochodzą do najwyższych ur-  
ii\***

**Ostatnia granica • 179**

**i w ustroju, który utrzymuje się tylko poprzez H  
represji, musi istnieć służba bezpieczeństwa o  
olutnej, powstała legalnie, lecz od początku nie a.jąca  
żadnych praw, samowolna i despotyczna. i M  
bezpieczeństwa to magnes dla wszystkich szu-inre  
najpierw do niej wstępują, potem w niej i a w końcu  
rządzą całym krajem. Nikt nie chce, i>a  
bezpieczeństwa była potworem, w momencie uiia jej  
do życia, ale ponieważ do pracy w niej i niorsze  
elementy, jest nieuchronne, że potworem ' lктор  
Frankenstein, ojciec potwora, przeistacza  
• • niewolnika.**

**nie można zlikwidować potwora? icst jak Hydra;  
niezniszczalny. Nie można też 1'Yankensteina, który  
go stworzył. Trzeba znisz-**

**•ni wartości, w jaki wierzy Frankenstein, bo naj-  
<>sob unicestwienia potwora, to zlikwidowanie dla  
których w ogóle zaistniał. Nie może egzysto-",-ni.  
Powiedziałem ci już, dlaczego istnieje. Zre-ii a  
wialiśmy o tym wcześniej. -Jansci uśmiechnął 1111. -  
Kiedy to było? Trzy dni czy trzy lata temu? ii-ty, w**

tej chwili ani mój umysł, ani pamięć nie i ii ul najlepiej - odparł Reynolds, patrząc w dół na ' ii u skapujące mu z twarzy do wody na posadzce. -i.-isz przyjaciel pragnął stopić nas jak śnieżne balio wygląda. Słuchaj, zdarza mi się mówić za dużo i powiednim czasie... Ale czy to, co powiedziałem, ' obilo cię choć odrobinę lepiej wobec zacnego i rudno. -Jansci westchnął z rezygnacją. - Rozu-i /y.czyny lawiny śnieżnej nie sprawia, że zasypany iek czuje się lepiej. - Urwał, gdyż z korytarza i'-h odgłos ciężkich kroków, i obrócił twarz w stro-i - Obawiam się - szepnął - że za chwilę znów nam spokój.

-li weszli strażnicy, którzy - tak jak poprzednio -r i w milczeniu przystąpili do działania: rozpięli

180 • Alistair MaeLean

rzemienie krepujące więźniów, po czym szarpiąc i ramiona pomogli im wstać, a następnie poprowad schodami na górę i przez dziedziniec. Kiedy do gabinetu naczelnika, dowódca strażników zapul drzwi; słysząc głośnie "Wejść!", otworzył je szeroko i i więźniów do środka. Naczelnik nie był sam; miał , którego Reynolds od razu rozpoznał-- był to puli Josef Hidas, zastępca komendanta AVO. Nu więźniów Hidas wstał z krzesła i zbliżył się do Reyi- który bezskutecznie starał się opanować szczękanie i dreszcze wstrząsające jego ciałem - nagle, pU' sięciostopniowe zmiany temperatury osłabiały go i nie i psychicznie bardziej od środków chemicznych kownik uśmiechnął się.

- A więc znów się spotykamy, kapitanie Reynoldi w jeszcze bardziej przykrych okolicznościach niż |>°  
dnio. Co mi przypomina: na pewno ucieszy pana v  
mość, że pański przyjaciel Koko, mimo że wciąż/ i  
kuleje, wrócił już do zdrowia i normalnie pełni slu/i  
- Wielka szkoda- powiedział krótko Reynolds. • cznie  
za słabo go uderzyłem.

Hidas uniósł jedną brew i spojrzał na naczelniku

- Byli już poddani zabiegowi?

- Tak jest, pułkowniku. Wykazują jednak znacziiis  
To dla mnie jako lekarza podniecające wyzwani\*  
przed północą będą gotowi do składania zeznań.

- W porządku. Nie mam co do tego żadnych wą|>i  
ści. - Hidas ponownie zwrócił się do Reynoldsa. - P.I  
proces odbędzie się w czwartek, w sądzie ludowym '   
ogłosimy odpowiedni komunikat. Wszyscy zachodni  
d nikarze, którzy zechcą przyjechać, od ręki dostaną  
w > na miejscu zapewnimy im znakomity hotel.

- Jeden hotel nie wystarczy - mruknął Reynolds

- Im więcej dziennikarzy przyjedzie, tym lepiej dln  
Ale prawdę mówiąc, mnie osobiście znacznie bard/h  
teresuje proces, który odbędzie się nieco wcześniej >  
takiego rozgłosu. - Hidas podszedł do Janskiego. - Wi  
cię osiągnąłem to, o czym od dawna marzyłem i co  
moją największą ambicją życiową. Tak, szczerze  
przyj n

Ostatnia granica • 181

•ragnąłem zobaczyć właśnie w takich okoliczno-  
iwieka, który przysporzył mi więcej kłopotowi  
n. i kosztował mnie więcej nieprzespanych nocy

' y inni wrogowie stanu razem wzięci. Tak, tak. 11-m lat co rusz stawał mi pan na drodze, chronił ;il na Zachód setki zdrajców i wrogów komuni- /kadzał mi w pełnieniu obowiązków i bezustan- prawo. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy alalność, wspomagana przez genialnego majora któremu na szczęście powinęła się noga, okrut- i się we znaki. Ale wszystko ma swój koniec. Nie loczekać, kiedy wreszcie zaczniesz pan śpiewać. n nazywa, przyjacielu?

i. Tak zwą mnie wszyscy.

\ iście! Nie spodziewałem się, że wyjawi mi pan... wał w połowie zdania; jego oczy rozszerzyły się, lynęła mu z twarzy. Cofnął się o krok, potem o i k? - zapytał niemal szeptem. Ids patrzył na niego ze zdumieniem. '•i. Po prostu Jansci.

i/.iesięć sekund trwała cisza jak makiem zasiał; patrywali się w pułkownika AVO. Wreszcie Hi-il wargi i powiedział ochrypłym głosem do Jan- rócić się!

Jansci wykonał polecenie, Hidas wbił wzrok w c kajdanami dłonie. Usłyszeli, że wciąga głęboko Jansci ponownie obrócił się przodem.

•leżnie żyjesz! - zawołał Hidas tym samym ochry- cm; na jego twarzy malował się szok. - Zabiłeś się icmu! Kiedy zabraliśmy twoją żonę...

/abiłem się, mój drogi Hidasie - przerwał mu Ktoś inny się zabił. Tamtego tygodnia, gdy wasze budy krążyły bezustannie po mieście, dziesiątki

- Iniły samobójstwo. Wybraliśmy zwłoki człowieka więcej mojej budowy. Umieściliśmy go w moim i i u, przebraliśmy, a reszty dopełniła charakterystyczny na rękach wyglądały tak przekonująco, że irz zdołałby poznać, że nie są prawdziwe. Major
- t\* JMiiiiiliilt

## 182 • Alistair MacLean

Howarth Wykonał kawał znakomitej roboty. - Janarł szył ramionami. - Oczywiście, nie było to przyjem ten człowiek tak i tak nie żył. W przeciwieństwie <l<»| żony. Myśleliśmy, że kiedy znajdziecie mnie martw może ją zwolnicie, a przynajmniej jej nie zabijecie

- No tak, teraz wszystko rozumiem. - Pułkownik zdążył ochłonać, ale jego głos wciąż drżał z podnieć Nic dziwnego, że tak pan nam się wymykał! Nic d\*! że nie byliśmy w stanie zniszczyć pańskiej ornm

Gdybym znał prawdę, gdybym tylko znał prawdv" szczyt dla mnie mieć pana za przeciwnika.

- Pułkowniku Hidas, kim jest ten człowiek? niemal błagalnym tonem naczelnik.

- Kimś, kto nigdy, niestety, nie stanie przed s;i Budapeszcie. Może w Kijowie, może w Moskwie, al< Budapeszcie. Naczelniku, pozwoli pan, że panu pi -• wie generała brygady Aleksija Iljulina, zastępcę p Własowa, dowódcy Ukraińskiej Powstańczej Armii

- Iljurin, tutaj? - Naczelnik utkwiał wzrok w wl Iljurin? Tu, w moim gabinecie? To niemożliwe!

- Tak, wiem, ale nikt inny nie ma takich rąk! Jes/ zaczął mówić, prawda? Ale zacznij; musimy wyil.. niego pełne zeznania, zanim go wyślemy do Zwia/N dzieckiego. - Hidas spojrział na zegarek. - Tyle dn / nią, a tak mało czasu! Panie naczelniku, mój s;in natychmiast! Proszę dobrze pilnować więźniów. \V trzy godziny. Iljurin! A niech mnie diabli, Iljurin! Kiedy odprowadzono ich z powrotem do celi w li Jansci i Reynolds nie byli w rozmownych nastroju.. głądało na to, że nawet Janskiego opuścił wrodzony mizm, choć twarz miał niezmiennie pogodną. Ale nolds wiedział, że ich koniec zbliża się wielkimi kn koniec Janskiego jeszcze prędzej niż jego, i że nic i pomoże. Patrząc na starszego mężczyznę, który si spokojnie naprzeciw niego, pomyślał sobie, iż mu sobie coś tragicznego; opanowany, odważny, był o, mem na chwilę przed swoim ostatecznym upadkiem. Niemal cieszył się-, że sam również umrze, św jednak był tej gorzkiej prawdy, że jego własna o

Ostatnia granica

183

i tchórzostwa i strachu: po śmierci Janskiego nie \"> spojrzeć Julii w twarz. Niepokoila go też inna »< /.nie gorsza: co się stanie z dziewczyną, kiedy nie »nt jej ojca, ani Hrabiego, ani jego, ale szybko, uli-, odepchnął ją jak najdalej od siebie. W takiej «k ta nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą sła-k t "/.myślenie o śmiechu Julii i o smutku tak często

• > iii na jej ruchliwej, delikatnej twarzy, która naty-  
I »ł»nęła mu przed oczami, mogło go tylko  
doprowa-

>io/.paczy...

i / sykiem wydobywała się z rur, w pomieszczeniu  
I«K- coraz wilgotniej, temperatura stale rosła: pięć-  
Mopni, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt... Pot ciekł  
lunami po ciałach mężczyzn, zalewał im oczy, powie-  
•iKane w płuca paliło ich jak ogień. Reynolds trzy-  
• 11 przytomność i gdyby nie rzemienie, które trzy-  
« fotelu, zapewne spadłby na posadzkę i utopił się  
iiuctij Ją wodzie.

IMU\* Kcly ponownie odzyskiwał przytomność, zdał  
so-|Msv c, że czyjeś ręce odpinają mu rzemienie;  
zanim do |k«"ii|l, co się dzieje, strażnicy uwolnili ich  
obu i po raz | H\prowadzili na zimny dziedziniec.  
Reynolds zata-)ak pijany i kręciło mu się w głowie,  
widział, że

i-/ ledwo idzie o własnych siłach. Nagle, jak przez |ti  
n pomniał sobie coś i zerknął na zegarek. Była punkt  
/obaczył, że Jansci patrzy w jego kierunku i ponuro

• «,va Druga godzina; pora, jaką wyznaczył  
naczelnik. r na nich czekał, gotów do dalszych  
doświadczeń; znów Min kawę i zastrzyki, actedron i  
meskalinę - środki,

< tum ich w przepaść szaleństwa. \> M-lnik istotnie  
czekał, lecz nie był sam. Najpierw i>i<l-- ujrzał  
umundurowanego funkcjonariusza AVO,

• ilrugiego, a wreszcie olbrzymia Koko, na którego i'  
rn>wanej, prymitywnej twarzy pojawił się na widok



**"M w.eroki, mściwy uśmiech. Na końcu zobaczył plecy**

**•-/ny, który stał oparty niedbale o parapet i palił no rosyjskiego papierosa w długiej cygarnicze; kie-'  
/.yzna obrócił się do nich twarzą, Reynolds poznał**

**Rozdział dziewiąty**

**Reynolds był pewien, że to zwid. Wiedział, że pn<  
wysłali Hrabiego gdzieś w teren, i na pewno ani na  
11 nie spuszczają go z oka. Wiedział również, że ostał  
n torej godziny w zaparowanych lochach odebrało n  
ność myślenia; był wiec święcie przekonany, że jej;o i  
szane od gorąca zmysły podsuwają mu fałszywy ob»  
kiedy mężczyzna przy oknie leniwym ruchem odci  
od ściany i dumnym krokiem przemaszerował pr/«  
net, w jednej ręce trzymając cygarniczkę, a w druni-  
be, skórzane rękawice, nagle wszystkie wątpliwości  
tak, to był Hrabia! Żywy, zdrowy i wymuskany jak  
Reynolds ze zdumienia wybałuszył oczy i otworzył i  
po chwili jego blada, wymizerowana twarz zaczęła  
t- \ no układać w uśmiech.**

**- Jak u diabła...**

**Nie dokończył; uderzony w twarz grubymi rękfiu  
zatonął się i poleciał do tyłu na ścianę. Poczul w n  
krew - świeżo zagojone rany na wargach otworzyły si  
v po niespodziewanym ciosie. Wstrząs i ból sprawiły,  
ii cze silniej zakręciło mu się w głowie; widział Hr.i  
jakby poprzez mgłę. :**

**- Lekcja numer jeden, mój mały-powiedział spol,  
Hrabia, z niesmakiem spoglądając na drobiny ki  
rękawicach. - Nigdy nie odzywaj się bez pozwoleniu**

Przeniósł wzrok z rękawic na więźniów; niesmak «  
spojrzeniu jeszcze się pogłębił.

- Czy ci dwaj wpadli do rzeki, czy co, towarzyszu n n  
niku?

- Nie, nie, nic podobnego. - Naczelnik był wyt i  
zdenerwowany. - Po prostu byli poddawani kąpieli i  
wej. To naprawdę bardzo mi nie na rękę, kapitanie .  
bardzo nie na rękę; zakłóci cały cykl.

liililtJh

na czym się przejmować, towarzyszu naczelniku • '  
ikajająco Hrabia.- Mówię wamto nieoficjalnie, H>  
czego proszę się na mnie nie powoływać, ale i s  
późnym wieczorem, a najpóźniej jutro rano  
r/.ywiezieni z powrotem. Komendant Furmint i'ie  
ceni stosowane przez was... metody psycho-  
awdę, kapitanie? - ucieszył się naczelnik. - Je-

utnie. - Hrabia zerknął na zegarek. - Nie może-  
wlekać, naczelniku. Pośpiech jest niezbędny. A  
i szybciej ich zabierzemy, tym szybciej dostarczy-  
i' >t.em - dokończył z uśmiechem.

i' T nie będę was zatrzymywał. - Naczelnik stał się  
'•sądnie uprzejmy. - Pogodziłem się z tym, że  
h zabrać. Będę jednak niecierpliwie oczekiwał  
•i u; bardzo mi zależy na doprowadzeniu do końca  
l;in, zwłaszcza na kimś tak sławnym jak generał  
laka okazja może się nie powtórzyć - stwierdził  
• czym zwrócił się do towarzyszących mu avoków.  
szybko, wyprowadzić ich do ciężarówki. Koko, nki,

długo się będziesz z nimi cackał? Myślisz, że i, czy co?

--' wyszczerzył zęby, wdzięczny za przyzwolenie, '•i dłonią pchnął Reynoldsa w twarz tak mocno, że i /nów poleciał na ścianę; dwaj pozostali avocy chwy- • I puchy Janskiego i brutalnie wyciągnęli z gabinetu. i 111 ('ty naczelnik podniósł do góry ręce, 11'Hanie Zsolt, czy takie traktowanie... Chodzi mi o l n lałbym ich mieć z powrotem w dobrym stanie, n-i-h was o to głowa nie boli, towarzyszu. - Hrabia imał się szeroko. - My też, na swój prosty sposób, T specjalistami. Wyjaśnicie pułkownikowi Hidaso-ilv wróci, że zabrałem więźniów i powiecie, żeby nil l do komendanta, tak? Proszę go przeprosić w imieniu, że nie zaczekałem na niego, ale polecono

l

186 • Alistair MacLean

mi się spieszyć. Dziękuję serdecznie, towarzyszu nt ku, i do rychłego zobaczenia.

Dygocząc z zimna w przemoczonych ubraniach, Reynolds zostali poprowadzeni przez dziedziniec kającej ciężarówki AVO i ulokowani w jej skrzyni j avoków usiadł w szoferce obok kierowcy, a Hrabia, pozostały avok usiedli razem z więźniami. Koku trzymali na kolanach broń gotową do strzału. KI\*I zapalił silnik i ciężarówka ruszyła w drogę; strażnik! cy w bramie zasalutował, kiedy go mijali.

Chwilę później Hrabia wyciągnął z kieszeni m»i« patrzył na nią, po czym ją schował. Po kilku nitu

wstał, minął obojętnie Janskiego i Reynoldsa i pod',  
okienka między szoferką a skrzynią.

- Za pół kilometra będzie droga w lewo - rzek!  
rowcy. - Skręć w nią i jedź prosto, dopóki nie JM  
żebyś się zatrzymał.

Wkrótce ciężarówka zwolniła, po czym trzęsąc  
łyszac na wybojach skręciła z szosy w wąską poi IM  
Droga była tak nierówna, zamarzniete koleiny nin-  
tak wysokie, że ciężarówkę co rusz zarzucało to w  
,in| w drugą stronę; kierowca jechał bardzo wolno, /  
H wylądować w rowie. Po dziesięciu minutach IIr;ili  
szedł na tył, otworzył drzwi i wychylił się, jakl>\ i  
znajomego punktu orientacyjnego. Wreszcie go  
\V\IH Poleciał kierowcy się zatrzymać i wyskoczył ze  
skr/i ośnieżoną drogę; Koko i drugi avok uczynili to  
M czym bez słowa wymierzili automaty w Janscioi'!.  
noldsa, dając im znak, żeby również wysiedli.

Droga biegła przez gęsty las, jednakże w tym mu  
jednej stronie była niewielka polana. Hrabia pul. • t  
rowcy zjechać na polanę i zawrócić ciężarówkę. l\"U  
gały się na zeschłej, oblodzonej trawie; dopiero k 11  
< l łożyli pod nie kilka gałęzi i zaczęli pchać, kierow  
c> się wykonać manewr. Zgasił silnik i wysiadł z.  
szofert Hrabia kazał mu go z powrotem włączyć;  
powied/l jest kilkanaście stopni poniżej zera, więc nie  
/ar ryzykować, że później nie uruchomią wozu.

Ostatnia granica • 187

• /nie było przeraźliwie zimno. Jansci i Reynolds "ii  
na sobie mokre ubrania i dygotali jak w febrze: uszy  
i nosy najpierw zrobiły się czerwone, a [•lnie sine.

**Kłęby'pary, które wszystkim przy |Ulechu unosiły się z ust, były gęste jak dym i »'oli jak dym rozchodziły się w bezwietrznym,**

**Jowietrzu. lej, szybciej! -popędzał podwładnych Hrabia,-f chyba zamarznąć na śmierć, co? Koko, zosta-popilnujesz więźniów. Mogę na tobie polegać, 'st, towarzyszu kapitanie! -Koko uśmiechnął się Bit-, - Jeden ruch, a zatłukę obu. t wątpię. - Hrabia spojrział na niego z zadumą. - Ilu blk-ś, Koko? awno straciłem rachubę, towarzyszu kapitanie -| zerze olbrzym.**

**na jego potężną sylwetkę, Reynolds nie miał lei, że wielkolud mówi prawdę.**

**ś pięknego dnia doczekasz się nagrody, na Igujesz - rzekł nieco enigmatycznie Hrabia. - A**

**•<\* łopaty. Trochę ruchu zaraz was rozgrzeje.**

**) i. avoków zamruwał zdumiony oczami.**

**fały? Mamy kopać grób dla więźniów?**

**.1 /.mierzył go gniewnym wzrokiem.**

**O, myślicie, że chcę zakładać ogródek? - zapytał, nie, towarzyszu kapitanie, ale mówiliście na-vi więzienia... Myślałem, że jedziemy do Budape- |vok umilkł speszony.**

**| wy tu jesteście od myślenia - zganił go Hrabia.**

**-njecie sobie z tego sprawę, co? I nikt tego od was licuje. No już, szybciej, bo skostniejemy z zimna. \_, nie martwcie się, nie każę wam kopać ziemi; jest furznięta, że nie dalibyście rady. Zasypany śniegiem rów wystarczy w zupełności. Przynajmniej Koko jr, o co mi chodzi.**

"i luk. - Uśmiechnięty Koko oblizwał wargi. - Gdyby |  
ys/. kapitan zechciał pozwolić właśnie mnie...

188 • Alistair MacLean

- Położyć kres ich cierpieniu? - spytał domyślnM bia,  
po czym wzruszył ramionami. - Czemu nie? (. 'o i  
dwa trupy więcej, skoro i tak straciłeś rachubę?  
Znikł pośród drzew za polaną wraz z dwoma avi.  
kierowcą; ich głosy stawały się coraz bardziej pr/.yll  
ne, aż w końcu całkiem ucichły. W mroźnej ciszy,  
takt ta, która panowała wokół, dźwięki zawsze niosą  
się <l( widocznie Hrabia prowadził podwładnych  
głęboko l Tymczasem Koko wpatrywał się w  
więźniów swoimi j mi, złymi oczkami, ani na moment  
nie odrywając <> wzroku. Jansci i Reynolds świetnie  
zdawali sobie że czeka na jakikolwiek pretekst, żeby  
pociągnąć /\* l automatu, który w jego potężnych  
łapskach wygluill dziecięca zabawka, więc choć  
trzęśli się z zimna juk ( nie ruszali się z miejsca, żeby  
go tylko nie prowoko«<

Po pięciu minutach Hrabia wyłonił się z lasu, nii jąc  
rękawicą śnieg z wysokich butów i długiego pln

- Kopia - oznajmił. - Wkrótce do nich pójdziri tam  
więźniowie, Koko? Dobrze się sprawowali?

- Tak, towarzyszu kapitanie. - W głosie Koko \v\  
słysząc było zawód.

- Trudno, przyjacielu - powiedział pocieszająco l  
Chodził tam i z powrotem za olbrzymem, wym.>  
ramionami, żeby się rozgrzać.

- Już niedługo. Ale na razie nie spuszczaaj ich  
Powiedz... bardzo cię jeszcze boli? - spytał z ti<  
głosie.

- Niestety tak. - Koko spojrział gniewnie na Ro>i. i  
zaklął pod nosem. -Jestem cały posiniaczony!

- Biedny Koko, ostatnio co rusz spotyka cię j krość -  
powiedział współczująco Hrabia, po c rewolweru z  
taką siłą uderzył go tuż za uchem ciosu zabrzmiał w  
ciszy jak wystrzał.

Koko zachwiał się, wypuszczając z rąk aulomnk ,  
uciekły mu. w tył głowy, po czym zwałił się na ziemię  
i>U ścięte drzewo; Hrabia z respektu dla ogromnej  
nu» brzunia przezornie usunął się na bok.

Dwadzieścia'sekund później byli już w drodze; l <• j  
bliższym zakrętem polana znikła im z oczu. Pmi  
Ostatnia granica • 189

me odzywali się do siebie słowem; jedynym  
• •tu wypełniającym szoferkę był warkot potężnego  
'iicsłowskiego. Sto pytań cisnęło się Jansciemu i  
>wi na usta, lecz po pierwsze nie wiedzieli od  
,ić, a po drugie koszmar, z którego cudem zostali  
mi, był tak świeży w ich pamięci, że wciąż ku  
i acały się ich myśli. Wtem Hrabia zwolnił, zatrzy-  
i ówkę i z uśmiechem, który rzadko gościł na jego  
arystokratycznej twarzy, sięgnął do przepastnej  
kąd wydobył metalową piersiówkę.

' wica, przyjaciele. - Głos lekko mu drżał. - Śliwo-  
ini świadkiem, że wszyscy trzej zasłużyliśmy dziś  
I dlatego że ze sto razy mało nie umarłem; ostatni  
'iasz tu obecny przyjaciel chciał mnie wsypać w

naczelnika, a wy, ponieważ jesteście przemocze-  
' cię z zimna i inaczej nabawicie się grypy. Podej-  
/" że nie traktowano was zbyt uprzejmie. Mam  
odpowiedział Jansci, gdyż Reynolds rozkaszał Kogi  
wydobyć z siebie głosu; rozgrzewający tru-  
'o z wdzięcznością pociągnął spory haust, palił łyk. -  
Te same środki chemiczne, które zwykle  
iż jeszcze nowy, dopiero niedawno wynaleziony; iak  
wiesz, kąpiel parowa,  
skinął głową.

'iclno się było tego domyślić. Nie mieliście zbyt  
min, kiedy was przyprowadzono. Prawdę mó-  
wiło mnie, że w ogóle możecie jeszcze chodzić;  
j > i lyna rzecz, jaka podtrzymywała was na duchu,  
to

Kność, że zjawię się lada moment.

linę - rzeki z uśmiechem Jansci, pociągając łyk śli-y,  
Izy zakreśliły mu się w oczach i zaczął łapać ustami  
le. - Trucizna, czysta trucizna, ale nigdy nie piłem le  
dobrego! \

i wile, kiedy nic nie jest w stanie zastąpić dobrego  
.ekl Hrabia, przechylając piersiówkę.

idjął ją od ust, nawet się nie skrzywił, zupełnie |i ' i  
me śliwownicę, lecz wodę.

190 • Alistair MacLean

- No, postój był nam potrzebny, ale teraz ntui-i chać;  
czas działa na naszą niekorzyść.

Schował piersiówkę do kieszeni, zwolnił spmr no  
ruszył z miejsca na pierwszym biegu. Reyrio! chciał



się sprzeciwić, musiał podnieść głos, zol' słyhać ponad wzmożonym warkotem silnika.

- Jeszcze nie; musi pan nam opowiedzieć...

- To was nie ominie - rzekł Hrabia. - Ale po/ opowiem wam w drodze. Później zrozumiecie, cll> tak spieszę. Co się tyczy wydarzeń dzisiejszego <ln ba zacznę od tego, że zakończyłem prace w AV< > przykrością, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył Jansci. - Czy ktoś i > wie?

- Furmint chyba się domyśla. - Hrabia nic i oczu z wąskiej drogi, pilnując się, żeby nie straci, i nią nad ciężarówką, która ślizgała się po oblod Nie złożyłem pisemnego wymówienia, co prawd nieważ zostawiłem go związanego i zakneblow;in< go własnym gabinecie, zapewne nie ma wątpliwi i zamierzam pokazać się więcej w pracy.

Reynoldsa i Jansciego dosłownie zatkało; nic się tak długo, że w końcu Hrabia spojrział na ni. I gając w uśmiechu cienkie wargi.

- Związałeś Furmintę?-spytał wreszcie Jansi wem w głosie. - Furmintę, swojego szefa?

- Mojego byłego szefa - poprawił go Hrabia. Ale zaczną od samego początku. Przekazałem wam mość przez Kbzaka; czy on i opel dotarli bezpiec/n

- Tak.

- To istny cud, zważywszy na to, jak ruszał, l'« łem mu, że wysyłają mnie z kontrolą do Gódóllo i mieli tam poważne problemy z różnymi eln. antysocjalistycznymi. Myślałem, że Hidas osoln tym zajmie, ale wyjaśnił mi, że ma ważną spra\\ Więc

pojechaliśmy do Gódólló; ośmiu szereg<>  
kcionarłuszy, ja i kapitan Kalman Zsolt - gość ui m •  
gumową pałką, ale innych talentów mu brak. \ byłem  
trochę niespokojny, bo zanim wyruszyli M n

.....

Ostatnia granicą • 191

lakoś tak krzywo na mnie spojrział. Niby nic w o,  
facet jest podejrzliwy jak cholera, nie ufa  
11 ej żonie, ale mimo wszystko trochę się zanie-  
"i zaledwie tydzień temu chwalił mnie, że je-./ym  
oficerem AVO w całym Budapeszcie.

niezrównany! - powiedział Jansci.

i K-. W każdym razie kiedy zbliżaliśmy się do nit  
nagle zdradził mi pewną ciekawostkę, mimochodem,  
że rozmawiał rano z szoferem ;;U>rego dowiedział  
się, że pułkownik wybiera nią Szarhazy; dziwił się,  
po co Hidas jedzie do i Mówił coś tam jeszcze, nawet  
nie pamiętam /.częście nie patrzył na mnie, bo moja  
mina .o jeszcze bardziej. O mało nie palnąłem się w  
'reszcie wszystko zaczęło mi się układać w capiałem  
po co wysłano mnie do Gódólló, to po-  
i 'ojrzenie szefa, kłamstwo Hidas, zrozumiałem k  
łatwo odkryłem miejsce pobytu profesora i /  
najmniejszych problemów udało mi się za-ibinetu  
Furminta po dokumenty i pieczęcie. >M zafundować  
sobie ze złości tęgiego kopniaka, i ody przypomniałem  
sobie, że Furmint tylko po i mnie wychodząc, żeby  
powiedzieć, że właśnie na spotkanie z jakimiś  
oficerami; chciał, że-al, że jego gabinet stoi przede  
mną otworem, c było to w porze obiadowej, kiedy

jego sekre-ież wychodzi... Jak się połapali, że prowadzę :rę, nie dowiem się nigdy. Przysięgam, jeszcze nu uważali mnie za najbardziej godnego zaufa-w całym Budapeszcie. Ale mniejsza. Musiałem iiko i zdecydowanie; wiedziałem, że wszystkie i už popalone i nie mam nic do stracenia. Zało-vlko Furmint i Hidas o mnie wiedzą, i że nie •y l i Zsolta - to taki osioł, że strach go w cokol-niniczać,apozatymobaj są tacy nieufni, że jeśli •mu nic nie mówią. - Uśmiechnął się szeroko. -koro się okazało, że najlepszy oficer ich zdra-logli wiedzieć, czy inni też tego nie robią? przyznał Jansci.

192 • Alistair MacLean

- Właśnie. Kiedy przyjechaliśmy do-Gódóllo, u udaliśmy się do ratusza - a nie do lokalnego biura ich też mieliśmy skontrolować - wyrzuciliśmy bum na zbity pysk i rozlokowaliśmy się w jego gabinecie zostawiłem Zsolta na górze, a sam zszedłem do n| ludzi; poleciłem im włączyć się do piątej po kawiail. barach, narzekać na swoją robotę, robić co tylko i mocy, żeby sprowokować ludzi do wywrotowej ni| Uwielbiają takie zajęcia. Dałem im tyle forsy, że do \ ra będą chlać po knajpach. Następnie wróciłem podniecony do gabinetu burmistrza i powiedziałriK towi, że odkryłem coś niezmiernie ważnego. Nic nawet co, tylko z błyskiem w oku pognął ze mną. góry ciesząc się na awans. - Hrabia zakasłał. - Po/w< że pomnę te bardziej przykre partie. W każdym i'it|

**pitan Zsolt został zamknięty w piwnicy w pod/it ratusza. Nie jest związany, nie jest ranny, ale bcv do przecięcia drzwi nie dadzą rady go oswobod/ic Hrabia umilkł, zatrzymał ciężarówkę i wysiud| przetrzeć szybę. Od kilku minut padał gęsty śnli Jansci i Reynolds byli tak pochłonięci opowieściami.] wet tego nie zauważyli.**

**- Zabrałem biedakowi dokumenty - ciągnął dult bia: siedział z powrotem w szoferce i prowadził c i kę. - Czterdzieści pięć minut później, po jednym kl postoju na kupno sznura do bielizny, dotarłem do t\ siedziby AVO, i po chwili byłem już w gabinecie Kuit To że udało mi się tam dotrzeć, w pełni potwierd/aK podejrzenia, że Furmint i Hidas nie podzielili s i v / swoimi domysłami. Wszystko było wręcz dziecinnie Nie miałem nic do stracenia, dotąd nikt mnie olhj nie oskarżył, a nic nie daje tak dobrych rezultal tupet i bezczelność. Na mój widok Furmintowi opadła szczęka; nim zdołał zamknąć usta, wpakowali między zęby lufę rewolweru. Ma wokół siebie do <l( trochę różnych przycisków, żeby w razie czego kogoś na pomoc, lecz w tej sytuacji nie zdały s iv Zakneblowałem go i zmusiłem, żeby pod moje (l\k| napisał list. Facet jest odważny, opierał się, ale lula Ostatnia granica • 193**

**.ciskająca mu się w ucho szybko go przekonała, żeby | uwoje zasady. List był adresowany do naczelnika y, który zna pismo Furminty prawie równie dobrze IH', a dotyczyło wydania was obu mnie, czyli kapi-**

•oltowi. Furmint podpisał list, przystawił kolejno |  
pieczęci, jakie tylko miał w gabinecie, po czym J  
koperty, na której przybił jeszcze jedną pieczęt-|  
osobistą, znaną zaledwie garstce ludzi w całych ....  
choć o tym nie wiedział, ja, na szczęście, \_l nit? do  
nich zaliczałem. Miałem dwadzieścia me-ntira i  
kiedy skończyłem wiązać Furmintą, przypo-|  
IKilcron. Mógł ruszać tylko oczami i brwiami i  
bardzo < /nie zaczął nimi ruszać, kiedy sięgnąłem po  
tele-in od gorącej linii między jego gabinetem i  
więzie-liirhazy, i odbyłem rozmowę z naczelnikiem,  
naśla-

• perfekcji głos związanego komendanta. Chyba w  
nrncie domyślił się powodu wielu dziwnych rze-  
działy się w ciągu ostatniego roku. WT każdym  
powiedziałem naczelnikowi, że wysyłam po  
ftw kapitana Zsolta i że daję mu pisemne upoważ-  
porządzone własnoręcznie i z moją osobistą pie-i  
kopercie, żeby nie było żadnych wątpliwości.  
o gdyby Hidas nadal był w Szarhazy? - spytał ..'ls. -  
Wyszedł zapewne chwilę przed pańskim tele-> Kir  
by się nie stało. - Hrabia machnął lekceważąco  
Cpo czym natychmiast znów chwycił kierownicę,  
lv/arówka skręciła nagle w stronę rowu. - Rozkazał-i  
was zabrać, po czym napadłbym na niego po dro-  
l(o/.mawiając z naczelnikiem, zakasłałem i kich->are  
razy; starałem się mówić tak, jakbym miał <iypke.  
Wspomniałem mu, że łapie mnie przezię-1 iałem  
swoje powody. Po tej rozmowie połączyłem u-tarką  
Furminta. i oświadczyłem, że nie wolno mi |t,i(l/.ać

przez najbliższe trzy godziny, nawet gdyby II sam minister. Brzmiałem tak groźnie, że wystraszony; wiedziałem, że nie odważy się zlekceważyć mojej ciii. Furmint o mało nie dostał apopleksji. Potem, udając komendanta, zadzwoniłem do dyspozytora i

194 • Alistair MacLean  
poleciałem, żeby natychmiast podstawiono pod brzo-  
żarówkę dla majora Howartha i przydzielono mu kierowcę  
oraz trzech ludzi; oczywiście wcale ich nie chciał  
potrzebni byli dla większego realizmu. Wepchnąłem  
mintę do szafy na akta i zamknąłem ją na klucz, wy-  
szedłem z gabinetu, przekręciłem klucz w zamku i zabrałem  
No i pojechałem do Szarhazy... Ciekawe, o czym  
teraz Furmint i Zsolt? I czy ci avocy, których pozostawiam  
w Gódólló są jeszcze trzeźwi? Wyobrażacie sobie  
Hidasa i naczelnika, kiedy zorientują się, co się  
Hrabia uśmiechnął się marzycielsko. - Gały dzień  
bym myśleć tylko o tym.

Przez następne kilka minut jechali w milczeniu  
stawał się coraz gęstszy, coraz bardziej zasłaniał  
noś, więc Hrabia skupił całą uwagę na prowadzeniu  
jazdu. Pod wpływem ciepła w szoferce bijącego z silnika  
oraz kolejnych łyków śliwownicy, Reynolds i  
czuli jak ich przemarznęte ciała powoli się roz-  
dreszcze były coraz rzadsze, aż w końcu ustały, i  
niałe ręce i nogi kłuły ich tysiące cieniutkich znak,  
że krążenie wraca. W milczeniu wysłuchiwał śmiechu  
Hrabiego i teraz nadal siedzieli w ciszy: Reynolds  
wiedział co powiedzieć, brakowało mu słów, żel  
podziw dla tego niezwykłego człowieka oraz wolał za

to, że ich ocalił. Podejrzewał zresztą, że gdyby  
dziękować, Hrabia wyśmiałby go i obrócił wszy.1!

- Czy widzieliście wóz, którym Hidas przyjechał i tał  
nagle Hrabia.

- Ja widziałem - odparł Reynolds. - Czarny /1 jak  
stodoła.

- Dobra, już wiem. Specjalna stalowa karosi odporne  
szyby. - Hrabia zwolnił i skręcił na i stronę kępy  
drzew. - Mało prawdopodobne, że b> rozpoznał  
służbowej ciężarówce i nie zainteres dokąd jedzie.  
Zobaczymy, jak się rzeczy mają.

Zatrzymał ciężarówkę za drzewami i wyskocz) l , ki;  
Reynolds i Jansci również wysiedli. Pięćd/.n i trów  
dalej droga łączyła się z szosą, którą pokryw a li  
Ostatnia granica • 195 warstwa świeżego śniegu, bez  
żadnych śladów

ly pada, nic tędy nie przejeżdżało - powiedział  
ne - rzekł Hrabia, spoglądając na zegarek. -y  
godziny, niemal co do minuty, odkąd Hidas  
• Szarhazy, a mówił, że wróci za trzy godziny.  
iwinien się tu pojawię.

warto zastawić szosę ciężarówką i go zatrzymać?  
i'ynolds. - To by opóźniło obławę o kilka godzin.  
/ żalem pokręci! głową.

Też o tym myślałem. Ale po pierwsze ci czterej,  
stawiliśmy w lesie, w ciągu godziny, a najdalej  
lak dojdą do Szarhazy. Poza tym żeby dostać się  
mcernego zisa, potrzebny byłby dynamit, albo  
iiej łom; ale nie to jest najważniejsze. Problem  
tym, że przy takiej pogodzie kierowca zisa nie

/czasu ciężarówki i wpadnie na nią, a ten zis  
v tony. Rozwali ciężarówkę, a musimy ją mieć do  
K-czki.

przejechał tędy wkrótce po tym gdy skręciliśmy,  
,: zaczął padać - powiedział Jansci.

\ kluczone - rzekł Hrabia. - Ale poczekajmy jesz-  
nadstawił uszu; w tym samym momencie Rey-  
usłyszał cichy, choć raptowanie wzmagający się  
leżnego wozu.

/dążyli zejść z szosy i schować się za kępą drzew.

i.iący samochód, niewątpliwie czarny zis Hidas, 11  
obok, szerokimi, przeciwśnieżnymi oponami  
tumany śniegu, i błyskawicznie znikł im z oczu.

dojrzał z przodu kierowcę, a z tyłu Hidas i /.cze  
jakaś drobną, przygarbioną sylwetkę, lecz

•.'.o pewien. Wsiedli pędem do ciężarówki i wje-  
'osę; czas uciekał, obława mogła ruszyć w każdej i  
;ibia ledwo wrzucił czwórkę, a znów zaczął redu-  
r,i. i zatrzymał ciężarówkę przy niewielkim lesie;  
,'ami biegły ukosem druty telegraficzne. Niemal 1 .ist  
z lasu wybiegło dwóch mężczyzn, każdy niosąc  
iiiiiif

196 • Alistair MacLean

pod pachą jakieś pudło; od stóp do głów przypi4  
śniegiem, wyglądali jak pędzące bałwany. Widm'  
szybę Janskiego i Re,ynoldsa, pomachali do nich.  
chając się szeroko; byli to Sandor i Kozak, którzy l'  
szyli się na widok przyjaciół, jakby już dawno pne  
ich w myślach. Wdrapali się do skrzyni ciężarówki <



sprawnie, zważywszy na to, że byli zupełnie skn- zimna; po piętnastu sekundach pojazd znów był \v i Otworzywszy okienko między szoferką a skrzynią dor z Kozakiem zaczęli zasypywać ich pytaniami i tir wać Jansciemu i Reynoldsowi ucieczki z Szarha/\ Hrabia podał do tyłu swoją piersiówkę i Jansci, ku jąć z chwilowej przerwy w rozmowie, spytał:

- Co jest w tych pudłach, które nieśli?

- W mniejszym zestaw do podłączania się do Unii fonicznej - wyjaśnił Hrabia. - Standardowe wyp<m| wozów AVO. Po drodze wstąpiłem do karczmy w dałem pudło Sandorowi; kazałem mu pójść do la»u| bliżu Szarhazy, wspiąć się na słup i podłączyć do i linii telefonicznej między więzieniem a gabined minta. Gdyby naczelnik coś podejrzewał i chciał nic do komendanta AVO. Sandor udałby Furminla, l dziłem go, żeby mówił przez chustkę do nosa, udaj« ziębionego; naczelnik wiedział z rozmowy ze mną, l niint ma chrypę.

- Boże! - Reynolds nie krył swojego podziwu, siał pan o wszystkim!

- Chyba rzeczywiście tak - oświadczył skromnie l| - W każdym razie, to zabezpieczenie okazało sic naczelnik, jak sarni widzieliście, dał się kompletu brać. Jedyne, czego się naprawdę bałem, to że cl| avocy, których zabrałem z sobą, będą mnie nazywuO rem Howarthem, a nie kapitanem Zsolteru, tak jak l kazałem. Ostrzegłem ich zawczasu, że jeśli sio Furmint osobiście wytłumaczy im, dlaczego to niezmiernie istotne, żebym występował pod innym j

skiem i osobiście wlepi im odpowiednią karę... W i pudle są cywilne ubrania dla was, które Sandor /ii Petoli. Za chwilę zatrzymam się, więc będziecie j Ostatnia granica • 197

> tyłu i zrzucić te mundury. No. panowie, polowa- ii/. się rozpoczęło, albo rozpocznie lada moment; ' porządnie wezmą się do dzieła. Wszystkie drogi MH zachód, od szos po ścieżki rowerowe, zostaną iine. Niech się pan nie czuje niedowartościowa-llcynolds, ale generał Iljuriu to największa ryba, kiedykolwiek zastawiali sieci. Będziemy mieli jeśli zdołamy ujść z życiem obławie; nie daję wielkich szans. Więc co robimy dalej? no miał gotowej propozycji. Jansci siedział pa-' przed siebie. Jego pomarszczona twarz pod • h włosów była zupełnie spokojna: Reynoldsowi ' nawet, że generał się lekko uśmiecha. Jemu a: jeszcze nigdy w życiu nie było tak daleko do . spoglądając na ciągnące się w nieskończoność pustkowiec za oknami ciężarówki, przeprowadzał I M rachunek sukcesów i porażek, jakie odniósł od i<i7,ybycia na Węgry. Nie miał żadnych powodów do II dumy. Po stronie aktywów mógł wymienić nawią- kontaktu z Jariscim i jego ludźmi, a następnie z l«ncin, ale nawet tych sukcesów nie zawdzięczał so- >Un Hrabieciu. Kiedy przeszedł do pasywów, aż się »il w myślach, bo lista była nieprzyjemnie długa: dał H»v.ytać zaraz po przybyciu na Węgry; nie wykrył pod-Iti i spaprał całą robotę, a w dodatku zrobił avokom prezent w postaci taśmy z nagraniem rozmowy; wszedł w pułapkę zastawioną przez

Hidasa i Jansci ze i ludźmi musiał go odbijać; uległ środkom chemicznym i Jansci znów go ratował; o mało nie przyjął i siebie, kiedy zareagował tak żywił Hrabiego w gabinecie naczelnika więzienia, a o tym wszystkim, aż skręcał się ze wstydu. To i profesora odsyłano ciupasem do Rosji, to profesor miał nie zobaczyć więcej żony i syna, a Hrabia musiał się zdemaskować i i'wójnej gry, której organizacja Janskiego zawdzięcza funkcjonowanie; to przez niego Jansci o ule stracił życia, co z pewnością bardzo nieprzychylnie do niego córka generała, kiedy się dowiedzie o ich

198 • Alistair MacLean

przejściach. Po raz pierwszy Reynolds przyznał sobie, że stosunek Julii do niego nie jest mu obojętny, a dłuższą chwilę rozmyślał tylko o tym, a potem fizycznym wysiłkiem odsunął od siebie wszelkie sprawy związane z dziewczyną. Kiedy się odezwał, miała podjętą.

- Jest coś, co muszę zrobić, i muszę to zrobić sami \*i powoli. - Chcę znaleźć pociąg. Pociąg, którym..  
- My też.- Hrabia uśmiechając się radośnie od ucha, wyrzucił pięścią w kierownicę z taką siłą, że jej nie złamał. - My też chcemy, chłopcze. Proszę na Janskiego; od dziesięciu minut nie myśli o ni czym. Reynolds spojrzął szybko na Hrabiego, a potem niósł wolno wzrok na generała. Zobaczył, że nie wcześniej,

**kiedy wydało mu się, że Jansci lekko sio cha; teraz dosłownie szczyrzył zęby.**

**- Znam ten teren jak własną kieszeń - powiod/łfl mai przepraszająco generał. - Jakież pięć kilor wstecz zorientowałem się, że Hrabia skręca na polu ponieważ nie wyobrażam sobie, żeby w Jugosławi i |> nas ciepło...**

**- Nie, nie zgadzam się.-Reynolds gwałtownie nął głową. - Muszę to zrobić sam. Wszystko, czego H: dotknąłem, poszło źle; cud, że wszyscy jeszcze nie wałście przeze mnie w obozie koncentracyjnym, p nym razem nie zjawi się Hrabia z ciężarówką, pociągiem jedzie profesor?**

**- Chcesz to zrobić sam? - spytał Jansci.**

**- Tak. Muszę.**

**- Oszalał! - stwierdził Hrabia.**

**- Nie mogę ci na to pozwolić. -Jansci potrząsnął grzywą. - Postaw się w mojej sytuacji. Moje polni egoistyczne, przyznaję. Ale wyrzuty sumienia nie poi łyby mi spać spokojnie, gdyby coś ci się stało. - Ski' wzrok na szybę. - A co gorsza, moja córka nigdy by nie wybaczyła.**

**- Nie rozumiem...**

**ni;, że pan nie rozumie - wtrącił jowialnie Hra- i ic całkowite oddanie się misji może być godne i-hoć ja, szczerze mówiąc, wcale tak nie uwa- yni pana zupełnie ślepym na sprawy, które dla**

\* (h i bardziej doświadczonych, są oczywiste. ni1  
traćmy czasu na spory. Podejrzewam, że puł-n las  
odwiedził już zacnego naczelnika i wpadł w  
.Uniści? M s domyślił się, że Hrabia pyta generała o  
decy-

wszystko co trzeba? - upewnił się Jansci. i a Inie -  
odparł Hrabia urażonym tonem. - Przez i minuty  
rozmawiałem z naczelnikiem, zanim 1. n iwadzono.  
Nie zmarnowałem tych minut.

r tak, Michael. Albo zgodzisz się na naszą po-  
11 ie przekazemy ci informacji. • 1.1 m razie nie  
mam wyboru - powiedział z goryczą  
lek inteligentny zawsze wie, kiedy ustąpić -  
/.adowoleniem Hrabia.

11 na hamulec i wydobył z kieszeni mapę. Różło-  
/eby Sandor i Kozak widzieli ją przez okienko,  
^kazał palcem jakiś punkt.

Właśnie tutaj zamierzali wsadzić profesora do pewne  
już to zrobili. Miał jechać wagonem docze-M,I końcu  
składu.

rlnik wspominał coś o tym - rzekł Jansci,. - Mó-i  
"leserowi będzie się jechało całkiem wygodnie,  
"dnie? Ładne mi wygodnie! Przede mną naczel-  
•o nie owijał w bawełnę; mieli załadować profe-  
ugonu, jakim zwykle wozi się więźniów, czyli takiego  
samego, jakim transportuje się bydło. -alcem po linii  
torów aż do miejsca, w którym szosę wiodącą z  
Budapesztu na południe; znaj-<: tam miejscowość o  
nazwie Szekszard, położona < >iat kilometrów na  
północ od jugosłowiańskiej Pociąg zatrzymuje się

tutaj. Dalej tory biegną na 'i' • równoległe do szosy aż po Bataszek, gdzie pociąg H> po czym skręcają na zachód w stronę Peczu i

200 • Alistair MacLean .  
oddalają się od szosy. Akcję trzeba przeprowadzić Szekszardem a Peczem, panowie. Problem w tym zwykły pociąg pasażerski. Ohoć z zasady nie mam i ciwko wysadzaniu pociągów, nie chciałbym ryzykować życia kilkuset moich przybranych rodaków.

- Czy mogę zobaczyć mapę? - poprosił Reynold

Była to mapa drogowa sporządzona w dużym, zaznaczonym fizycznym układem terenu, rzekami i miastami...

Wpatrując się w nią z rosnącym podnieceniem nold cofnął się pamięcią czternaście lat, do czasu był najmłodszym wiekiem oficerem w komandzie wtedy pewien szalony pomysł, który teraz można wtórzyć...

'Wskazał na mapie punkt położony niedaleko od Peczu: w tym miejscu szosa wiodąca z Szekszardem; << która przez czterdzieści kilometrów biegła daleko, znów się do nich zbliżyła. Spojrzał na Hrabia'

- Damy radę dojechać tu przed pociągiem?

- Jeśli dopisze nam szczęście, jeśli nie nadaje się blokadę i jeśli Sandor obieca wyciągnąć ciężarówkę, gdybym wpadł w poślizg, to nie widzę problemu

- Świetnie. W takim razie mam plan. - Szybko i wyłuszczył im swój projekt. - Co wy na to?

Jansci pokręcił wolno głową. Hrabia uczynił to «i

- Nierealne - oznajmił z przekonaniem. - Niewykonalne.

- Już raz to zrobiono. W Wogezach, w czterd/n  
czwartym. Dzięki temu udało się wysadzić skład aniu  
Wiem o tym, bo tam byłem. Macie lepszy pomysł?  
Nikt nie powiedział, więc po chwili Reynohl-,  
zabrał głos.

- Sami widzicie. Tak jak zauważył Hrabia, intelle  
człowiek zawsze wie, kiedy ustąpić. Tracimy tylko o/

- To prawda. -Jansci podjął decyzję. - Musimy HI>  
wać.

Hrabia skinął głową.

- Zgodzą - rzekł. - Idźcie szybko się przebrać i  
ruszamy. Pociąg dojeżdża do Szekszardu za dwad/  
minut; ja dojadę w piętnaście.

Ostatnia granica • 201 „v tylko avocy nie dojechali w  
dziesięć - rzekł ponu-

'S' L wbrew sobie obejrzał się przez ranę.  
/leszcze nie widać powracającego Hida-

## Rozdział dziesiąty

Wiekowy pociąg pędził po wytartych szynach, t się i  
niepokojąco kołysząc; ilekroć silniejszy podmut' tru  
ze śniegiem, wiejącego z południowego wschód rżał  
go prostopadle w bok, cały skład wyraźnie się pri lał  
i - podczas gdy podróżnym serca podchodziły (l -  
zdawał się balansować na jednej szynie. Koła pod  
wały na nierównych złączach szyn z przeraźliwym, n  
cznym zgrzytem, od którego pasażerów przechod/il\  
ki; zawieszenie wagonów, porządnie nadgryziona /  
czasu, w najmniejszym stopniu nie niwelowało \\il>

Wiatr ze śniegiem wpadał z gwizdem przez dziesiątki  
| ( w źle dopasowanych drzwiach i oknach, ścianki  
\v:i!"<<l jęczały niczym kadłub ciskanego przez fale  
źnci" drewniane siedzenia trzeszczały, lecz wiekowy  
pocui< ustannie posuwał się naprzód przez gęsty  
śnieg, br/ rwy sypiący z nieba tego popołudnia, choć  
czasami >niał niespodziewanie na zupełnie prostych  
odcink;u li nagle przyspieszał na ostrych,  
niebezpiecznych maszynista, który co rusz pociągał  
za gwizdek, gdy> dźwięk - stłumiony przez śnieg -  
niósł się nie dalej. j 11 sto metrów, najwyraźniej miał  
pełne zaufanie zarówno pociągu, jak i do swoich  
umiejętności oraz znajon trasy.

Reynolds, zataczając się raz w lewo, raz w prawo, k  
szedł szaleńczo kołyszącym się korytarzem, bynajn  
tego zaufania nie podzielał, lecz co innego zaprzętało  
chwili jego myśli; zastanawiał się, czy uda mu się  
wy\\ l z zadania, którego się podjął. Kiedy wyluszczał  
po/o-, swój plan, miał przed oczami pogodną, letnią  
noc, rozświetlone gwiazdami i starą ciuchcie  
posuwają wolno między zalesionymi wzgórzami  
Wogezów: dziesięć minut po tym, jak on i  
Jansci kii| Szekszardzie bilety i nie zatrzymywani  
przez nikogo

Ostatnia granica

203

\* 1

I M-tłjgu, wiedział już, że to, co ma zrobić, co musi  
l. )«-Ht po prostu niewykonalnym koszmarem.



i zadanie było całkiem proste. Miał uwolnić pro-  
łrlii to uczynić, musiał odłączyć ostatni wagon od  
[(kładu. W tym celu należało zatrzymać pociąg, bo  
iir dałby rady wyciągnąć czopu z cięgła łączącego  
wagon z wagonem służbowym, w którym jechali  
PUC i. A zatem musiał dotrzeć do lokomotywy, co w  
sobie wydawało mu się w tej chwili zadaniem »lly. po  
czym wpłynąć na maszynistę i palacza, żeby  
itwiednim momencie zatrzymali pociąg. Pomyślał lc,  
ii: nie bardzo wie, j ak ma na nich "wpłynąć". Jeśli  
»U- przyjaźnie nastawieni, może uda mu się ich po  
przekonać. Może też próbować ich nastraszyć; wie-  
•dnak, że do niczego nie będzie w stanie ich zmusić,  
itmówią wykonania jego poleceń, nie poradzi sobie,  
i- lokomotywy stanowiło dla niego zagadkę, a poza  
wet dla ratowania profesora nie mógł zastrzelić lub  
pozbawić przytomności maszynisty oraz palacza, m  
samym kilkuset niewinnym pasażerom groziłoby .!.o  
albo śmierć. Głowiąc się nad tym, poczuł, że i uo fala  
przygnębienia, która skuwa mu lodem mózg;  
ickszym wysiłkiem odepchnął od siebie ponure my-  
ystko po kolei; będzie się zastana wił, co dalej, kie-i  
idzie się w lokomotywie. Na razie musi do niej  
o c-i l właśnie na tylny pomost wagonu, chwyciwszy  
'Iną ręką poręcz - drugą miał w kieszeni,  
podtrzymy-itiii młotek i latarkę, które wypychały  
mu płaszcz ->!.•. nagle wpadł na Janskiego. Generał  
mruknął coś • i'1'aszajaco, jakby potrącił kogoś  
obcego, po czym zro-I ».rok do przodu, żeby  
sprawdzić, czy korytarz, którym pl'.'c(U Reynolds,

jest pusty, a następnie cofnął się i w(l/.ił, czy nikogo nie ma w toalecie; dopiero wtedy .viii się cicho. W porządku? Nie bardzo - odparł Reynolds. -  
Interesują się mną.

Kto?

204 • Alistair MacLean

- Dwaj faceci. Ubrani po cywilnemu, w pasami prochowcach, głowy gołe. Szli za mną w jedniw drugą stronę. Bardzo dyskretnie. Gdybym się bac/iii< rozglądał, nic bym nie zauważył.

- Stań na korytarzu. Daj mi znać...

- Właśnie idą - szepnął Reynolds.

Jansci wszedł szybko do toalety i przymknął d n. w Q stawiając tylko wąską szparkę. Dwaj mężczyźni, zalnn się, zbliżyli się do Reynoldsa; kiedy go mijali, \v\H nich, o wyjątkowo bladej twarzy i ciemnych oczach. | trzy! obojętnie na Anglika; drugi w ogóle na nici spojrział.

- Fakt, interesują się tobą. -Jansci wyłonił się 7. tu dopiero kiedy obaj mężczyźni znikli im z oczu. - Co UQ skapowali się, że o tym wiesz. Powinniśmy byli pr dzieć, że w czasie trwania konferencji wszystkie po< zarówno te przyjeżdżające do Budapesztu, jak i od)« jące, będą skrupulatnie obserwowane.

- Myślisz, że to avocy?

- Niestety, tak. Ten bladej to jeden ze zbiró.w Ill<l niebezpieczny jak żmija. Drugiego nie znam.

- Pewnie też go Hidas tu wydelegował. Kiedy doh.f Szarhazy...

- Nie, ci dwaj jeszcze nic nie wiedzą o ucieczce. A l dwóch dni wszyscy avocy na Węgrzech mają twój ry

- A więc to tak. - Reynolds pokiwał wolno głon

Oczywiście... A ty czego się dowiedziałeś?

- W wagonie służbowym jedzie trzech konwojci nigdy nie jeżdżą w jednym wagonie z więźniami. Si< razem z kierownikiem pociągu przy rozpalonym plf popijają wino z butelki.

- Poradzisz sobie z nimi?

- Tak sądzę. Ale jak...

- Schowaj się! - szepnął Reynolds.

Stał oparty o okno, z obiema rękami w kiedy zbliżyli się do niego ci sami dwaj mężczyźni co pr tem.

Spojrzał na nich obojętnie, unosząc lekko jedną i po czym spuścił oczy; podniósł je dopiero wtedy, gdy

Ostatnia granica • 205

odprowadził ich wzrokiem aż na początek wagonu;

•i-znikli.

• ma psychologiczna - rzeki Jansci.-- Mamy prob-

. ni nie jeden. Nie mogę się dostać do trzech pier-H< n wagonów.

il»n»<.'i popatrzył na niego pytająco. t Wojsko -

wyjaśnił Reynolds. - W trzech pierwszych •Mnich

jadą żołnierze. Wartownik powiedział mi, że T i nie wolno mu wpuszczać. Kiedy nie patrzył, spróbo-

ntworzyć drzwi, ale są zamknięte na klucz. l

/.ewnątrz. -Jansci pokiwał głową. -Wiozą poboro-uie chcą, żeby któryś za wsześnie wrócił do życia w Więc

co robimy, Michael? Ciągniemy za hamulec? i!

Sprawdziłem wszystkie wagony; nigdzie nie ma

w. Coś wymyślę. Muszę. Gdzie siedzisz? W trzecim wagonie od końca.

! przedzę cię dziesięć minut przed przystąpieniem do |t No, muszę już iść. Ci dwaj wrócą lada moment. i l>obrze. Za pięć minut przejeżdżamy przez Bataszek. ' } pociąg się zatrzyma, to znaczy, że Hidas domyślił się < h planów i zadzwonił na stację. Wtedy wyskakuj na

•mykaj,

racają - szepnął Reynolds.

.imał się od okna i ruszył do przodu naprzeciw avo-  
i'ym razem obaj popatrzyli na niego; ich oczy pozba-  
l>yly wszelkiego wyrazu. Zastanawiał się, ile czasu  
lriii>' /.anim wreszcie się na niego rzucą. Zataczając  
się i •• • uszedł szybko przez dwa kolejne wagony i  
wszedł '.• -y Znajdował się teraz na końcu czwartego  
wagowi z kieszeni młotek, latarkę, schował je do  
trójkąt-i i- pod popękana, żelazną umywalką, po  
czym prze-' 'ń do prawej kieszeni i zacisnął dłoń na  
kolbie. • jego belgijski pistolet z tłumikiem - ten  
został iny przez Hidasą -- lecz rewolwer Hrabiego.  
Miał że nie będzie musiał się nim posłużyć. Ale wszy-  
ało od następnego kroku śledzących go avoków;  
broni mogło okazać się konieczne.

206 • Alistair MacLean

Byli już na przedmieściach Bataszku i nagle Jir<  
zdał sobie sprawę, że pociąg jedzie znacznie w  
następnej chwili musiał się przytrzymać ściany,  
polecieć do przodu, gdyż maszynista rozpoczął nie.

Zaciskając mocno palce na kolbie, wyszedł / stanął na środku pomostu, niepewny z której stresie peron. Sprawdziwszy, czy broń jest odbezpieczona; • kał w napięciu, czując jak serce wali mu młotem I wciąż zwalniał; nagle wagonem szarpnęło gwałtownie przetaczali się przez zwrotnicę. Całe szczęście /<• nolds złapał się poręczy, bo po chwili syk hamulców u rozległ się ostry gwizd i pociąg zaczął raptownie pisać; rząd zamazanych świateł na stacji i Bataszek ni i n oknem, po czym znów wszystko skryła białoszara kł>< padającego śniegu.

Reynolds rozluźnił zaciśnięte palce. Choć na powierzchni było przeraźliwie zimno, czuł, że kołnierz koszuli męskiej i od potu. Prawą dłoń, w której trzymał rewolwer, I r zupełnie moką. Podchodząc do drzwi po lewej wagonu, wydobył ją z kieszeni i wytarł o płaszcz. Szarpnął za uchwyt i otworzył okno w drzwiach jednak zasunął je z powrotem i cofnął się, żeby oczy; przez chwile nic nie widział, był tak oślepiomgiem. który wiatr z gwizdem wmiótł do środka i ci.-u , prosto w twarz. Oparł się o ścianę i zapalił papierem%,i mu drżały.

Sytuacja była beznadziejna, całkiem beznadziejna/ Wiatr dochodził do siedemdziesięciu, osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a pociąg poruszał się z mniej \< taką samą prędkością, prostopadle do kierunku wiatru składało się na isticie sztormowe warunki-niemal pnie ściana śniegu z wyciem tłukła o szybę. Skoro stojąc b> cznie w wagonie Reynolds nie wytrzymał naporu / a twarz dłużej niż przez ułamek sekundy, to jak

mó<sup>1</sup> kilka długich minut wytrzymać warunki na zewna to, czy przeżyje, zależałoby od każdego ruchu, jaki

Bezlitośnie odsunął te myśli na bok. Przeszedł przez harmonijkę między wagonami i wyjrzał na k< Avoków ani śladu. Wrócił na pomost, podszedł do di Ostatnia-granica

'\*vnoj stronie niż uprzednio i uchylił je ostrożnie, nienie próżniowe nie wyssało go na zewnątrz, 11 wielkość otworu, w który wchodzi zasuw, za- ilrzwi, Upewnił się, czy okno dobrze się otwiera i ' zamknął, się w toalecie. Z drzwiczek szafki pod i.;i odciął nożem sprężynowym kawałek drewna i nie wystrugał z niego kolek, odrobinę szerszy od Ma zasuwę, i czym prędzej opuścił toaletę. Zależało m, żeby jego dwa cienie znów go zobaczyły; bał się, M l czasu do czasu nie będą go widywać, to wzniesą 'aczną go szukać po całym pociągu, biorąc do olnierzy, których w przednich wagonach mogło stu albo i dwustu.

- 'o nie wpadł na avoków zamykając drzwi toalety.
- ivO, prawie biegle; na widok Reynoldsa na twarzy uo odmalowała się wyraźna ulga. Twarz wyższego niła wyrazu, ale zwolnił tak raptownie, że jego wpadł na niego. Zatrzymali się kilka kroków od i ^a. Anglik pozostał na miejscu, jedynie wparł się w róg pomostu, żeby nie stracić równowagi przy li wstrząsach i mieć obie ręce wolne do działania,
- /Ja potrzeba. Błady avokzauważył to od razu; jego iczy zwężyły się lekko, po czym wydobył z kieszeni i

apierosów i rozciągając wargi w fałszywym uśmie-  
ocił-się do Reynoldsa; wie może zapalki, towarzyszu?  
Proszę bardzo.

>Ils lewą ręką wyjął zapalki i wyciągnął je w stro-  
a na długość ramienia. Równocześnie poruszył  
! Ionią, którą trzymał w kieszeni, tak żeby otwór lufy  
<TU odcisnął się wyraźnie na cienkim materiale  
nowego płaszcza. Blady avok dostrzegł drobny  
:>rknął w dół, Reynolds natomiast ani na moment  
rwał wzroku od jego twarzy. Po-chwili avok pod-  
/y, przez moment patrzył na Reynoldsa bez zmru-  
>wiek nad zapaloną zapalką przytkniętą do papie-  
• czym oddał zapalki, podziękował skinieniem głó-  
ilalił się wraz ze swoim partnerem. Niepożądaną,  
iinikniona konfrontacja, pomyślał Reynolds; ciche

208 • Alistair MacLean •

wyzwanie, próba sprawdzenia, czy jest uzbrojony; i  
nie pokazał im, że ma broń, na pewno staraliby »  
obezwładnić.

Po raz dziesiąty spojrzął na zegarek. Jeszcze trn\  
cztery minuty. Czuł, że pociąg zwalnia, rozp<><  
wjazd na łagodne wzniesienie, a poza tym gotów i  
siać, że za oknem mignęła mu szosa biegnąca r<> do  
torów. Miał nadzieję, że Hrabiemu i pozostał się  
zdażyć na czas, że w ogóle im się udało. Sły.Ł  
wyraźnie słyszał jego wycie nad chrzęstem kół p<  
oknem zaś widział niemal litą ścianę bieli, któii >

czła widoczność do metra. Potrząsnął głową; w ta l  
czną pogodę jadący po szynach pociąg miał znać. i  
«| wagę nad ciężarówką. Wyobraził sobie napiętą tu .  
i > biego, jak stara się dojrzyć drogę przez szybę, i.  
wycieraczki nie nadążają usunąć grud śniegu.

Nie miał wyjścia; musiał wierzyć w to, że Hrabini <  
na czas. Musiał w to wierzyć, choć szansa była 7\\\\<  
Spojrzał po raz ostatni na zegarek, jeszcze raz \\  
toalety, nappełnił wodą stojący w niej dzbanek i scl  
H szafki, wziął przygotowany wcześniej kołek i \\  
pomost. Otworzył drzwi po prawej, wetknął kołek  
zamka, po czym wbił go głębiej kolbą rewolweru i z  
powrotem drzwi; choć zasuwa nie dawała się tr nać,  
dociśnięte do kołka drzwi trzymały się soli" trzeba  
był nacisk rzędu piętnastu-dwudziestu ! j e otworzyć.  
Szybkim krokiem skierował się na koniec p< «|  
następnym wagonie dwaj avocy wyłonili się z ci<  
i| szyli za nim bez słowa, ale nie zwracał na nich \\\\  
Wiedział, że nie będą nic próbować na korytai/u,!  
oczach pasażerów siedzących w przedziałach;  
dopu<iii dy dotarł do przejścia między wagonami,  
zaczai \n końcu znalazł się w trzecim wagonie od  
końca; sz(< l z głową prosto w górze, by zmylić  
podążającycl avoków, lecz kątem oka sprawdzał  
mijane przed/ iv

Jansci siedział w trzecim. Reynolds zatrzymał i  
dezorientując avoków, usunął się na bok, żeby m  
minąć, poczekał, aż oddalą się trzy metry, po c/.vin

• fyiyyuuttMuuyiyiyiyuyuyHi i yijijylilylytt^

i IPH^BBB^^^^^^^^^^^^^^^^^^^^



## Ostatnia granica •

209

t lwiemu i biegiem rzucił się z powrotem, modląc  
by na nikogo nie wpaść; gdyby na drodze stanął \  
grubas i zablokował korytarz, wszystko mogłoby  
zakończyć.

Wraz z sobą dudnienie kroków, gwałtownie przy-  
mknął do ściany, nie skończyło się tragicznie: pośliznął  
na kawałku podłogi, uderzył głową w ramę |  
ściany. Mimo że od bólu pociemniało mu w oczach,  
wstał z siebie, podniósł na nogi i pognął dalej. Dwa p,  
wagony, cztery; wreszcie był we właściwym; H  
pomost, wskoczył do toalety, zatrzasnął z łosko-  
wymi, żeby ścigający go awoccy nie mieli wątpliwości, •  
schronił, i szybko przesunął zasuwę.

Czy już był w środku, nie tracił ani chwili. Chwycił 1  
woda, wepchnął do niego brudny ręcznik znad kt.  
Leży cała woda nie wylała się od razu, po czym »K' i  
z rozmachem cisnął dzbanek w okno: szyba z  
Kłucym hukiem rozbryzgała się na kawałki. Brzęk  
szkła jeszcze dzwonił mu w uszach, kiedy  
Rey-f H \ ciągnął z kieszeni rewolwer i ujął go za  
lufę, po isil światło, odblokował cicho drzwi i wyszedł  
na

;>k się tego spodziewał, awoccy - przekonani,-że l z  
pociągu - otworzyli okno w drzwiach i Popy-1,'  
nawzajem, wychylali się przez nie niemal do isilując  
cokolwiek zobaczyć. Nie zwalniając kro-ilds odbił się  
od podłogi i skoczył nogami na plecy

•>; drzwi otworzyły się na oścież i uderzony avok w szary zaśnieszony krajobraz nie zdążywszy na-knąć. Drugi, ten o bladym obliczu, cudem zdołał Kręcić i złapać ręką za framugę drzwi; z twarzą i ona z wściekłości i strachu walczył jak ryś, żeby Ale jego zmagania trwały zaledwie kilka sekund;

• s nie miał litości: zamierzył się rewolwerem w ioną twarz, po czym w ostatniej chwili, kiedy męż- podniósł wolną rękę, żeby się zasłonić, zmienił tłu k ciosu. Kolba rewolweru z taką siłą spadła na H<me we framugę palce, że Reynolds aż poczuł w i mrowienie. Kiedy znów spojrzął przed siebie, zoba- f 14 » ł !|! i, l

l

210 • Alistair Madean

czył tylko szary kwadrat otwartych drzwi; avokn zdmuchnęło. Jeszcze przez moment słys/id przeraźliwy krzyk, a potem zagłuszyło go dudnieni^ żałobne zawrozdzenie wichru.

Szybko wyciągnął z otworu obluzowany kołek i /(., solidnie drzwi. Schował broń do kieszeni, wszedł duj ty po młotek i latarkę i ruszył do drzwi po pr/ri stronie pomostu.

Tu poniósł pierwszą klęskę, która o mało nie pr/««l la jego dalszych planów. Pociąg kierował się na ))<>' wy zachód w stronę Peczu, zaś wiatr wiejący z polu\* go wschodu był tak potężny, że kiedy mężczyzna n otworzyć drzwi, miał wrażenie, jakby ktoś znacznie szy od niego dociskał je do framugi. Choć napierał

całym ciałem, nie udało-mu się otworzyć ich szer/e centymetr.

Zostało mu już niewiele czasu - góra siedem, minut. Chwycił za metalowy uchwyt u góry okna i <>h je jednym mocnym szarpnięciem, pochylając się żeby wiatr ze śniegiem wdzierający się ze świstem <li wewnątrz nie cisnął go na drugą stronę pomostu. Był l< wdziały koszar, gorszy niż sobie wyobrażał; dopiero] zrozumiał, że maszynista zwolnił nie dlatego, że jadł górę, ale z obawy, że zawieja zepchnie pociąg z szyn chwilę miał ochotę zrezygnować ze swojego samolwji pomysłu. Ale potem pomyślał o profesorze siedząc] motnie w ostatnim wagonie, o Janscim i pozostałymi rzy na niego liczyli, o dziewczynie, która obróciła . cami, kiedy chciał się z nią pożegnać. Wyprostowi gwałtownie i tylko lekko się skrzywił, kiedy ro/p«.'<, drobiny śniegu zaczęły go siec po twarzy, a wicher wv< z piersi dech. Natężył mięśnie i ponownie naparł na i nie zważając na to, że gdyby wiatr nagle ucichł, najpi i podobniej wyleciałby na zewnątrz; za czwartym pode) .• otworzył je na tyle. żeby wsunąć w szparę but. Poi er, nął rękę, ramię, wreszcie połowę ciała, i wciąż napi-mocno plecami na drzwi, powoli zaczął opuszc/ar , Kiedy wymacał butem ablodzony stopień, prześni\* stronę szpary lewy but. Kieszeń wypchana latarkii l .yla jednak o framugę, nie pozwalając mu prze--.-\_ "(.. "A,.. Txv7o7 nplna minutę, która zdawała

i«iii< /yła jednaK o iraniugc, mt yw " " \_.,\_.\_ \_ Mil  
pr/ez otwór; przez pełną minutę, która zdawała -  
--•"• ~ł"1 "ttioniphomiony z jedną  
MU pr/ez oiwui, pi. .,<\_,\_, ^\_,\_... \_\_\_\_\_ •0 całą  
wieczność, stal unieruchomiony \_"-."ł,, ^Tor-anl się  
•l całą wieczność, siai urnciu.--^...,,,,, \_ \_  
•jfodku a drugą na zewnątrz. Szarapl się i wyginał  
.-\_--""•" \*olaHa moment ktOŚ  
u a drugą na zewuąu.,. o-.c.i.-j-,. ^.\_, -..\_\_,  
oswobodzić, przerażony, że lada moment ktoś •  
i...-.",",i"ir. ^iitif7peo wiatr hula po koryta-  
swobodzić, przer<m>u.y, ^c \_\_»v.,» ..." \_"\_\_\_\_, by  
sprawdzić dlaczego wiatr hula po koryta-"---1-~'»"-  
i"»>-<T«h cni7ikńw. darcie  
egu w...-. \_\_"." c. \_\_\_\_ dających guzików, darcie  
rozległ się trzask oupauctj-s^j^.. K\_..\_\_ i drzwi  
puściły: wyleciał na zewnątrz, prawa  
isiał w  
ny: wyiecity nc. \_,^.,.^"^^, .. ze stopnia i przez  
moment, wisiał w  
a stoa  
litu, lewą ręką trzymając s u? .iiain\_.&\_. \_\_-,,\_ \_  
ifcwlla zaklinowana w szparze, prawą dłonią nie •-  
i-- (tm);-m,-. tr, rvov,ro!i. z wysiłkiem.  
tla zaklinowana w szpai/itr, ^.^""-4 \_--Ł tn co  
złapać, lecz mimo to powoli, z wysiłkiem, - o z o-  
co złapać, lecz mimo tu puwu.,,, \_ , ..^ .\_\_\_\_ się jakoś  
do góry i postawił prawą nogę z po-  
-, -. koić

Widział się jakoś od góry i pułkownik b... I... nn  
stopniu. Przez chwilę stał tak, żeby uspokoić... (ar lewą  
itopniu. J... rzez c... wii... a... „...»... „...” mięśnie, po  
czym wyciągnął! ze szpary lewą - „i...-...\*...”, - „Vnci  
anast.eonie  
no mięśnie, po czym wyciągnął. „c c...^...^...„ „...”  
wycił się nią za brzeg otwartego okna, a następnie ~  
-: -.“i...,,^...^,-, C;A łoskotem; Rey-  
ił się nią za orztek tnwaj...^...^, „...„ „...” lewy but. Drzwi  
zatrzasnęły się łoskotem.; Rey----“...\*...-•...” r>i-  
ahiAia,->vmiDalca-

il lewy but. Drzwi zairz-tbi.\*?^ \_nv iv/\_,-^...“...  
...” liii już całkowicie na zewnątrz, grabiejącymi  
palca-II <lloni przytrzymując się okna, lecz wiatr był  
teraz /yinierzeńcem i dociskał go do wagonu.

t.K zapadał zmierzch, wciąż było w miarę jasno, !•  
Reynolds poruszał się po omacku, bo śnieg zale-  
oczy. Wiedział, że znajduje się na samym końcu ale  
choć wyciągał prawą rękę za jego zaokrągło-“ii-  
potrafił wymacać nic, czego mógłby się uchwycić  
wychylił się maksymalnie do przodu, wciąż . .r się  
okna lewą dłonią, i zaczął szukać oparcia dla i<ipy;  
trafił na wąską poprzeczną stalową listwę ikrami, ale  
kąt był zbyt ostry, aby na niej stanąć; i ufora zaś nie  
mógł znaleźć.

.1 ręka, na której zwisał całym ciężarem, powoli mu i  
palce miał tak skostniałe, że nie wiedział, czy  
/aciskają się na ramie, czy się z niej zsuwają. Cof-ld

okna, żeby zmienić ręce, gdy nagle przypomniał i itarce i ogarnęła go wściekłość; ponownie zmienił ;/,cze raz wychylił się, kierując mocny blask latarki c wagonu. Kiedy światło rozproszyło szarość, zoba-<> co mu chodziło i. zanotował sobie w pamięci mac położenie podłużnej stalowej listwy, harmonij-lijih!

214 • Alistair MacLean

Pokonanie go nie nastęczyło specjalnych tru Kiedy dotarł do następnego przejścia, usiadł nn spuścił nogi na harmonijkę, po czym skoczył do "huknął kolanem w krawędź dachu, ale na szczędr cił się mocno osłony otworów wentylacyjnych. Zdliw się, że minęło zaledwie parę sekund, a już był na p wagonu; znów usiadł, żeby spuścić nogi i własni-momencie, niespełna dwieście metrów dalej, dojr/ \* nącą równolegle do torów szosę, a na niej światła sun du, które to nikły w wirującym śniegu, to się p<il-> Reynoldsa ogarnęła taka radość, że zapomniał o /• niu, o zimnie, o zgrabiałych dłoniach, które z naju trudem zaciskał na blaszanej osłonie; mógł to, oc/> \* być jakiś inny samochód pędzący przez śnieżno /• ale Anglik był pewien, że to ciężarówka Hrabiego. l'> bił się, odbił stopami od brezentu i skoczył na dm t ws:?ego wagonu. Dopiero gdy na nim wylądował i śl1 i bezradnie na brzuchu, zorientował się, że w pr/n i stwie do poprzednich, ten nie ma na szczycie nadl H osłaniającej otwory wentylacyjne.

Wpadł w panikę; rozpaczliwie suwając rękami i v. po gładki ej, oblodzonej powierzchni, szukał jakiemu

i ru, o który mógłby się zaczepić. Po chwili jednak w i w garść, świadom że gwałtowne ruchy mogą zriiv.f • minimalny współczynnik tarcia między jego cialci., chem, sprawić, że zsunie się bezsilnie z wagonu i •., , pod koła. Przecież muszą być jakieś wentylatory, p«>v i< sobie w myślach, i nagle je dostrzegł: na dachu sto n równych odstępach cztery niewielkie kominy z nav.->. w kształcie kapeluszy. W tym samym momencir />>' że pociąg wchodzi w ostry zakręt; w wyniku siły od . wej mężczyzna powoli, lecz nieuchronnie, zaczął ••' mieszcząc ku krawędzi wagonu.

Zsuwał się na brzuchu, stopami w dół, pr/i i wściekle nogami w nadziei, że uda mu się skru rznięty śnieg w rynience biegnącej wzdłuż w;i tknąć w nią czubki butów. Lecz zamarznięty śni< dy jak lód i wysiłki Reynoldsa okazały się darrnn..

Ostatnia granica • 215

•n sprawę, kiedy uderzył się boleśnie goleniem o h u. A pociąg nadal skręcał po długim łuku...

. I lalansowały mu na skraju wagonu; wygiętymi w K ami drapał oblodzoną powierzchnię dachu, łapaznokcie, ale wszystko bez skutku. Wiedział, nie jest w stanie go uratować, gdy wtem jakiś i nstynkt - a musiał to być instynkt, bo w momen- • i.-icej się śmierci jego umysł praktycznie przestał wać - kazał mu wyciągnąć z kieszeni nóż, wyzwoli wbić je w dach wagonu; gdyby tego nie uczynił, ni1] sekundzie jego biodra zsunęłyby się przez i tyłoby po nim.

ii pojęcia, jak długo leżał rozplaszczony na da-ijąc się kurczowo noża. Może tylko kilka sekund, 'dnak zdał sobie sprawę, że zakręt się skończył i biegną prosto, że siła odśrodkowa przestała go że może się poruszać, choć musi zachować bez-ostrożność. Wolno, centymetr po centymetrze, •.ni z powrotem na dach, po czym wyciągnął nóż, oco dalej i podciągnął się do góry. Po chwili, ;ając noża, dotarł do pierwszego okrągłego we-chwycił się go mocno, jakby już nigdy nie zamie-iscić. Ale czas naglił; zostało już nie więcej niż /> minuty. Musiał dotrzeć do następnego wentyla-yeiugnął rękę z nożem i uderzył z całej siły w dach, pdnak w stalową śrubę, bo nóż tylko się odbił; kiedy tg<i do oczu przekonał się, że ostrze ułamało się przy jkojeści. Cisnął ją w bok, po czym zaparł się nogami flator i odepchnął od niego; wpadł z impetem na ', odległy o dwa metry. Wkrótce, przemieszczając i sposób, był j"Uż przy trzecim wentylatorze, potem Fartym. I nagle sobie uświadomił, że nie wie, jak it wagon, ile ma wentylatorów na dachu, czy jeśli odbije, to nie przeleci przez krawędź i nie spad-^ i; ola. Postanowił zaryzykować: oparł stopy o wenty-miał się odepchnąć, kiedy przyszło mu do głowy, się trochę podniósł, może w świetle wydobywają-Imdki maszynisty zdołałby ujrzeć koniec wagonu, /iej że śnieg nieco zelżał.



Ukląkł, ściskając wentylator między udami i wU ce skoczyło mu do gardła, bo zaledwie metr dalej»« brzeg wagonu zarysowany wyraźnie na tle czerwoi światy bijącej z paleniska lokomotywy. Poprzez cór dziej prószący śnieg dojrzał w lokomotywie dwie maszynistę oraz palacza, który co rusz odwracał »t chylał, żeby nabrać łopata węgiel z tendra i w r ni paleniska. Spozrzegł też kogoś, kogo zupełnie siv dziewał: uzbrojonego w automat żołnierza, który km rozgrzewki przy rozdziawionym czerwonym pysku] Powinni byli wziąć pod uwagę i taką ewentualność Reynolds sięgnął po rewolwer, ale ręce miał l białe, że nie potrafił nawet wsunąć palca w osioml Wepchnął broń z powrotem do kieszeni i wstał, p. mując się nogami wentylatora, żeby nie dać się /.dni wiatrowi. Teraz albo nigdy. Zrobił krok do przodu. drugi i odbijając się prawą stopą od skraju w;m<> czyi do przodu; przez moment unosił się w p<>\\ potem zaczął zjeżdżać po osypujących się w dół ciężarem bryłach węgla, które znajdowały się w Wylądował na boku i przez chwilę lażał tak, boy. podłodze budki maszynisty.

Wszyscy trzej, maszynista, palacz i żołnierz, obi i ze zdumienia dosłownie opadły im szczęki. Mini sekund, pięć cennych sekund - dość czasu, aby częściowo złapał oddech - zanim żołnierz wn ocknął; ściągnął automat z pleców i zamachn;)! mierząc kolbą w leżącego. Reynolds chwycił bryluj jedyne, co było pod ręką. i cisnął ją rozpaczliwym w żołnierza, palce jednak miał tak zgrabiałe, że r/ut wyszedł.

**Żołnierz schylił lekko głowę i bryła śmiun nim. Na szczęście palacz nie chybił-uderzony lop głowy, żołnierz upadł jak długi.**

**Reynolds zerwał się z podłogi. W porwanym ul>r okrwawionymi, zbielałymi od mrozu rękami i / H czarną od węgla, stanowił dość niezwykły widok, (t tym momencie nie zdawał sobie z tego sprawy. 1'oW na palacza, potężnego młodzieńca o kręconych \v|<i który miał na sobie koszulę z podwiniętymi rvm>< Ostatnia granica • 217**

**I jakby nie czuł zimna, a potem na żołnierza leżą- stóp. umie tu gorąco,-Palacz uśmiechnął się.-Biedak I dlaczego...**

**cliaj, przyjacielu, nie wiem, kim jesteś, ale wiem, • lubię. - Oparł się o łopatę. - Możemy ci jakoś ! - zawołał Reynolds i szybko wyjaśnił, o co k/.y/ni spojrzeli po sobie. Starszy/maszynista, się wahał. : -'" imy myśleć o sobie... jibaczcie! - Reynolds rozchylił poły płaszcz. - Wi-li-n sznur? Weźcie go, dobrze, bo mam zbyt zgrabiałe I /wiążcie sobie ręce. Jak...**

**> .ud - Palacz uśmiechnął się szeroko, a maszynista i .-ul po drążek hamulca. - Napadnięto nas. Co naj- ./ościu facetów. Powodzenia, przyjacielu! uulds ledwo miał czas podziękować tym ludziom, ipiimogli mu tak chętnie i bez zbędnych pytań. Jadą- t norę pociąg zwalniał; Reynolds wiedział, że musi szybko do ostatniego wagonu, zanim pociąg się MI zatrzyma, bo ponieważ stanie na pochyłości, siła «lu wagonu wywrze tak duży nacisk na złącze, że nie**

idv no odzepić. Skoczył na ziemię z najniższego stokomotywy, wywinął koziółka, po czym poderwał się i i biegiem ruszył na koniec składu. Pociąg wyraźnie >i powoli przetoczył się obok Reynoldsa wagon służ- wulok Janskiego z bronią w dłoni otwierającego dodał mu otuchy.

•hwili bufory zaczęły zderzać się ze zgrzytem i trzeć .IC, lokomotywa zatrzymała się. Reynolds, świecąc hilarką, rozłączył za pomocą młotka hak ciąglowy i hamulcowy. Rozejrzał się szukając sprzęgu parowe- no nie znalazł - najwyraźniej wagon więzienny nie >\*i /rwany. Już nic go nie łączyło z resztą składu.

Jan-

k l uczami w jednej ręce a bronią w drugiej, ukazał się

iwłach wagonu służbowego i przeszedł na otwarty

"Wf

218 • Alistair MacLean

pomost więźniarki. Reynolds złapał za poręcz/ l wszedł, kiedy nagle rozległ się chrzęst i wszystkie - w wyniku rozprężania się ściśniętych sprężyn lxii zaczęły przesuwać się do tyłu; przedostatni wayoi w ostatni z taką siłą, że ten z miejsca potoczył s i v długim, łagodnym zboczem.

Wielkie koło hamulca znajdowało się na więźniarki. Kiedy byli mniej więcej półtora kilon pociągu, Reynolds zaczął je obracać. Jansci, który się z kluczami, wreszcie trafił na właściwy, przek; zamku,

po czym kopniakiem otworzył drzwi i za środka. Przejechali jeszcze z kilometr, zanim R< dokręcił do końca koło i zatrzymał łagodnie wagon z profesorem stali obok niego, obaj uśmiechnięci sor, który w pierwszej chwili był tak oszołomi' ogóle nie zareagował na ich widok, teraz cies/ dziecko. Ledwo zeskoczyli na ziemię i ruszyli szosy, zobaczyli jakąś postać biegnącą przez głął Był to Hrabia, którego arystokratyczna powścią^ pełnie prysła; wrzeszczał, skakał i machał do szaleniec.

'il/iał jedenasty

iii do kwatery głównej Janskiego, wiejskiej cha-,.'cej się około piętnastu kilometrów od austriac-' y, o wpół do siódmej nazajutrz rano. Dotarli tam :^tu godzinach nieprzerwanej jazdy po oblodzo-' , 'anych śniegiem drogach, po których posuwali -inią prędkością niespełna trzydziestu kilome-i l/inę; było to czternaście najzimniejszych, naj-. ych i najbardziej wyczerpujących godzin, jakie kiedykolwiek spędził w podróży. Jednakże choć i. głodni, znużeni i senni, przybyli na miejsce w i-h humorach, w swoim uniesieniu zapominając vii niedogodnościach; jedynie Hrabia, po pier-iiuchu radości, kiedy zobaczył ich całych i zdro-' rakcie długiej nocnej podróży znów przeistoczył iiego siebie, w człowieka, który patrzy na wszy-i ansem i dozą cynizmu.

i c pokonali tej nocy czterysta kilometrów; Hrabia przez całą drogę, robiąc tylko dwie krótkie przepakowanie - musiał oczywiście budzić pompo-

• '-zy byli tak zaspani, że gdyby nie groźny mundur  
cze groźniejszy ton głosu Hrabiego, nie wystawi-:i  
na zewnątrz. Co jakiś czas, widząc coraz ;sze  
ślady zmęczenia na szczupłej twarzy Hrabie-Ids miał  
ochotę zaproponować, że go zastąpi, lecz i razem  
rozsądek nakazywał mu milczeć. Już pod-,vszej  
wspólnej jazdy, wtedy gdy pędzili czarnym ;em,  
przekpnał się, że Hrabia jako kierowca prze-  
szystkich o kilka klas: na zdrażliwych, oblodzo-  
>^ach on jeden gwarantował bezpieczne dotarcie a  
to było najważniejsze. Przez większość nocy . siedział  
obok niego, czasem drzemiąc, czasem go jać,  
podobnie jak Kozak; umieszczono ich w szo-i/ie było  
cieplej niż w skrzyni, żeby odtajali. Kozak

2ŻQ • Alistair MacLean

był jeszcze bardziej przemarznięty od dziwnego,  
albowiem cały odcinek między . Peczem, odcinek  
liczący trzydzieści kilometrów, s|i zewnątrz  
ciężarówki, na przednim zderzaku: trzy w maski  
wycierał szybę ze śniegu, żeby Hrabia m» w zawiei.  
Właśnie z tego zderzaka obserwował s; wędrówkę  
Reynoldsa po dachach wagonów; te patrzył na  
Anglika, na jego twarzy nie było już n tylko  
bezgraniczny podziw.

Gdyby jechali bezpośrednio z Peczu do kwatery  
Janskiego, mieliby do pokonania o połowę krót ale  
zarówno Jansci jak i Hrabia byli przekonani,,  
doprowadziłaby ich tylko do jednego celu - do o  
centracyjnego. Osiemdziesięciokilometrowej dl •

ziorno Balaton blokowało na zachodzie dojazd do austriackiej, a obaj mężczyźni nie mieli wątpliwości i wszelkie, nawet najmniejsze drogi pomiędzy | w tym końcu jeziora a Jugosławią są obstawiono.. te trasy na zachód, między północnym końcem Ha Budapesztem, mogły nie być pod ścisłą kontrolą jednak nie ryzykować. Dlatego zboczyli dwieście kilometrów na północ i objechali Budapeszt od północy, a następnie skręcili w główną szosę wiodącą ze stolicy do zjechali z niej na południowy zachód przed Győr, Właśnie z tego powodu podróż zajęła im aż 12 godzin, w czasie których pokonali czterysta kilometrów docierając do celu zziębnięci, głodni i wyczerpi, jednak weszli do chaty, znużenie spadło im z rami czym płaszcz; Jansci i Kozak rozpalili w piecu ogień i dorzą zaczął przyrządzać jakąś wspaniałą pachnącą:) a Hrabia wydobył butelkę palinki ze swoich zakamarków; chacie; ulga, że wrócili bezpiecznie i radość, że się wyprowadzić AVO w pole,'Sprawiły, że rozmiechom nie było końca. Kiedy się posilili, a i rozgrzali ciała i ożywili umysły trunkiem, zapomniał o zmęczeniu i senności. Spać mogli później, na drugi dzień, gdyż Jansci przed północą nie zamierzał przekroczyć granicy.

ósmą; przez wielkie, nowoczesne radio, które już wstawili do chaty, nadano dziennik i programy. Na

temat ucieczki z Szarhazy i uwolnienia : .ie padło ani słowo, ale to ich nie zdziwiło;

• rzyznawanie się do porażki nie leżało w natu-stów.

Według prognozy pogody w całym kraju

• znaczne opady śniegu; wspomniano także, iż i zachodnia część kraju, na wschód od Baiato-:>d przy jugosłowiańskiej granicy, została spa-, przez największą śnieżycę od czasu wojny;

• Irogi i tory kolejowe były zas\$rpiane, lotniska Mężczyźni popatrzyli po sobie z ulgą; gdyby do działania dwanaście godzin później, ani ni profesora, ani ich ucieczka nie byłyby możli-

/la dziewiąta; choć za oknami znów padał gęsty i!..woli zaczynało się przejaśniać. Minęła kolejna .1,

potem następna. Hrabia puścił w ruch nową bu-p.ilinki i zaczęli sobie opowiadać o swoich prze-j-. i przygodach. Jansci zdał sprawozdanie z pobytu w v

Hrabia - który sam jeden wypił już pół butelki

->>ranych opisując spotkanie zFurmintem, a Rey-• n (>wnie, na prośbę wszystkich, zrelacjonował swo-:

ueczną wędrówkę po dachach wagonów. Najbar-vym słuchaczem okazał się stary profesor, które-ie do

komunistów - co Jansci i Reynolds zaob-wcześniej, w trakcie spotkania z nim w Szarhazy gwałtowną i

radykalną metamorfozę. Zaczęło się .1, jak

powiedział, że odmówił wystąpienia na konfe-dopóki nie dowie się, co jest z jego synem, a kiedy :il, że

Brian uciekł, postanowił i tak nie brać udziału; nie byli bezsilni. Ten -bunt, oczywiście, pociągnął za

mianę w ich stosunku do niego; najpierw wtrącono

(• S/arhazy, co tylko rozwścieczyło profesora jeszcze Mi-j, ą potem w lodowatym wagonie towarowym, w wozi się bydło, wysłano do Peczu. Ta zniewaga dola miary i profesor szczerze znienawidził swoich nie- iych gospodarzy. Kiedy w dodatku dowiedział się o

• Alistair MacLean

był jeszcze bardziej przemarznięty od Reynold- ^ dziwnego, albowiem cały odcinek między Szcks/. Peezem, odcinek liczący trzydzieści kilometrów, • i>« zewnątrz ciężarówki, na przednim zderzaku: tr/.\ ma maski wycierał szybę ze śniegu, żeby Hrabia m<>; l., w zawiei. Właśnie z tego zderzaka obserwował s;ini<.«\* wędrówkę Reynoldsa po dachach wagonów; teru; patrzył na Anglika, na jego twarzy nie było już m tylko bezgraniczny podziw.

Gdybyjechali bezpośrednio z Peczu do kwater' Janseiego, mieliby do pokonania o połowę kroi ale zarówno Jansci jak i Hrabia byli przekonani doprowadziłaby ich tylko do jednego celu - do centracyjnego. Osiemdziesięciokilometiowej d •zioro Balaton blokowało na zachodzie dojazd austriackiej, a obaj mężczyźni nie mieli wątpi wszelkie, nawet najmniejsze drogi pomiędzy wym końcem jeziora a Jugosławią są obstawioin le trasy na zachód, między północnym końcem l Budapesztem, mogły nie być pod ścisłą kontn jednak nie ryzykować. Dlatego zboczyli dwieś trów na północ i objechali Budapeszt od północ skęcili w główną szosę wiodącą ze stolicy dc zjechali z niej na południowy zachód przed Gycc



Właśnie z tego powodu podróż zajęła im aż c godzin, w czasie których pokonali czterysta ki! docierając do celu zziębnięci, głodni i wyczei jednak weszli do chaty, znużenie spadło im z i czym płaszcz; Jansci ł Kozak rozpalili w piecu o dor zaczął przyrządzać jakąś wspaniale pachnąc a Hrabia wydobył butelkę palinki ze swoich / chacie; ulga, że wrócili bezpiecznie i radość, że się wyprowadzić AVO w pole, sprawiły, że ro; śmiechom nie było końca. Kiedy się posilili, a rozgrzali ciała i ożywili umysły trunkiem, zap zmęczeniu i senności. Spać mogli później, nci' dzień, gdyż Jansci przed północą nie zamierza': czać granicy.

**Ostatnia granica • 221**

ósma; przez wielkie, nowoczesne radio, które lawno wstawił do chaty, nadano dziennik i pro-"dy. Na temat ucieczki z Szarhazy i uwolnienia nie padło ani słowo, ale to ich nie zdziwiło; przyznawanie się do porażki nie leżało w natu-

• listów. Według prognozy pogody w całym kraju ić znaczne opady śniegu; wspomniano także, iż o-zachpdnia część kraju, na wschód od Balato-",ed przy jugosłowiańskiej granicy, została spa-i przez największą śnieżycę od czasu wojny; drogi i tory kolejowe były zasypane, lotniska Mężczyźni popatrzyli po sobie z ulgą; gdyby do działania dwanaście godzin później, ani • profesora, ani ich ucieczka nie byłyby możli-la dziewiąta; choć za oknami znów pada! gęsty oli zaczynało się przejaśniać. Minęła kolejna

otem następna. Hrabia puścił w ruch nową butelkę i zaczęli sobie opowiadać o swoich przeżyciach. Jansci zdał sprawozdanie z pobytu w Hrabia - który sam jeden wypił już pół butelki - branych opisując spotkanie z Furmintem, a Reynolds)wnie, na prośbę wszystkich, zrelacjonował swoją 4eczną wędrówkę po dachach wagonów. Najbardziej słuchaczem okazał się stary profesor, który do komunistów - co Jansci i Reynolds zaob- wcześniej, w trakcie spotkania z nim w Szarhazy gwałtowną i radykalną metamorfozę. Zaczęło się k powiedział, że odmówił wystąpienia na konferencji nie dowie się, co jest z jego synem, a kiedy c Brian uciekł, postanowił i tak nie brać udziału; byli bezsilni. Ten bunt, oczywiście, pociągnął za nę w ich stosunku do niego; najpierw wtrącono irhazy,-co tylko rozwścieczyło profesora jeszcze a potem w lodowatym wagonie towarowym, w /i się bydło, wysiano do Peczu. Ta zniewaga do- iary i profesor szczerze znienawidził swoich nie- i U gospodarzy. Kiedy w dodatku dowiedział się o

•  
222 • Alistair WiacLean

torturach, jakim poddano Janskiego i Reynoldsa, jł rzenie sięgnęło zenitu.

- Jeszcze zobaczą! - odgrażał się, - Do diabli tylko wrócę do domu! Rząd brytyjski i jego cholerni ty mogą sobie poczekać; najpierw wezmę się za w«f| sprawy!

- Za jakie? - spytał spokojnie Jansci.

- Wezmę się za komunizm! - ryknął Jennin<sup>s</sup>, f«f  
wszy kolejny kieliszek palinki. - Nie chcę się cliw o  
każda gazeta w Anglii chętnie użyczy mi swoicli 11  
Wysłuchają rnnie; zwłaszcza, kiedy przypomni! »  
bzdury, które wygadywałem wcześniej. Zdemaski.H  
ten zgnęły komunistyczny system, a kiedy skońc/c

- Za późno -przerwał mu ironicznym tonem Hr.

- Co znaczy za późno? - spytał gniewnie Jennhi;.-«|

- Hrabia uważa, że komunizm już dawno został  
skowany - powiedział łagodnie Jansci. - I to jm«"  
proszę się nie obrazić za to, co powiem, profesor/\*'  
przecierpieli w tym systemie wiele lat, a nie tylk>  
weekend, jak pan.

- Jak to sobie wyobrażacie? Mam wrócić do l,on  
palcem nie kiwnąć? Do licha, przecież obowia/lu«-i  
dego człowieka jest demaskować... - Umilkł na <  
kiedy znów się odezwał, był znacznie spokojniej?  
brze, rozumiem, może nieco późno przejrzałem mi <•  
nawet jeśli nie ma co demaskować, to przynajmiiii .  
wiązką każdego porządnego człowieka jest powili  
nie tej zarazy, żeby się nie szerzyła, żeby...

- Za późno - przerwał rnu sucho Hrabia,

- Hrabia chce przez to powiedzieć, że komuiii; <  
Rosją nigdzie nie odnosi sukcesów - wyjaśnił ,1,-.  
Więc skoro się nie szerzy, nie ma co powstrzymywm  
sorze Jennings. Gdzieniegdzie odnosi pewne dr\*><  
kcesy, ale to wyłącznie wśród prostych ludów, jak i<  
ski, który daje się nabrać na piękne słówka i jes/r  
niejsze obietnice, ale nie wśród nas. nie wśród V-  
Czechów. Polaków i innych nacji, nie w krajach, k

obywatele są politycznie bardziej świątli od Rosjan  
pan weźmie na przykład Węgrów; jaki odłam s|>i>I<

**Ostatnia granica**

udaniem, był najgłębiej przesiąknięty doktryną i? . '

• • -

ue młodzież - odparł profesor, z trudem po-  
/niecierpliwienie. - Młodzież zawsze najprę-różnym  
ideologiom.

i eż. -Jansci skinął głową. - A także rozpieszcza-  
komunizmu: pisarze, intelektualiści i wyróżnia-cy  
przemysłu ciężkiego. A kto stanął na czele

przeciwko Rosjanom? Właśnie te same grupy:

intelektualiści i robotnicy. To, że uważam po-

/.ryw daremny i całkiem nie w porę, nie ma z tym "--

~\*-'« "Hnwndniło. że komunizm po-

.ryw daremny i caiKiem mc v. \*,~\*^,\_" " ... '.i i ego.

Powstanie udowodniło, że komunizm po-i/,ke nawet  
wśród tych, na których względy mógł

I >ardziej, jeśli na czyjekolwiek mógł liczyć w ogó-  
mienpan zobaczyć kościoły w moim kraju -wtrą-

II rąbią. - Co niedziela na każdej mszy są tłumy, w

IAoi młodzieży. Gdyby pan to widział, nie martwiłby  
lak bardzo szerzeniem się komunizmu, profesorze, i

na Węgrzech komunizm poniósł totalną klęskę;

ulewające powodzenie w takich krajach jak Wło-  
rancja tłumaczy jedynie to, że dotąd nikt tam nie

/egoś takiego. - Z wyraźnym niesmakiem wskazał •l

ur, który wciąż miał na sobie, po czym smutno

Kłową. - Natura ludzka to zaiste coś wspaniałego. r

co, u licha, mam robić? - spytał gniewnie Jen-i'o  
prostu zapomnieć o wszystkim?

- Jansci potrząsnął głową, jakby ze znużeniem. -nią  
rzecz, do jakiej namawiałbym pana-lub kogo-  
profesorze; osobiście nie znam większej zbrodni, ;;o  
grzechu, niż obojętność. Nie, profesorze; chciał-1 iy  
po powrocie do domu powiedział pan wszystkim, n z  
nas, tu, w Europie Wschodniej, ma tylko jedno M i  
czas ucieka. Że my też, zanim nastanie nasz koniec,  
lalibyśmy choć raz poczuć słodki smak wolności.  
Niech iiMiwie, że czekamy już siedemnaście długich  
lat; trud ijl<>.'rj żyć nadzieją. Niech pan powie, że  
nie chcemy, l h.r./i- dzieci, i ich dzieci, musiały  
wiecznie kroczyć fu> ;i ilrogą niewoli, nie widząc na  
końcu żadnego świat-

224 • Wistair MacLean

ła. Niech pan powie, że nie chcemy wiele; trochę »|i.  
zielonych pól, dzwonów kościelnych i dzieci bawiiiry  
beztrosko na słońcu, bez strachu, bez' niedostatku  
zastanawiania się, jakie ciemne chmury nadciannn  
jutrz.

Jansci pochylił się do przodu, zapominając n l r. nym  
w ręce kieliszku; jego zmęczona, pomarszc/.<m« ,  
pod szopą siwych włosów była rumiana w blasku 144  
cych płomieni. Reynolds jeszcze nie widział go UtV.  
ilu nego i mówiącego z takim przekonaniem.

- Niech pan powie swoim rodakom, że nas. życie  
wielu przyszłych pokoleń leży w ich ręka pan im  
powie, że tylko jedno jest naprawdę ist' na ziemi  
zapanował pokój. Niech pan powie, że / maleńka i że

w dodatku kurczy się z każdym r» jest naszym  
wspólnym domem; żyjemy i będziemy  
niej razem.

- Chodzi panu o pokojowe współistnienie? - spył »li  
fesor, unosząc jedną brew.

- Tak jest, o pokojowe współistnienie. Wiem, »<  
wielu jest to pomysł nie do zaakceptowania, bojii st'  
ognia, ale jakie jest wyjście, jeśli chcemy unikim  
pności wojny atomowej, która byłaby niczym im  
mszą żałobną za utracone nadzieje ludzkości? l'>  
współistnienie musi nastąpić, jeśli ludzkość ma pr /H  
ale świat bez podziału na sfery wpływów, marzenk' \*  
la Hulla, wielkiego Amerykanina, nigdy nie stai\n-  
alny dopóki narwani szaleńcy, których i u  
was ]«••>! , profesorze, będą domagać się  
natychmiastowych. \*| kularnych wyników. Nie stanie  
się realny tak dhin górę na Zachodzie będą brali  
zwolennicy polil) i chronawych zrzutów, czyli  
pomagania nam dopi1 gdy coś robimy sami... Na  
miłość boską1. Nigdy m< w akcji choć jednej  
mongolskiej dywizji, bo in wygadywaliby takich  
aroganckich bredni! Nir też realny, dopóki ludzie na  
Zachodzie będąn niebezpieczne bzdury, że lud  
rosyjski jest w ra ich tajnym sprzymierzeńcem,  
dopóki będą t typu "Poderwijmy lud rosyjski". lub  
niepoti

UbU'''''' o

. vwztych naszych

^^S^^^L^\_

CO

nacu^- To (

^-Ukbardzoja,^ ylo.uzz^r^ ,xv. v/spomtuai v ^  
^rVwm ^a

226 • Alistair MacLean

- Najważniejsze, jak sędzę, to przekonać wszy»|  
potrzebie pokoju, o potrzebie rozbrojenia, a potem |  
nać Związek Radziecki o pokojowych zamiarach 7.n,  
Tak, o pokojowych zamiarach! - Roześmiał się sniili  
tymczasem Anglicy i Amerykanie zapelniają zł)ruf,  
państw Europy Zachodniej bombami wodorowymi,  
mi sposób przekonywania Rosjan o pokojowych  
cjaeh! To raczej sposób na to, aby Związek Rad/i<-,  
wypuścił ze swoich szponów państw satelickich, kin.  
rzeczywistości wcale już nie chce, sposób, żeby pu|>  
ludzi z Kremla - a wierzcie mi, to są ludzie wystrn\*  
do wystrzelenia pierwszej rakiety międzykontynmi  
nie chcą tego, ale mogą to zrobić ze strachu, jeśli się  
zaszczuci i przyciśnięci do muru; nie chcą, bo . lepiej  
niż ktokolwiek inny, że jeśli nawet schowają  
bunkrach głęboko pod Moskwą i jeśli nawet pr/t  
nieunikniony atak odwetowy, nie ominie ich zemst  
lałych niedobitków piekła, które ogarnie ich kraj.  
Europę to prowokować Rosjan do granic wytrzyi bez  
względu na to, co się robi, należy unikać p zawsze  
zostawiać otwarte drzwi do rozmów, do n nigdy ich  
nie zatrzaskiwać, choćby druga strona oill pokojowe  
awanse.

- Ja tam uważam, że trzeba baczyć na riich pili  
jastrząb - wtrącił Reynolds.  
- A już myślałem, że trochę przejrzał na oczy - nir  
Hrabia. - Chyba nie uda się nam go zmienić.  
- Może nie-powiedział Jansci.-Ale w tym wypiif  
rację. W jednej ręce potężna strzelba, w drugiej w  
oliwna. Broń musi być jednak cały czas zabezpUM  
ręka pokoju trochę bardziej wysunięta do przodu, a  
to trzeba uzbroić się w niezwykłą cierpliwość; ponii  
pośpiech mogą doprowadzić świat do katastrofy, (i  
wość, bezgraniczna cierpliwość. Czymże jest nas/a <l  
porównaniu z pokojem na świecie? Należy wychod<<|  
sjanom naprzeciw we wszystkich możliwych dziedzi  
w kulturze, sporcie, literaturze, turystyce; wszystko,  
stko co prowadzi do bezpośrednich kontaktów i ukj  
bezsens szowinizmu, jest ważne, lecz największe m<  
Ostatnia granica • 227

N

handlu. Niech zasiądą z wami do jednego stołu;  
i" na jakie będziecie musieli pójść ustępstwa, to i  
n-lka cena za rozproszenie podejrzeń drugiej stro-  
itek dobrej woli we wzajemnych stosunkach. I  
ie się, żeby pomógł wam Kościół, tak jak to się  
czy w Polsce. Kardynał Wyszyński, idący ramię w  
iomułą, wie znacznie więcej o tym, jak dążyć do  
^tatowego, który wreszcie musi nastać, niż ja kie-  
<ik będę wiedział, W całej Polsce ludzie mogą się  
•bodnie poruszać, mówić co chcą, chodzić do ko--kto  
wie, co jeszcze osiągną w ciągu najbliższych it,  
wszystko dlatego, że ludzie o krańcowo różnych



•h zdecydowali się wykazać dobrą wolę, postanowiać i współdziałać ze sobą, bez względu na to, czy każdy musiał ponieść, i na dumę własną. I to uważam, jest najlepsza odpowiedź; nie proponuję żadnych działań, jak chciał tego profesor Jennings, /enie klimatu dobrej woli, w którym czyny mogą ać same i przynosić owoce. Zapytajcie rządy naj- h państw, które powinny wieść nasz chory świat ego jutra, czego najbardziej im w tej chwili potrzebujemy, że naukowców i jeszcze raz naukowców, s/częsnych. genialnych istot, które zrezygnowały '•j przyrodzonej niezależności, pogrzebały sumie-/edały się rządowi i pracują bez wytchnienia, aż

- stworzą ostateczną broń zagłady.

i urwał i ze znużeniem potrząsnął głową.

idy wielu państw może nie są szalone, lecz są śle- i ślepotą jest bliska szaleństwu - kontynuował po Najbardziej pilnym i nagłym zadaniem przed wiat stoi, zadaniem nie mającym precedensu w ', jest skupienie wszystkich wysiłków, żeby poznać t ody zamieszkujące ziemię, żeby poznać je tak do- i. znamy samych siebie; dopiero wówczas przekonane ci inni niczym się od nas nie różnią, a my sami niej nie mamy monopolu na prawość, sprawiedli->rawde. Musimy nauczyć się myśleć o innych naro-i' tak, jak nam jest wygodnie, jako o jednej szarej,

- nnej masie, lecz zacząć postrzegać, że te inne na-

rody składają się z milionów małych ludzi takie!) więc mówienie o winie, grzechu i nikczemności narodu jest niesprawiedliwe i niechrześcijański czy tylko o tym, że ktoś z premedytacją nie dostrzedy. Czasem istotnie jakiś naród błędzi, zachown tak jak powinien, ale nigdy nie postępuje w ten wyboru; przeciwnie, wynika to z jego niewiedzy, ;•• i domości, z tego że coś w przeszłości tego narodu l < •< położeniu geograficznym nieuchronnie tak go ukształtowało, podobnie jak jakieś zapomniane > nią lub wpływy, których obecnie ani nie pamioi.' nie rozumiemy, uczyniły nas takimi, jakimi jeste.M • nie. Za zrozumieniem i wiedzą przyjdzie miło.M żadna siła nie jest w stanie konkurować z tym i miłosierdzie, które sprawia, że społeczność żydo\ luje do świata o pieniądze na pomoc dla ich x głych, lecz obecnie głodujących wrogów, ,v uchodźców; miłosierdzie, które skłoniło radziecl nierza do oddania swojego karabinu Sandorowi; dzie - miłosierdzie zrodzone ze zrozumienia - kl wiło, że niemal wszystkie wojska radzieckie stać w Budapeszcie odmówiły walki z Węgrami, kto ryć i przecież dobrze poznać. Miłosierdzie zatryumfu zatryumfować, lecz ludzie na całym świecie mu pragnąć. Nie ma żadnej gwarancji, że stanie się szych czasów. Musimy próbować, bez względu na słabe mamy szansę i liczyć na łut szczęścia; lepiej, t łut szczęścia liczyli ludzie tacy jak my, powodowi dzieją, niż powodowani desperacją ludzie u władzi szeni do wystrzelenia pierwszej rakiety międzykoi

talnej. Żeby jednak nasze próby mogły przynieść »i najpierw potrzebne jest zrozumienie; zrozumienie, rierami odgradzającymi od siebie ludzi są nie góry l że przeszkody tkwią nie w geografii, lecz w umysłach rancja i wynikający z niej brak tolerancji, niechęć < znawania prawdy o innych, to właśnie jest ostatnia ca, jaka istnieje na ziemi.

Kiedy Jansci skończył mówić, przez dłuższy c/ nym dźwiękiem, jaki rozlegał się w pokoju, był tr/  
**Ostatnia granica • 229**

.1 szczap w kominku i łagodne syczenie wody, która Ilu się w czajniku. Siedzieli wpatrzeni w ogień, nie- Tłipnotyzowani jego blaskiem, jakby pragnęli w pło- Ich ujrzeć obraz przyszłości świata, o jakim marzył J Ale to nie blask ognia ich tak zahipnotyzował, lecz uporczywy głos Janskiego, który wciąż mieli w jl Z profesora dawno uleciał wszelki gniew, a Rey-l uśmiechał się do siebie, bo gdyby pułkownik Mac-h wiedział, jakie myśli krążą teraz po głowie jego natychmiast wywaliliby go z pracy. Po pewnym cza-11 n a wstał z miejsca i bez słowa obszedł pozostałych, i n' im palinki, po czym znów usiadł. Nikt nawet na i spojrzął, nikt nie chciał pierwszy przerwać ciszy, -n;' chciał, żeby w ogóle ją przerwano. Siedzieli tak, pogrążeni we własnych myślach. Reynoklsowi ały się słowa dawno zmarłego angielskiego po-;>rzęd wiekami powiedział niemal dokładnie to iiisci. I nagle ostry sygnał telefonu zakłócił ciszę n.'li len tak dziwnie się wpasował w to, o czym Rey-i myślał, że w chwili, w której usłyszał

dzwonienie, w h. o której wiedział, że nigdy jej nie zapomni, zapytał

• u-bie: komu bije ten dzwon? Na odpowiedź nie mu-  
HuKo czekać: bił Jansciemu.

i it-i ocknął się z zadumy, wyprostował się, przeniósł  
ike do prawej ręki, lewą zaś podniósł słuchawkę,

\vajac natarczywy sygnał. Ledwo to uczynił, z  
drugie-

•ioa linii doleciał wszystkich rozdzierający, przeeci-  
tyk pełen bólu i cierpienia, któryż chwil ą gdy Jansci

• i/ył słuchawkę do ucha przeszedł w cienki,  
koszrnar-'•pt, potem padło kilka pojedynczych,  
jakby wyszcze-

• ' li słów, a następnie odezwał się piskliwy,  
szlochający Togo, co mówił, zebrani w pokoju  
mężczyźni nie po-.i 11 odgadnąć; docierały do nich  
tylko niewyraźne, przy-Mone dźwięki. Jansci tak  
mocno przyciskał słuchawkę liii-ha, że aż mu zbieleły  
kłykcie. Obserwowali w milcze-jrtfo twarz -  
stopniowo przybierała coraz.bardziej ka-

•iy, nieruchomy wyraz, a z policzków odpływała  
krew; re prawie nie różniła się kolorem od  
śnieżnobiałych w generała. Minęło dwadzieścia,  
może trzydzieści

230 • Alistair MacLean

sekund, w czasie których Jansci nie wypowiedział «l  
wa, gdy wtem rozległ się brzęk tłuczonego szkła: kii-  
który trzymał w dłpni, pękł i spadł na posadzkę ro/l  
się na setki drobnych kawałeczków; z pokrytej Mi  
zdeformowanej ręki trysnęła krew i kropla po kropli

la kapać na roztrzaskane naczynie. Jansci nawet iil«  
zauważył; cała jego uwaga i wszystkie myśli  
skupion\* na tym, co się działo na drugim końcu linii.  
Wre.1 wiedział "Zadzwoń do pana", przez chwilę  
milrjii czym niskim, zdławionym głosem szepnął  
"Nie, nie" 11 koniec rozmowy. Obecni w pokoju  
mężczyźni pond usłyszeli ten sam potworny krzyk  
ból co wcześniej, l nagle się urwał, jakby przecięty  
gilotyną, w momciwK Jansci cisnął słuchawkę na  
widelki.

Generał odezwał się pierwszy; głos miał ochrypł-  
zbawiony życia.

- Ale jestem niezdarny. -Popatrzył na rozciętą reh\*  
czym wyjął chusteczkę i przyłożył do rany. - Szkód\* |  
pysznej palinki. Przepraszam, Wołodia.

Nigdy dotąd w towarzystwie innych nie zwracał  
Hrabiego po imieniu.

- Na Boga, co to wszystko miało znaczyć? Co to In (4  
szepnął drżącym z przejęcia głosem profesor. Hv< t l  
bardzo mu się trzęsły, że wylał na podłogę zawarto.^  
l ^ szka.

- Odpowiedź na wiele niewiadomych - odparł .1.  
Owinął chustką dłoń, zacisnął ją w pięść, żeby uli.  
opatrunek na miejscu i wbił wzrok w żar palem  
Wyjaśniło się dlaczego Imre znikł i dlaczego zaczęł <  
> i • rzewać Hrabiego. Po prostu złapali chłopaka,  
zabn-1 ulicę Stalina i zanim go wykończyli, wpierw  
ucięi i • nim pogawędkę.

-- Imre nie żyje? - szepnął Hrabia. - Boże, myślałem, że stchórzył i nas porzucił. - Nie do końca wien o co chodzi, spojrzał na telefon. - Czy to jego - Nie. On zmarł wczoraj. Biedny chłopak, taki / i ny i samotny. To była Julia. Przed śmiercią wydusił i gdzie się ukrywa, pojechali na wieś i zgarnęli ją, akur.i

Ostatnia granica • 231

wybierała. Z niej z kolei wydobyli informacje o naszego pobytu.

•" I ds poderwał się na nogi tak gwałtownie, że krzesło siedział, przewróciło się z hukiem na podłogę, obnażone niczym wściekłe zwierzę. I krzyk Julii - powiedział zduszonym, zmienionym głosem. - Torturowali ją! Torturowali mawiałem z Julią; Hidas dał jej słuchawkę, żeby była nas, że on mówi prawdę. - Jansci ukrył twarz w h. kiedy mówił dalej, ledwo go było słycać. - Ale uiowali jej. Torturowali Katię i dlatego Julia po- l; i im, gdzie jesteśmy. nndls popatrzył na generała nie rozumiejącym

• ni, Jennings z zakłopotaniem i lękiem, Hrabia zaś i izeklinać, wyrzucając z siebie nie kończący się .ensownych obelg. Z nas trzech on jeden wie, co się • myślał Reynolds, a gdy Jansci zaczął mamrotać coś n-, nagle sam również pojął o co chodzi i zrobiło mu i ">: nogi się pod nim ugięły, podniósł więc krzesło i i vdzej usiadł.

n-działem, że nie umarła. Zawsze wierzyłem, że żyły nie straciłem nadziei, prawda, Wołodia? Wie-

ni. że żyje... O Boże, dlaczego nie pozwoliłeś jej um-  
I Maczego nie zesłałeś na nią śmierci?

więc jednak żona Janskiego żyła. Julia sądziła, że  
,m.i umarła, że serce przestało jej bić wkrótce po  
tym,

| Mi nabrali avocy, ale ona żyła. Ta sama nadzieja i  
wiara,

i« nie pozwoliła Janskiemu zwątpić i która dawała  
mu

«In nieustannych poszukiwań, ta sama wiara i  
nadzieja,

cdyś znów będą razem, podtrzymała w Katii iszkierkę  
i, Ale teraz mieli ją w swoich rękach! Hidas dlatego  
ciał z Szarhazy w takim pośpiechu, bo wiedział  
gdzie

.uleźć, tak, ci dranie z AVO mieli ją w swoich  
rękach...

iii też Julię, co było jeszcze gorsze, tysiąc razy gorsze.  
nc wspomnienia - same, nie proszone - zaczęły się  
J|<- Reynoldsowi do głowy; przypomniał sobie  
figlarny

|liYch dziewczyny, wtedy gdy po pobycie na Wyspie  
Mał-

Ity pocałowałago na pożegnanie, głęboką troskę na  
jej

., !

232 • Alistair MacLean

twarzy, gdy zobaczyła co mu zrobił Koko, sposób,  
w)« niego patrzyła, kiedy zbudził się ze snu,  
przygnę''\*1 smutek w jej oczach, kiedy tknęło ją

**złowrogie pr\* cię... Nagle, nawet nie zdając sobie z tego sprawy poderwał się z krzesła.**

**- Jansci, skąd Hidas dzwonił? -Mimo dzikiej wSi ści, jaka go dławiała, głos miał spokojny.**

**- Z Andrassy. Co za różnica, Michael?**

**- Uwolnimy je, twoją żonę i Julię. Pojedziemy \.< dwóch, Hrabia i ja, i uwolnimy je.**

**- Jeśli komukolwiek mogłoby się to udać, to t1 r - odparł generał. -Ale obawiam się, że nawet wy i rady. - Błady, ledwo dostrzegalny uśmiech wypel na jego usta. - Zadanie, tylko powierzone zad,' więcej się nie liczy. To twoje credo, Michael, tw< > życiowe.**

**A przecież swoje zadanie już wykonało tobie pomyślał pułkownik Mackintosh, gdyby < usłyszał?**

**- Nie wiem. Na mam zielonego pojęcia i pr;i wiać, niewiele mnie to obchodzi. Skończyłem /, i raz na zawsze. Skończyłem z pracą dla pułkownik; i tosha i dla wywiadu, więc jeśli nie masz nic p temu, Hrabia i ja...**

**- Chwileczkę. - Jansci podniósł rękę. - Nie p< łem wam wszystkiego, sprawa jest znacznie bard/ plikowana niż wam się wydaje... Pan coś mówił rze?**

**- Katia - szepnął starzec. - Co za dziwny zbie ności: Moja żona ma na imię Catherine, czyli po właśnie Katia.**

**- Obawiam się, że łączy nas więcej niż to jedn< kilka długich chwil generał siedział wpatrując s; ogień, potem przeniósł wzrok na Jenningsa. - Ai służyli się pańską żoną, żeby zmusić pana do p< teraz Hidas...**



- Ależ tak, oczywiście - szepnął profesor. Ręce się nie trzęsły, a na jego twarzy nie było śladu strachu. Przecież to jasne, inaczej by nie dzwonił. Jestem na drodze.

Ostatnia granica

233

- Na drodze? - zdziwił się Reynolds. - O co mu chodzi? Myby znał pan Hidasę tak dobrze jak ja - rzekł Hranic - musiałby pan pytać. Prosta wymiana, prawda, 'Katia i Julia w zamian za profesora Jenningsa? 'ik powiedział. Że oddadzą mi żonę i córkę, jeśli i im profesora. - General potrzęsnał głową, wolno i 11 owanie. - Oczywiście, to wykluczone. Nie pozwolę. Nie zgadzam się, profesorze. Bóg raczy wiedzieć co z nimi /robią, kiedy znajdzie się pan w ich rękach. .I jeśli się pan zgodzi. Nie mogę tu zostać. - Jennings i popatrzył z góry na Janskiego. - Nie wyrządzą mi i krzywdy, za bardzo mnie potrzebują. Pańska żona, i pańska córka... Czym jest moja wolność w porównaniu z ich życiem? Nie ma wyjścia. Muszę jechać. Jeśli ja odzyskam moją rodzinę, pan już nigdy nie swojej. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę? 11 -odparł profesor, cicho, lecz z niezłomną stanowczością. Jestem tego świadom. Ale rozłąka z bliskimi, i \ kra, jest jednak do wytrzymania. Jeżeli wrócę do IM s::tu, obie nasze rodziny będą żyły i kto wie, może los znów się do mnie uśmiechnie. Jeżeli nie wrócę, Ku żona i córka zginą. Chyba nie ma pan co do tego wątpliwości?

i ascii pokiwał smutno głową. Mimo niepokoju, jaki w nim narastał, mimo bezsilnej złości, Reynolds z całego .1

współczuł generałowi, współczułby każdemu, kto uilby stanąć przed tak okrutnym, nieludzkim wyborem w tym wypadku sytuacja była o tyle bardziej trudna i \jemna, że wyboru musiał dokonać człowiek, który u: kilka minut temu głosił, że komunistów trzeba się /rozumieć, pomóc im, pojednać się z nimi. Po chwili i chrząknął przecyzszczając gardło i zanim jeszcze l' /.wał, Reynolds wiedział co usłyszy. \ ;i wet pan nie wie, profesorze, jak bardzo się cieszę, i \vój skromny sposób mogłem przyczynić się do tego, na uratować. Jest pan odważnym i dobrym człowiekiem i nie pozwolę, żeby umierał pan ani za mnie, ani za bliskich. Powiem pułkownikowi Hidasowi...

234 • Alistair MacLean

- Nie. Ja powiem - przerwał mu Hrabia. Pods/aparatu, pokręcił korbką i podał telefonistce i Pułkownik uwielbia przyjmować raporty od niższych] gą oficerów... Nie, Jansci, zostaw to mnie. Zawsze mi >l ufałeś, więc zaufaj i tym razem. Nagle zamilkł, wyprostował plecy, po czym rozluźnił i uśmiechnął.

- Pułkownik Hidas? Mówi były major Howarth wie i samopoczucie? Doskonale... Tak, zastanowiliśmy nad pańską propozycją i z kolei ja mam panu coś do ponowania. Wiem, jak bardzo musi panu mnie br.i bądź co bądź byłem najlepszym oficerem AVO i jipamięta, powiedział to nie byle kto, bo pan we u osobie. Więc chciałbym jakoś temu zaradzić. Jeśli rantuję panu, że po przyjeździe na Zachód Jennin,^

trzymał język za zębami, czy zgodzi się pan przyj.-)' który - nie przeczę - jestem tylko marną namiastką i sora, w zamian za uwolnienie żony i córki generała. i na? ...Dobrze, poczekam. Ale proszę się pospieszyć Odwrócił się, jedną ręką zasłonił mikrofon, ;i podniósł do góry uciszając okrzyki sprzeciwu JaiiM't4 profesora, który w dodatku usiłował wyrwać mu słuchawkę.

- Uspokójcie się, panowie, i nie martwcie się o Szlachetny zwyczaj składania się w ofierze nie banli odpowiada, a jeśli chodzi o ścisłość, nie odpowiada ogóle... A, pułkownik Hidas... No tak, tego się niestety i wialem... Uraził pan moją dumę, pułkowniku, ale cóf.] czywiście jestem tylko drobną płótką... Czyli albo profi albo... Nie, sam wręcz na to nalega... Tak, ale wymimu pewno nie odbędzie się w Budapeszcie. Uważa nas i> głupców, pułkowniku? Jeśli pojedziemy do stolicy, h cię mieli całą trójkę, obie kobiety i profesora... Skoro i ra się pan przy Budapeszcie, to dziś w nocy profesor, nings przekroczy granicę węgierską i ani pan, ani nikł | nie zdoła temu przeszkodzić... Zdaje pan sobie spnH to... aha, widzę, że poszedł pan po rozum do głowy, : był pan człowiekiem trzeźwo myślącym... Proszę uw( słuchać. Mniej więcej trzy kilometry na północ stąd •

**Ostatnia granica • 235**

mieli kłopoty ze znalezieniem tego miejsca, córka i wam pomoże - od głównej szosy odchodzi w lewo Iroga; ciągnie się osiern kilometrów aż do riiewiel-

•v.ki, która wpada do Raby. Tam, przy promie, bę-  
ua nas czekać. Trzy kilometry dalej na północ znaj-  
drewniany most. My się udamy tamtędy, przeje-  
mostem na drugi brzeg, potem wysadzimy most w  
'e, żeby uniemożliwić wam pościg, a następnie  
na południe. Spotkamy się po dwóch stronach >  
wysokości domku przewoźnika i tam dokonamy >v  
więźniów. Przeprowię się przez rzekę promem;  
niewielka, łatwa w obsłudze łódź umocowana do  
którą się samemu ciągnie. Czy wszystko jasne?  
dłuższą chwilę Hrabia milczał; w ciszy, jaka pano-  
pokoju, słychać było jedynie niewyraźny, nieco /ny  
pomruk dochodzący z drugiego końca linii. Po i  
czasie Hrabia znów się odezwał: wileczkę. - Zasłonił  
ręką mikrofon i zwrócił się do 1:0: - Hidas chce nam  
udzielić odpowiedzi dopiero ne; twierdzi, że musi  
mieć zgodę rządu. To całkiem \ ale równie możliwe, a  
nawet bardziej prawdopo-rst to, że ściągnie w tym  
czasie wojsko, które nas  
• ilbo poleci lotnictwu, żeby zbombardowało chatę. c  
z tego nie wyjdzie. - Jansci pokręcił głową, -s/e  
jednostki wojskowe stacjonują w Kaposvar na u: od  
Balatonu, a z komunikatów radiowych wynika. cren  
jest zupełnie odcięty od świata. najbliższe bazy  
lotnicze znajdują się przy czeskiej - Hrabia  
popatrzył na szarość za oknem i śnieg, cięż prószył. -  
Nawet jeśli lotniska są jeszcze czyn-rzy takiej  
pogodzie nie odnajdzie nas żaden samo-1 o,  
ryzykujemy? Y.ykujemy.  
. nią zdjął rękę ze słuchawki.

**,oda, pułkowniku. Dajemy panu godzinę. Jeśli za-i pan choć o minutę później, już nas pan nie zasta-  
cszcze jedno. Kiedy ruszy pan z Budapesztu, poje-m  
trasą przez Vylók. Nie życzę sobie, żeby odcinał 111  
inne drogi ucieczki... Dobrze pan wie, jak liczną  
cjiiijliiiiilliliiijli!**

**236 • Alistair MacLean**

**organizacją kieruje generał Iljurin i zapewniani |'.  
wszystkie szosy na południe od Szombathely będą  
wowane. Jeżeli tylko na którejś pojawi się samodi  
ciężarówka, to nasze spotkanie nie dojdzie do skn  
więc do zobaczenia, pułkowniku... Mniej więcej .  
godziny, tak? Au revoir.**

**Odłożył słuchawkę.**

**- Widzicie, panowie, jaki jestem cwany? - zwróci l  
Janskiego, Reynoldsa i Jenningsa. - Nie narażając  
żadne niebezpieczeństwo zdobyłem sobie opink1  
skiego człowieka, który gotów jest bezinteresown  
święcić się dla sprawy. Ale rakiety są ważniejsze <"  
sty; Hidasowi bardziej zależy na profesorze. Mam  
godziny czasu.**

**Jedna już prawie minęła. Powinni ją byli pr/r/i na  
sen, wszyscy bowiem padali ze zmęczenia i daw >  
mieli okazji odpocząć, ale jakoś nikomu nie przys/l  
głowy. Nie przyszło do głowy Janscieniu, który sp;u  
przed chatą, oszołomiony i szczęśliwy, że wkrótce  
swoją Katię, a zarazem zatroskany, gnębiony wyi  
sumienia, z silnym postanowieniem w sercu, że ni»  
profesora na śmierć. Na pomysł snu nie wpadł'n >  
profesor: nie zamierzał spędzić w łóżku ostatnich**

godzin, jakie pozostały mu na wolności. Kozak, który i jąc się do stoczenia chwalebnej walki ze znieawid«» ayokami, jak zwykle ćwiczył różne sztuczki z bic/.c oczywiście nie myślał o odpoczynku. Podobnie jak SH| który nie zważając na siarczasty mróz chodził krok w j za Janscim nie chcąc, żeby w takiej chwili generał był | Hrabia zaś pił, dużo i właściwie bez przerwy, zu jakby już nigdy więcej miał nie zobaczyć butelki pnlli dwóch poprzednich sam jeden opróżnił ponad połę teraz otwierał trzecią. Reynolds przyglądał mu siv ; mym podziwem. Mimo ogromnej ilości pochłoniętego MI holu, Hrabia sprawiał takie wrażenie jakby pił czy sin i de.

- Uważa pan, że za dużo piję? - Hrabia uśmiechnął l - Łatwo to wyczytać z pańskiej twarzy.

Ostatnia granica • 237

Via pan prawo robić co się panu podoba, nie. Lubię palinkę.

"i-zyjacielu?

I ds wzruszył ramionami.

II ie dlatego pan pije.

- Hrabia uniósł pytająco brew. - A dlaczego?

• i >ić w kieliszku zmartwienia? . Lecz chyba nie swoje, a Janseiego - odparł z i Reynolds. I nagle miał przebłysk świadomości. ni. Nie umiem odgadnąć skąd w panu ta pewność, i'im święcie przekonany, że wkrótce będą razem, atia i Julia. Z Jansciego smutek wyparował, w ostał. Niedawno mieliście jednakowo zasepione

• teraz w pojedynkę dźwiga pan brzemień smutku i KO z podwójną siłą. ci coś panu mówił? Nic. kobrze. - Hrabia spojrzał na niego z zadumą. -anu. W ciągu tych kilku dni przybyło panu dzie- przyjacielu. Już nigdy nie będzie pan taki jak Rzeczywiście zamierza się pan wycofać ze służby wcześniej?

To było moje ostatnie zadanie, ce się pan ożenić z piękną Julią? i Boże! Czy to... czy to aż tak widoczne? yscy wiedzieliśmy, że pan ją kocha, zanim jeszcze

• )bie uświadomił. >lds, zdumiony, zmarszczył czoło. więc tak. Pragnę ją poślubić. Tylko nie wiem, czy chce.

ioch pana o to głowa nie boli. Znam się na kobie-i Irabia złączył ręce. -Widać, że wpadł jej pan w oko. .1 ;mi nadzieję. -Nagle umilkł, zawahał się i popatrzył M mu w oczy. - Bardzo sprytnie zmienił pan temat. lak. Przepraszam. To są pana sprawy osobiste, nie ncnem był tak obcesowo pytać o pańskie zamiary. mii pycha to prawdziwe przekleństwo. - Napelnił ukę palinką, pociągnął łyk, po czym sięgnął po paczkę

..JlJliiJLijiJiilili

238 • Alistair MacLean

rosyjskich papierosów, mimo że przed chwilą skońr\* lic. - Jansci szukał swojej żony, a ja swojego synka i.

mił ni stąd ni zowąd. - Za miesiąc skończyłby dwad/lat, zresztą nie wiem, może skończy, może żyje.

- To było pana jedyne dziecko?

- Nie, jedno z pięciu; dzieci miały matkę, dziadku ków. O pozostałe dzieci i resztę rodziny się jednnk martwię. Ich już nic złego nie spotka.

Reynolds nie odezwał się, bo co mógł powied/l tego co mówił Jansci wiedział, że Hrabia stracił ws/ co posiadał i wszystkich, których kochał. Dotąd historii jego synka.

- Zabrali mnie, kiedy mały miał trzy latka. We! widzę przed oczami jak stoi na śniegu i patrzy zd/iv nie rozumiejąc co się dzieje. Nie ma dnia, żebym o ni myślał. Czy żyje? Czy ktoś się nim zaopiekował? C/.v zimą w co ubrać? Czy dobrze się odżywia? A może < chudy, wygłodzony? A co jeśli nikt go nie przygarnął cięż nie, każdy ulitowałby się nad takim malcem. C/.c\* zastanawiam jak wyglądał i jak teraz wygląda. Wl;i • myślę o tym bez przerwj'. Jaki ma uśmiech, czy l u l śmiać, czy jako chłopiec lubił biegać, bawić się... Cał-marzyłem o tym, żebyśmy mogli być razem, żebym nm widywać codziennie, przeżywać te wszystkie cucli chwile, jakie przeżywają rodzice, kiedy ich dziecko d sta, ale niestety nie było mi to dane, te najwspania!s/c jego dzieciństwa dawno minęły i teraz jest już za p Czas mija bezpowrotnie. To dziecko trzymało mm życiu, ale kiedyś nadchodzi wreszcie taki moment, k człowiek uświadamia sobie prawdę. Ja ją sobie us\vi



miłem dziś rano. Już nigdy nie zobaczę syna. Niech li ma w opiece.

- Przykro mi, że spytałem pana o powód picia - s/c Reynolds. - Przepraszam. - Zamilkł, a po chwili do Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Bo wcale nic- j« przykro. Przeciwnie, cieszę się.

- O dziwo, ja też. - Hrabia opróżnił do końca kiivll po czym ponownie go nappełnił i spojrział na zegarek, po chwili się odezwał, znów był dawnym sobą, drwi

### Ostatnia granica • 239

nym, pewnym siebie człowiekiem. - Palinka ma te < iść, że wywołuje rzewny nastrój, ale i go rozwiewa, i nas, przyjacielu. Minęła godzina. Nie możemy tu bez końca. Tylko szalenieć ufałby Hidasowi. Jennings musi... ; i. Jeśli go nie dostaną, wtedy Katia i Julia... mą? Tak?

••stety.

janom strasznie musi zależeć na profesorze. \et pan sobie nie wyobraża jak bardzo. Już sama i Jenningsa na Zachód byłaby dla nich ciosem, po

• Hugo nie mogliby się pozbierać, a gdyby w dodatku r zaczął opowiadać o tym, co się tu działo, ponieśli-

• ^wetowane straty. Śmiertelnie się tego boją. Dlate-wonilem do Hidasu i zaproponowałem mu siebie:

i k bardzo chce mnie dostać w swoje ręce. Skoro nie de, to znaczy, że na profesorze zależy im sto razy

• • dlaczego? - spytał z napięciem Reynolds, nigdy nie będzie dla nich pracował - odparł Hra-dając odpowiedzi wprost. - I oni dobrze o tym

•li...

rli chcą zapewnić sobie jego milczenie - dokończył i. - Jest na to tylko jeden sposób. ;elki Boże! Nie możemy go puścić, nie możemy mu ić iść na śmierć, nie... i pominą pan o Julii - przypomniał delikatnie Hra-

•lolds ukrył twarz w dłoniach; był zbyt skołowany, •trzęsiony, żeby jasno myśleć. Stał tak może z pół może minutę i nagle podskoczył na dźwięk telefona ostry, natarczywy terkot zakłócił panującą w v'iszę. Hrabia błyskawicznie sięgnął po słuchawkę. Howarth. To pan, pułkownik Hidas?

ci z Sandorem pośpiesznie wrócili do pokoju i nie i.iąc śniegu z głów i ramion zbliżyli się do stołu, ale poprzednio jedyne, co było słyhać, to niewyraźny •y.ny pomruk dochodzący z drugiego końca linii.

,

240 • Alistair MacLean

Wszyscy z napięciem patrzyli na Hrabiego, który <>\ > niedbale o ścianę i powoli, bez celu, wodził wzroki. pokoju. Nagle wyprostował się i zmarszczył brwi bruzda przecięła mu czoło.

- Wykluczone! Dałem panu godzinę, pułków możemy dłużej czekać. Myśli pan, że jesteśmy l żeby siedzieć tu dopó...

Urwał w pół słowa i przez chwilę słuchał jak l zawzięcie peroruje, po czym nagle rozległo się n. nięcie; Hrabia spojrział na słuchawkę, w której bu gły sygnał, i powoli odłożył ją na widelki. Od\\ i

przygryzając dolną wargę i pocierając kciukiem wskazujący.

- Coś mi tu nie pasuje - powiedział wreszcie. Tfln niepokój, który malował się na jego twarzy, był wydny w jego głosie. - Coś mi się nie podoba. Hidas twl że minister, który władny jest podjąć decyzję, pn akurat na wsi, a ponieważ linie telefoniczne są tam i ne, musieli wysłać po niego samochód. Może minąć J pół godziny, albo i więcej, zanim... Kretyn! Idiota!

- Kto? Co? - spytał Jansci.

- Jak to kto? Ja! - Wątpliwości, które jeszc/c 11 chwilą go dręczyły, znikły bez śladu; choć starał s u- /\*< wać spokój, z jego głosu przebijał nerwowy po.śpi Sandor, leć i włącz silnik! Bierzemy granaty, dynai wysadzenia mostu i telefon polowy. Ruszać się! N;i szybciej!

Nikt o nic nie pytał. Zanim minęło dziesięć M wszyscy stali na zewnątrz, w śnieżycy, i ładowali .v ciężarówki, a niecałą minutę później jechali n wyboistą drogą w stronę szosy.

' Jansci marszcząc w zamyśleniu czoło, spojrział p.\ 141 na Hrabiego.

- Dzwonił z budki telefonicznej - wyjaśnił cici bia. - To karygodne niedbalstwo z mojej strony, że ( na to nie wpadłem. Jak myślisz, dlaczego pułkownik. oficer AVO, korzysta z budki? Dlatego, że wyjeclinił Budapesztu! Założę się, że poprzedni telefon też n u-11 Budapesztu, tylko z jednostki wGyór. Akiedyja dz\v«ul i

M\* |B

fe

jff i

y, pewnie mnie przełączyli. Skurczybyk jest już .-t- i ucieka się do różnych chytrych wybiegów, byle-M /atrzymać nas jak najdłużej na miejscu. Minister /e rwane druty telefoniczne, oficjalne pozwolenie, Iko lipa, bujda na resorach! I pomyśleć, że daliśmy 'i rac! Budapeszt, cholera! Wyruszył z Budapesztu n<lzin temu! Pewnie jest już jakieś dziesięć kilome-i(j|d. A my siedzieliśmy jak grzeczne myszki czekając hwie na pojawienie się kota. Jeszcze kwadrans i by-nas!

wy d « stwknjgj

;,3m

?^

## Rozdział dwunasty

Dygocząc z zimna czekali przy słupie telefoniczny" skraju lasu, wypatrując wroga poprzez chwilowo rzędu śnieg. Niedostatek snu, nadmierne zmęczenie oraz z(0)liwe ciepło, które ogarnęło ich po wypiciu palinki i l« szybko się ulatniało, wszystko to sprawiło, że byli |l przygotowani do choćby krótkiego czuwania na mrorl-'

Na razie nie czekali długo. Upłynęło zaledwie i ście minut odkąd opuścili chatę; najpierw dojecha 11 drogą do łukowatego, murowanego mostu, potem w główną szosę wiodącą na zachód i po dwustu IIH i

dotarli do skraju lasu; tam zaparkowali wśród drzew r < rówkę. Hrabia i Sandor wysiedli wcześniej, żeby pól na moście ładunki wybuchowe. Reynolds z profrsi i wzięli szybko po kilka gałęzi, zrobili z nich prowizory miotły i pobiegli na most pomóc Hrabiemu i Sandm zatrzeć ślady po kołach, a następnie przysypać śnirt: przewody, które przeciągnęli od ładunku do lasu, i> Sandor pozostał w ukryciu, z ręką na uchwycie detoiui'< Zanim Hrabia, Reynolds i profesor wrócili do ciężą r<'<i Jansci z Kozakiem, który z małpią zwinnością i><>l> wspiąć się na każde drzewo i słup, zdążyli już podli), aparat polowy do drutów telefonicznych wiodących chaty.

Minęło dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny, t>i wciąż prószyl niezbyt obficie, mróz przenikał ich do s/i kości, a wroga jak nie było tak nie było. Jansci i Unii coraz bardziej zaniepokojeni nieobecnością Hidasu częli wietrzyć podstęp. Spóźnianie się, zwłaszcz/a !>•< szło o tak wysoką stawkę, nie leżało w stylu AVO, a pult. nikHidas-jak oświadczył Hrabia-nigdy sienie spu/n Może utknęli na zaśnieżonej, nieprzejezdnej drod/< ' Hidas zignorował instrukcje, może właśnie w tej jego ludzie blokowali wszystkie drogi prowadzące •

Ostatnia granica • 243

mbowali zająć ich od tyłu? Hrabiemu jedjiak wyda-to mało prawdopodobne; wiedział, że Hidas jest przekonany, iż Jansci kieruje wielką i dobrze zor-wwaną grupą oporu, a to że generał mógł nie

przedsię-I Uik oczywistych środków ostrożności jak  
wystawie-Ktcrunków na drodze, zapewne w ogóle  
nie przyszło o Kłowy. Lecz nie ulegało wątpliwości,  
że pułkownik nuje, a był to niezwykle groźny  
przeciwnik, o czym •rwało się wielu opozycjonistów  
dogorywających obe-|W obozach koncentracyjnych,  
którzy w swoim czasie "•enili przebiegłości i uporu  
tego chudego, zgorzk-' Żyda. Tak, Hidas wyraźnie  
coś szykował. odejrzenia potwierdziły się, gdy tylko  
jego siły po- . się w polu widzenia. Nadjechał ze  
wschodu, ogro-i.vtą zieloną ciężarówką, która-jak  
wyjaśnił Hrabia wila ruchomą kwaterę główną  
Hidasa: mieściła biu-itidinię i miejsce do spania;  
towarzyszyła jej druga parówka, mniejsza, brązowa,  
prawdopodobnie pełna (ilrrców z AVO. Tego się  
akurat Hrabia z Janscim spocili. Nie spodziewali się  
jednak trzeciego pojazdu, ti który zapewne wynikło  
całe opóźnienie: był to wiel-l>aticerzony transporter  
na półgąsienicach, wyposażony n/nie wyglądające  
szybkostrzelne działo przeciwpan-r, równe -prawie  
połowie długości samego wozu. k/yźni zebrani przy  
słupie na skraju lasu wymienili lilone spojrzenia, nie  
potrafiąc zrozumieć czemu ma  
Et ten pokaz siły. Odpowiedź dostali już wkrótce,  
das dokładnie wiedział co ma robić - przypuszczalnie  
liyl od Julii informację, że boczne szczytowe ściany >  
.lanskiego są bez okien - bo nie marnował ani chwili |  
ii'konesans, tylko natychmiast przystąpił do  
działania; /nakoinicie wyszkoleni ludzie  
przeprowadzili całą l lv uladko i niezwykle sprawnie.

Kiedy dzieliło je około iiii set metrów od drogi prowadzącej bezpośrednio do ii\ obie ciężarówki przyspieszyły, zostawiając w tyle n porter; przez chwilę pędziły równo obok siebie, po-ii rzyhamowały, skręciły z drogi na most, z piskiem /ajechały pod chatę, gdzie rozdzieliły się i stanęły dnie naprzeciw ścian bez okien, każda w odległości

244 • Alistair MacLean

kilku metrów. Ledwo się zatrzymały, ze środka wysk uzbrowieni agenci, którzy szybko zajęli pozycje za p<> mi, za niedużymi zabudowaniami gospodarczymi i /.» wami na tyłach chaty.

Zanim ostatni z avoków zdążył dobiec na nil ogromny transporter skręcił z drogi, a potem z lufa <' groteskowo wymierzona w niebo wcisnął się na • most, dosłownie ocierając się bokami o jego poręcz/c i toczył się na drugą stronę i zatrzymał mniej więcej 1] dziesiąt metrów przed chatą. Minęła jedna sekum! ga, po czym rozległ się krótki, ostry świst wylał i działa pocisku, a następnie potężny huk, gdy poi w ścianę, tuż pod oknami na parterze. Tynk i kaw; posypały się na wszystkie strony, a powietrze zr< gęste od dymu. Uplęnęło kilka sekund, pył wznieć.-1, wszym wybuchem nie miał nawet czasu opaść, kici l • pocisk ugodził w chatę, może metr dalej od pienv potem trzeci, czwarty i piąty; wkrótce trzymetrowej ii ści dziura ziała we frontowej ścianie chaty.

- Wredny, podstępny skurwysyn - mruknął pod IM Hrabia. Twarz miał pozbawioną wyrazu. - Wiedz i >'• nie można mu ufać, ale nie wiedziałem, że a/

stopnia. - Urwał, czekając, aż ucichnie niosący s; huk kolejnego wystrzału. - Oglądałem to setki technika, którą Niemcy opracowali do perfekcji v wie. Jeśli chce się zburzyć dom nie blokując ulic, czy podziurawić parter i budynek zawali się cli Dodatkową zaletą tej metody jest to, że wszyscy u cy się w nim giną na miejscu, przysypani gruzami - Chcą nas... Myślą, że jesteśmy w środku? - sp> cym głosem profesor Jennings; na jego bladej twa walo się przerażenie.

- A pan uważa, że odbywają niewinne ćwiczeni i nicze? - zirytował się Hrabia. - Oczywiście, że m> • tam jesteśmy! I na wszelki wypadek, gdyby szczun i wały wybiec z nory, Hidas porozstawiał wkoło swoje ry. .

**Ostatnia granica • 245**

ozumiern. - Głos Jenningsa był nieco bardziej opa->.y. - Wygląda na to, że się pomyliłem. Moje usługi są i\jan znacznie mniej warte niż mi się wydawało, ie ma pan racji - skłamał Hrabia. - Zależy im na i to bardzo, ale podejrzewam, że jeszcze bardziej im na śmierci generała Iljurina i mojej. Jansci to numer jeden komunistycznych Węgier i Hidas po i zdaje sobie sprawę, że taka szansa może się już i nie powtórzyć. Musiał ją wykorzystać, nawet ko-pańskiego życia.

i nolds czuł, jak powoli narasta w nim dziwne uczu-idziw zmieszany ze złością. Był zły na Hrabiego, że K prawdę przed Jenningsem i pozwala mu wierzyć, mu nie grozi, że wymiana wciąż jest możliwa, a



•m był pełen podziwu dla niego za to, że na poczekaniu wymyślić tak wiarogodne wytłumaczenie, tranie, bydlaki, kanalie - powtarzał Jennings, nie wyjść ze zdumienia.

•4otnie trudno myśleć o nich inaczej niż w tych kategoriach - powiedział Jansci wzdychając ciężko. - Czy któryś z was je widział?

• musiał wyjaśniać o kogo mu chodzi; zrozumieli jego

i e i w milczeniu potrząsnęli głowami.

się? To chyba trzeba zadzwonić do naszego przyjaciela-

ucze telefoniczne mieści się pod szczytem. Pewnie ';< go nie zniszczyli.

iktycznie. Kiedy strzały na moment ucichły i Jansci rił korbką aparatu polowego, w czystym, mroźnym •tmi wyraźnie usłyszeli odgłos dzwoniącego w chacie mu, wyraźnie też usłyszeli rozkaz wstrzymania ognia iczyli mężczyznę.-który wybiegł z za rogu machając do ców w opancerzonym wozie. Prawie natychmiast nwnano działo w bok. Kolejny rozkaz i przycupnięci > żołnierze pospiesznie wyszli z ukrycia: część ruszyła lv chaty, część w stronę frontu. Ci z przodu budynku,

• pochyleni, skradali się ostrożnie wzdłuż zburzonej y, co jakiś czas prostując się energicznie i wtykając automatów w rozbite szyby. Dwóch kopnęło drzwi, ii jąć je z mocno nadwyreżoanych zawiasów, i weszło do  
246 • Alistair MacLean

środku. Nawet z tej odległości grupa na skraju lasu .  
IM ścia rozpoznała pierwszego z nich, albowiem nic  
»•< było pomylić potężną, gorylowatą sylwetkę Koko  
/ wiek innym.

~ Teraz rozumiecie, dlaczego nasz zacny pułkownik  
długo cieszy się życiem? - spytał Hrabia. - Zawsze  
M» ograniczyć ryzyko do minimum.

Wkrótce kolos, wraz z drugim ayokiem, ukazał  
nownie w wejściu i powiedział coś agentom pili okien  
na zewnątrz; wyraźnie odprężyli się, a jeden p  
szybko za róg. Wrócił dosłownie po chwili.

Towar/.y.i mężczyzna, który skierował swoje kroki  
prosto do cli tym, że był to pułkownik Hidas, zebrani  
na skniju przekonali się kilka sekund później, kiedy  
w nakład na głowę słuchawkach polowego telefonu  
rozległ M metaliczny głos. Brzmiał całkiem donośnie,  
gdy/ J tylko jedną słuchawkę przyłożył do ucha,  
drugą tr/y tak, żeby wszyscy słyszeli rozmowę.

- General Iljurin, jak się domyślam? - Głos Hid/i  
spokojny, opanowany, lecz Hrabia zbyt dobrze go / •  
nie wyczuć w nim nuty złości.

- Owszem. Czy to w ten sposób dżentelmeni z AV  
trzymują słowa, pułkowniku?

- Nie bawmy się w dziecinne pretensje, generała  
wolno spytać, skąd pan dzwoni?

- To całkiem bez znaczenia - rzekł Jansci. - Czy |  
wiózł pan z sobą moją żonę i córkę?

W aparacie zaległa cisza; dopiero po dłuższej pn  
pułkownik przemówił znów.

- Naturalnie. Przecież obiecałem.

- Chciałbym je zobaczyć.
- Nie ufa mi pan?
- Zbędne pytanie. Powtarzam: chciałbym je zobaczyć
- Muszę się chwilę zastanowić - odpar! Hidas; \\  
włkach znów zaległa cisza.
- Wcale się nie zastanawia - powiedział po;-1  
Hrabia. - Cwaniak nie potrzebuje się zastanawiać  
zyskać na czasie. Wie, że skoro go widzimy, on też |»  
>

### Ostatnia granica • 247

dojrzeć. Ta pierwsza pauza była właśnie po to;

- oim ludzian, żeby...

k, który doleciał z chaty, potwierdził słowa Hra-i nim  
ten zdążył je do końca wypowiedzieć; moment

- budynku wyłonił się człowiek, który pobiegł ile  
ach do transportera.

iiaczyli nas - oznajmił cicho Hrabia. - Albo nas,  
/arówkę. Wiecie, co teraz robią?

- i' trudno zgadnąć. -Jansci rzucił na ziemię aparat  
Kryjcie się! Nie wiadomo tylko, czy będą strzelać i  
czy podjadą bliżej.

< i jadą. - Reynolds nie miał cienia wątpliwości. ~ .

l>y drzewa nie blokowały pocisków.

- mylił się. Zanim skończył mówić, wielki dieslowski

> /.'warczał i transporter wolno wtoczył się na

polanę i rhatą, zatrzymał się i zaczął wykręcać. i a k.

- Jansci skinął głową. - Nie ruszaliby się z miej-Khy  
chcieli strzelać stamtąd. Działo obraca się o i  
/eśdziesiąt stopni.

**i'dł zza drzewa, przeskoczył przez zaśnieżony rów, na drodze i uniósł ręce wysoko nad głowę, stykając i '.i: był to umówiony znak dla czekającego w ukryciu ni, żeby nacisnął detonator.**

**kt się nie spodziewał tego, co nastąpiło, nawet Hra-  
tóry nie podejrzewał, że Hidasa aż tak rozsierdził ich  
Z leżących na ziemi słuchawek doleciał go rozkaz  
1:1!" i zanim Hrabia zdołał ostrzec swoich  
towarzyszy, mdzeni przed chatą ąvocy zaczęli  
strzelać. Mężczyźni niju lasu czym prędzej skoczyli  
za drzewa, kryjąc się gradem kul lecących ze  
świstem w ich stronę; jedne lv się z głuchym  
łoskotem w najbliższe, pnie, inne ,-etowały i ze  
złowrogim gwizdem pędziły głębiej w tam -już z  
mniejszą siłą - ugrzęznąć w korze drzew, tu? inne  
łamały pokryte śniegiem gałęzie strącając z biały  
puch, który łagodnie opadał ku ziemi. Jeden ci nie  
miał ani czasu, ani możliwości się skryć; zatai się,  
zatonął k runął bezwładnie na szosę niczym ine  
przez drwała drzewo. Reynolds wyskoczył zza ny.  
gotów rzucić się Jansciemu na pomoc, gdy raptem  
246 • Alistair MacLean**

**środka. Nawet z tej odległości grupa na skraju lasu <  
IM ścią rozpoznała pierwszego z nich. albowiem nic  
»(•< było pomylić potężną, goryłowatą sylwetkę  
Koko / kiH wiek innym.**

**- Teraz rozumiecie, dlaczego nasz zacny pułkownik  
długo cieszy się życiem? - spytał Hrabia. - Zawsze -s(  
uM ograniczyć ryzyko do mimimum.**

Wkrótce kolos, wraz z drugim avokiem, ukazał nownie w wejściu i powiedział coś agentom piln okien na zewnątrz; wyraźnie odprężyli się, a jeden \ szybko za róg. Wrócił dosłownie po chwili.

Towar/.ya mężczyzna, który skierował swoje kroki prosto do cli tym, że był to pułkownik Hidas, zebrani na skniju przekonali się kilka sekund później, kiedy w nakła na głowę słuchawkach polowego telefonu rozległ M metaliczny głos. Brzmiał całkiem donośnie, gdy/ tylko jedną słuchawkę przyłożył do ucha, drugą tr/y tak, żeby wszyscy słyszeli rozmowę.

- Generał Iljurin, jak się domyślam? - Głos Hidn» spokojny, opanowany, lecz Hrabia zbyt dobrze go / • nie wyczuć w nim nuty złości.

- Owszem. Czy to w ten sposób dżentelmeni z AV trzymują słowa, pułkowniku?

- Nie bawmy się w dziecinne pretensje, generała wołno spytać, skąd pan dzwoni?

- To całkiem bez znaczenia - rzekł Jansci. - Czy wiozł pan z sobą moją żonę i córkę?

W aparacie zaległa cisza; dopiero po dłuższej pn pułkownik przemówił znów.

- Naturalnie, Przecież obiecałem.

- Chciałbym je zobaczyć.♦♦

- Nie ufa mi pan?

- Zbędne pytanie. Powtarzam: chciałbym je zol

- Muszę się chwilę zastanowić - odparł Hidas; \ wkach znów zaległa cisza.

- Wcale się nie zastananawia - powiedział posi Hrabia. - Cwaniak nie potrzebuje się zastanawia

zyskać na czasie. Wie, że skoro go widzimy, on też  
|>< >

**Ostatnia granica • 247**

dojrzeć. Ta pierwsza pauza była właśnie po to;

• oim ludzion, żeby...

k, który doleciał z chaty, potwierdził słowa Hra-i nim  
ten zdążył je do końca wypowiedzieć; moment

• budynku wyłonił się człowiek, który pobiegł ile ach  
do transportera.

naczyli nas - oznajmił cicho Hrabia. - Albo nas, •

'/.arówkę. Wiecie, co teraz robią? " Irudno

zgadnąć. -Jansci rzucił na ziemię aparat Kryjcie się!

Nie wiadomo tylko, czy będą strzelać l czy podjadą  
bliżej.

< l jadą. - Reynolds nie miał cienia wątpliwości. -< by  
drzewa nie blokowały pocisków. • mylił się. Zanim

skończył mówić, wielki dieslowski » /awarczał l

transporter wolno wtoczył się na polanę i chatą,

zatrzymał się i zaczął wykręcać. r.ik. - Jansci skinął

głową. - Nie ruszaliby się z miej-Kby chcieli strzelać  
stamtąd. Działo obraca się o /eścdziesiąt stopni.

i'dl zza drzewa, przeskoczył przez zaśnieżony rów,  
na drodze i uniósł ręce wysoko nad głowę, stykając

b;i: był to umówiony znak dla czekającego w ukryciu  
i>ru, żeby nacisnął detonator.

kt się nie spodziewał tego, co nastąpiło, nawet Hra-  
tóry nie podejrzewał, że Hidąsa aż tak rozsierdził ich

Z leżących na ziemi słuchawek doleciał go rozkaz

ci!" i zanim Hrabia zdołał ostrzec swoich

towarzyszy, ladzeni przed chatą avocy zaczęli

strzelać. Mężczyźni niju lasu czym prędzej skoczyli za drzewa, kryjąc się l gradem kul lecących ze świstem w ich stronę; jedne ly się z głuchym łoskotem w najbliższe, pnie, inne /etowały i ze złowrogim gwizdem pędziły głębiej w iy tam - już z mniejszą siłą - ugrzęznąć w korze drzew, trę inne łamały pokryte śniegiem gałęzie strącając z biały puch, który łagodnie opadał ku ziemi. Jeden ci nie miał ani czasu, ani możliwości się skryć; zatai się, zatoczył k runął bezwładnie na szosę niczym ine przez drwała drzewo. Reynolds wyskoczył z za ny, gotów rzucić się Jansciemu na pomoc, gdy raptem

246 • Alistafir MacLean

środka. Nawet z tej odległości grupa naskraju lasu ścią rozpoznała pierwszego z nich, albowiem nic było pomylić potężną, gorylowatą sylwetkę Koko /. wiek innym.

- Teraz rozumiecie, dlaczego nasz zacny pułkownik długo cieszy się życiem? - spytał Hrabia. - Zawsze M ograniczyć ryzyko do minimum.

Wkrótce kolos, wraz z drugim avokiem, ukazał npwnie w wejściu i powiedział coś agentom pilmi okien na zewnątrz; wyraźnie odprężyli się, a jeden | >< szybko za róg. Wrócił dosłownie po chwili.

Towar/ysi,, mężczyzna, który skierował swoje kroki prosto do rh| tym, że był to pułkownik Hidas, zebrani na skraju przekonali się kilka sekund później, kiedy w naklml. na głowę słuchawkach polowego telefonu rozległ >| metaliczny głos. Brzmiał całkiem donośnie, gdy/ . tylko jedną słuchawkę

przyłożył do ucha, drugą trzy tak, żeby wszyscy słyszeli rozmowę.

- General Iljurin, jak się domyślam? - Głos Hidui spokojny, opanowany, lecz Hrabia zbyt dobrze go -/.n ' nie wyczuć w nim nuty złości.

- Owszem. Czy to w ten sposób dżentelmeni z AV trzymają słowa, pułkowniku?

- Nie bawmy się w dziecinne pretensje, general\*! wolno spytać, skąd pan dzwoni?

- To całkiem bez znaczenia - rzekł Jansci. - Czy | wiózł pan z sobą moją żonę i córkę?

W aparacie zaległa cisza; dopiero po dłuższej prz»»» pułkownik przemówił znów.

- Naturalnie, Przecież obiecałem.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Nie ufa mi pan?

- Zbędne pytanie. Powtarzam: chciałbym je zol •

- Muszę się chwilę zastanowić - odparł Hidas: \\ wkach znów zaległa cisza.

- Wcale się nie zastanawia - powiedział po.^i Hrabia. - Cwaniak nie potrzebuje się zastanawi.> zyskać na czasie. Wie, że skoro go widzimy, on też pi >

Ostatnia granica • 247

dojrzeć. Ta pierwsza pauza była właśnie po to; oim ludzion, żeby...

k, który doleciał z chaty, potwierdził słowa Hra- i nim ten zdążył je do końca wypowiedzieć; moment budynku wyłonił się człowiek, który pobiegł ile



ach do transportera.

i uczyli nas - oznajmił cicho Hrabia. - Albo nas, /arówke. Wiecie, co teraz zrobią?

- Irudno zgadnąć. -Jansci rzucił na ziemię aparat Kryjcie się! Nie wiadomo tylko, czy będą strzelać l czy podjadą bliżej.

- "l.jada. - Reynolds nie miał cienia wątpliwości. -

- -by drzewa nie blokowały pocisków. mylił się.

Zanim skończył mówić, wielki dieslowski . i warczał i transporter wolno wtoczył się na polanę hata,

zatrzymał się i zaczął wykręcać. i k -Jansci skinął

głową. - Nie ruszaliby się z miej-i\l>y chcieli strzelać stamtąd. Działo obraca się o ' /eścdziesiąt stopni.

>'dl zza drzewa, przeskoczył przez zaśnieżony rów,

n;i drodze i uniósł ręce wysoko nad głowę, stykając

IM: był to umówiony znak dla czekającego w

ukryciu i a, żeby nacisnął detonator.

kt się nie spodziewał tego, co nastąpiło, nawet Hra-

tóry nie podejrzewał, że Hidasa aż tak rozsierdził ich

Z leżących na ziemi słuchawek doleciał go rozkaz

1:1!" i zanim Hrabia zdołał ostrzec swoich

towarzyszy,

ladzeni przed chatą avocy zaczęli strzelać. Mężczyźni

raju lasu czym prędzej skoczyli za drzewa, kryjąc się

l tfradem kul lecących ze świstem w ich stronę; jedne

ly się z głuchym łoskotem w najbliższe, pnie, inne

/otowały i ze złowrogim gwizdem pędziły głębiej w

k liy tam - już z mniejszą siłą - ugrzęznąć w korze

drzew,

rę inne łamały pokryte śniegiem gałęzie strącając z

**I biały puch. który łagodnie opadał ku ziemi. Jeden ci nie miał ani czasu, ani możliwości się skryć; zaitał się, zatoczył Ł runął bezwładnie na szosę niczym \*ne przez drwała drzewo. Reynolds wyskoczył z zaty. gotów rzucić się Jansciemu na pomoc, gdy raptem**

## **1 Alistair MacLean**

**ktoś chwycił go za ramię i brutalnie wciągnął z pow. za pień.**

**- Chce pan zginąć? - Głos Hrabiego drżał z wścir lecz nie była ona wymierzona\* w Reynoldsa. - Jan.sci jeszcze żyje. Porusza nogą.**

**- Nie możemy go tak zostawić! - oburzył się Id chciał skorzystać z tego, że terkot automatów ustal niespodziewanie jak się zaczął. -Zaraz znów będą M Podziurawią go jak sito!**

**- A więc tym bardziej nie powinien się pan tam**

**- Ale Sandor czeka na znak! Na pewno nie zdąż\ czyć...**

**- Sandor nie jest głupcem. I bez znaku wie. co MV - Hrabia wyjrzał ostrożnie z za drzewa i zobaczył <> rzony transporter, który podskakiwał na polnej 'i tocząc się w stronę mostu. -Jeśli teraz wysadziłby i powietrze, to cholerne działo wykosiłoby nas z od h Albo, co gorsza, transporter wykręciłby, a potem n.< cznym biegu przejechał przez strumyk na nas/.;i Sandor dobrze o tym wie. Niech pan patrzy!**

**Reynolds spojrział we wskazanym kierunku. Tt rter wolno zbliżał-się do celu. Jeszcze dziesięć, jeszcze pięć**

**i wtoczywszy się na mostek, zaczął si po jego wybrzuszeniu. Na co ten Sandor czeka dzie za późno, pomyślał z niepokojem Reynolds, błysnęło i rozległ się niski, przytłumiony huk, c Anglik oczekiwał. W następnej chwili rozległ walącego się mostu, po nim rozdzierający, n chrzest zakończony tapnięciem, które wstrząsną nie mniej niż sam wybuch: pojazd wpadł do wód jąć długą lufą działa we wspornik po drugiej str myka; pękła i wygięła się do góry pod przedziwni zupełnie jak wykonana z tektury.**

**- Nasz przyjaciel ma idealne wyczucie czasu dził Hrabia z zadowoleniem, które dziwnie konti z gniewnym grymasem jego ust. Ledwo tłumiąc w: podniósł telefon polowy i z furią pokręcił korbk;  
- Hidas? Tu Howarth - wycedził. - Ty głupc/( niu!  
Wiesz, kogoście postrzelili?**

**Ostatnia granica • 249**

**ul mam wiedzieć? I dlaczego miałoby mnie to ob-  
Lekkość i swada znikły z głosu pułkownika; ' niej przejął się utratą transportera. ii/ wyjaśnię dlaczego.**

**- Hrabia był już całkiem .my, jego głos brzmiał miękko, niemal atłasowo, uwałosięwnimgroźbę.-  
PostrzeliliścieJanscie-li nie żyje, radzę panu przyłączyć się do nas, kiedy w l>v<lziemy przekraczać granicę z Austrią. Idiota! Oszalał pan, czy co?**

**Niech pan najpierw mnie wysłucha, a potem sam .leżeli Jansci nie żyje, nie zależy nam ani na jego .mi córce. Możecie z nimi zrobić, co wam się podoba,**

.mści nie żyje, o północy będziemy już poza granicami; ier i w ciągu dwudziestu czterech godzin wszystkie w Europie Zachodniej i Ameryce, wszystkie gazety Inym świecie, zamieszczą na pierwszych stronach n.', opatrzone tłustym nagłówkiem artykuły opisujące u\*. ,ic profesora Jenningsa. Pańscy mocodawcy, zarówno A Moskwie, jak i w Budapeszcie, wpadną w istną furie. Hbl&cie dopilnuję, żeby prasa zachodnia dokładnie opi-H naszą ucieczkę oraz rolę, jaką pan, pułkownik, ode-H w całej sprawie. Przy odrobinie szczęścia czeka pana Bka na Syberię albo na budowę Kanału Czarnomorskie-~ i!i1 bardziej prawdopodobne jest, że po prostu pan le. Tak, jeśli Jansci nie żyje, pan też już długo nie s/y się życiem. Dobrze pan o tym wie, pułkownik, kilku sekundach milczenia Hidas wreszcie przemó-Uoże on jednak żyje, majorze - wymamrotał ochryple.

.V tym cała pańska nadzieja. Zaraz pójdę to spraw-  
.leśli miłe jest panu życie, niech pan przywoła do  
.dku te swoje wściekłe psy!

Natychmiast wydam rozkaz, żeby nie strzelali.  
Hrabia odłożył telefon i napotkał wzrok Reynoldsa.  
l'an nie żartował? Naprawdę zostawiłby pan Julię i  
matkę na pastwę...

• Mój Boże! Za kogo mnie pan uważa?!

Przepraszam, j chciałem na pana naskoczyć. Ale z  
tego wniosek, że Jmiałem przekonująco, hm? Jasne,  
że blefowałem, ale

Ś.IN'I li li llriiii IMilli ililMIULLi lili Łilif ,!!r .iii.

**250 • Alistair MacLean**

**Hłdas o tym nie wie; zresztą nawet gdyby zamiast si razić, domyślił się, że blefuję, i tak wolałby nie ryzyku Mamy go w garści. A teraz chodźmy, pewnie już pr/yi do nogi te swoje ogary.**

**Wbiegli razem na szosę i pochylili się nad Janscim na wznak, nieruchomo, ż wyrzuconymi na boki ivk« nogami, ale oddech miał spokojny, równomierny. (M dostrzegli gdzie został trafiony - krew, która sączyłu długiej rany sięgającej od skroni po ucho, jaskrawo (><!• się od śnieżnobiałych włosów. Kucnąwszy koło przyj» Hrabia zmierzył mu puls, po czym wyprostował się.**

**- Jeśli ktoś myśli, że Janskiego tak łatwo zabić, l grubo myli - oznajmił z szerokim uśmiechem ulfi szczęście kula go tylko drasnęła; może doznał leki wstrząsu mózgu, ale czaszkę ma całą. Za jakieś d\vk«j godziny dojdzie do siebie. Na razie przenieśmy go.**

**- Ja go przeniosę - powiedział Sandor, który n rżenie wyłonił się z lasu. Delikatnie odepchnął ol>» j czynn, jedną rękę wsunął pod nogi Janskiego, d jego tors i podniósł go z taką łatwością jakby kilkuletnie dziecko. - Czy bardzo z nim źle?**

**- Nie, jest tylko draśnięty... Świetnie się spisali-lj przy moście. No, do roboty. Zanieś Janskiego do ci v/> f f i ulóż wygodnie. Ty, Kozak, bierz kombinerki, wla/ im | i czekaj na mój sygnał. A pan, panie Reynolds, uprzejmie włączyć silnik. Niech się chwilę nagrzc**

Wydawszy polecenia, sięgnął po telefon i uśmiechu  
cierpko słysząc w słuchawce niespokojny oddech Iu  
- Ma pan szczęście, pułkowniku. Jansci jest pm\*  
ranny, kula trafiła go w głowę, ale będzie żył. A term  
I pan słucha uważnie. Nie ulega najmniejszej wątpili  
że nie można panu ufać, choć to oczywiście nie jr  
mnie żadnym odkryciem. Dokonanie wymiany tu I  
absolutnie nie wchodzi w grę; nie mamy gwanui'  
dotrzyma pan słowa, raczej istnieje duża szansa, t.o\  
pan będzie starał się nas przechytryć. Zrobimy tak  
dzie pan prosto wzdłuż pola; wiem, że zwały śniegu  
nią wam jazdę, ale dzięki temu my zyskamy na  
czasir. < mając tylu ludzi do dyspozycji jakoś sobie  
porad/i I

Ostatnia granica • 251

dalej jest drewniany pomost, którym możecie łąchać  
przez strumyk; wiedzie od niego droga, która Idzi do  
szosy. Szosa dotrzecie praY/ie do samego pro-r/y  
wszystko jasne?

j Tak - odparł Hidas; sądząc po jego głosie, odzyskał  
daw-iwność siebie. - Będziemy tam najszybciej jak  
się da. | Bodzicie za godzinę. Ani minuty później.  
Nie zamie-I ryzykować, że wyśle pan kogoś po  
dodatkowe posiłki |nie nam wszystkie drogi ucieczki  
na Zachód. Aha, i pan nie traci swojego cennego  
czasu na to, żeby |r pomoc telefonicznie. Kiedy  
skończymy rozmowę, »r/eciąć druty. Tutaj, jak  
również pięć kilometrów na północ, i Rodzinę? - W  
głosie Hidasas słyhać było przeraże-

**IPrzecież zanim odgarniemy śnieg... i diabli wiedzą, ni stanie jest ta droga, o której pan mówi. Jeżeli nie my w ciągu godziny... |V uas nie zastaniecie.**

**|t)ia rozłączył się, skinął na Kozaka, żeby przeciął dru-czym zajrzał do skrzyni ciężarówki sprawdzić, czy |l leży w wygodnej pozycji, a następnie szybko zajął**

**• za kierownicą. Silnik, uruchomiony przez Reynold-  
• i i wał miarowo; już po chwili, podskakując na nierów-11 terenu, wyjechali z lasu na główną szosę i ruszyli w Ku półnoeno-wschodnim, gdzie pierwsze ciemnesmu-il.-ijącego zmierzchu zaczęły otulać pokryte śniegiem ujące się na tle szarego, ołowianego nieba.**

**\\o już prawie całkiem ciemno, znów prószył gęsty i nie zanosilo się na to, aby miał przestać padać.**

**Hrabia zjechał z szosy, która ciągnęła się wzdłuż |, skręcił w wąską, wyboistą drogę i mniej więcej po tu metrach zatrzymał ciężarówkę na dnie małego, ulego kamieniołomu. Reynolds ocknął się z zadu-itrzył zdziwiony, jedziemy do promu? - spytał. i trzysta metrów stąd. Gdybym zostawił ciężarówkę ku, mogłaby okazać się dla Hidasasabyt wielką po-**

**252 • Alistair MacLean**

**Reynolds skinął głową i nic nie odpowiedział! bardzo mało mówił, odkąd opuścili chatę Janscieg< jazdy nie zamienił z Hrabią ani słowa, z Sandoren kilka krótkich zdań, kiedy zatrzymali się, żeby drewniany most, którym przejechali na drugi b r Nie potrafił się**

uporać z własnymi myślami: tai sprzeczne uczucia i dręczyła straszliwa obawa o .1 cze nigdy w życiu o nikogo tak się nie lękał. Najgi to, że stary Jennings gadał jak najęty i robił co n podnieść swoich towarzyszy na duchu; Reynolds p< wszy widział go w takim nastroju, podejrzewał jf mając ku temu właściwie żadnych podstaw, że i mimo tego co mówił Hrabia - wie, że zginie wki mógł pogodzić się z tą myślą, było dla niego wpr< przyjęcia, że dzielny staruszek ma iść na pewną śn jeśli nie odda się w ręce Hidasa, zginie Julia. »s ogarniającym szoferkę mroku zaciskając aż do b<> choć nie dopuszczał tego do swojej świadomości serca wiedział, że istnieje tylko jedno wyjście z syl Hrabia uchylił okienko dzielące szoferkę od ciężarówki.

- Co z Janscim? - spytał.

- Rusza się - odparł łagodnym, niskim głosem Snit«' I coś mamrocze pod nosem.

- Świetnie. Głupi strzał w głowę nie wystarc/y, zabić Janskiego. - Na moment Hrabia zamyślił się, IMI < ciągnął dalej: - Nie możemy go tak zostawić. Zimno »< w psiarni, a poza tym kiedy odzyska przytomność, n < dzie wiedział gdzie się znajduje, ani gdzie myśmy » < dziali. Musimy...

- Zaniosę go do domku przewoźnika.

Po pięciu minutach doszli na miejsce. Biały, m budynek usytuowany był w połowie drogi mi v a stroną, kamienistą skarpą. Rzeka miała w tym około piętnastu metrów szerokości, płynęła leniv le i nawet



w ciemności widać było, że jest dość Zostawiwszy innych przed drzwiami budynku, K frontem do rzeki, Hrabia z Reynoldsern zeskoczył py na zwirowaty brzeg i podeszli do samej wody.

Ostatnia granica • 253

czekał przy brzegu - była to blisko czterometrowej łódź bez silnika i bez wiosł, którą przeprowiano / rzekę dzięki mocno napiętej linie rozciągniętej y wbitymi w ziemię na obu brzegach żelaznymi Lina przechodziła przez trzy krążki, z których jdowały się na końcach łodzi, a jeden umocowany r<sup>^</sup>żka sterczącego z ławy pośrodku; pasażerowie po u- zeciągali się wraz z łodzią wzdłuż liny. Reynolds itąd nie spotkał się z podobnym urządzeniem, ale przyznać, że trudno było sobie wyobrazić lepsze, ilały się nim przeprowić samotnie dwie kobiety, podobnie niewiele wiedzące o łodziach. Hrabia się podzielać jego zdanie.

daje się idealnie. Układ terenu po drugiej stronie iiurdo odpowiada.

r/.ał ręką na przeciwny brzeg, na drzewa rosnące w i otaczające półkolem pustą, zaśnieżoną polanę, rodkiem wiodła droga biegnąca od szosy; dochodzi-i m ej rzeki.

prost wymarzone miejsce. Powinno skutecznie ",-cić" do podstępnych knowań naszego przyjaciela, niewątpliwie w tej właśnie chwili rozkoszuje się w n h wizją swoich ludzi pochowanych w krzakach tuż IM /.egiem wody i prujących do nas bezkarnie z automa-

/ całą skromnością twierdzą, że trudno byłoby o le-  
Hiejście do dokonania wymiany... No, pora złożyć wi-  
/ewoźnikowi; czeka go niespodziewana i jakże rzad-  
/ja do zażycia ruchu.

wi odtworzyły się, akurat gdy Hrabia podnosił rękę,  
nie zastukać. Mężczyzna najpierw spojrzał na czap-  
ruza, potem na legitymację, którą ten trzymał w dło-  
fili/ał spierzchnięte wargi. Na Węgrzech nie było  
trze-

Uleć nic na sumieniu, żeby drzeć na widok ludzi z  
AVO.

i Sami tu mieszkacie? - zapytał Hrabia.

» Tak, nikogo... nikogo więcej tu nie ma. Czy coś się  
t? - Mężczyzna wyraźnie usiłował wziąć się w garść. -  
c złego nie zrobiłem! Przysięgam, towarzyszu! >

Wszyscy tak mówią - odparł chłodno Hrabia. - Idźcie  
dto, czapkę i wracajcie natychmiast.

ilłiiiii

|| I| lii. t .liii iii: 11 liii .11: lii. i

254 • Alistair MacLean

Po kilku sekundach przewoźnik stał z powi"i,  
drzwiach wciągając na głowę futrzaną czapę. (>t« H  
usta, żeby coś powiedzieć, ale Hrabia go  
powstrzymał

- Potrzebujemy na krótko waszego domu. Ta i> was  
nie dotyczy. Wy sami też nas nie interesujecie V.

zał drogę wiodącą na południe. - Idźcie sobie na i> •  
Tylko nie wracajcie wcześniej niż za godzinę. Nas jui  
dy nie będzie.

**Mężczyzna popatrzył na niego z niedowierzaniem  
zejrzał się nerwowo wietrząc jakiś podstęp; nie dmi  
jednak nic podejrzanego, więc bez słowa popędził «  
runku drogi. Po niecałej minucie, gnając ile sił w uci.  
dotarł do zakrętu i znikł z pola widzenia.**

**- W miarę upływu czasu terroryzowanie ludzi i \*(M  
nie ich śmiercią staje się coraz bardziej uciążliwym !t  
przyjemnym zajęciem - rzekł cicho Hrabia. - Musze  
«| I cię z tym skończyć. Sandor, wnieś Janskiego do  
środku**

**Sam ruszył przodem, minął niewielką sień i stul  
drzwiach do pokoju. Wciągnął powietrze w płuca, je  
głośno i odwrócił się.**

**- Albo nie; lepiej połóż go w sieni, bo tu gorąco j  
piecu. Jeszcze znów straci przytomność.**

**Przyjrzał się uważnie Janskiemu, którego Sandor l  
wał w rogu, na paltach i na poduszkach przyniesiofl  
pokoju.**

**- Oczy już otwiera, ale nadal jest oszołomiony, nim,  
Sandor, niech dojdzie do siebie... Co się dzieje?**

**- spytał unosząc brwi na widok Kozaka, któi do  
sieni.- Co cię tak zaniepokoiło?**

**- Pułkownik Hidas i jego ludzie!-wydusił młod/u -**

**Już są! Dwie ciężarówki zatrzymały się nad wod;i'**

**- Bardzo dobrze. - Hrabia wsunął jeden ze swon h |  
bionych rosyjskich papierosów do cygarniczki, piv\p  
go i cisnął zapalną przez ciemny prostokąt o1\\.u  
drzwi. - Są punktualni co do minuty. Chodźmy sk ;  
przywitać.**

**nalział trzynasty**

Wtedy ruszył przez śnieg i nagle zatrzymał się w miejscu, zagrządzając ręką wyjście. „Czy tu zostać, profesorze, czy nie?” „Ja?” - zdziwił się Jennings. - „Ależ, przyjacielu, jedyną osobą w tym towarzystwie, która powinna zostać, jest profesor. Ale na razie proszę nie opuszczać budynku, przypilnuj profesora.”

Wtedy ruszył na pięcie i nie czekając na odpowiedź Jenningsa, szybko odszedł za drzwi. Reynolds podążył za nim, a gdy oddalili się od domu, spytał cicho, głosem pełnym goryczy:

„Czy pan, kiedykolwiek strzelał prosto w profesora? Że wtedy pułkownik Hidas zgarnie wszystko ciężarówkę i ucieknie, zadowolony, na zasłużony emerytalny świadczenie? Wiedziałem, przemknęło mi to przez myśl - przyznał Hrabia.

Wtedy ruszył do łodzi po chrząszczach, przystanął i zajął się uważnie po leniwie płynącej, zimnej, mroźnej nocce. Zarówno ciężarówka, jak i ludzie Hidas byli wyraźnie widoczni na tle śniegu, ale ponieważ robiło się coraz ciemniej, nie sposób było rozpoznać kogokolwiek po

kształcie czy rysach twarzy. Spośród czarnych sylwetek wyróżniał się dzięki swojej olbrzymiej postaci - Ale jeden człowiek stał znacznie bliżej od innych, tuż przy brzośnie wody; do niego przemówił Hrabia. Pułkownik Hidas? „Tak jest, majorze Howarth.

„Doskonale, a więc nie traćmy czasu. Proponuję jak najszybciej dokonać wymiany. Zapada noc, a skoro jest pan

**| podstępny za dnia, Bóg raczy wiedzieć czego można się**

**i: iii**

**256 • Alistair Maclean**

**po panu spodziewać po zmierzchu. Wolę nie czeka\*  
całkiem ściemni, żeby się o tym przekonać.**

**- Słowo honoru, że dotrzymam obietnicy.**

**- Nie powinien pan używać słów, których nie m/**

**Niech pan każe kierowcom wycofać pojazdy pod sam**

**Pan i reszta pańskich ludzi również się tam udarli**

**odległości dwustu metrów nie będziecie w stanic tuk\***

**nas odróżnić. I jeszcze jedno, czasem zdarza się, /n**

**niechcący naciska spust; przypilnuje pan, żeby d/i •**

**miało miejsca.**

**- Będzie tak jak pan sobie życzy - odparł Hida-**

**Wydał kilka poleceń i odczekawszy, aż obie civ**

**oraz rozproszeni po terenie ludzie oddalą się <**

**ponownie zwrócił się do Hrabiego.**

**- Co dalej, majorze?**

**- Kiedy zawołam, uwolni pan córkę i żonę gc każe im**

**iść prosto w kierunku promu. W tym samy profesor**

**Jennings wsiądzie do łódki i przepłynie i stronę. Gdy**

**dobije do brzegu, poczeka aż kobiety bliżej; kiedy**

**zaczną schodzić nad wodę, minie je i krokiem ruszy**

**w waszą stronę. Zanim do was dój d i córka generała**

**powinny już bezpiecznie przepi przez rzekę, a**

**wówczas będzie za ciemno, aby ktok nas osiągnął coś**

**beżładną strzelaniną. Uważam plan jest niezawodny.**

**- Będzie tak jak pan sobie życzy-powtórzył II i**

**Owrócił się, wbiegł na górę po stromej skarpie się w**

kierunku ciemnej linii drzew. Hrabia odpro-  
wzrokiem, drapiąc się z namysłem po brodzie.  
- Jest coś za bardzo uległy - mruknął pod nos >  
gorliwy, trochę za bardzo...eh! Zdaje się, że cii  
chorobliwą podejrzliwość! Co on teraz może? No. Ila.  
- Podniósł głos. - Sandor! Kozak!  
Wyszli z budynku i po chwili stali już obok.  
- Jak się czuje Jansci? - spytał Hrabia Sandora  
- Zdołał już usiąść, ale wciąż jest półprzytomny, r  
głowa.  
- Nic dziwnego. - Hrabia zwrócił się do Reyi  
Chciałbym zamienić kilka słów z Jenningsem. Tyli  
i«  
i

**Ostatnia granica • 257**

.1 ansciego. Mam nadzieję, że pan rozumie.

Obiecuję, Hugo nie potrwa.

!', to za różnica-odparł ponuro Reynolds.-Mnie się  
nie śpieszy.

i cm, wiem. - Hrabia zawahał się moment, jakby roś  
dodać, ale najwyraźniej rozmyślił się, bo jedy-prosił,  
żeby zepchnęli łódź na wodę. uolds skinął głową;  
patrzył za odchodzącym mężczy-i póki ten nie znikł  
w drzwiach domu, po czym schylił

• liy pomóc Sandorowi i Kozakowi z łodzią. Głośno  
ala dnem o żwir, kiedy we trzech ciągnęli ją w stro-  
ki; mimo że była sporo cięższa niż oczekiwali, dzięki  
i oj sile Sandora już po kilku sekundach kołysała się  
n ic na wodzie, szarpana leniwym prądem.

Zrobiwszy do nich należało, Sandor z Kozakiem

wspięli się z łom na skarpę, zostawiając Reynoldsa przy łodzi, moment stał bez ruchu, potem wyciągnął rewolwer, dzil, czy jest zabezpieczony i schował go z powrotem szeni płaszcz, lecz rękę wciąż trzymał zaciśniętą na

Uwało mu się, że minęło zaledwie kilka chwil odkąd : a wszedł do domu, kiedy nagle w drzwiach pojawił Jennings. Powiedział coś, czego Reynolds nie usłyszał; jaka nastąpiła po jego słowach, przerwał głos niewidoczny Hrabiego.

\ybaczy pan, profesorze, że... że nie odprowadzę pa- i'o raz pierwszy odkąd Reynolds go poznał. Hrabia a l tak jakby zabrakło mu pewności siebie.-Chodzi o po prostu wolałbym...

tozumiem. - Jennings był spokojny, bardzo opanowa-\iech się pan o mnie nie martwi, przyjacielu. I dzie-:» wszystko, co pan dla mnie uczynił.

-yiedziawszy to, odwrócił się i przytrzymując się San-

:eby nie stracić równowagi, ruszył niezdarnie w dół i ornej, kamienistej skarpie - drobna, przygarbiona i c (dopiero teraz Reynolds uświadomił sobie, jak bar-

;aruszek się garbi), z wysoko podniesionym kołnierzem osłony przed dojmującym wieczornym mrozem, a w cienki płaszcz, którego poty powiewały żałośnie

przy każdym kroku. Reynolds myślał, że serce m na widok tego starego, bezbronnego człowieka tak idącego na śmierć.

- Koniec drogi, mój chłopcze. - Głos Jennings: dal spokojny, lecz nieco ochrypli. - Przykro mi, n mi przykro, że sprawiłem ci tyle kłopotów. Byłeś 1 celu, tak bliski, a teraz... To musi być dla ciebie cios.

Reynolds milczał, gdyż bał się, że słowa mogą zdrad, i zamiary- powolnym ruchem wysunął z kieszeni pistoltl

- Zapomniałem powiedzieć coś Jansciemu. PowtAfl ode mnie: do widzenia.\* Tylko ten jeden zwrot. On l mię.

- Ale ja nie rozumiem. Zresztą to nieważne.

Jennings zbliżył się do łodzi i nagle stanął j.il » czując przytkniętą do piersi lufę rewolweru, ktm :< nolds trzymał w sztywno wyciągniętej dłoni.

- Nigdzie pan nie pójdzie, profesorze. Sam p.n powiedzieć generałowi to, co chce pan, żeby m i rzył.

- O co chodzi, chłopcze? Nie pojmuję... • - Nie szkodzi. Po prostu nie wpuszczę pana do l <

- Ale... Ale w takim razie./ . Julia...

- Wiem.

- Hrabia mówił, że macie się pobrać! Reynolds skinął w milczeniu głową.

- I mimo to... to znaczy gotów jesteś ją poświęcić

- Są rzeczy ważniejsze od miłości. - Wypowied/i słowa tak cicho, że starzec musiał pochylić się, /<•!• usłyszeć.



- Jesteś absolutnie pewien?

- Tak.

- Bardzo się cieszę - szepnął profesor. - To mi w ziłności wystarczy.

Odwrócił się, jakby zamierzał ruszyć w stronę domu kiedy Reynolds cofnął dłoń, żeby schować broń do kieszeni, pchnął go z całej siły. Młodszy mężczyzna zachwiał się i poślizgnął na zdradliwym żwirze i runął jak długi mi i mię, uderzając głową o kamień. Przez moment leżił ogłuszony.

Ostatnia granica • 259

Zanim ocknął się i poderwał na nogi, Jennings uderzył coś na całe gardło (dopiero znacznie później Reynolds uświadomił sobie, że wołał do Hidasa, by uwolnił go), wskoczył do łodzi i był już w połowie rzeki. 'racaj, wracaj, ty szalony głupcze! - wrzasnął Reynolds ochryplym z wściekłości głosem. <• zdając sobie sprawę z tego, jak daremny to wysiłek, i! z furją szarpać linę rozpostartą nad wodą, aż wreszcie jak przez mgłę przypomniał sobie, że lina jest solidnie mocowana do słupów po obu brzegach rzeki i że ciągnąć ją nic nie da. Jennings nie reagował na jego rozpaczliwe wołanie, nawet nie obejrzał się. Kiedy dno łodzi uderzyło o kamienie po drugiej stronie rzeki, Reynolds usłyszał Janskiego, który stał w drzwiach domu i do niego niskim, ochryplym głosem.

• 'o jest? Co się dzieje?

Mic - odparł ponuro. - Wszystko idzie zgodnie z planem.

• Z trudem, jakby nogi miał z ołowiu, wspinał się na

**IQ i popatrzył na generała, na jego siwe włosy i twarz, 'Inej strony od skroni po brodę pokrytą zaschlą krwią, rpiej niech się pan umyje. Pańska żona i córka będą tu ila chwila; już je widać na polanie.**

**Nie rozumiem. - Jansci przyłożył rękę do głowy.**

**Nie szkodzi. - Reynolds wygrzebał z kieszeni papiero-**

**i /apalił. - Dotrzymaliśmy umowy; Jennings przeprowadził**

**przez rzekę. - Spojrzał na ognik, który osłaniał dłoń,**

**iw podniósł oczy na generała. - Byłbym zapomniiał.**

**ii, żeby przekazać panu dwa słowa: do widzenia\***

**Do widzenia? - Jansci, który ze zdumieniem oglądał**

**•lv krwi na swoich palcach, popatrzył dziwnie na Rey-**

**• Isa. - Tak powiedział?**

**Tak. Twierdził, że pan zrozumie. Co to znaczy? To polski odpowiednik niemieckiego Auf Wiederse-**

**•11.**

**O Boże! O mój Boże! - szepnął Reynolds. Cisnął papierosa w mrok nocy, odwrócił się i wolnym urokiem wszedł do środka. Kanapa stała przy kominku, w**

**" w oryginale po polsku (przyp. tlurii)**

**260 • Aaiistair MacLean**

**rogu pokoju; na niej leżał bez płaszcza i bez**

**kaprluM stary Jennings. Potrząsając głową, usiłował się podiil<4 Reynolds szybko przemierzył pokój,**

**Jansci tuż za nim objawszy starca ramieniem pomógł mu usiąść.**

**- Co się stało? - spytał łagodnie. - Czy Hrabia...**

**- Był tu przed chwilą. - Jennings potarł dłonią < szczękę. - Wyjął z torby dwa granaty, położył je na MU kiedy spytałem po co mu one, odparł: "Jeżeli myAli wrócą ciężarówkami do Budapesztu, to się grubo Potem podszedł do mnie, uścisnął mi rękę... i nic nie pamiętam.**

**- Bo to już koniec, profesorze. Proszę tu na nas n\t\* kac, Jansci i ja niedługo wrócimy. A za dwa dni ujr żonę i syna.**

**- Hrabia-powiedział cicho Jansci, kiedy znale/1 .sieni. W jego głosie wyczuwało się szacunek granir uwielbieniem. - Zginie tak jak żył, myśląc tylko o ii nigdy o sobie. Granaty uniemożliwią Hidasowi pr/ dzenie nam w dotarciu do granicy.**

**- Dotarciu do granicy?! - Reynolds poczuł jak głęboko wzbiera w nim głuchy gniew, dziwna złość, nigdy dotąd nie doświadczył. - W takiej chwili mówi dotarciu do granicy? Zdawało mi się, że Hrabia to i przyjaciel!**

**- Ze świecą nie znalazłbyś, chłopcze, lepszego - < < >., z przekonaniem generał. - Tacy przyjaciele są na \ v\*i złota, i ponieważ tak bardzo cenię jego przyjaźń, nic śnił i bym go powstrzymać, nawet gdybym mógł. Hrabia pmifin \_umrzeć, marzył o śmierci odkąd go poznałem, ale \tt l mógł odwlekał ten moment, bo chciał dać możliwie Ja największej liczbie osób to, czego im tak bardzo brak<>v ło, chciał im dać**

szczęście i wolność. Dlatego nie bał M ryzyka i, choć mało kto się tego domyślał, codziennie i«i i ze śmiercią. Zawsze wiedziałem, że kiedy nadarzy się "ł < zja, żeby z honorem zejść z tego świata, skwapliwie / IM skorzysta. -Pokiwał zakrwawioną głową i w świetle pmi jącym z pokoju Reynolds zauważył, że szare wyblakłe m •• Jansciegio zaszklily się łzami. - Jesteś jeszcze młody, M chael; nawet nie potrafisz sobie wyobrazić tego potwori

Ostatnia granica • 261

nużenia, tego poczucia bezsensu i ponurej pustki, jaka 11 w dzień towarzyszy człowiekowi, który stracił wszel-

• i-hotę do życia. Jak wszyscy ludzie, ja też jestem egoi-:ile nie do tego stopnia, aby własne szczęście okupić ', sciem przyjaciela. Kochałem Hrabiego. Niechaj '•". mu dzisiaj lekki będzie.

Przykro mi, Jansci - powiedział ze szczerym żalem nolds i głęboko w duszy było mu autentycznie przykro, nie wiedział kogo najbardziej w tej chwili żałuje; wie-il tylko, że płomień gniewu, który płonął w jego sercu, lia coraz żywiej i jaskrawiej.

Mali w drzwiach sieni. Reynolds wyteżył wzrok i popa-

I na ośnieżoną polanę pp drugiej stronie rzeki. Z miej-

i /.auważył Julię i jej matkę idące wolno ku wodzie, lecz

•i l/.ie nie widział śladu Hrabiego. Odkąd jednak wyszedł

M s no oświetlonego pokoju, źrenice stopniowo mu się

./erzały i gdy tylko jego oczy przywykły do mroku, spo-

i. i'gl również i trzecią sylwetkę: niewyraźną, zamazaną

i mię na tle ciemnych drzew w oddali, która - jak sobie

• ••Je uświadomił - była już niemal u celu, podczas gdy l n ety znajdowały się zaledwie w pół drogi do łodzi.

O Boże! Niech pan spojrzy! - Chwycił Janskiego za imiona. - Hrabia niemal jest już przy ciężarówkach, a

•ilin i pańska żona jeszcze nie doszły do rzeki! Na miłość

ką, co się z nimi dzieje? Złapią je, zastrzelą jeśli...Co to

In, co diabła?

U::ucił się pędem nad rzekę zaskoczony głośnym plu-

i<'in, który w nocnej ciszy zabrzmiał głośno jak piorun.

"idoczne w ciemności ręce z furią rozgarniały wodę, ąc gładką, czarną powierzchnię. To Sandor, który pier-

^ zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego i etom, ściągnąwszy płaszcz i marynarkę, rzucił się w

• ilę i jak torpeda płynął na drugi brzeg, przebierając •"'e.żnymi ramionami.

Fatalnie to wygląda, Michael. - Jansci również zbiegł i plażę; głos miał spięty, zdenerwowany. - Jedna z nich, a ba Katia ledwo trzyma się na nogach. Spójrz, z jakim i udem człapie. Biedna Julia nie ma dość siły, żeby...

## 262 • Alistair MacLean

Sandor dopłynął do brzegu, wyskoczył z wody i po żwirze błyskawicznie wspiał się na skarpę. Nie /..H  
mując się, biegł dalej przed siebie, gdy wtem spomi<-  
< drzew na skraju polany doleciał ich głośny huk, niewn11 wie spowodowany wybuchem granatu; po chwili - /m-grzmiące po lesie echo zamarło - usłyszeli kolejny wylm a tuż po nim ostry terkot automatów; potem nastąpiła ri

Reynolds poczuł jak mu ciarki wędrują po ph-i•.»•  
Zerknął na Janskiego, lecz było za ciemno, żeby móu! <U rzecz wyraz jego twarzy. Słyszał, że generał mamror/r pod nosem, ale musiały to być jakieś ukraińskie słowo nic z nich nie rozumiał. O nic jednak nie pytał, świadom może w tej właśnie sekundzie pułkownik Hidas poch się nad ciałem człowieka, którego wziął za profesora .1 ningsa...  
Sandor dotarł do Julii i jej matki, otoczył każdą / n ramieniem i ruszył z powrotem nad rzekę; tak szybko dził po zamrażniętym śniegu, że patrząc naniego miału wrażenie, iż obejmuje dwie szybko konogie biegaczki, u prawie niesie dwie

utrudzone kobiety. Reynolds odwrócił się i natknął na stojącego za nim Kozaka.

- Będą kłopoty - powiedział. - Wróć do budynku i »i w oknie z automatem. Kiedy Sandor dotrze do rzeki..., dokończył, bo Kozak gnał już na górę i tylko żwir chr/v mu pod nogami.

Reynolds znów skierował wzrok na drugą stronę i nerwowo zaciskając dłonie, patrzył z niepokojem, przy żony bezradnością obu kobiet. Jeszcze trzydzieści metrów jeszcze dwadzieścia pięć, dwadzieścia... Wciąż panou dziwnie podejrzana cisza: z lasu nie dochodziły żadne głosy, nie widać było żadnego ruchu i powoli w Reynoli ożyła nadzieja, że może jednak wszystko się uda, kiedy nagle rozległy się podniecone krzyki, potem krótki, .nie wyszczekany rozkaz, a potem jazgot automatu; pierwsze kule przeleciały dosłownie kilka centymetrów nad uchem Reynoldsa. Rzucił się plackiem na ziemię, pociągając sobą Janskiego. Gdy tak leżał, w bezsilnej złości bijąc głową w żwir, i słuchał świstu kul niegroźnie przelatujących mu nad uchem, zaczął się zastanawiać dlaczego tylko

Ostatnia granica • 263

Żaden człowiek strzelał; znając Hidasę można się było spodziewać, że wykorzysta cały dostępny mu arsenał. W tym momencie, mimo że gruba warstwa śniegu tłumiała odgłosy, usłyszał głośne dudnienie, a po chwili zobaczył Dę, który pędząc jak rozwścieczony byk i wzbijając się, siebie tumany śniegu wykonał trzymetrowy skok ze zboczenia. Nie wypuszczając z rąk kobiet, i wylądował z

**chrzę-Ińa mokrych kamykach przy wodzie. Jeszcze nie odzy-jównowagi, jeszcze się zataczał, kiedy'do terkotu, któ-  
fhodził z lasu, dołączył drugi terkot o nieco innej lotliwości: Kozak nie marnował ani sekundy. Było ma-  
awdopodobne, aby mógł kogokolwiek dojrzeć na tle Inych drzew, ale widocznie jaskrawy ogień wydobywa-pię z lufy po drugiej stronie rzeki zdradził mu pozycję  
a, bo niemal natychmiast strzały w lesie ucichły, ^ndor był już przy promie. Szybko wniósł żonę genera-  
i chwili pomógł wsiąść Julii i jednym silnym pchnię-I /sunął obciążoną łódź do rzeki. Tak energicznie prze-rękami ciągnąc linę łączącą oba brzegi, że woda (dziobie pieniała się i bulgotała, połyskując w ciemno-rh nocy. ]msci i Reynolds poderwali się z ziemi i kiedy tak stali  
ń złapać dziób łodzi i wydobyć ją z wody na brzeg, usłyszeli przeciągły syk, po którym nastąpił cichy [ich i w górze, trzydzieści metrów nad ich głowami, lyszło białe, oślepiające światło. Niemal natychmiast |>ł się penowny terkot automatu oraz pojedynczo wy-; dochodziły zza drzew, ale nie tych na wprost, tylko  
Ęcych bardziej na południe, bliżej wody. | Zestrzel racę! - krzyknął Reynolds do Kozaka. - Nie | do avoków! Wal w górę!**



Ślepiony potężnym blaskiem wskoczył do wody w tym ym czasie co Jansci i od razu wyrznął boleśnie kola-> burtę; zaklął cicho pod nosem, po czym chwycił za i z całej siły szarpnął łódź w stronę zwirowatego łgu. O mało nie przewrócił się, kiedy jedna z pasażerek, M wstała nieopatrznie, straciła równowagę i poleciała nogo'całym ciężarem, ale zdołał się utrzymać na no-  
. a ją chwycić w ramiona i uchronić przed upadkiem.

264 • Alistair MacLean

Światło na niebie zgasło równie nagle jak rozbłysło spisywał się na medal. Ale zza drzew na drugim l nadal padały seriami i pojedyncze strzały; choć a\ i lowali z pamięci, kule świstały niebezpiecznie blisl Reynolds nie miał najmniejszej wątpliwości kn ma w ramionach: kobieta była za drobna, za lek mógł ją wziąć za Julię. Badając nogą pochyłość (< teraz, gdy zgasł olśniewający blask, wszystko tonęło przeniknionym mroku - uczynił krok do przodu i mn runął jak długi pod wpływem koszmarnego bólu, . przeszył mu kolano. Uwolnił jedną rękę i uchwycić naprężonej liny, żeby nie stracić równowagi. Tu/ usłyszał głuchy łomot, jakby ktoś zwałił się ciężko i mię, a po chwili poczuł jak ktoś inny mija go i w bii górę. Zaciskając zęby z bólu, zaczął pospiesznie ku po kamienistym wzniesieniu. W pewnym momencie latująca kula otarła się o rękaw jego płaszcza, (id szedł, niosąc na rękach kobietę i powłócząc obolałą l stroma skarpa, na którą musiał się wspiąć, jawiła ml jako przeszkoda nie do pokonania, nagle jednak p<

plecach pchające go w górę potężne dłonie i zanim sobie sprawę z tego, co się dzieje, stał już na rówj płaskim terenie.

Niecałe trzy metry przed sobą ujrzał bladawy pros światła - otwarte drzwi do domku przewoźnika. Mir kule waliły w ściany budynku i świszczwały w powił Jansci, który pierwszy dobiegł do domu, wyszedł nil | nie zważając na to, że stanowi wprost idealny cel dla \*t: ców. Reynolds chciał krzyknąć, ostrzec generała, alf /r nil zdanie - wiedział, że jeśli wróg go namierzył, Jam tak nie zdąży uskoczyć. Ruszył naprzód. Nagle kołu którą niósł, powiedziała coś i choć nie zrozumiał ani instynktownie domyślił się o co jej chodzi i doli postawił ją na ziemi. Uczyniła dwa lub trzy niepe\\' ki, po czym szepcząc: "Oleksij! Oleksij! Oleksij!" rzu< W wyciągnięte ramiona mężczyzny czekając< drzwiach. Raptem zadrżała i opadła na niego bez\\ jakby trafiona kulą w plecy; więcej Reynolds nie v

Ostatnia granica • 265

i Sandor wepchnął ich wszystkich do sieni i zatrzasnął |mvi.

Julia na wpół siedziała na wpół leżała na końcu korytami, wsparta o zaniepokojonego profesora Jenningsa. Rey-okls znalazł się przy niej w dwóch susach i uklęknął na odlodze. Dziewczyna miała zamknięte oczy, twarz trupio liicłą, na czole zakwitał jej siniak, ale najważniejsze było, > oddychała - płytko, lecz miarowo.

- Co się stało? - spytał z napięciem. - Czy... czy ją...

**- Nic jej nie będzie - pocieszył go swoim dudniącym losem Sandor. Schylił się, wziął dziewczynę na ręce i kierował się w stronę pokoju. - Upadła wysiadając z łodzi ' pewnie stuknęła głową o kamień. Położę ją na kanapie.**

**Reynolds odprowadził wzrokiem obrzyma, który w przemokniętym, wciąż ociekającym wodą ubraniu niośł Julię z Mka łatwością jakby była małym dzieckiem. Kiedy oboje nikli mu z oczu, wstał z klęczek i niemal zderzył się z Kn/akiem. Twarz młodzieńca promieniała tryumfem.**

**Powinieneś być przy oknie - powiedział cicho Reynolds.**

**Tam się nic nie dzieje. - Chłopak uśmiechnął się od i' ha do ucha. - Przestali strzelać i wrócili do wozów. Sły-**

**h.ić ich głosy w lesie. Trafiłem dwóch, panie Reynolds!**

**ilatwiłem dwóch drani! Zanim kazał mi pan zestrzelić**

**.u e. widziałem jak padają!**

**Z racą też sobie świetnie poradziłeś - pochwalił go Reynolds i pomyślał, że pewnie z powodu tych dwóch tru-IKIW wróg wolał nie ryzykować wystrzelenia kolejnej racy; liyla to obosieczna broń, która przyniosła więcej strat niż pożytku ludziom Hidas. - Wszystkich nas dziś uratowałeś.**

**Poklepał po ramieniu pęczniejącego z dumy młodzień-r;i, po czym odwrócił się do Janskiego i aż znieruchomiał.**

General kłęczał na szorstkiej, drewnianej podłodze tu-i;ic do siebie żonę. Pierwsza rzecz, jaka rzuciła się Rey-noldsowi w oczy, to okrągła, czerwona po brzegach dziura w płaszczu kobiety, na wysokości lewej łopatki. Dziura była niewielka, krwi też było niewiele i plama na ubraniu •.iv nie powiększała. Wolnym krokiem Reynolds zbliżył się

266 • Alistair MacLean

do małżonków i kucnął przy Janscim. General podm< siwą, zakrwawioną głowę; spojrzenie miał nieobecni

- Nie żyje? - spytał szeptem Reynolds. Jansci przytaknął bez słowa.

- Mój Boże! T Na twarzy Reynoldsa odmalował się - Teraz? Umrzeć właśnie teraz?

- Bóg jest miłosierny, Michael, i znacznie bardzir rozumiały niż na to zasłużyłem. Jeszcze dziś rano był Go, dlaczego nie pozwolił Katii umrzeć, dlaczego nie /•< na nią śmierci. On jednak wybaczył mi moją pychę, i wiele mądrzejszy ode mnie. Katia była umierająca, IM el, umarłaby nawet, gdyby nie dosięgła jej kula.-Poi głową ze zdumieniem, jak człowiek, który nie może v\ podziwu. - Czyż może być coś wspanialszego niż zej tego świata bez bólu, w chwili największej radości? Si Michael. Popatrz na jej twarz. Widzisz, jak się ustnie

Reynolds skinął w milczeniu głową. Nie odezwał s. nie wiedział co powiedzieć, nic mu nie przychodzi myśl; jego umysł znajdował się w stanie odrętwienia

- Bóg okazał się dla nas miłosierny-ciągnął dale sci, właściwie mówiąc sam do siebie. Rozluźnił uści mion, żeby lepiej widzieć twarz żony; jego głos st; ciepły i czuły pod wpływem wspomnień. - Czas łąsi się z nią obchodził, Michael, kochał ją prawie tak b. jak ja. Dwadzieścia... nie, dwadzieścia pięć lat temu. letnią nocą płynęliśmy po Dnieprze... Wiesz, ona nic M zmieniła od tamtej pory. Jest dokładnie taka sam wtedy. - Mruknął coś cicho pod nosem, czego Reynolt usłyszał, po czym spytał nieco wyraźniej: - Pamietaś. chael, tę fotografię? Tę, na której mylnie rozpoznałeś i powiedziałeś, że wyszła tak pięknie? Teraz widzisz/. mogła być tylko Katia.

- Tak, Jansci, to mogła być tylko Katia - rzeki c Reynolds.

Przypomniał sobie zdjęcie ślicznej roześmianej d. czyny i popatrzył w dół na kobietę, którą Jansci tu ramionach, na jej rzadkie, siwe włosy oraz szarą, ma twarz, nieludzko zmizerowaną i wynędzniałą, twarz pi wcześniej postarzałą^ na której niewyobrażalne \v| Ostatnia granica • 267

i lenia wyżłobiły piętno w postaci głębokich bruzd. Łzy uęły mu do oczu.

l o mogła być tylko ona - powtórzył. - Jest znacznie nejsza niż na zdjęciu. : 'o samo jej mówiłem, ciągle jej to mówiłem - szepnął i pochylił się nisko nad żoną.

'iolds zrozumiał, że generał pragnie pozostać z nią Niezdarnie, nic nie widząc przez załzawione oczy, >sił się z kolan i przytrzymując się ściany, zęby nie

ruszył wolno do pokoju. Powoli budził się z odrę-  
ii a: zaczęły targać nim różne uczucia, różne myśli  
l y kotłować mu w głowie, a potem wszystko się uspo-  
przycichło i zapadła ostateczna decyzja - wiedział, i /  
robić. Płomień złości, który tlił się w nim przez cały  
>r, wybuchł teraz z pełną siłą i zawładnął nim do Ale  
kiedy zwrócił się cicho do Sandóra, w jego  
nie było ani śladu dzikiej furii, która go rozsadzała, i  
zy mógłbyś przyprowadzić ciężarówkę pod dom? I  
uż idę - odparł Sandor. Wskazał na dziewczynę leżącą  
kanapie. - Dochodzi do siebie. Trzeba się śpieszyć,  
/araz wyjedziemy. - Reynolds odwrócił się i spojrzał  
• żaka. - Zostawiam cię na straży, Kozak. Niedługo  
szedł na korytarz, minął Janskiego i Katię nie pana  
nich, chwycił automat, który stał oparty o ścianę i na  
zewnątrz, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Ostatnia granica • 269

Rozdział czternasty

Ciemna, leniwie płynąca rzeka była lodowato zimna  
ale Reynolds nawet tego nie zauważył i choć zadrżał  
< stóp do głów, kiedy wślizgnął się do wody, jego  
umysł n zarejestrował wrażenia chłodu. Nie było w  
nim miejscu żadne doznania, uczucia czy myśli,  
dręczyło go tylko jni stare jak świat pragnienie,  
które potrafi przeobrazić <•>, lizowanego człowieka  
w dziką, pozbawioną rozumu bi-.< - pragnienie  
zemsty. Zemsta czy morderstwo - Reynohii wi nie  
robiło to różnicy; w tej chwili nie dbał o t;ik  
subtelności, liczyło się co innego. Wszyscy nie żyli u  
przerażony chłopak, który zginął w Budapeszcie,

żona. (« scięgo, niezrównany Hrabia. Nie żyli głównie dlateK" on, Reynolds, przyjechał na Węgry, ale to nie on ich >< winę za śmierć tych trojga ponosił wyłącznie Hid niusz zła. Hidas, który żył stanowczo za długo.

Z automatem uniesionym wysoko nad głową, płymi i rzekę napierając piersią na cienką, kruchą tafłę lodu, utworzyła się na wodzie. Gdy tylko poczuł grunt pod ni szybko wdrapał się na brzeg, rozłożył na ziemi chu; nosa, wsypał do niej garść kamyków i piachu, związał jq) i nje tracąc czasu na to, by wyjąć ociekające lodowatą ubranie, czym prędzej ruszył przed siebie.

Ponieważ po wyjściu z domu przewoźnika pobiegł ście metrów w dół rzeki i dopiero tam przeprawił drugą stronę, znajdował się nieco na południowy od drogi, na której stały zaparkowane ciężarówki dział, że drzewa uginające się pod białym puchem k przed wzrokiem nieprzyjaciela, a zamarznęta wa śniegu na ziemi pod nimi jest tak cienka, że odglo.t Jto kroków niesie się nie dalej niż trzy metry. Z obdqIH chustką w dłoni i automatem zarzuconym na cichu skradał się od pnia do pnia.

Mimo że starał się zachować maksimum ostrożności, \ l >ko, bo zaledwie w trzy minuty, pokonał odległość dzie-go od pojazdów. Ukryty za drzewem wysunął głowę, |-f'\ rozejrzeć się po okolicy: nie dostrzegł żadnych oznak i.i, tylne drzwi wozów były pozamykane, panowała ci-i. spokój. Cofnął głowę i już się szykował, żeby jednym |IM m dopaść

ciężarówce Hidasa, kiedy nagle przywarł do  
pnia i znieruchomiał. Jakiś człowiek wyłonił  
wozu i szedł w jego stronę.

Był pewien, że mężczyzna go widział, po chwili  
jednak iprężył się. Avok idący naprzeciw  
uzbrojonego wroga nie lymałby broni pod pachą i  
nie palił papierosa. Pozosta-inny na warcie żołnierz  
niczego nie podejrzewał, po pro-ii spacerował, żeby  
nie zamarznąć na kość. Kiedy znalazł v dwa metry  
od kryjówki Reynoldsa, ten błyskawicznie i/ystał  
do akcji. Wysunął się z za drzewa i z całej siły  
• uliiał w, kark avoka obciążoną kamkami chustką,  
akurat

\* momencie kiedy żołnierz zaczął odwracać się z  
ustami zwartymi do krzyku. Złapał ogłuszonego  
mężczyznę - i l<r<> broń, zanim uderzyła o ziemię - i  
położył go cicho na

zymając automat w pogotowiu, przebiegł kilka me-  
i na chwilę stanął przy brązowej ciężarówce, której -  
auważył - wybuch granatu zerwał maskę i uszkodził  
i, po czym stąpając na palcach ruszył w stronę wozu ,  
są. Tak intensywnie wpatrywał się w tylne drzwi po-'  
że niemal przewrócił się o wyciągniętą na ziemi  
:. Pochylił się nad nią i chociaż wiedział kogo zoba-  
< ociąż wiedział do kogo należy martwe ciało, to  
kiedy

.ibawy się potwierdziły, doznał szoku i z taką siłą  
ął ręce na lufie automatu jakby chciał ją zmiażdżyć.  
ibia leżał na wznak. Jego szczupła, arystokratyczna o  
kształtnych, jakby wykutych z granitu rysach



wydane jeszcze bardziej surowa i nieprzenikniona po  
:i niż była za życia. Nietrudno się było domyślić jak  
•seria z pistoletu maszynowego wyrwała mu prawie  
•itki piersiowej. Zastrzelili go jak psa i jak psa zosta-  
i mrozie w ciemności nocy. Łagodnie padający śnieg  
• i okrywał jego zimną, martwą twarz. Kierowany

iii) HM

270 • Alistair MacLean

dziwnym impulsem Reynolds wyciągnął z kieszeni  
Ic/.i go mężczyzny poplamioną jego własną krwią  
chu zasłonił mu twarz. Uczyniwszy to, wstał i ruszył  
do pi > Hidas.

Cztery drewniane schodki prowadziły do drzwi; \ po  
nich cicho, skradając się bezszelestnie jak kot, i ni  
nał przytykając oko do dziurki od klucza. W ciągu  
sc•' zorientował się w układzie wnętrza: po lewej  
stroni krzesło, po prawej pościelone łóżko, na wprost  
st< kimś przymocowanym do blatu urządzeniem,  
które dało jak odbiornik radiowy. Hidas, zwrócony  
piec: drzwi, właśnie zasiadał przy stole. Kiedy jedną  
rę< niósł słuchawkę, a drugą pokręcił korbką,  
Reynolcb uświadomił sobie, że urządzenie na stole to  
wca odbiornik, lecz radiotelefon. Że też o tym nie  
pon: Hidas nie należał do ludzi, którzy wyruszają w  
ten możliwości natychmiastowego porozumienia się z  
< la. Teraz, gdy niebo się przejaśniało, przypuszczali  
mierzał zażądać pomocy wojskowego lotnictwa, ]  
ostatnią, rozpaczliwą próbę zatrzymania uciekin Ale  
to już nie miało znaczenia. Było za późno i nicz

zmieniało - ani dla tych, których ścigał, ani dla samego.

Reynolds po omacku znalazł klamkę i wślizgnął środka cicho jak cień; drzwi były tak dobrze naoliwione, że nawet nie skrzypnęły, kiedy je przymykał. Prócz dźwięku korbki, którą nieustannie kręcił, Hidas nic nie słyszał. Dłoni zaciśniętymi na lufie i kolbą uniesioną wysoko głową Reynolds postąpił naprzód. Gdy tylko pułk odezwał się do słuchawki, wziął potężny zamach i naskoczył na aparat na części.

Hidas zamurował; przez chwilę siedział bez ruchu zupełnie zdezorientowany, a kiedy wreszcie się odwrócił, jedyną szansą jaką miał, żeby rzucić się na wroga, była bezpowrotnie. Reynolds bowiem zdążył się odsunąć, kręcić broń i wycelować ją w serce pułkownika. Hidas zastygł w osłupieniu, tylko usta poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Reynolds cofnął się o krok, podniósł z łóżka klucz, który wcześniej

Ostatnia granica • 271

§ 11 wazył, wymacał dziurkę pod klamką i nie spuszczać i lufy z nieprzyjaciela przekręcił klucz w zamku. Następnie młody zbliżył się do stołu; ręka mu nawet nie drgnęła, kiedy i młody z wyciągniętą bronią naprzeciw siedzącego na krześle mężczyzny, którego niewiele ponad pół metra dzieliło od wylotu lufy. \*

Widzę, że zaskoczyłem pana. pułkowniku - powie-i.-i. -\* Kto jak, kto, ale właśnie pan powinien był przewiać taki koniec. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, is wybiła pańską godzinę.

**Przyszedł mnie pan zamordować.**

**Kyło to stwierdzenie, a nie pytanie. Hidas zbyt często H 7, boku, przypatrując się śmierci innych, by nie wie-irć, co go teraz czeka, gdy sam znalazł się w jej obliczu. raz osłupienia powoli znikł mu z twarzy, ale strach /cze na niej nie zawitał.**

**Zamordować? Raczej wykonać na panu wyrok.**

**Mor-• iiTstwem jest to, czego pan się dopuścił zabijając majora Howartha. On nawet nie miał przy sobie broni. Dlaczego nic miałbym pana zastrzelić w ten sam sposób, z zimną krwią?**

**- Howarth był wrogiem państwa, wrogiem ludu.**

**-- Niech się pan nie usprawiedliwia!**

**- To, co zrobiłem, nie wymaga żadnego usprawiedliwienia, kapitanie Reynolds. Spełniłem swój obowiązek. Reynolds przyjrzał mu się uważnie.**

**- Nie rozumiem. Próbuje pan zrzucić z siebie odpowiedzialność, czy błagą pan o litość?**

**- Nigdy o nic nie błagam. - W jego głosie nie było ani dumy, ani pychy, jedynie godność.**

**- Imre, ten chłopak w Budapeszcie... umierał powoli.**

**- Nie chciał ujawnić istotnych informacji. Ważne było, /cbyśmy je szybko zdobyli.**

**- Żona generała Iljurina - rzekł pośpiesznie Reynolds, tarając się przezwyciężyć obezwładniające go poczucie iierzeczywistości. - Dlaczego ją pan zabił?**

**Po raz pierwszy od początku rozmowy na szczupłej inteligentnej twarzy Hidasa pojawiło się jakieś ludzkie uczu-ie, ale po chwili znikło.**

**272 • Alistair MacLean**

**Ostatnia granica • 273**

- Nie wiedziałem, że nie żyje. - Opuścił głowę.
- wojuję z kobietami. Szczerze żałuję, że moi ludzie ją strzelili, choć prawdę mówiąc i tak była umierająca.
- Pan odpowiada za czyny tych bandytów!
- Jeśli przez bandytów rozumie pan moich ludzi, to l Są mi podlegli.
- Zabili ją, a skoro pan jest za nich odpowiedzialny, j znaczy, że pan ponosi winę za jej śmierć.
- W pewnym sensie tak.
- Gdyby nie pan, oni wszyscy, Hrabia, Imre i żona JJPII rała by żyli.
- Co do żony generała to nie wiem. Ale tamci dwaj j pewnością tak.
- Pytam więc po raz ostatni, czy istnieje jakikolw|< powód dlaczego miałbym pana nie zabić?  
Przez dłuższą chwilę pułkownik przyglądał mu słw słowa, po czym ledwo dostrzegalny uśmiech pojawił mu »|{ na ustach. Reynolds mógłby przysiąc, że zabarwiony J«H smutkiem.
- Powodów jest mnóstwo, kapitanie, żaden jednak i przekona wrogiego agenta z Zachodu.  
Dopiero znacznie później Reynolds uświadomił soli że właśnie słowo, "Zachód", sprawiło, że oprzytomniał w tym momencie poczuł jedynie, że puszcza jakaś wi-w i • trzna tama zalewając go dziesiątkami obrazów i \v\*i mnień z przeszłości; widział przed oczmi generała w J««- budapeszteńskim mieszkaniu, widział go potwornie

im czonogo w celi tortur więzienia Szarhazy, widział go i • dzącego przy kominku w wiejskiej chacie, przyponin sobie też wszystko co Jansci mówił, wszystko co powtni. z takim uporem, a ponieważ zawsze mówił z głębok przekonaniem, jego słowa wywarły na Reynoldsie d" większe wrażenie niż się spodziewał. Pamiętał, co Jnn głosił na temat... Nie! Z całą świadomością, brutalnu- v parł te myśli i obrazy z głowy. Zbliżył broń do piersi lliii>i są.

- Proszę wstać!

lidas podniósł się z miejsca i stanął do niego twarzą, z karni spuszczoneymi luźno wzdłuż ciała. Patrzył w dół na celowaną w siebie lufę.

Woli pan szybką, lekką śmierć, co pułkowniku? To od pana zależy. - Przeniósł wzrok z zaciskającego i c aa spuście palca i spojrział w twarz wroga. - Nie będę i nsił o coś, czego odmawiałem swoim ofiarom.

Reynolds nacisnął odrobinę mocniej na spust, po czym ,i:;le, jakby coś w nim pękło, odprężył się i cofnął o krok. . cięż płonął w nim ogień gniewu, płonął równie intensywn-i o co przedtem, ale ostatnie słowa Hidas, słowa człowie-i który nie boi się umrzeć, sprawiły, że gorycz porażki c/brała w jego sercu i podeszła mu aż do gardła. Kiedy i c odezwał, głos miał tak ochrypły i napięty, że ledwo sam i rozpoznał.

Niech się pan odwróci!

- Dziękuję, ale nie. Wolę umrzeć stojąc przodem.

- Albo się odwrócisz - powiedział z wściekłością Reynolds - albo przestrzelę ci kolana i sam cię odwrócę.

**Hidas popatrzył mu w oczy; ujrzał w nich taką nieugię-isc i determinację, że wzruszył ramionami i świadom, iż Bić nie wskóra, wolno obrócił się, po czym runął jak długi ba stół, uderzony kolbą w głowę. Przez chwilę Reynolds poglądał na bezwładne ciało, następnie ze złością wymie-zoną nie-w pułkownika, lecz w samego siebie, zaklął pod I nosem i ruszył do wyjścia.**

**Kiedy schodził po schodach, ogarnęło go uczucie pustki**

**II bezsilności. Już nie zważał na to, czy ktoś go usłyszy czy**

**I im;; nagromadzona w nim furia nie znalazła ujścia, i cho-**

**iaż nigdy by się do tego nie przyznał, nawet sam przed**

**oba, najchętniej rozwaliliby tych uzbrojonych po zęby avo-**

**11. o w, którzy siedzieli w drugiej ciężarówce; gdyby ukazali**

**10 w drzwiach pojazdu, ciemne sylwetki na tle padającego**

**dębi światła, zabiłby ich bez najmniejszych skrupułów,**

**I lak jak oni zabili żonę Janskiego, kiedy zbliżyła się do**

**swietlonego domku przewoźnika. Nagle stanął w pół kro-**

**całkiem bez ruchu, i wyteżył słuch: do jego świadomo-**

lotarło coś, na co już wcześniej zwróciłby uwagę,  
gdyby  
bardzo nie zaprzętał sobie głowy porachunkami z  
Hi-

.

274 • Alistair MacLean

dasem. Z brązowej ciężarówki nie dochodziły żadne  
od sy, było w niej wręcz podejrzenie cicho.

Dobiegł do niej w kilku susach i przyłożył ucho  
bocznej ściany. Nie słyszał nic, choćby najłżejszego s/  
ni ru. Skoczył do tylnych drzwi, otworzył je i zajrzał  
do M ka. Było za ciemno, żeby cokolwiek widzieć, ale  
gluc niczym nie zmacona cisza, jaka panowała  
wewnątrz, u/ słowiła mu, że nikogo tam nie ma.

I naraz wszystko zrozumiał; myśl o tym, co się stu  
uderzyła go z tak brutalną siłą, że przez moment stał  
J sparaliżowany, niezdolny do wykonania  
najmniejszego chu, do podjęcia jakiegokolwiek  
decyzji, przerażony otf. mem własnej głupoty,  
sprytem wroga i łatwością, z jn sam dał się zwieść.

Powinien był wiedzieć, powinien I. się domyślić -  
przecież Hrabia od początku nie dowiiT/, Hidasowi -  
że pułkownik nie pogodzi się z porażką, żt- ni podda  
się, a już na pewno nie tak potulnie. Hrabia niK« nie  
pozwoliłby wystrychnąć się na dudka. Zapewne win  
gdy wystrzelono racę, ludzie Hidasza zaczęli skradać  
siv < rzeki od strony południowej, podczas gdy on z  
Kozaki\*- , naiwnie sądzą, że odgłosy w lesie  
oznaczają, iż wrój.; si wycofuje do ciężarówek.

Przypuszczalnie avocy byli ju/ n miejscu, tak, musieli już dotrzeć na drugi brzeg, i triu kiedy przyjaciele potrzebowali go bardziej niż kiedykolwiek, nie mógł im pomóc. A w dodatku, jakby nie dość sam ich opuścił, to jeszcze kazał Sandorowi iść po równię -jedynemu, który może zdołałby cokolwiek zrolil Jansciemu został do pomocy tylko młody Kozak i stu profesor Jennings - oraz Julia. Na myśl o dziewczynii' i odrażającej, obleśnej twarzy potężnego Koko, coś w n l., pękło uwalniając go z paraliżującego transu, w jaki po padł.

Odległość od brzegu wynosiła dwieście metrów, d\qliście metrów pokrytych grubą warstwą zamarznętego snli gu; mimo że był wyczerpany brakiem snu i trudami ost\*. nich kilku dni, mimo że miał na sobie ciężkie mokre buty mokre ubranie, Reynolds pokonał ten dystans w ręko n wym czasie. To nie złość, choć nadal ją czuł, sprawiln pędził jak na skrzydłach, przy każdym kroku wzbij;i

**Ostatnia granica • 275**

oko w górę tumany śniegu, nie, to nie złość, lecz strach

ogromny, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył.

lednakże nie był to strach, który obezwładnia, odbiera

'lo działania; przeciwnie, strach, który go ogarnął, w < y.wykłym wprost stopniu pobudził jego umysł i wy-



**i i-zył mu zmysły. Zbliżywszy się do stromej skarpy,  
Rey-**

**• Icls ostro zahamował wyrzucając w bok ramiona,  
po czym koczy! bezgłośnie na kamienistą plażę.**

**Cicho, na pal-**

**< h, przebiegł po żwirze i nie czyniąc najmniejszego  
ha-u zanurzył się w lodowatej wodzie. Trzymając  
automat**

**M! głową, silnie przebierał nogami posuwając się  
gładko**

**i przód: był już na środku rzeki, kiedy z  
domku**

**-:ewoźnika doleciał go pierwszy strzał, a po nim  
następny '•szc ze następny.**

**Zaniechał wszelkiej ostrożności - może w ogóle  
niepo-**

**ebnie starał się ją zachować - i młóćąc rękami  
energicz-**

**c wodę w ciągu kilku sekund dopłynął do drugiego  
brze-**

**i dotknął nogami dna, po czym ślizgając się  
niezdarnie**

**osuwających się kamykach pędem wdrapał się na  
sfcar-**

**, przestawił automat z ognia ciągłego najagięń  
pojedyn-**

**y (strzelanie seriami było nie tylko nieprzydatne, a  
ręcz niebezpieczne w sytuacji, gdy i wróg i swoi  
znajdo-**

ali się wspólnie w zamkniętym pomieszczeniu) i pochylo-  
iy wbiegł przez jasny prostokąt drzwi do budynku.

**Minęło**

;iledwie dziesięć minut, odkąd opuścił to miejsce. Zona Janskiego nie leżała już w sieni, lecz sień bynajmniej nie była pusta. Znajdował się w niej uzbrojony avok, kl óry ledwo co wszedł tu z pokoju; właśnie zamykał za sobą drzwi. Mogło to oznaczać tylko jedno-że walka, jeśli takowa się rozegrała, jeśli avocy nie wpadli po prostu do środka i nie zmasakrowali wszystkich, już się zakończyła. Na widok Reynoldsa avok usiłował podnieść broń do strzału, nie zdążył jednak ani strzelić ani nawet ostrzec swoich Kompanów;,otwierał usta do krzyku, kiedy Anglik zdzielił tto mocno kolbą w głowę. Reynolds obrócił automat lufą naprzód i ostrożnie uchylił nogą drzwi. Jeden szybki rzut oka na pokój pozwolił mu ogarnąć sytuację: walka istotnie się skończyła. Z sześciu znajdujących się tam avoków, dwóch nie żyło: jeden

^

**276 • Alistair MacLean**

leżał przy samych drzwiach w dziwnie zgiętej, a żar: rozluźnionej pozycji, jaka tylko martwe ciało może p drugi natomiast przy ścianie na prawo od wejść; opodal Jenningsa, który siedział na podłodze, z ni.sk szczoną głową, kręcąc nią z boku na bok. Z pozos czterech ludzi Hidasa jeden stał w rogu z bronią wyo na w Janskiego, drugi przywiązywał ręce gener;

krzesła, a trzeci leżał na Kozaku wymierzając mu k silne ciosy w głowę. Młodzieniec miotał się na bok uniknąć razów, a jednocześnie z całej siły ciągnął / nek bicza, którego pięciometrowy rzemień owinie wokół szyi napastnika. Avok dusił się, powoli i nieu nie; jego twarz przybierała coraz bardziej siny ode ii środka pokoju stał Koko, potężnym ramieniem obejm Julię; nie zwracając najmniejszej uwagi na darem motaninę dziewczyny, z drapieżnym uśmiechem na l obserwował swojego kompana na podłodze, który przestał okładać Kozaka, sięgnął za siebie ręką i z p. zawieszanej przy pasie wyciągnął nóż.

Reynolds umiał zabijać, i to zabijać z zimną przeszedł dobrą szkołę pod kierunkiem profesjonali doświadczeniem wojennym, którzy wielokrotnie •/.]• wali się w podobnych sytuacjach i wychodzili z nici cięsko, bo nigdy nie żądali, aby wróg się poddał i nin tracili czasu na to, by oznajmić mu o swoim przybyć którzy kopniakiem otwierali drzwi, po czym mówili bry wieczór, panowie", ginęli na miejscu. Drzwi ;ii kołysały się lekko na zawiasach, a Reynolds zda/ oddać trzy pojedyncze, idealnie wymierzone strzał; pierwszego cisnęła mężczyznę, który walczył z Kozak i kat pod ścianę; nóż wypadł z uniesionej w górę brzęknął o podłogę. Drugim strzałem Reynolds ]>< avoka, który trzymał na muszce Janskiego, a trzecim i wiążącego generałowi ręce. Powoli, z nieludzkim spokojem, szykował się do czwartego strzału mierzą sto w-głowę Koko - olbrzym zasłonił się dziewczyną nagie ktoś walnął go kolbą w lewe ramię wytrącajaj

ręki broń. Automat grzmotnął o podłogę. Okazało s  
jeszcze jeden avokstał niewidoczny za drzwiami; zap  
Ostatnia granica • 277

póki nie usłyszał strzałów był przekonany, że do  
pokoju »'ił jego kompan, ten który pół minuty temu  
wyszedł na \ tarz.

**Nie strzelaj! Nie zabijaj go! Aydany ochryplym  
głosem rozkaz pochodził od Koko.**

**-dbałym ruchem olbrzym odepchnął od siebie dziew-  
ue, która przeleciała przez cały pokój, zanim  
wyładowana kanapie, i stanął w rozkroku, z rękami  
na biodrach. jego okrutnej twarzy widać było, że  
dwa sprzeczne z 'a uczucia walczą o prym:  
wściekłość z powodu tego, co przed chwilą  
wydarzyło, i radość, że ma przed sobą hronnego  
Reynoldsa. Wewnętrzna walka jednak nie ała długo:  
życie, nawet życie własnych towarzyszy, nie-  
- le dla Koko znaczyło. Wyszczrzył usta w  
radosnym, Inym oczekiwania uśmiechu.  
Sprawdź, czy nasz przyjaciel nie ma gdzieś  
zapasowej M mi - rozkazał kompanowi przy  
drzwiach.**

**\vok wykonał polecenie: pospiesznie obmacał  
ubranie ' ynoldsa i potrząsnął głową.**

**- Świetnie. Łap. - Koko rzucił mu swój automat i  
wolno uniósł przed siebie sztywno wyprostowane  
dłonie. -Mamy z »obą porachunki, kapitanie. Chyba  
pan nie zapomniał, co? Reynolds świadom był, że  
Koko chce go zabić, że ślina n-knie olbrzymowi na  
myśl o tym, iż za chwilę wykończy » gołymi rękami.**

On sam zaś miał całkiem bezużyteczną .'\vą rękę i zdawał sobie sprawę, że przez jakiś czas nie i lula wykonać nią najmniejszego ruchu, bolała go bowiem i k bardzo, że podejrzewał, iż pękła mu kość. Wgłębi duszy wiedział, że nie rna żadnej szansy, że kiedy walka się zacznie, nie da rady się bronić dłużej niż kilka sekund, więc irzeli chce przeżyć, musi coś zrobić teraz, od razu, musi wykorzystać t>kazję i zaskoczyć przeciwnika, zanim ten za-.itakuje... Ledwo to pomyślał, skoczył naprzód, odbił się od podłogi i obiema nogami huknął wroga w pierś, prawie -'•Koć nie całkiem - osiągając zamierzony efekt. Koko, który w chwili uderzenia cofał się, jęknął z bólu i zachwiał się, lecz udało mu się grzmotnąć Reynoldsa w głowę z taką siłą, f.e ten niemal przekoziółkował w powietrzu i upadł obok kanapy, tak silnie waląc plecami w ścianę, że aż'zaparło

278 .• Alistair MacLean,  
mu dech.«Przez moment leżał bez ruchu; sapiąc ciężko obolały, w końcu dźwignął się na nogi i ruszył na olbr/ gdyż wiedział, że jeżeli Koko dopadnie go na podłocł; już nigdy nie zdoła się podnieść. Zdobywając się na h czny wysiłek, zamachnął się pięścią w szyderczo uśm niętą twarz i trafił olbrzymą w szczękę, lecz w nasU chwili charcząc zgiął się wpół, gdyż Koko - pogard: lekceważąc otrzymany cios - z niebywałą siłą huknął brzuch.

Jeszcze nigdy w życiu nikt go tak mocno nie ud( nigdy dotąd nie sądził, że ktoś jest w ogóle zdolny w\ rzyć tak potężny cios. Facet był silny jak byk. Min Reynoldsa przeszywał ostry ból, mimo że kolana siv nim ugięły, mimo że co rusz zalewały go falę mdl zdołał utrzymać się na nogach, ale głównie dlateu szeroko rozwartymi dłońmi oparł się o ścianę, na l poleciał po ciosie Koko. Zdawało mu się, że Julia wola imię, ale nie był pewien, miał takie uczucie jakby i ogłuchł. Ze wzrokiem też mu się stało coś dziwnego dział niewyraźnie, jak przez mgłę, ledwo potrafił r< znać Janskiego, który zmagął się rozpaczliwie ze szni usiłując rozwiązać ręce. I nagle zobaczył, że Koko sz\ się do kolejnego ataku.

Zdesperowany, bez większe dzięki na sukces, wykonał ostatnią, daremną próbę pok nią wroga: rzucił się na niego głową naprzód, lecz Koi śmiechem usunął mu się z drogi, po czym położył mu na plecach i pchnął go z całej siły; Reynolds przel< przez pokój, wyrznął w futrynę drzwi i wolno osunął si • podłogę.

Przez kilka sekund leżał zupełnie ogłuszony; wre ocknął się i potrząsnął głową; świat zawirował mu p oczami. Koko stał na środku pokoju, z rękami na biod i z wyrazem tryumfu na pokrytej bruzdami, prymity twarzy, z zębami wyszczerzonymi w drapieżnym uśm n - katowanie wroga wyraźnie sprawiało mu przyjemni wtem Reynolds zrozumiał do czego olbrzym zmierza: < abym umierał długo i powoli, pomyślał. Jeśli tak < pójdzie już wkrótce będzie po wszystkim. Nie miał

## Ostatnia granica • 279

7yć, czuł, że nogi ma jak z waty, każdy oddech był dla męczarnią.

tlaby, otumaniony, jakoś się jednak dźwignął z podłogi, chwiejąc się niepewnie, świadom jedynie tego, że it wiruje mu przed oczami, że ból trawi całe jego ciało, ia ustach czuje słony smak krwi i że niezniszczalny In wciąż stoi naprzeciw niego i śmieje mu się w nos. obuję jeszcze raz, pomyślał, nic gorszego nie może rajy/ spotkać. Ledwo trzymając się na nogach, uniósł \wą rękę, szykując się do ponownego natarcia, kiedy

•lo dostrzegł zmianę na twarzy przeciwnika. Czyjeś poić ramię odsunęło Anglika w bok i na środek pokoju Inym krokiem wyszedł Sandor. ""

(eynolds wiedział, że do końca życia nie zapomni tego

dku: Sandor wyglądał jak przybysz z innego świata, jak

>wy olbrzym z podań skandynawskich. Odkąd wskoczył

urzerażliwie zimnej rzeki minęło piętnaście, może dwa-

•ścia minut, które prawie w całości spędził na zew- r/,, gdzie temperatura wynosiła kilkanaście stopni poni-/.era. Ociekające wodą ubranie zamarzło, śnieg, który niego prószył, także, zakuwając Sandora w sztywny, ypiący przy każdym ruchu pancierz połyskujący sre-l/.yście w blasku lampy naftowej,

która paliła się w pokoju i wyglądała obco i groźnie, jak przybysz z innej planety.

Avok, który stał przy drzwiach dzierżąc dwa automaty, i Koko, przez chwilę z rozdziawionymi ustami wpatrzył się Sandora, po czym nagle ocknął się, rzucił jeden automat na podłogę, a drugi usiłował wycelować w Sandora. Nie zdążył. Lewą ręką Sandor chwycił za lufę, wyrywał przeciwnikowi broń z taką łatwością jakby zabierał lekki kijek, a prawą pchnął go na ścianę. Avok zaklął, : krótki rozpęd i skoczył na Sandora, szczerząc gniewnie zęby; ten złapał go w locie, okręcił się na pięcie i cisnął przez pokój z tak niesamowitą siłą, że nieszczęśnik Urznął w ścianę wysoko nad podłogą i przez kilka sekund Isiał tam rozplaszczony, jakby podtrzymywany przez niesdoczne dłonie; kiedy wreszcie spadł, wyglądał jak zmie-, połamana lalka.

**280 • Alistair MacLean**

W tym samym czasie gdy Avok pędził na Sandora. Ji. i poderwała się z kanapy i skoczyła Koko na plecy, sUnni się opleść olbrzymymi rękami i choć o chwilę opóźnić ).-reakcję na to, co się działo. Koko miał jednak tak pol<; klatkę piersiową, że nawet nie zdołała go objąć, on /..• łatwością oderwał ręce dziewczyny, jakby trzymały n« • mocniej od waty, po czym nie patrząc za siebie odcpcli. Julię na bok i rzucił się na Sandora zanim ten od/iH równowagę. Na głowę Sandora spadł grad tak potę/n<<| tak dotkliwych ciosów, że mężczyzna osunął się cie/ki podłogę; w następnej sekundzie Koko już był na



nim, i skając mu na gardle swoje wielkie łapska. Nie uśmici l\* się teraz, jego małe czarne oczka już nie lśniły rado\*, wiedział, że tu idzie również o życie. Przez moment Sandor leżał bez ruchu, podczas u< tężne paluchy olbrzyma nieubłaganie zaciskały się c»f mocniej wokół jego szyi, a masywne ramiona z wysiłku j •wyginały się w kabłąk. Nagle jednak drgnął, podniósł i chwycił Koko za nadgarstki. Reynolds wciąż był tak słaby, że ledwo trzymał się w nogach, lecz z zafascynowaniem przyglądał się walce .1 stała obok ściskając go za rękę. Choć całe jego ciało y,dn« ło się być jedną otwartą raną, przypomniał sobie « A straszliwszy był ból, który poczuł, kiedy Sandor ści snuł nadgarstki, a przecież wówczas nie wbijał mu xi{ivi palców głęboko w ścięgna, tak jak to czynił teraz w \vy\ ku Koko. Najpierw na twarzy olbrzymiego avoka pojawiło zdumienie i niedowierzanie, potem ból i wreszcie' • ti ;> kiedy pod wpływem miazdzącej siły Sandora rozluźnić dłonie, które dotąd trzymał zaciśnięte na szyi. Wciąż wczepiony w nadgarstki wroga, Sandor nął go z siebie, po czym poderwał się z podłogi i podciągnął olbrzyma do góry; nagle puścił jego n < nim Koko zorientował się co robi, oplótł jego kłąt siową mocno ramionami. W pierwszej chwili K myślał, że zamierza podnieść avoka i rzucić nim < sądząc po uldze, jaka odmalowała się w jego oczar bne wrażenie odniósł również Koko. Jeśli istotni.

Ostatnia granica • 281

fkiwał, srodze się zawiódł; wkrótce miejsce ulgi po-  
nie zajął strach i ból. Sandor z całej siły wcisnął  
swoją węg w pierś olbrzyma, napiął ramiona i gniótł  
go w mor-trczym uścisku. Już po kilku sekundach  
widać było, że ioko nie ma żadnych wątpliwości, że  
ten ucisk nigdy nie llżeje: strach w jego oczach  
przeszedł w śmiertelne prze-Żenie, twarz wykrzywiła  
mu się i przybrała niebieskosi- \_ barwę, z głębi  
gardła zaczał wydobywać się charkot; .pozbawione  
tlenu płuca rozpaczliwie domagały się powie-[ir/a.  
Avok z szaleńczą furią okładał pięściami Sandora po  
l plecach, po ramionach, ale skutek był taki jakby  
walił w l lita skałę. Jednakże to co na zawsze zapadło  
Reynoldsowi l w pamięć, to nie zacięta walka o życie,  
jaką toczył Koko, nie ego wykrzywiona bólem,  
siniejąca twarz, nawet nie łagod-if spojrzenie na  
nieruchomym obliczu Sandora, lecz od-los lodu,  
który pękał, gdy Sandor coraz mocniej, coraz  
nrdziej bezlitośnie zwierzał ramiona oraz obłędne  
przera-. mię na twarzy Julii, którą on, Reynolds tulił  
do siebie i klorej zasłaniał uszy starając się, aby nie  
słyszała potwornego, ochryplego krzyku, jaki  
rozdzierał powietrze; po pewnym czasie krzyk  
przycichł i wreszcie całkiem ustał.

l

## Rozdział piętnasty

Było kilka minut po czwartej nad ranem, kiedy Jan  
zatrzymał się i odwrócił, by poczekać na resztę towar  
stwa. Szli gęsiego-Julia, Reynolds, Kozak oraz

**Jenmiu: Sandorem, który częściowo podtrzymywał profesora, <• ściowo niósł go przez zamamarznięte bagna; wszyscy, pr< Sandora, szli z nisko zwieszonymi głowami, niepewm posuwistym krokiem ludzi będących na skraju wyczerp nią. Mieli powód, a nawet prawo czuć się zmęczeni. Od ni i sca, gdzie porzucili ciężarówkę, dzieliło ich pięć kilon trów drogi i dwie godziny marszu, dwie ciągnące się l> końca godziny przedzierania się przez pokryte szroni trzciny, które trzeszczały i pękały przy najlżejszym dotyk dwie godziny brnięcia po kruchej, skrzypiącej tafli łoj pokrywającej bagna, lodu zbyt cienkiego, aby mógł uti / mać ich ciężar, lecz na tyle grubego, aby utrudniał i marsz. Zapadali się po kolana w zimnym błocie i musi< wysoko unosić nogi, żeby je oswobodzić, po czym znów li się pod nimi łamał i tak na okrągło. Z drugiej jednak stroi lód był dla nich zbawieniem: w takich warunkach, jak panowały tej nocy, psy używane przez straż graniczną i niewiele mogłyby się zdać, biegałyby zupełnie zdezorir towane. Nie żeby słyszeli jakiegokolwiek ujadanie; pode/, całej pięciokilometrowej wędrówki nie widzieli ani str:i ników, ani psów. Nawet fanatyczni avocy ze straży grani' nej zamiast stać na mrozie woleli grzać się przy piecu wartowniach i nie zawracać sobie głowy tym, co się d/.icj na zewnątrz. Była identyczna noc jak ta, kiedy Reynolds przekrac/ ul' granicę, żeby dostać się na Węgry: gwiazdy lśniły jaskraw •• na pustym, zimnym niebie, mroźny wiatr**

szumiał cieli pośród łagodnie szeleszczących trzciny,  
ostrymi szponami M smagając wędrowców po  
policzkach i rozwiewając biul

Ostatnia granica • 283

pary, które tworzyły się przy każdym oddechu. Reyna chwilę pograżył się we wspomnieniach tamtej  
wszej nocy, kiedy leżał w śniegu dzwoniąc zębami, ze  
bardziej zziębnięty niż teraz: wtedy też czuł na 'y  
lodowaty powiew wiatru i widział świecące na nie-  
jwiazdy. Niemal z fizycznym wysiłkiem odsunął od  
ne te wspomnienia i przeniósł się myślami do  
baraku, i którego zabrała go milicja i w którym  
pojawił się Hra-j)a; kiedy pomyślał sobie, że Hrabia  
już nigdy więcej nig-lic się nie pojawi, bezbrzeżny  
smutek kamieniem legł mu jrcu.

4ie pora na rozmyślenia, Michael - powiedział łagod-  
ansci, potrząsając głową, którą obandażowano mu  
na ce przed wyruszeniem w drogę, a następnie  
schylił się

Junął otaczające ich wysokie trzciny, zom Reynoldsa  
ukazała się tafla lodu szerokości i więcej trzech  
metrów, która ciągnęła się w obie y od miejsca, gdzie  
stali. Spojrzał pytająco na genera-  
Btrumień?

iNie, mały kanał osuszający. Ale najważniejszy w  
całej apie. Po drugiej stronie leży Austria. - Jansci  
uśmiech-j. - Pięć metrów, Michael; od wolności i  
szczęśliwego ończenia misji dzieli cię tylko te pięć  
metrów. Już nic ie przeszkodzi...

**Tak, już nic mi nie przeszkodzi - powtórzył Reynolds skim, bezbarwnym głosem.**

**FTak bardzo upragniona wolność niewiele go teraz ob-  
jłodziła, powodzenie misji jeszcze mniej: cała wyprawa Wschód stała mu kością w gardle, cena sukcesu była utnie wysoka. Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić Siedział, z bolesną pewnością, co za moment usłyszy. [- Brr, robi się coraz mroźniej. -  
Dojmujący ziańb wstrząs-| jego ciałem.-Jansci, czy to przejście jest bezpieczne? ima w pobliżu straży?  
Całkiem bezpieczne.**

**- To ruszajmy. Nie ma co dłużej zwlekać. Generał potrząsnął głową.**

**- Wy idźcie. Ty, profesor i Julia. Ja zostanę tutaj.**

**284 • Alistair MacLean**

**Reynolds pokiwał ze smutkiem głową i nic nie odpowiedział. Decyzja Janskiego nie była dla niego zaskoczeni\* zdawał sobie również sprawę, że dalsza dyskusja na l temat nic nie zmieni. Odwrócił się, nie wiedząc jak /» agowaó, lecz wtem Julia chwyciła ojca za klapy palta**

**- Coś ty powiedział, Jansci? Co powiedziałaś?**

**- Proszę cię, Julio. Nie ma innego wyjścia; wiesz, /.c n ma innego wyjścia. Muszę zostać.**

**- Jansci! Och, Jansci! - Trzymała go za klapy, potr/  
jąć nim z rozpaczą. - Nie możesz, nie wolno ci, zwlas\* po tym wszystkim, co się stało!**

**- Mylisz się, Właśnie dlatego nie mogę wyjechać, jął córkę ramieniem i przytulił do siebie. - Zrozum, mn| tu wiele do zrobienia, czeka mnie praca, którą**

zaczęłam którą muszę dokończyć. Gdybym teraz przerwał, Hral>l(i nigdy by mi nie wybaczył. - Pokiereszowaną, oszperonji dłonią pogłaskał ją po jasnych włosach. -Julio, córec/ nie umiałbym się cieszyć wolnością wiedząc, że zostawim tu setki biednych ludzi, którzy beze mnie, bez mojej pum cy, nigdy nie poznają co to znaczy żyć w wolnym kr Dobrze wiesz, że tylko ja im mogę pomóc. Czy szczeci zdobyte kosztem cudzego szczęścia może dawać zadowoli nie? Czy myślisz, że mógłbym spokojnie siedzieć na Za< dzie, podczas gdy tu młodych mężczyzn wysyła się na roi ty przy budowie Kanału Czarnomorskiego, a stare, umie; jące kobiety zmusza do pracy na mrozie przy wykopy w a buraków? Czy tak niskie masz o mnie mniemanie? Julia wtuliła twarz w palto ojca.

- Jansci. - Głos miała stłumiony. - Jansci, nie nic zostawić cię samego.

- Możesz. I musisz. Przedtem nikt o tobie nie wied/l ale to się zmieniło. Tu, na Węgrzech, nie będziesz be/ p/i czna. A o mnie się nie martw; póki mam Sandora. nic mi nie stanie. Na Kozaka też zawsze mogę liczyć. Młodzieniec wyprostował się w mroku, częściowo tył rozjaśnionym przez światło gwiazd, i dumnie wypiął pii'

- Opuścisz mnie? Kazesz mi odejść?

- Nie jestem ci już potrzebny, moja mała. Przez te w; stkie lata tkwiłaś przy moim boku, bo myślałaś, że Ostatnia granica • 285 :ebuję; teraz Michael się tobą zajmie. Przecież wiesz

**MI.**

**Tak-odparła jeszcze bardziej zduszonym głosem.-To i i;ie z jego strony.**

**iansci położył ręce na ramionach dziewczyny, odsunął , "d siebie i popatrzył jej w twarz.**

**Jak na córkę generała Iljurina, jesteś bardzo głupiut-Mi stworzeniem. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że h by nie ty, Michael nie wracałby na Zachód? l 'odniosła głowę i spojrzała na Reynoldsa: jej wezbrane mii oczy zaśniły w blasku gwiazd. Czy to prawda? - spytała.**

**Tak - odparł uśmiechając się łagodnie. -**

**Toczyliśmy .HM- i przegrałem. Jansci nie chce mnie tu za żadną cenę. Przepraszam. Nie wiedziałam. -**

**Mówiła tak, jakby ;isła w niej ostatnia iskra życia.-A więc to koniec.**

**Nie, dziecko. To dopiero początek.**

**i ienerał ponownie przytulił do siebie córkę i trzymał ją**

**.Hii-no w objęciach, gdy suchy, zduszony szloch wstrząsał**

**i ciałem. Po chwili zerknął przez ramię i skinął na Rey-**

**uldsa i Sandora. Reynolds dał znak głową, że zrozumiał,**

**milczeniu uściskał pokrytą bliznami, zdeformowaną l<>i. pożegnał się cicho z Kozakiem, rozsunał wysokie**

**- ay i ruszył w stronę kanału. Trzymając koniec bicza,**

ago trzonek dzierzył w ręce Sandor, ostrożnie wszedł  
< id. Kiedy wykonał kolejny krok, tafla pękła pod  
jego

arem i jego stopy dotknęły ciemnego, niulistego dna;  
.iiiurzony po uda w lodowatej wódzie, nie zwracał  
uwagi

..•i przeraźliwy ział, tylko brnął przed siebie  
rozłupując

\*".!, Wkrótce stał już na drugim brzegu. Austria,  
powie-. !/iał sam do siebie; Austria, powtórzył, ale to  
słowo nic dla n i v;o nie znaczyło.

\agle usłyszał za plecami plusk i obejrzawszy się  
zoba-

/v! Sandora, który z wysoko uniesionymi rękami  
przepra-

1 K S się jego śladem przez kanał niosąc profesora  
Jenning-

i Gdy tylko Reynolds pomógł starcowi wspiąć się na  
>r,-g, Sandor zawrócił na stronę węgierską,  
delikatnie

•i: ciągnął dziewczynę od Janskiego i ponownie  
zanurzył >IQ w lodowatej wodzie. Przez chwilę Julia  
trzymała się go

286 • Alistair MacLean

kurczowo, jakby ucieleśniał dla niej to wszystko  
wiała za sobą, a potem Reynolds pochylił się, prz  
Sandora i postawił bezpiecznie na ziemi.

- Niech pan nie zapomni co panu mówiłem, pi -  
zawołał cicho Jansci, wraz z Kozakiem przecii przez



**trzciny i podchodząc do samej krawędzi Nasza droga jest długa i ciemna, ale nie chcemy nieskończoność.**

**- Nie zapomnę - odparł Jennings dygocząc z Nigdy nie zapomnę.**

**- To dobrze, e. - Generał skinął obandażowaną ledwo widocznym geście pożegnania. - Bóg z w widzenia - dodał po polsku.**

**- Do widzenia - powtórzył za nim Reynolds, odwrócił się, wziął Julię i Jenningsa pod rękę wspinać się z nimi, z trzęsącym się z zimna s cichutko pochlipującą dziewczyną, na niewielki j za którym ciągnęło się pole i rozpoczynał wolny <\*• szczyście zatrzymał się i popatrzył w dół na trzc-v jących się bez pośpiechu mężczyzn: szli przez bagna, ani razu nie oglądając się za siebie, i g znikli pośród trzcin, wiedział, że już nigdy ich n:**

**Koniec**